WNIOSKI
ze sprawy lwowskiej.

I.

Werdykt sądu przysięgłych w nieszczęsnej sprawie lwowskiej Kasy Oszczędności zaostrzył tylko antagonizmy, namiętności i nienawiści stronnicze, którym owa sprawa dostarczyła pokarmu i podniety do walki. Walka to zaś nad wszelki wyraz smutna: nie widzieliśmy w niej ani bohaterstwa, ani ideału, lecz przeważnie wstrętny syk nienawiści, wykrzykniki, obelgi i odgróżki, taniec czarownic na grobie zaledwie zastygłych lub żywcem pogrzebanych przeciwników.

Werdykt przysięgłych nie tylko nie zamknął sprawy, lecz zaognił ją na nowo: z jednej strony kapłani moralności publicznej we Lwowie i Wiedniu, w Krakowie i nawet Warszawie rozdzierali po wyroku lwowskim z uroczystym bólem i doniosłym krzykiem swoje szaty, ponieważ serce im pękało na widok „sromu" i „hańby", jaka przez ten wyrok spadła na naród; z drugiej strony ludzie, już to lekkomyślni, już to prawi i dobrzy, lecz pozbawieni tego instynktu trafnego, tej skali właściwej a niezbędnej do mierzenia i cenienia interesów publicznych, przyjęli wyrok lwowski z uznaniem tryumfu i szumnymi powitali go oklaskami. Łatwo się domyślić, że czytel-

nicy mają już dosyć tej sprawy lwowskiej, i jeśli mam odwagę zabrania tutaj głosu, to płynie to z mocnego przekonania, iż może pozostało jeszcze coś do powiedzenia, że sprawa ta była i jest pod wielu względami ilustracyą naszej psychologii narodowej, naszych temperamentów społecznych, nie mówiąc już o naszych wadach i cnotach handlowo-przemysłowych.

Nie ulega wątpliwości, że katastrofa lwowska była nieszczęściem dla Galicyi. Nieszczęście to nie polega bynajmniej na „hańbie", jaką ma być wyrok sądu, uniewinniający oskarżonych. Proces ten obnażył złe i nieregularne funkcyonowanie naszego mechanizmu gospodarczego w Galicyi; dowiódł po raz setny prawdziwości spostrzeżeń cudzoziemców, że jesteśmy „narodem dyletantów"; stwierdził znów starą prawdę historyi, że domowe waśni wzajemnie się zwalczających i oskarżających partyi czynią z nas, jak czyniły, przedmiot pośmiewiska lub zgorszenia dla świata; wykazał, że do systematycznej i na ścisłem obliczeniu opartej pracy przemysłowo-handlowej jeszcze mało posiadamy wprawy i umiejętności, że może inteligencya nasza posiada w tem miejscu jakąś lukę, jakąś organiczną wadę; to wszystko, razem wzięte, jużby wystarczało, aby sprawa Kasy Oszczędności stała się klęską dla krainy podkarpackiej. Lecz nieszczęście nigdy nie przychodzi samo. Sprawa lwowska była jakby uwieńczeniem tych smutnych wypadków, które od lat kilku wstrząsały życiem Galicyi w postaci jednych i drugich krwawych wyborów do sejmu i rady państwa, w postaci zeszłorocznego (czerwiec 1898 r.) ruchu anti-semickiego, który martwe na placu pozostawił ofiary, w postaci zaciekłej i nie przebierającej w środkach walki stronniczej, której przewodniczą Stojałowscy, Stapińscy, Daszyńscy, w postaci emigracyi zamorskiej i t. d. Po-nad to Galicya jest prowincyą państwa, które chwieje się w swoich podstawach; utrzymanie zaś wewnętrznej spójni „ludów i krajów" oraz uroku zagranicznego monarchii Habsburgów stanowiło przez trzydziestoletni z górą okres czasu główny cel ambicyi galicyjskich mężów stanu. Za wiele złego nazbierało się w ostatnich trzech latach i w Austryi, i Galicyi, za wiele pękło złudzeń tęczowych, za wiele nadziei pogrzebano! Historya przedstawiła tam swoje, od wieków nieregulowane rachunki; germanizm, ten polip, oplatający i toczący słowiańszczyznę od pierwszych świtów dziejowych, z niesłychaną brutalnością rzuca się teraz na ofiary słowiańskie, widząc, że godzina ich wyzwolenia się zbliża; on taką zaś tylko uznaje cywilizacyę, która mu pozwala siedzieć na karku ujarz-

mionych Czechów i Szlązaków, która stawia: „Deutschland über Alles!" I w chwili, nie tylko groźnej, lecz i ciemnej, kiedy trzeszczą wiązadła budowy państwowej, a nikt wśród zamętu skłębionych i skłóconych żywiołów przewodniej drogi nie dostrzega, w chwili przyćmionego na wewnątrz i na zewnątrz uroku, w chwili szalonej agitacyi, rozdzierającej Galicyę, przychodzi krach Kasy Oszczędności, który w kraju, zrujnowanym ekonomicznie w ciągu wieku przez biurokracyę austryacką, w kraju, pozbawionym przemysłu i handlu, stał się klęską w takich rozmiarach, jakąby w innych warunkach nie był.

Zdawałoby się, że stronnictwa i politycy, dzienniki i obywatele, staną teraz zwartym murem na straży honoru publicznego i nie dopuszczą, aby sprawa ta posłużyła za przedmiot zniesławiania i szkalowania społeczeństwa przez nędznych pismaków z *Neue Fr. Presse*, przez wszystkich szakali, wyjących o grób dla nas. I tak się stać było powinno. Pamiętajmy bowiem, że sprawa lwowska każdemu nieuprzedzonemu i bezstronnemu wydała się od pierwszej chwili nieszczęściem, nie zaś „hańbą". Pozwolę sobie tutaj powołać się na samego siebie. W marcu i kwietniu „Gazeta Polska" drukowała moje „Spostrzeżenia galicyjskie", gdzie na podstawie głębokiego i umotywowanego przekonania porównywałem los Stanisława Szczepanowskiego z losem Karola Lessepsa. Zima przypominał mi „Borkmana" Ibsena, obaj zaś oni razem z Wolskim i Odrzywolskim „stanowili rodzinę ludzi ambitnych i przedsiębiorczych, ludzi czynu i słowa, którzy wśród skomplikowanych warunków naszej epoki przemysłowej pragnęli z głębin ziemi i z głębin własnej energii wydrzeć i wytworzyć istnienie dla nędzarzy, rozniecić pochodnię światła w ciemnościach i popchnąć to społeczeństwo, którego dobrymi synami się poczuwali, na wyższy szczebel ewolucyjny. Dotknęły ich zawód, klęska i niesława. Nie ciskajmy na nich kamieniami dopóty przynajmniej, dopóki się nie przekonamy, w jakim stopniu byli ofiarami lekkomyślności, w jakim zaś technicznych warunków oraz właściwości swego otoczenia".

Sądzę, że dziś, po ośmiu ubiegłych miesiącach, po przeprowadzonym procesie, można i trzeba z całą siłą stanowczego przekonania opinię tę powtórzyć. Ani Szczepanowski, ani jego współpracownicy i towarzysze nie przynieśli moralnego wstydu swemu społeczeństwu, chociaż przynieśli mu nieszczęście, którego rozmiarów jednakże rozdymać i powiększać nie należy. Tak samo werdykt lwowskiej ławy przysięgłych może uchodzić za „hańbę" tylko w ustach bezdennej naiwności albo bezdennej obłudy. Kto go tak

nazywa, ten nie ma widocznie pojęcia o instytucyi sądów przysięgłych, o atmosferze, jaka panuje w salach sądowych podczas wielkich procesów kryminalnych, ten nie wie, jakich przestępców sądy przysięgłych uwalniały od kary w zachodniej i wschodniej Europie. Wyrok lwowski pod względem politycznym mógł być nawet szkodliwy, ale sąd przysięgłych pobudkami politycznemi się nie kierował i na postawione mu pytanie odpowiedział już to według głosu własnego sumienia, już to według nacisku opinii publicznej, boć sądy przysięgłych między innemi i po to istnieją, aby były wyrazem tej opinii.

Stronnictwa i ludzie polityczni w Galicyi, dzienniki i publicyści nie spełnili wcale wobec nieszczęścia, jakiem był krach Kasy Oszczędności, tego obywatelskiego obowiązku, który wykładają codziennie masom żywem i drukowanem słowem. W styczniu, zaraz po ujawnieniu fałszów w bilansach i rachunkach Kasy, podniósł się straszny krzyk najprzód w obozie konserwatywnym, później w innych kołach, stronnictwu lewicy sejmowej przeciwnych (do stronnictwa zaś tego należeli Szczepanowski, Zima, Romanowicz i t. d.), i fakt natury finansowo-przemysłowej, rozdęty natychmiast przez przeciwników politycznych, urósł do olbrzymich i niesłychanych rozmiarów. Lawina błota spadła na Galicyę. Dlaczego? dlatego, że Stanisław Szczepanowski, humanista i obywatel, przyjaciel ludzi i dobry syn społeczeństwa, który stworzył nowe gałęzie pracy, rozwinął przemysł naftowy, dawał chleb ubogim i był niezmordowanym robotnikiem na niwie społecznej, dlatego, że ten Szczepanowski zachwiał się w swoich wielkich i szlachetnych, lecz nie dość ścisłych, kombinacyach, oraz że jego przyjaciel, współwyznawca i współpracownik na niwie rozwoju społecznego, dyrektor Kasy Oszczędności, Franciszek Zima, któremu i przeciwnicy nie odmawiają energii, inteligencyi i uczuć obywatelskich, wspierał reformatorskie usiłowania tamtego niedozwolonym, sprzecznym z ustawą kredytem Kasy i zachwiał przez to byt tej Kasy. Zima oczywiście powinien był ponieść odpowiedzialność, lecz niewolno było ze sprawy czynić wielkiego skandalu politycznego, tem więcej, że o cyfrze kredytu Szczepanowskiego dobrze podobno wiedziano w kołach rządowych i kierujących.

Bardzo kategorycznie zapewniał o tem i autor artykułu „Po procesie" (Nr. 46 „Głosu"), nie źle zazwyczaj poinformowany o sprawach lwowskich. „Nad Szczepanowskim zawisła nienawiść stronnictw politycznych galicyjskich, którym kością w gardle stanęło „Słowo Polskie", organ, który Szczepanowski redagował, a który,

mimo wielu stron ujemnych, miał tę jedną wielką zaletę, że wystąpił energicznie do walki z apatyczną polityką Koła polskiego, a mając dobrych informatorów w łonie Koła, począł konsekwentnie demaskować rozmaite wielkości, które w tem Kole cieszą się uznaniem i wpływem. O długach Szczepanowskiego w Kasie wiedziano dawno; wiedział rząd, który miał daleko idące prawo kontroli. Mimo to milczał, dopóki nie było powodu występowania przeciw Szczepanowskiemu. Opozycyjne stanowisko „Słowa" wobec większości Koła i, co ważniejsza, przechylanie się do opozycyi lewicy sejmowej, którą uważam już za zupełnie lojalną, zdecydowały o wystąpieniu przeciwko nieprawidłowościom w Kasie Oszczędności. Z tego powodu sprowadzono do Kasy komisarza rządowego, co wywołało popłoch" i t. d. Autor artykułu w „Głosie" pisze jeszcze, że później, kiedy się spostrzeżono, że gwałtowne wystąpienie przeciw Kasie może narazić na odpowiedzialność nie tylko przeciwników politycznych, ograniczono oskarżenie do Zimy i Wędrychowskiego.

Od samego początku tej sprawy mówiono także, iż można ją było załatwić pocichu, bez gwarancyi krajowej, bez wszczynania trwogi, popłochu i skandalu, ponieważ wartość kopalni Szczepanowskiego oraz jego poręczycieli, Wolskiego i Odrzywolskiego, aż nadto wystarczała na pokrycie ich długów w Kasie. Zrobiono wszakże wręcz odwrotnie.

Czyżby istotnie ruina tych przemysłowców, którzy byli jednocześnie niepospolitymi obywatelami i ludźmi politycznymi, ruina materyalna i moralna, obalenie ich wpływu i podważenie organu partyi, do której należeli, była postanowioną i uplanowaną, i czekano tylko na stosowną chwilę do wykonania, do wymierzenia ciosu? Chwila nadeszła, cios wymierzono, rozległ się straszny hałas, posypały się wystrzały pistoletowe z samobójczych dłoni, złamano wiele istnień, pokryto kraj ruiną, obrzucono go niesławą, i dopiero na tem tle posępnem, w tej smutnej sferze rozpaczy wystąpili wielcy i mali oratorowie, fałszywi wróżbiarze i płascy sofiści, najęte płaczki, lejące łzy obfite nad „hańbą" narodu, i hipokryci o sumieniach surowych i duszach żelaznych i jęli lamentować, sądzić, rwać sobie włosy, złorzeczyć i wzywać pomsty niebios i piekieł na zgorszenie!

Przypuśćmy, że posądzanie konserwatystów i politycznych przeciwników Szczepanowskiego o umyślne wywołanie „runu" i popłochu w Kasie, aby tym sposobem przyprawić go o ruinę, cały zaś kraj pogrążyć w zamęcie, nie jest uzasadnione. Nam bynajmniej nie zależy na utrzymaniu tego posądzenia, i ucieszymy się szczerze, jeśli przyszły historyk sprawy lwowskiej nie znajdzie na to dowo-

dów, jeśli je obali. Niema większego moralnego zadowolenia nad przeświadczenie o prawych charakterach i czystych intencyach współobywateli, nad przekonanie, że i w nieprzyjacielu uczcić musimy człowieka sumienia i honoru. W epoce tak zaciekłych walk stronniczych, jak nasza, w której potwarz i obelga służą za broń codziennego użytku, ta znana prawda moralna i psychologiczna spoczywa na dnie zapomnienia Prawimy wszyscy o reformach, jakby jakakolwiek reforma mogła się dokonać w atmosferze, przepełnionej jadem, zawiścią i obmową, w której rozlega się jawne lub tajne hasło — *homo homini lupus!* Pragniemy więc i obecnie z całego serca, aby upadł zarzut złej woli w sprawie lwowskiej, czyniony konserwatystom i niektórym kółkom rządowym w Galicyi.

Mimo to kwestya nie traci swej barwy smutnej. Nie było podczas toku tej sprawy ani człowieka, ani polityka, ani stronnictwa tak poważnych, którzyby potrafili uregulować bieg opinii publicznej, skupić około siebie żywioły dodatnie i obywatelskie, dać solidarny odpór atakom nędznych giełdziarzy wiedeńskich i nie dopuścić do nadwerężenia renomy finansowej Galicyi. Prawdopodobnie takby umiano postąpić w Anglii, Holandyi, może i w Prusach, we wszystkich krajach, gdzie namiętności stronnicze podlegają w okresach krytycznych solidarności społecznej, gdzie pojęcie całości góruje nad drażliwością części, gdzie interes publiczny nie jest frazesem, lecz uświadomionym i żywym faktem, gdzie dzień jutrzejszy wynika z dzisiejszego.

II.

Niema drugiego kraju w Europie, w którymby ciasne namiętności stronnicze tak wyłącznie owładnęły sumieniami i temperamentami, tak wielkie zrządziły spustoszenia w mózgach ludzkich, jak w Galicyi. Żal i smutek ogarnia, kiedy się na to patrzy, kiedy się to słyszy i czyta. Dla człowieka ucywilizowanego, z poczuciem reformy w piersi i z sympatyą dla ludzkości w sercu, jest jasne, że każdy lub prawie każdy, kto się przejmuje małemi namiętnościami i uprzedzeniami swego stronnictwa, traci zdolność do widoków ogólnych.

Hasła stronnicze obliczane bywają na indywidualności przeciętne i na tłum, podlegający instynktowi skupiania się, prawu naśladownictwa, szumnym wyrazom i nareszcie interesowi materyalnemu. Gdybyśmy sobie wyobrazić mogli społeczeństwo, złożone z lu-

dzi cnotliwych, czystych, rozumnych i szlachetnych, z pojęciami prawa i obowiązku, to w niem stronnictwa stałyby się zbyteczne. Kiedy człowiek inteligentny i otwarty, z poczuciem smaku i prawdy, znajdzie się wśród zgromadzenia stronniczego, to wkrótce spostrzeże, że nie ma tam dlań miejsca: ciasnota iuteresów i pojęć partyjnych, brak widoków ogólnych, lekceważenie i zniesławienie przeciwników, atmosfera zawiści i współzawodnictwa cisną mu czaszkę i piersi.

Wprawdzie życie polityczne większości narodów europejskich płynie wśród starć i zgiełku stronnictw. Wobec groźnych walk, w obec szturmów i zamachów na istniejący ustrój socyalny, świat współczesny dzieli się na zdecydowanych zapaśników — dla rozjemców coraz mniej miejsca. Lecz nigdzie namiętności i podziały stronnicze tak ujemnych nie sprowadzają następstw, jak w Galicyi, dla tej prostej przyczyny, że w Niemczech, Francyi i Włoszech, w Berlinie, Paryżu i Rzymie, po za życiem politycznem, po za parlamentami i klubami, istnieje wielki, rozmaity i nieskończony świat idei, pojęć i interesów naukowych i socyalnych, ekonomicznych i estetycznych, są pisarze i artyści, uczeni i moraliści, odkrywcy i wynalazcy, misyonarze i podróżnicy, ci wszyscy, którzy tworzą i rozwijają właściwą cywilizacyę zdala od krzyku izb prawodawczych, pogrążeni w swoich marzeniach odległych i metafizycznych. Tam, gdzie nie wszystkie głowy, lepiej obdarzone, nie wszystkie serca, delikatniej czujące, zostały porwane w fatalny wir intryg, zabiegów i kłótni politycznych, tam kultura umysłowa i kultura społeczna toczy się swoją koleją.

Otóż we względnie małej i w ciężkich warunkach ekonomicznych postawionej Galicyi, większość inteligencyi, myślącej i tworzącej — uczonych, poetów, historyków i profesorów, nie wyłączając botaników, geologów i heraldyków, nosi na sobie wybitny stempel jakiegoś stronnictwa politycznego, do którego należy duszą i ciałem. Spostrzeżecie tam znamienny fakt, że przyszłość rzeźbiarza, aktora i muzyka, nauczyciela gimnazyalnego i kaznodziei kościelnego zależy znacznie od jego barwy politycznej, od stosunku do stronnictwa panującego. Polityka stronnicza wtargnęła i do tych sfer życia, i do tych dziedzin pracy, gdzie jej głos kuszący i namiętny rozlegać się nie powinien. Polityka zaś, niestety, bywa często szkołą przewrotności, niesie na swojej fali zarówno podłych i chciwych, jak słabych i niezdecydowanych, i tylko ludzie niepospolici, z myślą i uczuciem, tej fali czoło stawić umieją. Tam podobnie, jak

za czasów rzymskich, „augur śmieje się z augura — a grecki sofista z samego siebie" (Krasiński).

To też, jeśli, jako obserwator lub estetyk, jeśli, jako publicysta i pisarz polityczny, ze stanowiska prawdy i smaku, z poczucia wyższego interesu narodowego oceniać będziesz czy to działaczów i pisarzów, czy to grupy i kierunki literacko-artystyczne, ludzie, patrzący na świat przez pryzmat własnych skłonności i upodobań partyi, ludzie, zarażeni polityką stronniczą, nie tylko, że cię nie zrozumieją, lecz stanowisko twoje wyszydzą i potępią. Nie wolno ci być obywatelem, przywiązanym nie do części, lecz do całości powszechnej, nie wolno ci mieć rozkoszy psychologa, który cieszy się szczerze, kiedy stanie wobec zjawisk wyższego rzędu, wobec typów silnych i oryginalnych, z treścią i znamionami wydatnemi, bez względu na ich barwę, i zapomina wówczas o swojej wierze społecznej, o swoich przekonaniach politycznych; staje się przyrodnikiem, który wśród zjawisk natury ludzkiej szuka odmian i okazów, które w tej ciągłej przemianie zdarzeń i scen, wśród tej wielkiej fikcyi, zwanej rzeczywistością, reprezentują trwałość i wyższość naszego gatunku. Nie wolno ci jednocześnie mówić lub pisać z uznaniem o Tarnowskim, Kalince i Szujskim z jednej, Romanowiczu, Przybyszewskim i Kasprowiczu z drugiej strony. Ten gwałtowny rozwój uprzedzeń stronniczych kaleczy mózgi, wypruwa nam z serca najdelikatniejszy nerw, nerw szlachetnej tolerancyi, tej tolerancyi, która po nieskończonych dopiero ofiarach stała się nabytkiem cywilizacyi i cofa nas do obyczajów dzikich.

Galicya posiada ostrą i przykrą formę tej choroby, która polega na przeroście instynktów i uczuć stronniczych, a która zmienia podstawowe funkcye inteligencyi, rozwijając zanadto jedne, osłabiając inne. Gdybyśmy posiadali patologię polityczną, choroba ta powinna zostać określoną i opisaną. Dotknęła ona nie tylko polityków, deputowanych i agitatorów z profesyi, lecz profesorów, historyków i estetyków. Przytaczam dość ciekawą próbkę.

„Przegląd Polski" zamieścił przed kilku miesiącami sprawozdanie z książki politycznej, która podczas ubiegłej zimy wyszła z druku w Krakowie („Wobec wznowienia kwestyi polskiej"). Autor książki, jak widzimy ze sprawozdania, traktował sprawę bez widoków i uprzedzeń stronniczych. Cóż na to krytyk?

„Zdaje nam się—pisze on—że autor łudzi sam siebie. Mówi on nie jeden raz i z pewnością w najlepszej wierze, że nie należy do żadnego stronnictwa. Czy to może być, żeby człowiek, który myśli, nie należał do żadnego stronnictwa?"

I dalej znów. „Przekonaniem i dążnością swoją nie należeć do żadnego stronnictwa mogą albo ludzie, którzy wogóle nie myślą, albo tacy, którzy z wyrachowania i oportunizmu do żadnego przekonania jawnie przyznać się nie chcą, albo wreszcie tacy, którzy dla popularności lub wrodzonej lękliwości przekonania objawić się boją.

Wierzymy najmocniej, że autor nie należy do żadnej z tych kategoryi, ale właśnie dlatego dziwimy się, że on, jak mówi, do żadnego stronnictwa nie należy“.

Kapitalne i godne zaznaczenia jest to zdanie: „czy to może być, żeby człowiek, który myśli, nie należał do żadnego stronnictwa?“ Mamy tu typowy objaw ustroju polityczno-stronniczego, bezpośrednie echo partyi, która usiłowała całą organizacyę psychiczną jednostki i grupy, wszystkie jej drgnienia i dążenia moralne i intelektualne przetopić na wyobrażenia polityczne; która kryteryum stronnicze stosowała do wszystkich zjawisk życia indywidualnego i zbiorowego, do nauki i religii, do historyi i socyologii, nawet do poezyi i krytyki.

Czy więc istotnie człowiek, „który myśli“, musi należeć do jakiegoś stronnictwa? Mnie się zaś zdawało wręcz przeciwnie: im człowiek lepiej i szlachetniej myśli, tem dalej odskakuje od szablonów i interesów stronniczych; kiedy zaś jest tak szczęśliwym, że, dzięki natchnieniu i intuicyi, wielkiej samotności i wielkiej pracy, wzniósł się do pojęcia praw, rządzących światem, lub do wyższej strefy wyobraźni, wówczas zostaje zuchwalcem, pogrążonym w odkrywaniu prawa, dzięki swojej wiedzy lub dzięki intuicyi.

Czy możecie wyobrazić sobie Kanta, który w służbie jakiegoś stronnictwa krakowskiego wykłada filozofię w uniwersytecie jagiellońskim według wskazówek tego stronnictwa? Oczywiście nie, bo Kant był myślicielem; człowiek zaś, który myśli samoistnie, swobodę ducha i niepodległość zdania stawia sobie, jako jeden z głównych celów swoich dążeń, który życiu jego dodaje znaczenia i uroku. Macaulay wspomina w swojej historyi i popiera to—o ile pamiętam—wielu wybitnymi przykładami z dziejów Anglii, że są ludzie, którzy, dzięki krytycyzmowi swojej inteligencyi, widzą najpierw słabe strony swego stronnictwa i dlatego do żadnego należeć nie mogą. Historyk angielski nie wyprowadza stąd jednak, jak krytyk krakowski, wniosku, że ludzie ci myśleć nie umieją; przeciwnie—przenikliwość myśli, nadzwyczaj subtelne uczucie sprawiedliwości i wysoki smak estetyczny nie pozwalają im łączyć się z samolubną, ciasną i krzykliwą, dziką i ordynarną nieraz gromadą, jaką się staje stronnictwo polityczne.

Zresztą w przeszłości każdego narodu, w politycznej, społecznej i literackiej jego historyi znajdziecie aż nadto przykładów, stwierdzających, że jednostki uczciwe, utalentowane i niepospolite, namiętnie i szlachetnie do kraju swego przywiązane, dławiły się w dusznej atmosferze haseł i insynuacyi stronniczych i z radością wyrywały się stamtąd na powietrze wolne i słoneczne, do prawdy, do swobody, do pracy i myśli niezależnej. Czyż Staszic, Mickiewicz, Słowacki i Krasiński nie doszli do okresu w życiu, w którym swary i kłótnie stronnicze, już to w kraju, już to na emigracyi, napełniały ich pogardą dla ciasnych i głupich intryg i walk partyi i kategoryi, w których ginęła idea ogółu?

Życia politycznego przy dzisiejszym układzie stosunków historycznych i społecznych z na Zachodzie niepodobna sobie wyobrazić bez organizacyi i agitacyi partyjnej. Nie płynie z tego wszakże bynajmniej wniosek, ażeby każdy pisarz polityczny, każda głowa, po obywatelsku myśląca, i każde serce, dla ogółu sympatycznie i rzewnie bijące, nieuchronnie miały się zamykać w klauzurze stronniczej. Przeciwnie — im więcej jest takich serc i umysłów, które zarazie stronniczej oprzeć się umiały, które zachowały niepodległość sumienia i sądu, tem lepiej dla społeczeństwa, dla jego rozwoju i moralności. Ci niepodlegli, ci osamotnieni wśród krzyżujących się interesów i starć partyi i klik są jedynymi naprawdę przedstawicielami całości. Źle z ogółem któremu takich samotników politycznych zabraknie.

Atmosfera stronnicza zanadto owładnęła Galicyą, i fakt ten jest nieszczęściem krainy podkarpackiej Widzieliśmy z cytowanego przykładu, że tam już wyobrazić sobie nie umieją, jak człowiek myślący może nie należeć do stronnictwa. Dowiedli, jak choroba głęboko wżarła się w organizm. Jeśli zważymy jeszcze, że kategoryczne zdanie, iż każdy człowiek myślący powinien należeć do stronnictwa, wygłosił prezes pierwszej instytucyi naukowej w kraju, krytyk i estetyk niepospolitego talentu i niepospolitego smaku, to niebezpieczeństwo jest groźniejsze, bo wtargnęło do tej sfery umysłów, gdzie według przeznaczenia ma panować bezstronność naukowego sądu.

Wśród innych wniosków, które wynikają ze sprawy lwowskiej, i ten zaznaczyć należy. Przemysł nie może rozwinąć się normalnie w kraju, gdzie przemysłowiec nie spotkał się z konkurencyą zawodową, jakby tego oczekiwać było można, lecz konkurencyą polityczną, która godziła w niego, jako szefa partyi przeciwnej, i postanowiła go obalić, jako polityka i publicystę, nie oszczędzając w nim pio-

niera przemysłu krajowego. Atmosfera i zawiść stronnicza poodwracała stosunki.

III.

„Czas” krakowski—przyznajmy każdemu, co mu się należy—wydrukował kilka rozumnych, ideą obywatelską natchnionych artykułów z powodu sprawy lwowskiej, zatytułowanych „Epilog procesu”. Artykuły te bardzo mało licowały z namiętnym i zacietrzewionym tonem, jakim konserwatywny dziennik posługiwał się w onej sprawie, tonem stronniczej nienawiści względem Szczepanowskiego, jego współpracowników i towarzyszów politycznych. Możnaby sądzić zdaleka, że autor „Epilogu procesu” zajmuje uprzywilejowane stanowisko w „Czasie”, z którego nie schodzi do poziomu koteryjnej gwary, zaciekłej i rozjątrzonej, bardzo przykro rażącej, a tak, niestety, upowszechnionej w dziennikach politycznych. Zauważamy, że „Czas” pod względem stylu, formy i doboru wyrażeń należy wogóle do pism przyzwoitszych; sprawa lwowska wytrąciła go wszakże z wszelkiej równowagi.

Wspomniane artykuły były poświęcone analizie i charakterystyce przyczyn oraz cech, właściwych społeczeństwu polskiemu w Galicyi, które utrudniały tam dotychczas rozwój przemysłu. Te przyczyny są natury nietylko ekonomicznej, lecz tkwią także w historyi i psychologii narodu. Naród od wieków przeważnie zajmował się rolnictwem, co odbiło się nietylko na jego usposobieniu moralnem, lecz i na metodzie pracy, na sposobie prowadzenia interesów. W zawodzie rolniczym nie zawsze można być rzetelnym, bo i ziemia nie zawsze jest rzetelną. Mało jest posiąść wykształcenie techniczne i odbyć praktykę fachową; aby zostać przemysłowcem, trzeba się wychować w atmosferze przemysłowej, w atmosferze punktualności i kulcie interesu.

„Historya każdego nowoczesnego społeczeństwa—pisze „Czas”—wykazuje w rozwoju jego niebezpieczną chwilę krytyczną, która prawie nigdy nie mija bez wielkich wstrząśnień ekonomicznych i klęsk moralnych. Jest to chwila przechodzenia od rolnictwa do przemysłu albo choćby tylko chwila zaszczepiania przemysłu na polu wyłącznie rolniczem. Niebezpieczeństwo polega na rozpoczynaniu akcyi przemysłowych w społeczeńswie, pozbawionem cnót przemysłowych. Co to są cnoty przemysłowe? Definicyę ich zawdzięczamy jednemu z największych myślicieli angielskich bieżącego wieku,

Williamowi Edwardowi Lecky'emu. Pierwszy on wykazał, dlaczego nie wolno jednego narodu i społeczeństwa mierzyć miarą drugiego; wykazał, że, jakkolwiek pojęcie cnoty jest wszędzie jednakie, jakkolwiek odwaga, poświęcenie, bohaterstwo, abnegacya z jednej, a trzeźwość, rzetelność, prawdomówność z drugiej strony wszędzie poczytywane są za cnoty, to jednak społeczeństwa różnią się między sobą znacznie w zastosowaniu, w praktycznem ocenieniu tych cnót".

Za przykład narodu przemysłowego mogą służyć Anglicy; za przykład rycerskiego—Hiszpanie.

Nadeszła chwila, w której dla Galicyi wytworzenie przemysłu stało się niemal kwestyą bytu, kwestyą równowagi społecznej. Znalazł się człowiek inicyatywy, talentu i zapału, człowiek czynu i słowa, apostoł i przemysłowiec w jednej osobie, słowem znalazł się Stanisław Szczepanowski, który się jednak rozbił o fatalne warunki środowiska i o właściwości swego temperamentu. Szczepanowski nie był przemysłowcem i kupcem, lecz synem rasy marzycielskiej i niestałej, na pół mistykiem, na pół poetą.

Szczepanowskiego, między innemi, „Czas" tak charakteryzuje: „Najzaciętszy wróg Szczepanowskiego, jak przyzna mu dużo zdolności i rozległą wiedzę, tak nie odmówi mu zdolności do poświęceń, do ofiar, umiejętności napoczynania na nowo usiłowań, zwichniętych lub zniweczonych własnymi błędami, nie odmówi mu, jednem słowem, całego szeregu cnót rycerskich. Ale w tem właśnie rzecz: oparty na rycerskich cnotach Szczepanowski podjął dzieło stworzenia polskiego przemysłu. Z rycerską cnotą poświęcenia i abnegacyi tracił na każdem przedsiębiorstwie, które innym równocześnie przynosiło wielkie zyski, gdy tymczasem przemysłowa cnota rządności i ładu była mu zupełnie obca. Z rycerską cnotą podporządkowania własnego interesu interesowi kraju, sądził, że w przemyśle można krajowi służyć, o siebie nie dbając, gdy tymczasem elementarny katechizm przemysłowy byłby go pouczył, że służy ogółowi dobrze wtedy tylko, gdy własnych pilnuje interesów. Że Szczepanowski z przedsiębiorstwa, które innym, przeważnie obcym, dały miliony, wyszedł bez grosza, to może być bardzo wzruszające w sali sądowej, ale to dowodzi tylko, że trudności leżały nie w „środowisku" jedynie, ale i w nim samym".

Analiza stosunków i charakterów na tle sprawy lwowskiej w Galicyi, dokonana przez autora artykułów „Epilog procesu", jest pod wielu względami trafną i słuszną, jakkolwiek od tendencyi stronniczej niezupełnie wolną. Należało przecież wziąć koniecznie

pod uwagę fakt, że Szczepanowski był pierwszym pionierem wielkiego przemysłu w Galicyi, że stwarzał ten przemysł zarówno przy pomocy argumentów naukowych i politycznych („Nędza w Galicyi“), jak przez własną pracę w roli robotnika, technika, odkrywcy i przedsiębiorcy, że niesłychane spotykał trudności w otoczeniu, nie posiadającem ani pojęć, ani ludzi do takiej pracy, w otoczeniu zrutynowanem, apatycznem i politycznie nieprzyjaznem. Przedsięwzięcie przerastało siły pojedyńczego człowieka, nawet tak utalentowanego, takim zapałem, wiedzą i energią obdarzonego, jak Szczepanowski. Czy więc należało siły z góry obliczyć i przedsięwzięcia zaniechać? Osobnik średniej miary takby zapewne postąpił, o ile to ścisłe obliczenie z góry dokonanem być mogło. Lecz Szczepanowski był człowiekiem czynu i słowa, obywatelem i reformatorem stosunków w większym stylu; dla takich zaś ludzi napotykane trudności dodają tylko nowego uroku przedsięwzięciom.

To też przyszły historyk ekonomiczno-społecznych prądów w Galicyi po zważeniu wszystkich, krzyżujących się czynników, które sparaliżowały wielką energię i wielkie serce tej niepospolitej postaci, orzecze niezawodnie, że Szczepanowski podjął walkę z naturą własnego społeczeństwa, walkę w atmosferze, pełnej pierwiastków nieprzyjaznych, i dlatego upadł złamany i wyczerpany; ktoś jednak wcześniej, czy później, musiał być tym reformatorem i inicyatorem, gotowym zarówno do pracy, jak i do poświęcenia, ktoś musiał uderzyć śmiało w dzwon, wzywający do poprawy, do nowych wysiłków i nowych myśli. Tej roli szlachetnej i zaszczytnej, roli budziciela i bohatera rozwoju cywilizacyjnego w swoim kraju podjął się Szczepanowski.

Powalił się pod naciskiem przeciwieństw, lecz jego walki i wysiłki nie spłonęły bezowocnie; znajdzie naśladowców, którym utorował drogę, współwyznawców, bliższych lub dalszych, którzy, zagrzani jego ideą i jego przykładem, bogatsi i w całe doświadczenie, które im pozostawił, unikną jego błędów, a służyć będą krajowi z równym, jak on, szlachetnym zapałem. Po upadku każdej większej sprawy, po zdruzgotaniu każdego niepospolitego człowieka, któremu się nie udało spełnić żądań, wierzmy razem z Goethem, że te zadania nanowo zostaną podjęte, nanowo się narodzą.

„Lecz nućcie pienia z czerstwą, żywą siłą,
Nie stójcie dłużej z opuszczoną głową:
Łono tej ziemi zrodzi je nanowo,
Jak je od wieków rodziło“.

Konieczném jest też tutaj zastrzeżenie, że z powodu sprawy lwowskiej nie należy bynajmniej rąk łamać nad przyszłymi losami Galicyi. O sprawie tej trudno było mówić niekiedy bez goryczy, bólu i szyderstwa. Z chwilą wszakże, kiedy te przykre wrażenia odsuną się nieco w dal, należy dokonać z zimną krwią i z bestronnością obrachunku społecznych sił i stosunków w Galicyi. Mamy zamiar to uczynić w jednym z najbliższych zeszytów. Zobaczymy wówczas, że kraina podkarpacka posiada w swojem łonie niepospolite pierwiastki rozwojowe zarówno pod względem naukowym i umysłowym, jak społecznym i politycznym.

Tymczasem jednak na tle krachu Kasy oszczędności i procesu lwowskiego zarysowały się ostro antagonizmy społeczne, obnażyły się w organizmie galicyjskim zbolałe komórki sercowe i siatka mózgowa.

Atmosfera stronnicza i jałowa politykomania wyrządziła wielkie szkody Galicyi i odbiła się ujemnie na całem życiu tego kraju. Rozumieją to dobrze lepsi i rozumniejsi ludzie w Galicyi, ci wszyscy, którym „taktyka partyjna" nie powyżerała mózgów i serc. „Społeczeństwu naszemu brakuje gwałtownie energii—woła „Słowo Polskie". Ma ono za wiele dysput, za wiele ciasnego politykowania, za wiele wody programowej, a za mało czynów. Serca, które nie zbrukały się służbą dla interesów samolubnych koteryi, ogarnęła szalona tęsknota do tego elementu, za którym wołał Słowacki.

Ci, którzy widzą nietylko przez pryzmat cyfr, ale przez pryzmat cierpień i łez, nędzę, ciemnotę i zastój tego kraju, stracili zdolność zaprzęgania się bezwzględnego w rydwan tego lub owego doktrynerskiego programu. Wszystko jedno, kto nam przyniesie ten oczekiwany strumień sił żywotnych, bujności, energii, byleby on napłynął nakoniec, byleby miejsce frazesu zajęła robota, zamiast bibuły programiarskiej zaszumiała pieśń warsztatu, a dziedzictwo po ohydach pokory, służalstwa i płaszczenia się objęła rozkuta i tryskająca siłą myśl wolna".

Tego Galicyi życzyć trzeba z całego serca. Trzeba pragnąć i pracować, aby w umysłach i sumieniach tamtejszych wzięła stanowczo górę myśl, że rozwiązanie zagadki, gotującej lepszą przyszłość, leży nie w parlamencie wiedeńskim, który już trzeci rok daje z siebie smutne widowisko światu, lecz na miejscu, w wydziale i sejmie krajowym, w pracy społecznej i ekonomicznej.

Nie podnosimy tutaj idei wyodrębnienia Galicyi, bo ta rzecz wymagałaby zasadniczego i kompetentnego traktowania. Wytworzenie się stronnictwa na tej prawdziwie autonomicznej podstawie

w politycznem i etycznem znaczeniu wyrazu — jeżeli stronnictwa są już niezbędnym wyrazem współczesnej organizacyi zbiorowej — stanowićby mogły przełom w życiu Galicyi.

Fakt taki i równoległe rozpowszechnianie się odpowiednich przekonań zaznaczyłyby się trwałemi i dobroczynnemi reformami zamiast tymczasowości i niestałości, które cechują ambitnych i przewrotnych polityków, zarówno z zachowawczego, jak liberalnego i socyalistycznego obozu. Każde społeczeństwo współczesne, posiadające długą tradycyę historyczną, i nawet bez tej tradycyi, powinno posiadać jasny i stały program polityczny, lecz ów program wtedy dopiero z powodzeniem realizowany będzie, kiedy się oprze na podwalinie pracy cywilizacyjnej i gospodarczej.

Jeżeli żywioły dodatnie i ewolucyjne w Galicyi połączą się teraz do takiej pracy i potrafią trochę zapomnieć o swoich różnicach i namiętnościach stronniczych, jeżeli zamiast zwodniczego tryumfu części obiorą sobie za hasło stały tryumf całości społecznej,—to będzie to najwięcej pocieszającym wnioskiem z tak smutnej sprawy lwowskiej.

Od czasów rzymskich i greckich aż po dziś dzień dobrymi obywatelami i zbawcami dobra publicznego byli ci, którzy nosili w sercu ideał całości, którzy się umieli wznieść nad swary koteryi i partyi. Takimi byli Sokrates i Marek Aureliusz, Wilhelm Orański i Kondeusz, Franklin i Washington. Nikt z nich nie byłby napisał: „Czy to może być, żeby człowiek, który myśli, nie należał do żadnego stronnictwa“? jak się to stało w Galicyi, która w taktyce stronniczej utraciła pojmowanie wielu prawd moralnych.

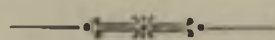
Bolesław Lutomski.



KARYKATURY

studyum sceniczne w czterech aktach

Nagrodzone na konkursie im. Ignacego Paderewskiego, wystawione po raz pierwszy na scenie Teatru miejskiego w Krakowie dnia 8 kwietnia 1899 r.



AKT III.

Jesteśmy w saloniku pp. Borkowskich. P. Borkowski po sprzedaniu dużego folwarku, Mądrowa, osiadł w Krakowie, nabywszy kamienicę. Lorcię, starszą, wydał za mąż nieszczęśliwie, bo mąż umarł w dwa miesiące po ślubie: córkę zabrał więc do domu. Stefie, młodszej, zachciało się gimnazyum; pozwolił, bo Stefie nie można niczego odmówić. Największy kłopot to z tym wisusem Ignasiem, ale młodość wyszumieć się musi, p. Borkowski trzyma się zasady: „niech pamięta wół, że cielęciem był“—, głównie dlatego zresztą, że Ignasia bardzo lubi, kto wie, czy nie bardziej od Stefy. Z żoną od 30 lat żyje w zgodzie: gospodarna bo jest; trochę zrzędziła na to życie w mieście, teraz mu ciągle dopieka, iż się wdał w politykę i inną pracę obywatelską, no, ale kobiecie wybacza się to, trudno się rozumieć równie dobrze na sznyclach, jak na pracy publicznej.

Tak też państwu Borkowskim dość spokojnie schodzi dzień po dniu. W tej chwili np. po obiedzie, pani Borkowska, zajęta przygotowaniem „rozmaitości“ na dzisiejszy wieczór, biega, a Ignasia tylko pilnuje, ażeby się uczył. Ignaś piłuje łacinę:

...„incidit inscyl lamqui vultvi tarecha”...

— nie. „in ciditin Scyllamqui vultvita re Chari.... — nie! rozpaczliwie sieka: „inci dit, in Scyllam quivult vita...! — psiakrr...

Pani Borkowska. Ignaś, ucz się!

Ignaś. Ja się, uczę proszę mamy. To Lorcia mi przeszkadza; nie mogę skandować.

P. Laura. Mamo! Ignaś mnie prześladuje. westchnienie refrenowe: Złamana, zniszczona!

Borkowska. Ignaś, niepoczciwy chłopcze!

Ignaś. „incidit inScyllam quivultvi tareCha..."—a żeby cię—!

Borkowska w progu: „In kidit", Ignaś, in—kidit!

Ignaś. Ale mamo, co też to mama mówi, joj!

Borkowska. No, no; nie bądź taki przemądrzały! Ja dobrze wiem, co mówię. Zdaje mi się, że to po łacinie. No więc. Dumnie wyszła.

Ignaś zbaraniał. Jak Boga kocham, teraz już sam nic nie wiem. Pociąga papierosa. Szport mi gotów zgasnąć, pali, tak mi mama w głowie zawróciła, że... pali.

P. Laura. Ignaś, daj mi raz pociągnąć, to nie powiem, że palisz.

Ignaś. Lorka! po namyśle: Ty jesteś moje nieszczęście — na!

Podaje siostrze papieros; ona wdzięcznie puszcza dymek cienki, wdowieński. Matka idzie!! więc

Ignaś głosem wielkim: In kidit inScyllam.

Lorcia zagłębia się w lekturze.

P. Borkowska. Co to za dym? To z kuchni?

Ignaś. y... y... in kidit inScyllam

P. Borkowska. Jezus, Ignaś, ty palisz cygara!!

Ignaś. To nie ja, proszę mamy, to Lorcia.

P. Laura. okrzyk rozpaczy: Ignaś!!

P. Borkowska. Pokaż.

Ignaś cofa się; po chwili wahania oddaje.

W imię Ojca i Syna, żegna się papierosem. Ignaś, co z ciebie będzie, Ignaś co z ciebie będzie! Straszne czasy.

Ignaś. Niech się mama nic nie boi. Tato i tak powiada, „łaskawco", że ja będę ambasadorem.

P. Borkowska tłumi uśmiech. Brwi bardzo zmarszczyła: A na jutro ani słówka nie umiesz i wieczór będziesz chciał być przy gościach.

Ignaś. ponury: Niech mnie mama pyta. Już wszystko umiem.

P. Borkowska. Lorciu, wypytaj go; nie mam czasu. Tylko pół słówka nie daruj! Straszne czasy. Wychodzi.

Laura. Pokaż książkę. A tłómaczenie masz?

Ignaś. przyskakuje. Z furyą. To twój dym było widać!!

Laura. ...Ci—cho!!

Ignaś. Ja puszczam za piec.

Matka staje w progu.

Inkidit inScyllam qui...y...y...

Matka namyśla się, wraca.

Czekaj, Lorka, jeszcze ty to odpokutujesz.

Laura wyniośle. Niech Ignaś tłómaczy.

Ignaś ręce założył w tył, monotonnie Lorci wykłada: „Scylla, złamana, zniszczona wdowa po Charybdasie radcy...y...y..."

Laura. Mamo, Ignaś mnie maltretuje!! krzyknęła, książkę na ziemię rzuciła, zmitygowała się, spokojnie wyszła.

Ignaś nogą książczynę kopnął; ta w drgawkach i męce kartek uciekła pod kanapę. Ignaś Mściciel wziął gazetę do rąk, poświstując, jął czytać. Nagle wydał okrzyk tryumfu: Hura! Nie mówiłem!? „Trarara bumta, trarara bumta.... Głos basowy z drugiego pokoju: trarara bumta tija... unisono z synalem: pam tiraa!" Jest to w pamiętnym owym roku znana polityczna melodya brukowa politycznej młodzieży brukowej politycznego Krakowa; wchodząc, zaśpiewał papa

Borkowski. Dobra nasza, łaskawco!

Ignaś. Hura, hura, hura! Teraz my pokażemy!! Tato już wie?

Borkowski. Cóż ty myślisz, łaskawco! Z tej racyi już na trzech śniadankach... urywa. Gdzie matka?

Ignaś. Mama jest pewnie w kuchni.

Borkowski. To jest, łaskawco, hm, Ignaś, ucz się!

Ignaś. Ja się uczę, proszę taty.

Borkowski siada. Czy ja mówiłem co o śniadaniu jakiem? spojrzał groźnie.

Ignaś. Ja nie słyszałem, proszę taty, skromną minę uczyniwszy.

Borkowski. No!

Ignaś. Ale niech tato sam powie, kto lepszy polityk, ja czy tato? ha?

Borkowski. Wielkie rzeczy! Udało ci się zgadnąć.

Ignaś. Co zgadnąć, jak zgadnąć! Ja to obliczyłem, ja wiedziałem, że tak musi być. Taka była konstelacya polityczna.

A teraz niech tato nie myśli, że na tem koniec — teraz my! my poprowadzimy rzecz... niech mi tato da pół szklanki, naturalnie piwa.

Borkowski. Nalej. Ale tylko pół! No, no; ciężkie czasy.

Ignaś. Pilzner?

Borkowski. Ha, trudno; pilzner. Ja bawarskiego więcej nie piję, panie, a choćby nie wiem co! Niemców wspomagać!? my im pokażemy, łaskawco.

Ignaś. Tak jest, proszę taty. Poświęcać się aż do ostatecznych granic.

Borkowski. Ty myślisz, że to tak łatwo przyszło rozłączyć się z kulmbacherem!? Ale powiedziałem sobie tak, jak ś. p. Lenartowicz, Teofil Lenartowicz, wielki nasz powieściopisarz, zapamiętaj sobie, Ignaś: „Krąż każdy w kółeczku, jak każe Duch Boży — a całość sama się złoży". I basta.

He, ja także kiedyś byłem bardzo, bardzo liberalnie nastrojony, łaskawco!

Ignaś. Jak mnie tu tato widzi, tak my nie spoczniemy — my wszystkich żydów do nogi! Wyprawa krzyżowa! A pójdziemy z hymnem na ustach, tra rara bumta....

Borkowski w czasie proroctwa Ignasia raptownie wypija dwie bomby, zrywa się, porwany animuszem syna: ...trarara bumta tija ...zatyka sobie usta. Ignaś, Ignaś, bój się Boga, łaskawco, dobrze, ale ciebie za to ze szkoły wytego! Ale, pst, czekajno... jak ja to mogłem zapomnieć! Jak ja to... puka się w czoło, czekaj, łaskawco, będzie z nami obrachunek!

Ignaś do siebie. Oho, już wie. usuwa się.

Borkowski. Ignaś, chodź tu. woła: Matka, Stefa, Lorka! Chodźcie tu wszyscy. Tu musi, do Ignasia: Zostań! — tu musi być rada familijna!

Ignaś musiał stanąć; chciał umknąć z porwaną na pocieszenie butelką; ojciec krzyczy „zostań", to zostanie; niech się dzieje, co chce. Butelkę ukryć najlepiej pod bluzką, z tyłu, na plecach.

P. Borkowska wbiega. Rany boskie, co się stało!?

P. Laura nadpływa: Cóż ja? Na radę?

Borkowski. A Stefa gdzie? — wskazuje delikwenta: Powiedzcie mi, co ja właściwie mam zrobić z tym chłopcem!?

Borkowska. Ja przeczułam, że to — znowu Ignaś. Ignaś, co z ciebie będzie! załamała dłonie. Ignaś, co z ciebie będzie!

Ignaś. Niech się mamusia nic... urwał; cofa się w tył.

Borkowski. Wiecie wy, co on zroblł? Ja z tego powodu musiałem pójść z jego gospodarzem. Na śniadanie. Ppalnął jakiegoś tam Silbermünza w papę, no i masz.

Ignaś. To zemsta!

Borkowski. Jaka zemsta? A za to ze szkoły — ! Ja także kiedyś byłem nastrojony! Radykalnie! ale to już jest strach! A jakby on ci oddał?

Ignaś. Niechby tylko spóbował! Jak nas jest w klasie pięćdziesięciu, tak wszyscy temu żydowi kości połamaliby.

Zresztą ja tacie i mamie powiadam, kiedy już tak jest, wszystko powiem: — ja moich przekonań nie opuszczę za żadne pieniądze w świecie! Mnie jest wszystko jedno! Dla idei poświęca się wszystko! I teraz Prądlewicz jest na mnie zły, i ja muszę mamie i tacie powiedzieć, że on mi chce dać dwójkę. Ale ja nie ustąpię, ani na jeden krok! krzyczy. My pokażemy — ! w zapale czyni pogróżki prawicą, w której butelka błyszczy

Borkowski do żony, z dumą; To jest młodzież, co!

Borkowska. To jest butelka, Ignaś!

Ignaś rzucił butelkę Lorci na kolana. To Lorcia, to nie ja.

Borkowski. Kto butelka? Jaka butelka?

Laura z płaczem. Niech mnie tato broni, Jezus. Ten Ignaś naigrawa się ze mnie. Ja jestem chora, a ten niepoczciwiec... wychodzi, susząc łzy.

Ignaś. Złamana Scyllo, pójdź, niech cię pocieszy twój brat Charybdas — ! wychodzi za siostrą.

Borkowska. Ignaś, Ignaś!

Borkowski odwrócił się, zasłania oburącz usta, pełne śmiechu. Do żony: To jest głowa, co?! Jego stanowczo oddam do akademii oryentalnej. Jak Boga kocham, łaskawco, ja, nawet ja, nie wykalkuluję polityki tak, jak on. Silny łeb!

Borkowska. Tymczasem wyrzucą go z gimnazyum. Straszne czasy, co z tego chłopca będzie.

Borkowski. Eh, no że tam grzmotnął jakiegoś żyda! Już mówiłem z Prądlewiczem; to się tam jakoś zatrze. Pijąc: Sytuacya polityczna, łaskawco; duch czasu, panie.

Borkowska wzdycha. Ach, mocny Boże.

Pauza.

Borkowski. Ty —. Lorkę trzeba koniecznie już raz za mąż wydać. Gdzie Stefa?

Borkowska. Oj, zdałoby się, zdało.

Borkowski. Ona mi apetyt formalnie odbiera swojem, łaskawco, „złamana, zniszczona". Kraje polędwicę. Czy Stefki jeszcze w domu niema? spogląda na zegarek.

Borkowska. Ach, znowu na jakichś lekcyach. Dziewczyna zamęcza się. Do siebie. Choć to teraz taka moda.

Borkowski. Kiedy ona to tak się temi książkami wiecznie otacza, dzień i noc, — trzeba się nad tem zastanowić. Wiesz, wczoraj, o drugiej w nocy! (wracałem z komitetu), zastałem ją przy książkach.

— To ten komitet aż do drugiej się ciągnął?

— He, komitet, gdy się zbierze, to czasem do białego rana, łaskawco!

Wracam, mówię ci, z komitetu, w domu cicho, ona siedzi. Aż mi żal było dziewczyny.

Stefa, idźże już spać — powiadam, druga godzina.

Ona wstaje, mówi, że już teraz nie robi, że odpoczywa.

Odpoczywa; odpoczywa, ale nad książką. A ona śmieje się, załamuje ręce nad głową: — no, niech ojczulek słucha, czy to nie jest, mówi, jak wiosna i jak zapach z łąk.

Wiesz co? Wirsze!! O drugiej w nocy, ja wracam z komitetu, a ona mi czyta wirsze! Rozziewałem się na dobre, mówię jej, niech idzie spać, ona ci urywa, patrzy długo na mnie, uśmiecha się, ale tak jakoś, jakby się jej na płacz zbierało, czy co, i potem mówi: „Dobranoc, ojczulku". Dobranoc, dobranoc — a ona ni stąd ni z owąd nagle leci na mnie, całuje mnie po rękach, tuli się i mówi, że ona jest mi wdzięczna, że ja jej pozwoliłem się uczyć. Ja jej mówię, jak wiesz, no, no, łaskawco, ty straszna emancypantka; ale to moda — jak to ty mówisz; na to ona się odsuwa, trzyma mnie za ręce:.. może nie dla wszystkich, tato.., tak się na mnie patrzy jakoś dziwnie, jakby jeszcze coś chciała mówić, że mi się ciepło w oczach zrobiło, i pocałowałem ją w czoło, pytam się... ty chcesz czego odemnie, Stefa?...

Ona mówi: nic ojczulku. Dobranoc.

Potem poszła do okna.

Wychodzę, odwracam się, a ona, mówię ci, o tak: rozkłada ramiona wszerz, tak się oparła o ramy, czoło przyłożyła do szyby i tak stoi.

Myślę sobie: hm... i poszedłem spać.

— Co się to znaczy!

Mówiła ci „ojczulku" i całowała po rękach — .

— Ale słuchaj.

Ktoś mówi; budzę się, — byłem pewny, że to znowu ty przez przez sen mówisz: Ignaś ucz się, łaskawco — ale nie.

Patrzę: światło! Zrywam się, lecę — no i popatrz, co za nieszczęście może być z tej nauki:

Świeca się pali, poduszka na ziemi, a Stefa śpi. Kołdra, co tylko nie spadnie, a ona ma głowę na krawędzi łóżka i, powiadam ci, panie, do piersi przyciska jakąś książkę i mruczy i śmieje się, jak Boga kocham!

Podjąłem poduszkę i myślę, co ona tak tuli, łaskawco: he, ani myśli, wyciągnąć! Dopiero kładę moją rękę na jej palce, a ona chwyta i tak mi ściska, że aż strach.

A książka spadła na podłogę. Podnoszę — „Sonety“ — Antoni R., nakładem autora! Aha, łaskawco, tutaj raki zimują!?

— I ja o tem wszystkiem nic a nic nie wiedziałam!

— Bo nie należysz, łaskawco, do komitetu.

— Ale co teraz będzie z tym Kalenickim?

To jest chłopiec bardzo do rzeczy. I skromny i...

— Cóż, kiedy ona kpi z niego!

— A ta książka Relskiego — to, powiadasz, jego własnym nakładem? Proszę, proszę.

— Skonfiskowałem; patrz Podaje.

— Ja zaraz mówiłam, że to nie jest taki zwyczajny instruktor. No, no.

— przeglądając broszurę: Phi. Co takie sonety wartają. 30, jak dużo, 40 centów. Ale zawsze „nakładem autora“. Poeta, literat. Ano zobaczymy my, co to z tego wyniknie.

A znowu czasem przyjdzie na lekcyę obdarty, nieuczesany; raz nawet pierze widziałem w głowie, najświętsze słowo honoru ci daję.

— Ty nie wiesz! To jest moda. Każdy literat musi być choć trochę obdarty.

— Tylko, czy on, panie, czy on, łaskawco, nie jest tego, socyalista?

— Jezus Marya, nawet nie mów!

To trzeba bardzo delikatnie, pocichu wybadać, o wszystkiem dowiedzieć się, czy on ma egzamina, czem jego rodzice, jak się prowadzi, to... bo tam nic nie wiadomo, co się może stać. —.
Teraz już można usłyszeć.

Głos Stefanii. Ach, proszę, proszę. Gość—.

Borkowski. Daj książkę. Chowa.

Głos Kalenickiego. Pani, damy mają pierwszeństwo.

Borkowska. Stefa z Kalenickim? A to co?

Stefania. wchodzi. Ironicznie: Równouprawnienie, panie Kalenicki.

Kalenicki. W takim razie trzebaby ścianę zburzyć, hahaha.

Stefa. Niesłychane!

Kalenicki. Ca..je rączki pańdzice—' n do nóg pańdziejowi.

Borkowski. Czołem, obywatelu łaskawco.

Borkowska. słodko. Jak się pan ma, jak się pan ma?

Stefa zdejmując okrycie. P. Kalenicki jest niesłychanie szczęśliwy z powodu najświeższej wiadomości politycznej. Wymową swoją tak mnie porwał, że, gdyby tylko był chciał, pozwoliłabym się uprowadzić.

Borkowska. Stefciu, co ty mówisz, fe.

Stefa. Dla idei, jak konsul Ignaś powiada, dla idei. Pan raczy zawiesić (okrywkę) w przedpokoju.

Kalenicki. Z rozkoszą, panno Stefanio.

— I z kapeluszem. Dziękuję panu. Podaje, Kalenicki wychodzi.

Jezus Marya, uwolnijcie mnie raz od tego błazna! Przyczepił się do mnie na ulicy i ani rusz pozbyć się go.

Borkowska. Ależ dziecko, co mówisz, co mó...

— Przez całą drogę prawi mi swoim lukrecyowym głosem o politycznych konstelacyach, a patrzy czule, jak gdyby na rogu miał się oświadczyć.

Borkowski z zadowoleniem: Straszna emancypantka.

Borkowska. Stefa, jakżeż można. Taki chłopiec do rzeczy.

— noszenia na stacyę. Ale niech mnie da pokój.

Borkowski. Powinna byś grzeczniejszą być, to swoją drogą.

— Tato. Proszę wierzyć, że ja teraz nie mogę myśleć o grzecznostkach ze względu na panów Kalenickich. Żyję w ciągłem podnieceniu, każda chwila mi droga; chciałabym choć czasem zapomnieć o robocie, być samą, odpocząć przynajmniej na ulicy, po drodze, a tu taki, taki pan Kalenicki... właśnie wszedł... oświadcza kategorycznie, że to „zrobi furory". W całej politycznej Europie.

Tylko niech pan nie opowiada, rodzice już czytali depesze. Są równie wniebowzięci, jak pan.

Kalenicki. Ja to przeczuwałem, ja to oddawna mówiłem. To nie mogło inaczej być.

Konstelacya polityczna...

Borkowski. Tak, jak Ignaś, zupełnie, łaskawco. Same umysły polityczne.

Co to za młodzież teraz się rodzi, strach!

Stefa. Poświęca się aż do ostatecznych granic.

Pani Laura wychyla główkę przez drzwi;

niepostrzeżona, cofa się.

Borkowski. Zapijmy sprawę.

Kalenicki. Szukajmy prawdy, hahaha.

Stefa cicho — w butelce. Szybko idzie w stronę pokoju po lewej. Stanęła: Mamo, a któż to wszystko pochłonie?

Borkowska. Będzie kilkanaście osób. Do Kalenickiego. Pan nie zapomni o nas dzisiaj—. Stefa nieznacznie szarpię matkę za fartuszek.

Kalenicki. Ca..je rączki, z rozkoszą, pańdziko.

Borkowska. — nas jest kilkoro...

Borkowski. Nie zapominaj, że i ja będę.

Borkowska ogromnie złośliwie. Słyszysz, ojciec ma dzisiaj „komitet" w domu.

Stefa, patrząc na stół. Trzeba mieć niesłychaną odwagę.

Kalenicki. Pani odchodzi, panno Stefanio? Może ja przeszkadzam?

Głos Stefy. Maluczko, a ujrzy mnie pan znowu.

Wchodzi **P. Laura.** Włos ma rozwiązany. Idzie krokiem melancholijnym, w ręce dziennik trzymając. Ach!! Tak się przestraszyłam.

Borkowski. Lorcia, napij się piwa.

Kalenicki. Ca..je rączki.

Borkowska. Lorcia, gdy się zamyśli, to nic nie wie.

Borkowski. Zaraz się dowiesz. Podaje szklankę.

Laura do ojca po cichu: Ojciec mnie kompromituje! Płynąc w stronę Kalenickiego. Witam pana.

— Ca..je rączki, całuje.

— Panie! wstydliwie usuwa dłoń, przedtem uścisnąwszy. Prhoszę, niech pan usiądzie. Na otomanie.

— O pani! ca..je rączki. Siadł.

Pan Borkowski, wzdychając, sekcyonuje szynkę; sapiąc, analizuje tort i t. d. na przemian.

Przez chwilę jest milczenie ponure.

Kalenicki. Hm. Pani czytała ostatnie depesze?

Laura rozpaczliwie chwyta się deski ratunku: Tak, właśnie, panie, jestem zachwycona, to jest niebywałe zwycięstwo!

Ach, kiedyż nareszcie kobiety „otrzymają prawo wyboru i wybieralności“. Panie, jakbym ja chciała brać udział w polityce!

Kalenicki zamyślony w przyszłość patrzy: Niedaleka przyszłość. Jeżeli nie my, to nasze dzieci...

Laura. Panie! co pan mówi! zgorszenie wdowieńskie.

— Przepraszam; ca..je rączki... Ja, ja myślałem, przez to chciałem, przyszłe pokolenia.

Laura. Panie! chwyciła rękę Kalenickiego to w pojedynku? wskazuje skroń jego, ta blizna.

Kalenicki. Zmarszczył brwi. Z wyniosłą obojętnością: Ach to z ostatniego fackelzugu.

Laura. Pochodnią! To musiało być straszne.

— Takie rany nie bolą.

— O tak. Teraz dopiero pana poznałam. Ściska jego dłonie, w żrenice patrzy młodzieńca: „O, jak słodko jest dostać pochodnią w czoło!“

Ignaś wchodzi, ruchy i głos Laury naśladujący: złamana, zniszczona — ach!

Laura. Ach! — Jak cień, idzie za mną. Wstała.

Ignaś. Aj, pan Kalenicki.

Kalenicki. Tschau, tschau. Witają się.

Laura d. s. Ten Ignaś, istna plaga! wychodzi, tęskne spojrzenie śląc Kalenickiemu.

Kalenicki. Panie Ignacy, mam ważny interes. Pan ma wpływy na młodzież szkół średnich...

Ignaś. O, proszę pana, proszę pana. Rozmawiają na boku.

Borkowska wchodzi ze **Stefanią**: ...nie mam pojęcia, gdzie mogłam położyć.

Borkowska, pokrywając uśmiech: Nie wiem, Stefciu, ja nic nie wiem.

Stefa rozgląda się. Miałam tam ważne notatki.

Borkowski. O cóż to idzie, łaskawco?

Stefa. Drobnostka. Gdzieś znikła mi jedna książka. Ot, broszurka — „Sonety“.

Borkowski. Matka, nie widziałaś, panie?

Borkowska. Nie. Może Ignaś?

Ignaś. Już znowu mama chce na mnie coś złożyć. To Lorcia, proszę mamy, ja zaręczam, że Lorcia.

Stefa. Ignaś, może wymyśliłbyś co dowcipniejszego.

Kalenicki. Może ja mógłbym służyć pomocą?

Stefa, ignorując pytanie to, staje przy ojcu.

Borkowska. O, dziękuję. — Pan nas odwiedzi wieczorem? Tak koło ósmej?

Stefa cicho do ojca: Puśćcie tego biednego chłopca. On i tak już nic więcej nie powie, oprócz: „ca..je rączki“.

— Ca..je rączki, naturalnie, ca..je rączki, pańdzice. Faktycznie całuje — żegna się. Ja tylko chciałem odprowadzić pannę Stefanię — 'n do nóg pandziejowi — i miałem...

Stefa. Już pan odchodzi?! Zakłada ręce w tył, aby nie podawać na pożegnanie.

— tylko mamy interes do pana Ignacego.

Borkowska. Do widzenia, do miłego widzenia. —

wpatrzony w Stefę; smutek. Do widzenia, panno Stefanio. Wychodzi z Ignasiem. Borkowska odprowadza ich.

Borkowski. Aj, aj, łaskawcy, czekajcie no.

Toczy się za młodzieżą zupełnie szybko.

Stefania sama.

Stoi chwilę bez ruchów; przeciera oczy. Przytłumione westchnienie zmęczenia — osuwa się na otomanę, leży z oczami zamkniętemi. Załamuje dłonie, szepcze: O, takie życie; to życie —!

Pauza. — Wchodzi służąca, Stefa nie zmienia pozycyi.

Czy to Joasia?

— Tak jest, proszę panienki.

— Może tam jest woda sodowa?

— Jest. Czy podać panience?

— Proszę. Pół szklanki.

Joasia nalewa, podaje.

— Dziękuję. Pije, wsparta na łokciu, oddaje szklankę.

— Ej, bo też to panienka się męczy. Na co to ta panience się tak po nocach...

— Jaki tu odór ohydny! wstała. Pfuj — jak stęchłe piwo.

Nie ma Joasia, czegoś do odświeżenia... może jest woda kolońska?

— W pokoju starszej pani jest. Przynieść? biorąc butelki, znacząco: Już pięć butelek...

Stefania zmarszczyła brwi. Dlaczego Joasia tłucze się z temi flaszkami!

— Oj, przepraszam, panienko.

— Proszę już zabrać się z tem.

— Rozpylacz z wodą zaraz przyniosę. Wychodzi.

— Dobrze, dobrze!!

Stefania zamyśla się. Cicho do siebie:

Gdzie to może być? siada. Twarz pokrywają cienie. Ten człowiek szydzi ze mnie...? Po chwili otrząsa się: Ha — ! Szybko wstaje, siada za stołem, zabiera się do pracy. Ruchy gorączkowe. Nie zwraca uwagi na wchodzącego ojca; pisze.

Borkowski przechodzi raz i drugi obok córki i, patrząc na nią z pod oka. Hm, hrm! stanął, znowu chodzi. Stefa — .

— Proszę?

— Ty, Stefa, jesteś inna o drugiej w nocy, a inna...

— „Życie nie jest tak... uśmiech... idyotycznie matematyczne" powiedział sobie pewien poczciwy pogromca niewiast.

A ludzie, proszę taty, są, jak życie. Pisze.

Borkowski zastanawia się. Filozofka, panie. Straszna emancypantka.

Stefa — .

— ?

— Cóż, łaskawco, hm, znalazłaś! panie?

Stefa wstała. Patrzy w twarz ojca, uśmiechnięta serdecznie, idzie ku niemu.

— Tato ma... wyciągniętą dłonią bardzo prosi: Proszę...

Ojciec oddaje „Sonety". Ona chwyta je, przegląda, uśmiechnięta patrzy na książkę, to na ojca,

— Tam nie było żadnych notatek, łaskawco —

Stefa spuszcza wzrok ku ziemi. Po chwili, bardzo cicho:

— A jednak są. Podnosi głowę: Gdzie ojczulek znalazł?

— Tu. Jedną ręką obejmuje córkę, drugą kładzie na jej pierś.

Stefania podnosi głowę ku twarzy ojca; oczy, rozwarte pytaniem — zdziwieniem: zrozumiała. O — !

Zawstydzona twarz kryje w ramionach ojca.

— No, no. Gładzi loki swej córki. Z uśmiechem: Emancypantka, to jest emancypantka.

Stefania uwalniając się z objęć ojca. Ach, tato! Co to za połączenie, to („Sonety“) i emancypacya!? Wstrząsa czupryną, mówi podniecona: Co to ma jedno z drugiem? Czy dla tego, że siadam do egzaminu, przestaję już być człowiekiem? Mam być wiecznie nudnym, chodzącym artykułem tygodnikowym?

Tato ma dziwne pojęcia o tej emancypacyi.

Niesłychani ludzie! Wzruszyła ramionami, wyszła.

Borkowski sam. Strasznie „kręci“ głową. Emancypantka, panie, nad emancypantki! Wychodzi za córką.

Pustą scenę przebiega Joasia; bierze ze stołu salaterkę.

P. Laura wchodzi bardzo energicznym krokiem. Wyjmuje zegarek: Dziesięć minut ... Staje przed lustrem. Dobrze... nie... układa włosy, fenomenalnie rozwiązane: jedną kosę na ramię prawe, potem na lewe; znowu wszystkie włosy przez prawe ramię na pierś. I tak nie dobrze. Zdecydowała się: część włosów na plecach, drugą rozrzuca lekko po lewem ramieniu, troszkę na łono, nieco na plecy. Teraz jest z siebie zupełnie zadowolona.

Kładzie się na otomanie, tyłem do wejść; przedtem wzięła ze stołu książkę, aby czytać; nie — raczej może dziennik? nie, nie, pocóż ma czytać, jest zmęczona; marzy... albo coś podobnego. W każdym razie poza jest zachwycająca.

Ach, ta poduszka! Joasiu! Joasia!

— Słucham, proszę pani. Wbiega.

— Popraw mi poduszkę.

— Którą poduszkę?

— No tę tutaj. Nie szarp mi włosów!! Co za niezdarna dziewczyna. — —. Czego ty się śmiejesz?!

— Ja się wczale nie śmieję, hihihi! gwałtownie wybiega.

— Gęś!! Oczywiście Joasia.

Drzwi w przedpokoju ktoś otworzył!

— Ach!! Nadsłuchuje. Ech! To jeszcze nie on. Szlafroczek nieco podsuwa lekko powyżej kostki nożnej; rozpina na piersiach haftkę, jedną, drugą... tylko dwie. E—e!

Otwierają się drzwi, wchodzi; no kto? — Antoś

Relski z głową podniesioną w górę, z ironicznym uśmiechem. Kapelusz nerwowo mnie w ręce; wargi ścina co chwilę: widocznie poza przybrana. Staje; niemy ukłon w stronę Laury. Nagle oświecił mu twarz szczery, cichy śmiech Podchodzi kilka kroków, staje; wzruszył ramionami, idzie ku otwartym drzwiom pokoju po lewej, wychyla się, wraca, czeka. Dłonią lekki ruch lekceważenia; obojętne: Dobry wieczór.

— Ach!! Tak się przestraszyłam.

Nie zmieniając pozy, zwraca głowę ku Relskiemu, podaje rękę, w tył ją wyciągając poza otomanę.

Dobry wieczór, panie — .

Relski cicho. Pśś! podchodzi, podaje rękę.

— Ach, jaka zimna dłoń. Trzyma ją ciągle. Proszę, niech pan usiądzie.

Relski usuwa rękę. Dziękuję. Panna Stefania...

— Proszę.

Relski siada.

— Tu bliżej; na taburheciku.

— Dziękuję. Nie rusza się z fotela.

— Ale, prhoszę, swobodnie.

Relski wstaje, bierze taburet:

— Tak lubię czasem — marzyć. Proszę, bliżej... Relski, zrezygnowany, siada odrazu za blizko. Bo proszę pana, ja tu jestem, jak pustelnica, wśród tych ludzi.

Nie uwierzy mi pan: tak jestem złamana, zniszczona forhmalnie.

Relski wierzy w to; potakuje głową ze współczuciem. Jednocześnie poczyna stopą pukać lekko, silniej, coraz silniej, szybciej.

— Do pana jednego mam zaufanie, bierze rękę Relskiego: Jeszcze zimna dłoń? A, a, a... głos drży lekko.

Relski milczy. Pauza.

— Hm. Ten Ignaś to moje nieszczęście. Już teraz cieplejsza ręka?

— Tak, pani. oswabadza rękę.

Milczenie.

— Dlaczego pan taki milczący? Czy wszyscy dekadenci są tacy?

— Nie, pani.

— Ach, panie, jakbym ja chciała być dekadentką.

— Pani już jesteś...

— Pan mi pochlebia.

— Nie, pani.

— Nie — na prawdę? Ale pan jest dekadent?

— Nie tak bardzo, jak pani...

— Pan jest niedobry. Dostanie klapsa. uderza. Pan śmieje się ze mnie.

— Nie, pani.

— Doprhawdy?

— Nie, pani.

— No to na dowód, niech pan powie... czy to... jest prhawda, że dekadenci, to oni chodzą w nocy na cmentarz i grhają w karty?

— Tak, pani.

— To musi być strhaszne.

— Tak, pani.

— I podobno czują „filozoficzny” wstręt do policyantów.

— Tak, pani.

— I jeszcze: czy to prawda jest, że każdy, co należy do dekadentów, musi mieć w nocy trupią czaszkę pod poduszką?

— Tak, pani.

— Okrhopne.

Milczenie.

— Pan jest taki dziwny. Czy to tak musi być u panów?

— Tak, pani.

Dla czego pan... Relski westchnął... ciągle mówi tylko: „tak, pani” i „nie, pani” Obserwuje Relskiego; uśmiech niepewny, sztuczny: To jest biblijny styl...

— Tak, pani.

— Dziwne. uspokojona. A jednak przecież pan odkrył mi tajemnice dekadenckie. Ja jestem wdzięczna.

Ja panu także coś pokażę... bierze rękę jego. widzi pan, na pierścionku — trupia główka i dwa piszczele na krzyż.

— O!!

— A, a, a, jaka teraz rhęka jest ciepła, a, a —.

Ja czuję, że stanę się dekadentką —

— A —.

— ... przy panu...

— E —.

— Bo ja jestem bardzo, panie Antosiu...

— U —.

— barhdzo nieszczęśliwa...

— Y —.

— Ten Ignaś... Tak, tak, czuję niepowstrzymaną niczem żądzę posiadania jednej, jedynej duszy bratniej...

— Iks!!!

Laura zerwała się: Czy pan ma zamiar przejść cały alfabet?!

— To będzie zależało od pani. Powoli wstaje.

— Niewdzięcznik, bezwstydnik, arogant, niemoralny, bez zasad, charakteru, nikczemny, socyalista, niewdzięczny, dekadent!!!

— Tak, tak, tak, tak, tak — .

— Złamana, zniszczona! wychodzi!

— Po raz siedemnasty w życiu. Głośno: Może już teraz raczy pani poprosić pannę Stefanię? Do siebie, z wściekłą satysfakcyą: Raz przecież — !

Joasia wchodzi z wodą kolońską. Odświeża powietrze.

— A — błogosławiona bądź dziewico za te wonności.

— Całuje rączki, hihihi. Przechodzi.

Relski siada.

— He! — To przecie karykaturalna farsa to życie. Zamyśla się P.. se — ! machnął ręką. Trzeba skończyć, skończyć, już raz skończyć.

Wchodzi Stefania, W ręce ma kilka książek. Relski, milcząc, skinął głową; ona idzie uśmiechając się i witając gestem ręki. Idzie coraz wolniej: zdziwienie; stanęła, wpatrzona w jego twarz. Relski milczy przez chwilę.

— Przyszedłem pani powiedzieć, że dzisiaj ostatnia lekcya.

— Dlaczego!!?

Książki na ziemię; wsparta o stół, przerażona patrzy na Relskiego.

On spogląda, jakby nie wierzył; szalone, jawne zdumienie oblało mu twarz, wyciąga ręce — ; urwany okrzyk.

Stefy twarz w purpurze; gdy Relski wyciągnął rękę, jej dłonie, jakby magnesem ciągnięte idą ku jego rękom: dłoń w dłoni.

— To nie do uwierzenia — . To straszne. Osuwa się na fotel.

— To takie proste. Uklękła przy nim; zwisającą rękę Relskiego kładzie na swoją głowę.

Ja czekałam. Tak czekałam na tę chwilę!

Wstała; dumnie podnosi głowę: tryumfalnie potrząsa płową czupryną.

Życie chwytać w lot — !

Relski zadrżał.

Teraz... teraz idź do ojca.

— Nie, nie, Stefa. Błaga: Daj mi tę chwilę... zostaw mi chwilę, — Stefa, Stefa — !

— O, jak to przecudnie! Więc ty nie przypuszczałeś, hahaha! Chodźmy do ojca — Niech cały świat wie, niech wszyscy wiedzą, niech wszyscy padają na kolana przed mojem szczęściem! Przed naszem, naszem szczęściem!!

Wspólne myśli i wspólne marzenia — !

I ty nie przypuszczałeś — to niesłychane!!

— Nie — !! Twardo: Za dumny jestem...

— Wiem, wiem; ja wiem, ale to nie...

— ...by kłamać...

— ...nie słucham dalej... Ojciec mój poczciwy, on kocha mnie. No — no, no, ja idę .. ty brzydki zarozumialcze — ! Ojciec tu przyjdzie zaraz — .

Wraca; ze swobodną zalotnością: A teraz... teraz wolno straszną emancypantkę... pocałować w ten reakcyjny lok — . Podaje włosy.

— Mój płowy Stephanos — !!

Oburącz chwyta loki, wpija w nie wargi. Potem, włosy wśród palców mając, zagarnia jej głowę, całuje usta.

— O - ha! Z tym krzykiem szczęścia, z rozwartemi ramionami „leci“ do ojca.

Relski sam. Chodzi, mnąc obu dłoniami włosy; ściska sobie skronie. Nerwowe tony jękliwego pół-śmiechu.

— Haha — ! to niesłychane!

Klęka na fotelu, twarz, rękoma zasłoniętą, kładzie na stół. Po dłuższej chwili wstaje, jedną rękę kładzie na poręczy: postanowienie. Pan Borkowski wchodzi. Mina uroczysta: kamizelkę poprawia sobie, hm.

— Jak się pan, łaskaw... kochany panie An... urywa, sam nie wie dlaczego.

— Po raz ostatni dzisiaj byłem w domu państwa.

Przyślę następcę; pannie Stefanii nadal pomocą moją... ku.. słu... służyć nie mo...gę. Ukłon.

— Panie Relski!!!

— Nie, nie — !!! gest rąk, jakby bronił się przed czemś, odpychał — wybiega.

Borkowski patrzy po ścianach, ogląda ubranie na sobie: formalnie piorun trzasł—! Blado uśmiecha się — mruczy pod nosem:

— Mnie się wydaje... świat teraz chyba — obraca się w lewo...

Staje w drzwiach, woła głosem niepewnym:

— Stefa, matka — chodźcie.

Stefa wbiega, urywa — staje.

— Dobry wieczór kochan... wita pani Borkowska.

Pauza.

— Gdzie — ? pyta Stefa.

Ojciec wskazuje drzwi.

Stefa usiadła. Patrzy w jeden punkt.

— A to dla czego? Co to ma znaczyć?
— Pch!! łaskawco. Wzrusza ramionami.
— Tato pewnie czemś go obraził — ?
— Co obraził!!! Ja ani słowa nie powiedziałem —. Co ja go miałem obrażać — !!?

Stefa spogląda to na matkę, to na ojca.

— Przecież, chyba mówił coś? Tak bez niczego? Co to za dziwny człowiek —.
— Mówił — ! Nic nie mówił. Powiedział: przyśle zastępcę, lekcyi nie będzie dawał — czy jak — krzyknął: „nie" i poleciał — Waryat!
— Wiem! już wiem —. Co za przeklęta duma!
On bał się odmowy — on mi raz mówił, że walczy z ostatnią nędzą, nazywał siebie żebrakiem... Wiem — !
— Jak to „żebrak"? Jaka „nędza"?
A czy ja pytam się go, łaskawco, co mu w kieszeni siedzi!?
Ja idę do niego z sercem, jak ojciec, bo wiem, że ty... tego, a on, panie, waryat — !
To jest uszanowanie dla starszego człowieka? To on mi nie mógł powiedzieć, co jest?! Czy ja dla mojego dziecka nie mam już centa na życie, czy co?
A stanowisko jakieś, to on tam chyba będzie miał. Waryat—!
— Ojczulku, ojczulku — ! Taki dobry, taki poczciwy. Niech ojczulek nie gniewa się —.

— Już znowu zaczynają się pieścić. Głośno: Może to i lepiej, że się tak stało. Wychodzi.

Milczenie. Stefa, po namyśle.

— Teraz, tato... Nie można tak dla nieporozumienia... tego tak zostawić.

Ale co robić — ?

Tak — ; inaczej nie można.

Tato — ojczulek niech idzie za nim — on jeszcze nie był proszony na wieczór...

— Co, co — ??

— ... albo ja napiszę. Nie, to na próżno. Przeklęta duma—! Tato niech sam, koniecznie osobiście, mój najdroższy — niech do niego — i poprosi na wieczór. Osobiście — tato...

— Stefa — !!!

— Tato... odmawia — ?...

Dla szczęścia mojego nie chce popełnić małego nietaktu?

— Czy ty także — zmysły postradałaś? Ja żebym prosił, takiego chłystka??

— Ojciec wie... cofa się, mówi silnie, spokojnie: że ja tatę bardzo kocham, że ja... że... ale, jeżeli ojciec zaraz nie pójdzie za nim — — to ja pójdę sama, i ten wieczór zostanę u niego — !!!

Pauza.

— ...Byleś ty tylko... tego nie żałowała — !!

Stefa wybiega za ojcem; po sekundzie wraca.

— Poszedł — ...

Stoi chwilę przy drzwiach, wyczerpana. Idzie ku fotelowi, siada. Nagle głowa opada na poręcz, łka cicho. Po chwili podnosi głowę — .

... Dla czego — on chciał — zaprzestać lekcyi — ? Milczy.—. Krzyk: Boże!! Trze czoło: Zaraz, zaraz... Co on mówił: — zostaw chwilę — chwilę...?

On — chciał mieć ładną chwilę — ! Bawił się mną — !!! Zrywa się,.. To niemożliwe — .

To byłoby podłe — . Boże — a ja — ? Narzucałam się sama... ha — !! — Joasiu — !!

Służąca staje w progu.

— Biegnij za panem — niech zaraz wraca!

Służąca wybiega.

„Niech tam nie idzie, dokąd miał iść — !

Palce wpija we włosy.

On się mną bawił — — i kłamał.

Klęka przy stole; prosi, błaga.

On nie kłamał, mój Boże, on nie kłamał — .
Czy ja wiem!.. co ja wiem — moja głowa, głowa — !

Ręce opadły bezwładne; milczy.

— A jeżeli...

Wstaje; zaciska dłonie.

... to pójdę przez życie — sama.

Ręce zwisają w dół.
Załamuje palce. Głowa spadła na piersi: dreszcz.

... Sama — ...

AKT IV.

Wieczór. W pokoju Relskiego jest zupełnie ciemno. Tylko blado czerwona plama światła z otwartego pieca płaży się po podłodze, oświeca skuloną postać Zosi.

Zosia bok głowy oparty ma o kołyskę, w pozycyi półleżącej śpi na podłodze.

Zmrok; cisza.

Zosia śpi; sen jakiś ją morzy: jęk; cicho — znowu matowy, przeciągły jęk.

Teraz ciężko oddycha, leży nieruchoma.

Wchodzi Relski.

Kapelusz, głęboko wsunięty na czoło; ręce w kieszeniach zarzutki.

Z głową, w dół pochyloną, wlecze się przez pokój, zniżony, znieczulony. Automatycznie podchodzi ku przodowi sceny, nie patrząc na Zosię. Stoi chwilę; potem ściąga kapelusz jakby ręką martwą, trzyma go w dłoni zwieszonej wzdłuż ciała: kapelusz wysuwa się na ziemię.—Relski podnosi ramiona, rozkłada je wszerz: coś, jak nerwowe ziewnięcie, jakby pół-jęk urwany albo ciężkie westchnienie.

Szepcze do siebie: Ciemno — .

Znużony sunie się ku łóżku, kładzie się w ubraniu.

Jest cicho: tylko drzewo płonące co chwila trzaska.

Wtem: głośny jęk Zosi.

Relski zwlókł się z łóżka, chwiejnie ku niej podchodzi, staje. Po chwili:

— —. Śpi... Na ziemi.—Przy kołysce. Dotyka głowy Zosi: Zosiu—.

Ona poruszyla się, mruknęła coś przez sen.

Relski powtarza głośniej, lecz bardzo miękko: Zosiu — .

Zosia budzi się powoli. Pół sennie pyta:

Kto tu jest?
— Ja jestem.
— Już noc.
Jak to dobrze, że jesteś, opiera głowę o jego kolano. Antosiu, daj mi wody napić się.

Relski idzie ku drzwiom, przynosi garnuszek wody. Zosia pije; garnuszek postawiła na podłodze. Prostuje się.

Siądź tu, Antoś. Przy mnie.

Relski przy niej siada na ziemi.

— Tak ogień szczyla — .
— ... Ogień. Rozłożone palce obu rąk wyciąga, ogrzewa w blasku.
— Ty z lekcyi przyszedłeś?

Relski milczy. — . Chrzęst płonącego drzewa.

— Antoś, ty teraz... nie jesteś zły?
— Nie, Zosiu.
— To ja ci coś powiem.

Głowę opiera o brzeg kołyski, mówi cicho, jakby półsennie, lecz głosem czystym:

A może nie powiedzieć? i tak już przeszło.

Milczenie.

Jak ty w południe poszedłeś, to mnie tak dziwnie, głowa mnie rozbolała — i takie miałam myśli!

Potem to ja siadłam przy kołysce na ziemi, długo siedziałam, aż i usnęłam.

A sen miałam okropny. Nawet ci nie powiem.

... Ludzie mówią: Sen mara, Bóg wiara. Tak mówią.

Potem bardzo płakałam, tak mi było zimno, wszystko mnie bolało, jakby mnie kto zbił.

Ani nawet nie mogłam wstać; aż dopiero Walentowa przyszła, zapaliła w piecu, a ja znowu zasnęłam.

Ale ty przyszedłeś.

... Antoś — ....

— Co, Zosiu?

— Ja chciałabym cię prosić... Ale nie śmiem.

— Mów, Zosiu.

— Żebyś ty... żebyś, ja chciałabym bardzo prosić ciebie, żebyś ty tam... na tę lekcyę nie chodził... Ale nie jesteś zły, że ja to mówię? —

— Nie.

— Ja pójdę do magazynu, ja robiła będę co sił, ja to wszystko odrobię; Antosiu, mój!!

— Dzisiaj byłem po raz ostatni.

— Joj, Antosieńku!!! To ty mnie kochasz, mój...

— Jezus Marya!! Zosia wstań — . zerwał się: Słuchaj — ty kochasz mnie?

— Ty się... pytasz...

— Słuchaj: ja, ja jutro idę — dam na zapowiedzi...

— Jezu!! krzyk szczęścia.

— ... i weźmiemy ślub. Ale za kościołem, pod progiem, palnę sobie w łeb!!

— Antoś!!!

— To tak nie może być; tak dłużej nie może być! Ja nie mogę konać całymi miesiącami — ja oszaleję, Zosiu, zlituj się, ja oszaleję — — !

— Jezu Nazareński, ulituj się — Jezu, Jezu.

— He he! Rano kartoflanka, a wieczór nektar. Robi się taka mieszaninka, hehe, tak się chodzi codziennie w błogiem podnieceniu.

Ciągle pijany, pijany szczęściem. Wściekłość!!

Zosiu, tyś mi skradła pół mojego życia; ty mi zatrułaś najpiękniejsze lata, ty mnie pchnęłaś w bagno — nie, w to małe, ohydne

bajoro — ! Błoto cieknie mi uszami, błoto pcha się do ust, lezie do oczu, lepi się po twarzy, po ciele — błoto, błoto — !!

Ja oszaleję, ja oszaleję!

Pada na łóżko; głowę w poduszce tarza.

— Matko Niepokalana, Matko Niepokalana! Antoś, Antoś mój złoty — — no to co jam mam robić...

Antoś, ja... wszystko, co tylko chcesz...

— Jedna chwila — jedna chwila — !

— A to już po wszystkiemu — już po wszystkiemu.

Antoś, ja teraz zrozumiałam już wszystko. Ale cóż ja winna... Ja wiem, że ja jestem winna.

Ty mnie — nigdy nie kochałeś.

Już teraz wiem — o moja dolo — .

— Zosiu, ja nie mogę powiedzieć, że ja cię nie kocham, bo ciebie nie można, bo ciebie ja nie kochać nie mogę, ale to jest coś innego — .

A razem nie możemy żyć. Ja kłamać nie chcę, a tak być nie może.

— Co ja mam robić?

Już ja wiem — co każesz, ja zrobię.

— Siadaj, Zosiu, przy mnie.

Zosia siada obok niego na krawędzi łóżka.

Ja wiem; ale to nie może inaczej być. Ja cię bardzo skrzywdziłem i ja nie mam prawa...

— Mój Antosiu, ty masz prawo, bo cóż... ja przecież przyszłam tutaj sama. Ale cóż ja winna?

Ty masz prawo, każdy tak powie.

— Ale ja tak nie powiem.

Mnie nikt nie obchodzi, niech sobie mówią, co chcą. Ja sam sobie prawa daję — ale tego prawa ja sobie nadać nie mogę.

Jak zechcesz, tak zrobisz. Widzisz, Zosiu, ty jesteś młoda i ładna, gdy wrócisz do matki, wyjdziesz potem za mąż...

— Antoś; czy ja sobie zasłużyłam, żebyś ty tak do mnie mówił! Jak do jakiej z ulicy.

— Nie, nie! całuje ręce Zosi. Ty nie rozumiesz mnie. Ja ciebie szanuję, bardzo, bardzo; ja dla ciebie nigdy nie stracę szacunku, bo widzisz, Zosiu, miłość jest święta wszędzie i zawsze — a ty jesteś dobra, taka nie do uwierzenia dobra .. i to jest najstraszniejsza rzecz!

— Antoś, no to ja... mój Boże, mój Boże!... to ja się do mamy wrócę, co?

— Oszaleć! I ani słowa wymówki —! Ta okropna dobroć—. Jednego słowa wymówki — !

— Ja jutro pójdę. Wiem, że na zawsze.

I mój sen się sprawdził... Że już raz na zawsze — o moja dolo, o moja dolo — !

— Nie, nie, nie na zawsze! My będziemy się widywać, my... ja będę... nie!! Na Boga, tylko nie łudzić!

Zosiu, na zawsze! My nigdy już nie będziemy się widzieć.

Głos Walentowej. Tu, tu, proszę pana.

Wchodzi Borkowski.

— Tu pan Relski mieszka?

Relski milczy.

Co za przeklęte ciemno, łaskawco. Potyka się o stołek, siada. Ledwo dopytałem się.

— Ja... jestem.

— A zaświeć że pan, do stu katów, łaskawco. Uff — . Ładne schody!

— Czem... cz.czem mogę służyć...? Hehe, nie wie, wiem, gdzie lampa, śmieszne, zdaje się, nafty...

I jestem zdenerwowany — nie wiem, czem mogę służyć — —.

— Niechże pan nie szuka. Nie będziemy długo konferowali.

Pan mnie dzisiaj obraziłeś, łaskawco. Brakiem zaufania.

— Ale...

— Tak jest, panie. Pan jesteś młody, a ja jestem stary. A ja i tak przychodzę do pana, zaprosić pana...

Chociaż... łaskawco... hm.

Co tu długo owijać w bawełnę; ja o wszystkiem wiem, od dawna, i to nie jest zbrodnia.

Jesteście młodzi, moja córka pana kocha...

— Jezus!!! krzyknęła Zosia.

— .... Co — to jest!? Kto tu jest?!

Milczenie.

Zaświeć pan lampę!!

Świeci zapałkę; światło pada na twarz Zosi.

Zaświeć pan... tu jest... tu jest tego... zapala świecę.... tu na stole...

Jasno.

Borkowski patrzy na Zosię, stojącą, jak słup, na Relskiego, który głowę podniósł do góry. Odwraca się: kołyska. Cofa się ku drzwiom — :

— Przepraszam. — Pomyliłem się — . Przepraszam.

Milczenie.

— Antoś — . Antoś — .

Relski milczy.

— To ta panna... z jasnymi lokami...? ta panna z ja... snymi lo...

Borkowski wpada; trzęsie się:

— A od mojego domu — wara!!
Do mojej córki, żebyś się pan nie zbliżył — —
I ja... panu powiadam, że to jest podłość... ja panu...
— Kołton — . Precz — . Porwał stołek.

Borkowski stoi chwilę w drzwiach; Relskiemu ręka ze stołkiem opada; Borkowski wychodzi. Relski do siebie:

— Powiedział: — podły — i ja nie dałem mu w twarz — !

Zosia przyskakuje, jak tygrysica:

— Ty... ty...! To taką ty prawdę gadałeś — ? ? — Żeby inną mieć — !!?
— Zosia... milcz — .

Zosia drgnęła; cofa się. Porywa chustkę, biegnie ku kołysce.

— Dziecko jest moje. otula je. A centa od pana nie potrzebuję — !
To wszystko jest panowe — !

Stoi w progu. Długie milczenie. Powieki drżą jej i wargi. Wyłkała:

... A by ci tego — Bóg w niebie nie zapomniał — !

Wyszła.

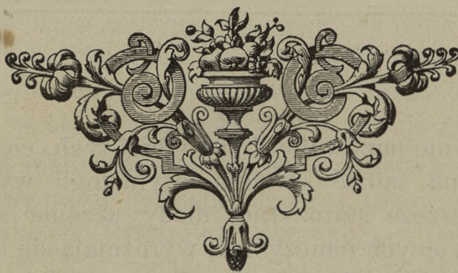
Relski stoi niemy, zmartwiały.

Nagle chwyta kurczowo poręcz stołka — :

..... Powiedział — podły! — i ja... nie dałem mu.... w twarz — ??!! — .

. . . .

Jan August Kisielewski.



Potrzeby samouków.[1]

Samoukami nie nazywamy bynajmniej tych, co się „uczą sami”, jakby można sądzić według etymologii wyrazu. Wobec panującej dziś jeszcze starożytnej mody uczenia się przeważnie w szkołach, od żyjących nauczycieli, wyróżniają się ci, którzy nauczycieli wybierają sobie niezależnie od bezpośredniego swego otoczenia, wśród pisarzy wszystkich narodów i wieków, korzystając z istnienia książek. Takich miłośników druku, obchodzących się bez pomocy zachwalanego żywego słowa, nazywamy pospolicie samoukami dlatego, że w studyach swych są więcej niezależni od swych nauczycieli, niż uczniowie szkół, a nauczyciele ich są mniej widoczni, niż pedagodzy.

Właściwie w miarę, jak się doskonali forma jasnego wyrażania myśli w książce, osobisty stosunek ucznia do nauczyciela ulega

[1]) Z powodu dzieła: „Poradnik dla samouków“. Cz. I I—I. Warszawa, 1898 — 1899 — str. 397 + 694, cena kop. 50 + 80.

wielkiej zmianie nawet w szkołach, bo już żadna szkoła nie obchodzi się bez książek. To, co stanowi największą różnicę między nauczaniem ustnem a nauczaniem za pomocą druku,—indywidualne traktowanie odrębności duchowych każdego ucznia,—staje się niemożliwem tam, gdzie nauczyciel ma naraz do czynienia z wielką ilością uczniów. Więc książki coraz to więcej zastępują wykłady, i ta powolna przemiana stosunków pedagogicznych musi z czasem jeszcze bardziej ograniczyć rolę nauczyciela nawet w szkołach.

Już teraz szczególniej w Ameryce, pomimo doskonałych szkół, samouctwo przybiera wielkie rozmiary, a nawet w Europie, gdzie szkoły jeszcze dotąd więcej znaczą, każdy szczery i bezstronny ich wychowaniec będzie musiał przyznać, że najlepszą część swej wiedzy zawdzięcza samouctwu. Któżby mógł z wykładów gruntownie poznać matematykę lub jakąkolwiek naukę przyrodniczą?

U nas znowu uczniowie szkół pracują zaledwie w ostatnich miesiącach przed egzaminami, a ich przewodnicy najmniejszy w tem biorą udział, poczytując za główne swe zadanie formalne sprawdzanie nabytych przez uczniów poza szkołą wiadomości.

W tych warunkach zachodzi wielka potrzeba książek, uprzystępniających rozwój umysłowy, niezależnie od szkoły. Dlatego jest ogromny popyt na popularne wydawnictwa naukowe, i corocznie wychodzi mnóstwo tłómaczeń dzieł zagranicznych tej treści. Gdy zaś zdarzy się dobre dzieło oryginalne dla samouków, jest rozchwytane, jak np. to miało miejsce ze „Wstępem do filozofii" Struvego.

Wobec tej skłonności naszego społeczeństwa do samouctwa oddawna dawała się uczuć potrzeba jakiegoś przewodnika, podręcznika ogólnego, dającego wskazówki samoukom, w jaki sposób mogliby najłatwiej zdobyć sobie wiedzę w każdym specyalnym kierunku. Takie dzieło napisałby najlepiej ktoś, co sam, jako samouk, poznał rozmaite dziedziny myśli, a zdobył sobie przytem jednolity i konsekwentny pogląd na świat, pozwalający mu wskazać jasno związek między rozmaitemi naukami.

Wielkie dzieła encyklopedyczne najlepiej wtedy się udają, gdy istotnie encyklopedyczny umysł podejmie się całej pracy lub przynajmniej uporządkowania materyałów, zebranych przez innych. Ale brak nam umysłów encyklopedycznych, gdyż nasze szkoły kształcą jednostronnych urzędników, a biblioteki nasze nie zawierają nawet dziesiątej części istniejących książek.

Więc u nas „Poradnik dla samouków" musiał z konieczności tymczasem mieć inny charakter. Powierzono rozmaite działy róż-

nym autorom, i każdy dał monografię, napisaną według swego pojmowania rzeczy. Monografie te są bardzo nierówne, i nawet nie znać pracy redakcyjnej, usuwającej niekonsekwencye i powtórzenia.

Tak np. meteorologia figuruje raz w dziale fizyki (t. I str. 61), a potem w osobnym dziale, przyczem w dziale fizyki jest przytoczone tak specyalne dzieło, jak „Instrukcye dla stacyi meteorologicznych“, którego miejsce byłoby jedynie w specyalnym dziale meteorologii. Czytamy w dwu różnych miejscach recenzye dzieła Mohn'a („Zasady Meteorologii") przez panów Biernackiego i Kramsztyka.

Takich błędów jest więcej. Dzieła, które nie mają wartości według autora monografii o danej nauce, powinnyby tylko być wymienione krótko dla ostrzeżenia czytelnika, o ile się znajdują w handlu księgarskim; tymczasem czytamy o nich w kilku miejscach długie recenzye, jak np. o dziele Schoedlera (str. 95 tomu I-go). Gorzej, gdy dzieło bez żadnej wartości, jak np. Mantegazzy „Fizyologia rozkoszy" jest wymienione bez ostrzeżenia, lub nawet polecane, jak bałamutny Kirchnera „*Katechismus der Geschichte der Philosophie*".

Liczne są też naturalnie braki ze względu na niemożliwość objęcia całości literatury przedmiotów. Np. w dziale matematyki są przytoczone suche i nużące podręczniki Spitza, brak zaś niezrównanych podręczników Lübsena, który opracował matematykę przystępnie, jasno i zajmująco, jak nikt chyba przed nim ani po nim,—właśnie dla samouków, poczynając od arytmetyki elementarnej aż do rachunku całkowego i geometryi analitycznej włącznie.

W dziale języka angielskiego opuszczone są doskonałe podręczniki, napisane przez Claude Marcel. Autor ten był konsulem francuskim w Anglii przez długie lata i z wielkiem powodzeniem obmyślił prawdziwie naturalną i łatwą metodę nauczenia się po angielsku. Metoda ta jest dosyć zgodną ze wskazówkami pana Benniego w „Poradniku" i stanowi pouczający kontrast z reklamowanemi metodami Ollendorfa i t. p.

Największą krzywdę wyrządzono, mojem zdaniem, w dziale psychologii i historyi filozofii, gdzie autor, posługując się pozorną erudycyą, przemawia tonem mniemanej wyższości nad przedstawicielami prawdziwej wiedzy.

Naturalnie wybór zalecanych dzieł zawsze musi zależeć od indywidualnego sądu autora, i trudno znaleźć tu jakąś całkiem objektywną miarę. Lecz w każdej nauce wśród setek i tysięcy podręczników wyróżnia się kilka książek dobrej wiary, uznanych po-

wszechnie za pouczające nawet w obozie przeciwników kierunku ich autorów. Tak np., gdyby zebrać sejm wszystkich psychologów i autorów, piszących o psychologii po angielsku, i zapytać ich, jakie dzieło w ciągu ostatnich dwu dziesięcioleci największy i najlepszy wywarło wpływ na nowsze pokolenie psychologów, jaka książka psychologiczna jest najniezbędniejsza dla samouka, pragnącego się obeznać z psychologią, to większość ogromna głosowałaby za podręcznikiem psychologii Williama James'a, profesora psychologii w najznakomitszym uniwersytecie amerykańskim (Harvard University w Cambridge, Massachusetts)—powołanym niedawno do Europy dla wygłoszenia tak zwanych *Gifford lectures* w Edynburgu—wykładów treści etycznej, powierzanych stale największym znakomitościom. William James jest najpowszechniej znanym psychologiem anglosaksońskiej rasy, o jego dziełach istnieją w fachowej literaturze niezliczone wzmianki i recenzye najpochlebniejsze—kto się chce zajmować psychologią, powinien go znać koniecznie. A przytem pisze on o najzawilszych kwestyach tak jasno i przystępnie, jak gdyby tylko samouków miał na widoku, więc imię jego powinno koniecznie znaleźć miejsce w „Podręczniku dla samouków". Ostatnie jego dzieło (*Talks to teachers*) jest nawet specyalnie przeznaczone dla nauczycieli ludowych. Ale współpracownik „Poradnika" nawet o wielkim dwutomowym podręczniku James'a nie wspomina.

Ma pan Mahrburg talent pomijania rzeczy najważniejszych. Bo jakby niedość było, że pominął najlepsze dzieło angielskie o psychologii, zdołał także uniknąć wzmianki o najlepszych dziełach niemieckich i francuskich. W Niemczech od przeszło dwudziestu lat cieszy się powszechnem uznaniem i uchodzi za najgruntowniejszy podręcznik psychologii dzieło profesora uniwersytetu w Pradze, Volkmanna von Volkmar. Dzieło to uwzględnia całą literaturę psychologii, jak żadne inne, i doczekało się kilku wydań, ciągle uzupełnianych, a nawet ci, co się nie zgadzają z kierunkiem autora, są często zmuszeni zaglądać do tego sumiennego podręcznika, by się dowiedzieć, jakie poglądy na każdą kwestyę powinny być uwzględnione. Tymczasem pan Mahrburg, pisząc artykuł o psychologii dla „Poradnika", nie znał tego najlepszego w Niemczech podręcznika psychologii. Dowiedział się o jego istnieniu dopiero później i przytoczył go nieoczekiwanie w II-im tomie, w dziale „Historyi nauki", choć historyczna część bynajmniej w podręczniku Volkmanna nie przeważa.

Z najnowszych dzieł niemieckich o całości psychologii największem uznaniem cieszy się psychologia Jodla, profesora uniwersytetu

wiedeńskiego, wydana na rok przeszło przed I-ym tomem „Poradnika”. O niej p. Mahrburg także nie wspomina, choć dzieło to szczególniej się nadaje dla samouków przez jasność swego wykładu.

We Francyi wszyscy znają podręcznik, napisany z dziwnym talentem pedagogicznym, nadzwyczaj przystępnie i jasno przez E. Rabier, obecnie dyrektora oświaty — zaś dawniej profesora filozofii w Paryżu. Dzieło to nie jest tak oryginalnem i samodzielnem, jak dzieła James'a, Volkmann'a, Jodl'a, lecz przewyższa wszystkie pod względem pedagogicznym przez treściwą i jasną klasyfikacyę różnych kierunków i wyliczenie argumentów za lub przeciw każdemu mniemaniu, co do którego niema zgodności między psychologami. I o Rabier pan Mahrburg nie mówi ani słowa! Tak więc, mając wskazać najlepsze dzieła o psychologii, pominął najlepszy podręcznik psychologii angielski, najprzystępniejszą psychologię francuską i najpowszechniej znane dwa podręczniki psychologii niemieckiej. Może kto dyskutować o kwestyi pierwszeństwa tych dzieł, ale nikt nie zdoła usprawiedliwić ich przemilczenia.

Ale pan Mahrburg widocznie gardzi filozofią, zaś psychologię śmiało zalicza do rzędu nauk przyrodniczych, dzieląc psychologów na psychofizyków, psychofizyologów, psychochemików i tym podobne gatunki fizyologów. W jego myśli zadanie istoty duszy, szukanie pierwszych przyczyn faktów psychologicznych, wcale nie należy do psychologii. Konsekwentnie też twierdzi, że psychologia, a raczej ta psychofizyologia, która w jego wyobraźni stanowi całą psychologię, i s t n i e j e d o p i e r o o d p o ł o w y XIX-go stulecia!

Aby pojąć to twierdzenie, trzeba znać dzieje tego kierunku umysłowego, który w nowszych czasach został nazwany pozytywizmem, a w starożytności już miał takich przedstawicieli, jak Protagoras z Abdery, Demokritos z Abdery, Anaxarchos z Abdery i innych Abderytów, skąd później Abderytami zwano ludzi ciasnego umysłu, nie sięgających duchem poza krańce bezpośredniego zmysłowego doświadczenia, aż miano Abderytów stało się symbolem ograniczonych ludzi wogóle.

Wiadomo, że w rozwoju osobistym człowieka zdolność otrzymywania wrażeń zmysłowych wcześniej się rozwija, niż zdolność tworzenia pojęć ogólnych. Wprzódy umiemy odróżnić kolor biały od niebieskiego, niż jesteśmy w stanie stworzyć pojęcie równości, jakości, ilości. Wskutek tego więcej ludzi ma zgodne z sobą wrażenia zmysłowe, niż pojęcia ogólne, a wśród pojęć ogólnych te najłatwiej stają się powszechnie przystępne, które się odnoszą do wrażeń zmysłowych.

Więc pojęcia równości i jakości zrozumiałemi są dla większej ilości ludzi, niż pojęcia przyczynowości, substancyi, konieczności, przypadkowości, prawdopodobieństwa i t. p., które są odleglejsze od bezpośrednich wrażeń zmysłowych i wymagają zrozumienia szeregu innych pojęć ogólnych.

Gdy w tej hierarchii pojęć postępujemy, coraz to drobniejsza garstka ludzi jest zdolną nam towarzyszyć, a nawet wśród tych wybranych powstają coraz to większe różnice indywidualne pojmowania. To wcale nie znaczy, że to samo pojęcie przez różnych ludzi jest rozmaicie pojmowane. To znaczy tylko, że różni ludzie tworzą różne pojęcia, które w braku innych oznaczają tym samym wyrazem. Ale obok tej rozmaitości rośnie także zakres pojęć wspólnych, stanowiących sieć nauki objektywnej, uznanej przez wszystkie umysły równouzdolnione.

Więc np. pojęcia etyczne, które należą do najzawilszych, bardzo są rozmaite u różnych ludzi. Takie wyrazy, jak: postęp, obowiązek, cnota, bardzo różne w ustach różnych ludzi miewają znaczenie. Jednak i w zakresie etyki są pojęcia ogólne, wspólne rozmaitym myślicielom, pomimo różnic, jakie mogą ich dzielić. Np. egoizm i altruizm dla wszystkich szczerych i poważnych moralistów są pojęciami objektywnemi, które są zrozumiałe i dostępne nawet dla pozytywistów.

Otóż, patrząc na ten postęp i rozwój pojęć, trwożliwe umysły doznają pewnego zawrotu głowy i tracą wszelką wiarę w działanie rozumu. Oświadczają, że ten spekulatywny rozum, tworzący coraz to nowe ogólne pojęcia, musi błądzić, i że, chcąc mieć objektywną wiedzę, zgodność powszechną na pewne zdania, trzeba się cofnąć na szczebel zmysłowego doświadczenia i na tym szczeblu pozostać.

Przy takim tchórzliwym odwrocie owi empirycy są narażeni na różne kompromisy, gdyż rychło spostrzegają, że całkiem bez ogólnych pojęć nie można się obejść w nauce.

Więc wybierają sobie więcej utarte i zrozumiałe pojęcia ogólne i uniewinniają się, twierdząc, że te pojęcia ogólne pochodzą od wrażeń zmysłowych, że są od nich o d e r w a n e, co jest fałszem logicznym, już przez Platona raz na zawsze pogrzebanym [1]).

Pojęcie równości nie może pochodzić od przedmiotów równych, bo przedmiotów równych wcale niema w całym świecie materyal-

---

[1]) Ob. W. Lutosławski, *Plato's Logic*, London, 1897.

nym. Ani dwa ziarnka piasku, ani dwie krople wody, ani dwie gwiazdy równe nie są, ani też nasze wrażenia, doznane wskutek działania tych przedmiotów, nie są równe.

Równość jest pojęciem naszego rozumu, powstałem niezależnie od zmysłowego doświadczenia, i tylko dzięki temu pojęciu jesteśmy w stanie spostrzedz nierówności otaczających nas przedmiotów. Pojęcie równości, jak każde pojęcie ogólne, nie jest oderwanem, nie powstało wcale wskutek porównywania wrażeń zmysłowych, lecz zostało stworzonem przez nas zgodnie z własną naszą naturą i jest stosowanem przez nas do wszelkiego możliwego doświadczenia, jak Kant raz na zawsze dowiódł w „Krytyce czystego rozumu”, jak Platon przed Kantem wyjaśnił w sposób, przystępny dla każdego czytelnika w Fedonie, Fedrze i Teetecie.

Na wrażeniach zmysłowych ćwiczymy się tylko w stosowaniu pojęć, które tworzymy sami od zmysłów niezależnie. Gdybyśmy nie mieli gotowego pojęcia równości, nigdybyśmy nie postawili pytania, czy dwa wrażenia są równe, czy nie, nigdybyśmy nie spostrzegli ich pozornej nierówności.

Logiczna ta zasada, odkryta przez Platona, ugruntowana przez Arystotelesa, długo panowała niepodzielnie wśród ludzi wykształconych całego świata i dopiero w nowszych czasach zaczęła na nowo być przez niektórych zaprzeczaną.

Jest to w związku z tym przewrotem w metodach nauczania, jaki się odbywa od rozpowszechnienia druku. Dawniej wiedza i wykształcenie były przywilejem wyborowych jednostek; dziś coraz to szersze koła dobijają się o ten przywilej w sposób, właściwy samoukom, to jest bez ładu i porządku pod przewodnictwem demagogów, przyjmujących ton wyroczni o całokształcie wiedzy ludzkiej. Tacy to ludzie, zamiast zacząć studyum filozofii od gruntownego poznania wielkich myślicieli przeszłości, wierzą na słowo pokrewnym sobie umysłom, jak np. Comte, Spencer lub Hartmann, i myślą, że całe bogactwo ducha ludzkiego może pochodzić z ciasnego widnokręgu wrażeń zmysłowych, za pomocą abstrakcyi.

Najpoważniejszym przedstawicielem teoryi pojęć oderwanych był w naszem stuleciu John Stuart Mill, jeden z najpracowitszych samouków. Ale wszystkie argumenty jego logiczne zostały gruntownie odparte przez wyszkolonego logika Stanley Jevonsa. Sam Mill w późniejszym wieku, jak widać z rozpraw jego, wydanych po śmierci, został zmuszony uznać konieczność wzniesienia się po nad zmysłowe doświadczenie i zdobycia przekonań metafizycznych.

Przytem Mill doskonale pojmował, że psychologia nie może należeć do nauk przyrodniczych i staczał o to wytrwałe walki z Comte'm.

Mniej dba o konsekwencyę pan Mahrburg. U niego w klasyfikacyi nauk metafizyka jest opatrzona znakiem zapytania, a wiedza ludzka zaczyna się dopiero w XIX stuleciu. Dochodzi nawet do tak krańcowego poglądu, że niema konsekwentnej budowy wiedzy, tylko oportunizm (tom I str. 263) i polityka *von Fall zu Fall* (trzebaby tu chyba tłómaczyć nie od przypadku do przypadku, lecz od upadku do upadku), gdyż według jego zdania „nikt całej psychologii objąć nie może".

Ta *confessio impotentiae* właściwie podkopuje całą zasadę samouctwa i zdaje się zaprzeczać nawet potrzebie „Poradnika". Ów naukowy oportunizm występuje jaskrawo w odpowiedzi na trafne bardzo zapytanie jednego czytelnika, w jaki sposób samouk mógłby „posiąść główne prawdy wiedzy ludzkiej tak, iżby nic istotnego nie opuścić". Odpowiedź ta, w myśl pana Mahrburga, zaznacza, że o całokształt wiedzy wcale nie chodzi, tylko o poszczególne jej kawałki.

Zapytanie było uczynione na zasadzie trafnego twierdzenia W. M. Kozłowskiego, że istnieje możliwość właśnie tej encyklopedycznej wiedzy. Redakcya odpowiada ostrożnem zastrzeżeniem, że pracy W. M. Kozłowskiego nie może polecić, „jako drogowskazu dla początkującego samouka". Nic dziwnego, gdyż właśnie w owej pracy W. M. Kozłowski daje całkiem inną klasyfikacyę nauk, jak pan Mahrburg , klasyfikacyę, nie zaliczającą psychologii do nauk przyrodniczych.

A jednak żaden z poważniejszych fachowych psychologów współczesnych nie popełnia takiego błędu, aby znajomość duszy wykluczyć z psychologii. Od takich niebezpieczeństw chronią właściwe szkoły, ale pozytywiści zbyt są ambitni, zbyt szybko chcą dojść do własnych badań, by mieli tracić lata całe na gruntowne poznanie filozofii, którą sobie lekceważą.

Poznanie Platona, Arystotelesa, Kartezyusza, Leibnitza, Kanta z ich dzieł oryginalnych wymaga wielkiej wytrwałości i pewnej skromności, każącej nam wprzódy oswoić się z owocami pracy innych, nim sami zaczniemy budować. Tej skromności właśnie ojciec pozytywizmu nowoczesnego, Comte, nie posiadał, i nie zdołał jej udzielić swym następcom.

Kto ślęczał nad metafizyką Arystotelesa i po długiem ćwiczeniu doszedł do opanowania pojęć, z początku nieprzystępnych, ten nigdy nie popełni tak elementarnego błędu, jak pan Mahrburg, który twierdzi (tom II str. 581), że nauka może dowodzić niemożliwości poznania czegoś—np. mechanika ma dowodzić, że *perpetuum mobile* jest niemożliwem.

Ogólno przeczących sądów nauka żadna nie może dowieść, bo nauka buduje tylko na twierdzeniach nowe twierdzenia. Mechanika wcale nie dowodzi niemożliwości *perpetuum mobile*, i owszem, mechanika rozumowa wręcz przeciwnie dowodzi, że ruch każdy jest wiecznym, a tylko nie jesteśmy w stanie go zamknąć w pewnych ciasnych granicach przestrzeni, jak tego chcieli ci, co szukali *perpetuum mobile* na małą skalę. System słoneczny jest *perpetuum mobile* na wielką skalę, i niepodobna dowieść, że kiedykolwiek dojdzie do zupełnej nieruchomości. Wszelkie twierdzenia w tym względzie są tylko domysłami.

Możnaby setki logicznych błędów, fałszywych sądów i niedokładności wytknąć w całej tej części „Poradnika", która, mojem zdaniem, na nieszczęście samouków została opracowana przez pana Mahrburga. Ale fakta, powyżej wskazane, wystarczą dla ostrzeżenia samouków.

Warto się zastanowić nad związkiem pozytywizmu z demokratyzacyą wiedzy nowoczesnej. Dawniejszy system szkół i nauczycieli także nie zabezpieczał całkiem od epidemii fałszywych sądów, ale też nie dopuszczał ich do takiego rozpowszechnienia, jak dzisiejszy system samouctwa za pomocą książek.

Mieliśmy sofistów w Grecyi, ale Platon z łatwością ich pokonał i pogrzebał na zawsze tak dalece, że nawet dawniej szanowana nazwa sofisty stała się symbolem fałszu. Dziś pozytywiści paradują erudycyą i ciągle udają, że posiadają prawdziwą wiedzę, choć nie jeden filozof dowodził próżności ich twierdzeń.

Różnica polega na tem, że książka ma daleko szersze działanie, niż żywe słowo Nauczyciel żywy może sobie wybierać uczniów, którym całą swą wiedzę powierzy bez obawy, że ją spaczą. Także łaknący wiedzy uczeń łatwo może się przekonać o wiarogodności nauczyciela, obserwując jego sposób życia i bacząc na to, czy sam stosuje zasady, które głośno wyznaje.

Kto w Grecyi znał osobiście Platona i Arystyppa, nie mógł się wahać, kogo uznać za wiarogodniejszego. Inaczej rzecz się ma z książ-

ką. Tutaj napotykamy twierdzenia bardzo stanowcze i ogólne, a nie wiemy najczęściej, o ile autor zasługuje na wiarę.

Więc samouk, aby uniknąć błędu, musi porównywać wielką ilość książek o kierunkach przeciwległych i nie zrażać się ogólnikowymi sądami jednych autorów o drugich.

Jeśli się kto zaraził pozytywizmem pana Mahrburga, niech weźmie do ręki Gołuchowskiego „Dumania o najwyższych zagadnieniach” i niech porówna obu autorów, a nie ulega wątpliwości, kogo sobie obierze za przewodnika. Albo jeszcze lepiej, niech pozna pozytywizm ze źródła, niech przeczyta sześć tomów „*Cours de philosophie positive*” Comte'a i niech potem sprobuje czytać dzieło jakiego prawdziwego filozofa, np. metafizykę Lotzego,—łatwo się przekona, skąd więcej istotnej wiedzy zaczerpnie.

Samouctwo może doprowadzić do istotnej wiedzy nawet bezpieczniej jeszcze, niż najlepsza szkoła, jeśli tylko jest podjęte we właściwych rozmiarach, np. w czytelni *British Museum*, gdzie łatwo można się leczyć z błędów, przejętych od jednych autorów, czytając dzieła innych.

Ale tacy przewodnicy, jak pan Mahrburg, ukazują tylko tę drobną cząstkę literatury przedmiotu, która im się podoba, a ignorują lub przemilczają resztę, co utrudnia łatwowiernemu czytelnikowi oryentacyę. Tak np. pan Mahrburg przytacza powierzchowne dzieło Drapera o stosunku wiary do rozumu, zaś nie zna daleko gruntowniejszego dzieła White'a o tym samym przedmiocie, choć mógłby się łatwo dowiedzieć o niem.

Krzywda, wyrządzona „Poradnikowi” przez jednego współpracownika w dziale psychologii i historyi filozofii, jest sowicie wynagrodzona doskonałemi monografiami o historyi i literaturze polskiej pióra Smoleńskiego i Chmielowskiego. Także rozdziały o języku polskim i obcych są bardzo godne uznania, wogóle druga część jest staranniej i lepiej opracowana, niż pierwsza.

Co do układu, to bardzo wiele można zarzucić. Przedewszystkiem trzeba, żeby wydawcy jasno sobie zdali sprawę, dla kogo to dzieło jest przeznaczone i według tego formę i treść ujednostajnili. Jeśli jest dla początkujących samouków, to należałoby opuścić co najmniej dwie trzecie przytoczonych dzieł, które są bądź bez wartości, bądź zbyt specyalne dla samouków, bądź cytowane wielokrotnie we wskazanych już podręcznikach. Usunąć należy powtórzenia i skrócić omówienia dzieł bez wartości, natomiast nie przytaczać żad-

nego tytułu bez krótkiej wzmianki o treści i charakterze dzieła. Tak, jak obecnie się „Poradnik“ przedstawia, wydaje się być raczej przewodnikiem bibliograficznym, niż poradnikiem dla samouków. A jako przewodnik bibliograficzny, razi niedokładnością, bo w każdej dziedzinie cytuje tylko drobną ilość istniejących dzieł. Lepiej więc się wyrzec tej pozornej erudycyi bibliograficznej, a cytować tylko najlepsze dzieła, z pominięciem specyalnych rozpraw, chyba, że są wyjątkowej doniosłości.

Nasi samoucy nie mają czasu na czytanie takich rozpraw, jak Raciborskiego „Podstawy teoryi poznania w systemie logiki dedukcyjnej i indukcyjnej Milla“, a ktoby miał czas, usnąłby napewno po kilkudziesięciu stronicach. Także nie jest odpowiednie miejsce w „Poradniku dla samouków”, by przytaczać rozprawy o logice Platona, przeznaczone dla specyalistów.

Opuszczając takie niepotrzebne cytaty, wydawcy mogliby zredukować drugie wydanie „Poradnika” do jednego tomu podręcznego i zyskać przytem miejsce dla wyczerpujących skorowidzów nie tylko nazwisk, ale i treści, których brak obniża wartość obecnego wydania. Należałoby przytem ujednostajnić dane różnych działów w ten sposób, aby czytelnik mógł odrazu się dowiedzieć, jakie dzieła w każdym dziale są najważniejsze, oraz jakie wady i zalety mają inne dzieła mniej ważne. W każdej dziedzinie wiedzy istnieje kilka dzieł niezbędnych dla tego, co się nią chce poważnie zajmować. Tak np., kto chce badać historyę filozofii, potrzebuje koniecznie podręcznika Ueberwega, zbioru tekstów Rittera i Prellera, Mullacha, Dielsa oraz najlepszych wydań głównych filozofów. Natomiast, jeśli weźmie do ręki dzieło Zellera o filozofii greckiej, to winien być uprzedzony, że Zeller głównie zna Arystotelesa, lecz całkiem fałszywie przedstawia Platona. Tego wszystkiego pan Mahrburg nie wie, bo nie przypuszcza nawet, aby jaki samouk chciał i mógł czytać greckich filozofów w oryginale.

Wogóle autorowie różnych działów „Poradnika” zbyt mało uwzględniali konieczność znajomości obcych języków dla jakiegokolwiek szerszego wykształcenia. Kto nie zna niemieckiego, francuskiego, angielskiego i włoskiego języka, ten w żadnej prawie nauce nie może odbywać poważnych studyów, kto chce zaś np. poznać filozofię, powinien koniecznie prócz tych nowożytnych znać grecki i łaciński język, bo filozofów z przekładów poznawać się nie godzi, gdy chodzi o istotną wiedzę.

Gdyby odrazu tak postawić kwestyę, mniej byłoby pseudouczonych i pseudofilozofów. Łatwo jest deklamować na temat

mniemanego przewrotu w nauce około połowy XIX-go wieku, daleko trudniej przeczytać w oryginale i zrozumieć „Organon" Arystotelesa, czego nie jeden piszący o historyi filozofii nie uczynił.

Wydawcy dali dowód takiej przedsiębiorczości, że nie należy wątpić o tem, iż w dalszych wydaniach i filozofia zostanie opracowana troskliwie, tembardziej, że mamy już w literaturze polskiej taki wzór „Poradnika dla samouków" w zakresie filozofii, jak „Wstęp do filozofii" Struvego.

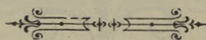
W. Lutosławski.



Seweryn Goszczyński.*)

ROZWÓJ JEGO TALENTU POETYCKIEGO

do r. 1827.



Obraz Orliki widział poeta w tradycyi ludowej żoną rządcy zamku Kaniowskiego. Podanie jednakże ludowe, do niej przywiązane, mogło poecie jedynie nasunąć myśl do stworzenia jej taką, jaką w poemacie widzimy. Uczynił ją wprawdzie także żoną rządcy, kazał jej, tak samo całej skrwawionej, wieść hajdamaków przez zamkowe pokoje, dopatrzył się przecież w niej zarazem miłości Nebaby, nienawiści do męża. Orlika pokochała dorodnego atamana całą duszą, jak prosta wiejska dziewczyna, i była najszczęśliwszą ze wszystkich swoich rówieśnic, bo, jak ludzie powiadali o kochance Nebaby, „najszczęśliwsza w świecie, czyją wstążeczkę w sełedec zaplecie". Miłość jej nie zna żadnych granic: sama, w noc ciemną, kiedy „straszno, jak w grobie", idzie kryjomo pod mury zamkowe, by ujrzeć swojego kochanka, uciekając „przed Lacha obrzydłą mi-

---

1) Ob. Zeszyt listopadowy.

łością", równocześnie bowiem i rządca narzuca się jej nieustannie... Orlika nie tai się z tem przed Nebabą, z dziecinną naiwnością opowiada mu całą rozmowę swoją z rządcą. Kiedy jednakże jej brata czeka śmierć z ręki rządcy, w Orlice budzi się uczucie braterskiej miłości, woli raczej swą miłość do Nebaby poświęcić, ona, co, jak powiada poeta, „niż zostać Polką, umrzećby wolała", po krótkiej walce dwu uczuć poświęca miłość kochanka dla miłości brata, byleby go tylko od śmierci niechybnej ocalić. Wnet jednakże rozpacz wślizga się w jej niewinną duszę, teraz życie stało się dla niej nieustannym ciężarem, bo poczuła niewypełnioną niczem próżnię i gorycz w sercu. Szybko rozpacz ogarnia jej umysł. Orlika nie ma innej drogi wyjścia z tego fałszywego położenia, jak tylko śmierć swoją lub męża. Rozpacz ta i tęsknota za straconym kochankiem wyryły się głęboko na jej wesołem zawsze, powabnem obliczu: lice jej zbladło, znikły kraśne rumieńce, zniknął blask spojrzenia, co mogło nieprzystępnego atamana i butnego pana polskiego odrazu zawojować, i, „choć pierś westchnień, a łez pełne oko, to łez nie puszcza, to więzi westchnienia", nie bawią jej już teraz tęskne, a melodyi czarownej pełne pieśni służebnic, pewien rodzaj zaślepienia i obłędu ogarnia jej duszę, sama nie wie, co począć, w jaki sposób skończyć swoje męczarnie. Nakoniec z pod jej czarnych brwi wymknął się uśmiech zdradliwy; niedługo, a chwila stanowczego działania i czynu nadejdzie.

Przedmiot sam tego strasznego stanu psychicznego wymagał wielkiej siły twórczej, wielkiego talentu, ażeby obraz ten nie zmalał skutkiem słabego wykonania. Typ Orliki, która przechodzi trzy fazy w rozwoju swego uczucia, miłości, zwątpienia i rozpaczy, jest wiernie skreślony z ludowych typów ukraińskich, i uroda jej, i ten błysk zdradliwy ciemnych jagód, i ta miłość prosta, co nie zna obawy, ta miłość, co objawia się w namiętnym uścisku i pocałunku, co podtrzymuje ducha w niedoli, i to zwątpienie Orliki we własne siły, i ta rozpacz bez granic, kiedy musi oddać się temu, którego nie kocha, lecz nienawidzi, i ta walka krótka, a stanowcza: wszystko to schwycił poeta z niezwykłym artyzmem z ludowego życia rodzinnego. Orlika to wierny typ ukraińskiej dziewczyny, która po raz pierwszy kocha, a która, zdolna jest wszystkiego się dopuścić, byle tylko uwolnić się z pęt małżeńskich, do których ją rządca wbrew jej uczuciom i woli przemocą niejako przykuć potrafił. I, jak nieraz po dziś dzień, osobliwie u ludu ruskiego się wydarza, Orlika żelazem toruje sobie drogę do wyjścia, zabija męża podczas snu, bo „piekło zdradnie" wcisnęło się w jej łono.

Teraz dopiero mógł użyć Goszczyński ludowej legendy, z której w swojej fantazyi wysnuć zdołał całą postać nieszczęśliwej dziewczyny, bo, jak Grabowski opowiada w jednym z przypisków do poematu, „żona rządcy czyli, jak wtenczas nazywano, gubernatora zamkowego, pojmana przez kozaków i już ranna, potrafiła się jeszcze im wymknąć, a uciekając przed ich pogonią, po pokojach i wałach zamkowych, coraz słabsza opierała się o ściany, póki jej nie dognano i nie zamordowano do reszty“ [1]).

W tejże samej chwili, gdy Orlika spełniła mord na mężu, a sama, z przerażenia dostawszy obłąkania, cała się krwią zabitego chciała uczerwienić, wpada Szwaczka z hajdamakami do zamku i, goniąc za nią, zranioną poświęconym nożem, w gruzy walącego się zamku zapada. Zawisłość tego ustępu od ludowej opowieści każdy sam łatwo może zauważyć, i to znów fakt jeden więcej na poparcie tego, iż Goszczyński w postaci Orliki chciał stworzyć osobę ściśle historyczną, wszystkie bowiem jej cechy i wady, cały proces myślenia i walki psychicznej wiernie podług analogicznych wypadków, wśród ludu się wydarzających, odtworzył. Typ Orliki nawet, powiedziałbym, należy do nader udatnie pojętych i wykonanych, zarówno bowiem jej naiwna a prosta mowa, jej szczupły zakres wiadomości i ta niezmierzona głębia uczucia, jakie żywi dla Nebaby i dla brata-kozaka, i ta nienawiść dla męża, rządcy warowni kaniowskiej, wszystko to jest skreślone z zastosowaną ściśle do tła dziejowego wiernością i prawdą. Orlika cierpi ból straszny, który się stopniowo zwiększa, aż dochodzi do swego szczytu, do obłąkania, a ból ten nie wykracza nigdy po za granice jej uczucia, cała sfera jej myśli krąży, w tem ciasnem kole zamknięta, nie znajdując innego środka wyjścia, jak tylko mord męża. Wszystko to razem tworzy jeden obraz, w którym tyle prawdy rzeczywistej się zamyka, jak mało gdzie możnaby napotkać.

„Pan rządca“, który jest nieograniczonym władcą wśród murów Kaniowa i okolicznych stepów, „przebrany w czamarę, w pas, złotem kapiący“, mieszka z niezwykłym przepychem: do uczty

„Stół ustrojono w kosztowne nakrycia,
Jasnem go srebrem suto zastawiono;
A tak, jak wielka, przez godową salę,
To na zwierciadłach, to w rzniętym krysztale,
Jarzące światła, rzęsnym blaskiem płoną“.

---

[1]) S. Goszczyński. Dzieła. Lipsk. 1870. II. 109.

Cały orszak przybocznych kozaków starosty kaniowskiego i bohusławskiego, Mikołaja Potockiego, mnóstwo sług i bandurzystów czeka tylko na jego rozkazy, *de facto* on jest właściwie panem całego Kaniowa. Taką postać wysnuł Goszczyński nawpół z fantazyi, nawpół z tradycyi ludowej, która nam także rzuca pewne światło, że i w gminu opowieściach zachowała się o nim pamięć, mimo, że nigdzie jej odnaleźć nie mogliśmy. Nie tyle dumnym, ile podstępnym jest rządca w Zamku Kaniowskim: widząc, że Orlika nie chce odpłacać jego miłości wzajemnem uczuciem, postanawia ją zmusić do tego, brat jej bowiem nie dopilnował trupa, wiszącego na szubienicy; Orlika tedy musi teraz wybierać zamęście lub śmierć brata. Rządca umie być surowym i groźnym, takim też jest zazwyczaj, lecz, gdy Orlika, „jak przebita, jękła“ i zadosyćuczyniła „srogiemu żądaniu“, wtedy i on „tulił ją długo w ciągłem jej szlochaniu“. To możny, „dumny“ pan, powiada Goszczyński, a jednak, czemuż ten potentat nie rozkaże Orlice zostać jego żoną, wszak jedno jego słowo powinno było wystarczyć, ażeby Orlika bez wahania, bez płaczu i narzekań oddała mu swoją rękę, wszak ona była poddaną, i to jest błąd, który musimy tej postaci ze względu na ścisłość historyczną uczynić. Zresztą postaci tej pod względem dokładności dziejowej i obyczajowej nic nie można zarzucić, gdyż wszystkie cechy magnata polskiego ma na sobie wyryte; bogactwo, przepych i siła fizyczna całego zastępu kozaków na poparcie swoich rozkazów; spokój, z jakim zamknięty w sobie rządca dąży do upragnionego celu, nie zwierzając się przed nikim ze swoich zamiarów: wszystko to wskazuje nam naturę silną, co zwykła rozkazywać wszystkiemu, nie słuchać, a cóż dopiero uledz czyjejś woli lub przeciwnościom, jakie stawały na drodze do urzeczywistniania jej zamysłów. O żelazną też wolę rządcy rozbijają się wszystkie plany Nebaby, a w ślad za tem idzie i burza zniszczenia.

Inne osoby, które miały brać udział w akcyi poematu, powstały w umyśle Goszczyńskiego pod wpływem tradycyi ustnej, mimo że niekiedy wyłoniły się z potrzeby akcyi, niekiedy zaś z przywiązania poety do typów ludowych, takich typów, które żyły w pamięci gminu, chociaż nie miały się przyczynić wcale do postępu wypadków w „Zamku Kaniowskim”. Te trzy postacie, o których już mówiliśmy, stworzył poeta takiemi, ażeby mu mogły się przydać do tła dziejowego, do tego podkładu, który miał stanowić fundament całego utworu.

Czas akcyi przypada na burzliwe w Ukrainie czasy, na walkę bratobójczą dwu narodów. Z krótkiej wzmianki poety dowiadujemy się, że

...„się wzburzyła Ukraina cała,
Jak zdradą Gonty dobyto Humania,
Ile tam mordów, ile krwi rozlania,
Jak samo Lachów zda się ścigać piekło".

Goszczyński nawet nieco dokładniej stara się oznaczyć czas, w jakim wypadki, zawarte w poemacie, się działy, gdyż później objaśnia, iż sam główny ruch hajdamacki został już stłumiony, gdyż „pan wojewoda z Gontą kończy dzieło, wkoło szubienic stawia tysiącami"... Nieliczne tylko a drobne oddziały zbuntowanych chłopów uwijają się jeszcze po okolicy Kaniowa, i wnet sam nas wprowadza do obozu hajdamaków. Nad brzegiem rzeki „jacyś zbrojni leżą u płomieni" ogniska.

„Noże u pasów, ich czoła w kołpakach;
Dłonie na nożach, choć oczy uśnięte;
Do pik utkwionych rumaki przypięte,
A dniem i nocą siodła na rumakach".

Cały obóz pogrążony w głębokim śnie; „krwi to dzieci", co „myślą o wojnie". Nie zaniedbał też poeta podać ich rysów, któreby wiele mogły powiedzieć o ich psychicznym stanie: nie śpią spokojnie, we śnie nawet widać, czem są ich myśli zajęte. Do powyższego opisu ogółu hajdamaków dodaje poeta dalej i rysy ich fizyognomii: brew ich zmarszczona, z ogorzałej twarzy zwieszają się potężne wąsy, a na ustach szyderczy uśmiech, co wskazywał chęć mordu, żądzę krwi rozlewu. Nic nie potrafi ujść baczności ich oka, żaden szmer liści, ni poruszona gałązka, oczy ich ciągle wytężone w stronę, skąd łup ma spaść dla nich. O niczem więcej nie myślą, niczego nie pragną, jak tylko krwi panów, ich skarbów i mienia. A ta nienasycona chciwość zdolna jest zapalić w nich odwagę, męstwo nadludzkie, dlatego też nie cofają się przed przemożnemisiłami wojsk polskich, dlatego wolą śmierć, aniżeli życie, jakie przedtem prowadzili. Typy zaś tych band hajdamackich skreślił Goszczyński z żywych postaci ludowych, które za jego czasów żyły jeszcze na Ukrainie. Ta dzikość ich twarzy, ta żądza pieniędzy wskazuje nam najniższą, najliczebniejszą klasę ludu ukraińskiego, na ten pro-

letaryat, który nic nie posiadał, a podbechtany obietnicami przez agentów Żeleźniaka rzucił się do walki, choć nierównej, byle tylko odmienić swą dolę, bo wielką była nienawiść do klas wyższych społeczeństwa, nawet do atamanów, którym nieraz zazdroszczono ich stanowiska, wielkiem było pragnienie poprawy losu i dobrobytu materyalnego. Takimi przedstawił Goszczyński swoich hajdamaków: nie z pobudek patryotycznych, nie dla miłości tej ziemi, co krwią i tak aż nadto przesiąkła, podnieśli oręż, żądza jedynie indywidualnych korzyści popchnęła ciemne masy ludu do walki — o byt, a w drugim dopiero rzędzie o wolność. Goszczyński, powiedzieliśmy, odtworzył ich postacie zupełnie zgodnie z prawdą historyczną, nie podsuwa on im żadnej idei, nie uszlachetnia ich charakterów, ani dążności, kreśli ich takimi, jakimi byli w rzeczywistości, nie dodając, ani nie ujmując nic, coby mogło zmienić rysy charakteru na ich korzyść. Historya nawet zapisuje kilka takich oddziałów hajdamackich, które krążyły w okolicy Kaniowa, jednego z nich dowódzcą był kozak Semen Nieżywy, drugiego — ataman Majbroda, najdzielniejszym jednakże watażką był niezaprzeczenie jeden z najbogatszych mieszczan kaniowskich—Szwaczka.

Szeroko zasłynęła wieść o nim wśród ludu na całej Ukrainie, w jednej nawet z pieśni, gdzie opisany jest napad hajdamaków na Humań, aż cztery razy jest imię jego wymienione; z niej widać, iż należał on do śmiałych dowódców, gdyż pieśń ludowa stawia go na równi z Gontą, Żeleźniakiem[1]). A teraz przypatrzmy się bliżej jego postaci; czarna szrama na twarzy znamionuje niespokojnego ducha, blask w oczach, wąs zawiesisty, potężne kształty budowy, wszystko to wskazuje na atamana, doświadczonego w bojach, sam bowiem Goszczyński powiada, że ma on „piętno rozbojów na Siczy”. Ataman ten atoli, co zyskał sobie niezwykłą popularność wśród swoich mołojców, ma jedną wadę, która go pogrąża niekiedy w gnuśną bezczynność: Szwaczka jest nałogowym pijakiem, sam Nebaba mówi, iż ten ataman za „często się grzeje”, i takim go poznajemy w poemacie, spostrzegamy go bowiem spitego do tego stopnia, że nie mógł odpowiedzieć Nebabie, gdyż „słowa zaplątał w języku”, aż nakoniec na ziemię „tułów przewalił opasły“. Ma on i teraz pod koniec swojej wojskowej karyery szczęśliwsze chwile: Szwaczka przychodzi czasem do opamiętania, umie pokazać swojemu tłumowi, że Pan Bóg nie dał mu głowy i rąk od parady, z niekłamanym zapałem zdobywa

---

[1]) Koliiwszczyna w pieśniach. (Kijewskaja Starina. 1882, III. 584—587).

zamek i pierwszy wpada „na rządcy pokoje”, odwaga nie opuszcza go nawet w tej chwili, kiedy wszyscy kozacy osłupieli na widok skrwawionej Orliki: on jeden, ufny w swoje siły, rzuca się naprzód wiodąc za sobą wylękłe szeregi, on, kiedy nikt nie może wyważyć drzwi komnaty, sam jeden daje dowód niezwykłej mocy, sile jego ramion nic oprzeć się nie było zdolne. Taką postać wodza, postać, nawskroś historyczną, wprowadza do swego poematu Goszczyński, obraz zaś Szwaczki został skreślony z realizmem, ze wszystkiemi cechami, jakie ten watażka bandy hajdamackiej posiadał: to łotr, silny fizycznie, który oddaje się pijaństwu, jakby chcąc w sobie zebrać i zespolić wszystkie cechy, jakie w zbóju winny się były skojarzyć.

Trwogę znowu mieszkańców Kaniowa przed napadem hajdamaków opiewał Goszczyński na podstawie analogicznych wydarzeń w Humaniu:

„Z rękami w niebo płakał lud skruszony,
Śród poświęconych sklepień Wszechmocnego:
Ściany świątyni wtórzyły płacz jego.
Księża śpiewali pokutnymi tony,
Kaniowskich dzwonnic jęczały wciąż dzwony“.

Żydzi zawodzili w jęk bolesny, upadli na twarz, „w pyle ziemi czoła ponurzywszy”. Fakt ten skreślił Goszczyński wiernie z dziejów hajdamaczyzny, jak o tem możemy się przekonać ze wszystkich współczesnych opisów zdobycia Humania przez Żeleźniaka. Goszczyński, znając ten szczegół, nie omieszkał go do swego wprowadzić poematu. Tak np. jeden z naocznych świadków w te słowa kreśli nam ową chwilę trwogi: „Wierni chrześcijanie, w kościele, w cerkwiach, w kościele Bazyliańskim modlitwy gorące, spowiedzi generalne, procesye na około miasta cum Sanctissimo czynili, obraz Matki Najświętszej Bolesnej w kościele X. X. Bazylianów w wielu potrzebach doświadczony, gdy na procesyi noszono, żydostwo nawet niewierne, z wielkiem wzdychaniem i płaczem ręce do góry wznoszeniem (?) do ziemi padali (sic!), w głos wszystko wołało: „Matko Najświętsza, ratuj nas!”... [1]) Każdy na pierwszy rzut oka zdoła poznać tę zawisłość Goszczyńskiego od ogólnie znanego na Ukrainie faktu; dla tego też nie będziemy o niej tu już więcej mówić.

[1]) Opisanie klęski Humańskiey y całey Ukrainy w r. 1768. Rękopis Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich nr. 163. II. str. 99—100.

Co się tycze dalej samego zburzenia zamku, a raczej jego zdobycia przez Szwaczkę, na to sam poeta nie umie nam odpowiedzieć: oto, co dowiadujemy się z jednego przypisku: „W powstaniu na Ukrainie w r. 1768 zamek Kaniowski równie, jak kilka innych w tej okolicy, był zburzonym i spalonym przez hajdamaków". Taką to ogólnikową wiadomość podaje sam Grabowski, my atoli nie wiemy nic o tem, ażeby Szwaczka czynu tego dokonał. Sam zamek dostawał się kilkakrotnie w ręce band hajdamackich, jak to wiadomo z raportów Rumiancowa, składanych Katarzynie II [1]), poeta atoli nie musiał być dobrze poinformowanym co do tego wypadku lub, co więcej prawdopodobnem nam się wydaje, mógł przyjąć łatwo ten szczegół tak, jeśli się on tylko w tradycyi ludowej w tej zachował postaci, oddział bowiem Szwaczki został w puch rozbity przez wojska rosyjskie w okolicy miasta Bohusławia [2]).

Tu atoli Goszczyński odstępuje od faktu historycznego, usłyszawszy zaś, iż wiele oddziałów hajdamackich zostało rozgromionych w okolicach Kaniowa, stwarza pomysł nowy, wyzyskując dane historyczne; każe mianowicie Nebabie stoczyć walkę z wojskami polskiemi. Już bowiem podówczas znany ze srogości wojewoda Stempkowski, nieustraszony bicz hajdamaków, hulał po całej Ukrainie, niosąc zniszczenie i śmierć wśród szeregów zbuntowanego chłopstwa. Do niego to udaje się i rządca kaniowskiego zamku z prośbą o pomoc. Nie całkiem odmiennie miało się też w rzeczywistości, historya bowiem zapisuje także fakt powyższy, jako autentyczny; istotnie rządca tejże warowni, Nowicki udaje się do hrabiego Rumiancowa, ażeby dopomógł mu w uspokojeniu okolicy Kaniowa. Tak tedy rozbito bandę atamana Majbrody, przeciwko któremu wysłano majora Wurma, [3]), wojska zaś polskie w pobliżu Moszen dokonały także podobnego zwycięstwa, o czem wspomina i poeta w jednym ustępie swojego utworu. Bądź co bądź, z jakiejkolwiek tradycyi sam fakt walki został przez Goszczyńskiego użyty, sam jednak w sobie, jako naga prawda historyczna, wydarzył się rzeczywiście.

Z niesłychanem przejęciem się kreśli Goszczyński obraz bitwy. Wprowadzone w zasadzkę tłumy hajdamaków Nebaby nie tracą

---

[1]) Pierepiska gr. P. A. Rumiancewa o wozstanii w Ukrainie 1768 goda: (Kijewsk. Starina. 1882. III, str, 542. nr. 6. str. 540. nr. 7. str. 544—545, nr. 8—9).

[2]) ibidem. str. 550, nr. 11.

[3]) ibid. IV. str. 108, nr. 19.

odwagi, śmiało rzucają się naprzód, gdy w tem zawrzało „nad zamkiem płomieniste morze".

„Pożar, w podziemne zakradłszy się lochy,
Buchał. jak z paszczy, kłębami brudnymi:
W skrytych podkopach zapalone prochy,
Jak grom więziony, darły wnętrza ziemi!..."

Płomień dalekiego pożaru rozświeca ciemności nocy, o której starcy prawią, iż „noc to piekieł była". Poeta dobiera wszystkich możebnych wrażeń zmysłowych, byle tylko powiększyć grozę toczącej się walki. Dwie tu siły występują, aby dać gardło pod śmiertelne ciosy: z jednej strony tłum, party żądzą krwi i obcego mienia, któremu ten pożar dodaje otuchy, z drugiej wojsko polskie, co szło w bój z zupełnie przeciwnych pobudek. Sam nawet Goszczyński rzuca się niejako razem z nimi w wir walki, tak rytm przybiera jej odgłos: — słychać szczęk mieczy, dźwięk trąb, widzimy te zbite masy, w których nie można odróżnić: „kto z Lachów, kto z Rusi": z taką zaciętością rzuciły się na siebie obie wrogie siły.

Nie można temu opisowi odmówić w żaden sposób prawdy historycznej, zaciętą była bowiem walka wojsk polskich z bandami hajdamaków, ci bowiem ostatni robili niekiedy nadludzkie wysiłki, byle tylko podołać przemożnym zazwyczaj siłom wroga, który miał ich tak, czy tak do szczętu wygubić. Jeden rys tylko zmienił Goszczyński samowolnie, a zmienił w ten sposób, że on nigdy nie może się zgodzić z historyą naszych walk, których tradycya nigdyj nam zdrady, ani podstępu nie podaje. Rycerz polski bowiem, jeśli szuka walki z wrogiem, to walczy wtedy, gdy mu się sposobność nadarzy, chociażby pozycya jego i najgorszą była, nigdy jednakże nie byłby sobie poczytał za zaszczyt, gdyby był musiał pójść w szeregi nieprzyjacielskie, aby je potem w zasadzkę naprowadzić, wszystko raczej wolałby przenieść, niż tego uchwycić się sposobu. Goszczyński tymczasem wprowadza właśnie w swoim poemacie ten pierwiastek charakteru rycerskiego nie tylko w walce, lecz także i w typie rządcy, — motyw, zupełnie niezgodny ani z etyką rycerską, ani też z prawdą dziejową.

Oprócz walki mamy też i kilka drobniejszych akcesorycznych szczegółów, które są wzięte z życia narodowego. Tak np. opis weselnej biesiady, krórą wyprawia pan rządca z staropolskim przepychem i gościnnością, jest odtworzony wiernie na podstawie analo-

gicznego zwyczaju, który we wszystkich dzielnicach polskich panował, bo kiedy „w kolej puszczono puhary" —

> I tak zabrzmiały wiwatne okrzyki,
> Aż echem wieków dzwoni zamek stary,
> Ucichło trochę — teraz, na przemiany,
> Z wesołym śpiewem słychać teorbany".

A i dla czeladzi służebnej rozkazał „odeprzeć lochy, warowne żelazem, wytoczyć na dwór kilka beczek"... I ów opis szyldwacha zamkowego, który, zabobonny, jak każdy kozak zresztą, żegna się co chwila znakiem krzyża św., i ta wzmianka o niezwykle ostrej karze, jaka go czekała za niedopilnowanie wisielca, i szczegół o święconych nożach, i to wyrażenie, a raczej tytuł Nebaby „ojciec ataman", wszystko to charakteryzuje nam doskonale ową epokę, w której akcya w poemacie się odbywa.

Będąc jeszcze małym chłopcem, nasłuchał się nasz poeta niemało tych rzewnych dumek ukraińskich, któremi duch jego żywił się niemniej, jak przeszłością Ukrainy, żyjącą w ustach ślepych lirników stepowych. Pani Borewiczowa, u której młody Seweryn zamieszkał podczas swoich nauk w szkołach Międzyrzeckich, miała pełną głowę podań tajemniczych, wiadomości nadzwyczajnych i roztaczała chętnie „rajskie widziadła" nad „strumykiem tęsknoty" dzieciaków. Opowiadała im z upodobaniem dziwne rzeczy o dziedzicu Międzyrzecza, Janie Steckim, o jego farmazonii, o tem, jak przyszedł na świat po śmierci matki, jak go chowano w brzuchu świni. Przez Borewiczową dochodziły również do Seweryna wierzenia ludowe. Opowiadała mu, że zwierzęta w pewnych chwilach przemawiają po ludzku, że są koguty, mające w ogonie piórko anielskie, i przez to są w możności śpiew aniołów usłyszeć i porozumieć się z nimi i t. d. [1]).

Nie mało też przejął Goszczyński z tych pieśni i wierzeń, nie mało wchłonął w siebie z nich wrażeń i uczuć, aby je potem przyoblec w szatę poezyi. Z wierzeń osobliwie ludu ukraińskiego, z jego przesądów i zabobonów czerpał pełną dłonią; zjawiska, zwłaszcza nadprzyrodzone, zajęły u niego dominujące stanowisko, między niemi zaś dyabeł w najrozmaitszej postaci na pierwsze wysunął się miejsce: bo i ten „złośliwy obłęd", i te „tumany dya-

---

[1]) Wasilewski op. cit. 257.

ble", co chcą człowieka omamić, są bardzo rozpowszechnionym motywem wiary ludowej. A i ta wiara w niezawodny skutek „krzyża pańskiego" przeciw złemu duchowi, i te niechrzczone dzieci, które po zgonie muszą udawać „błądzące ognie nad błotem", i ten „czerwony upiór", co wysysa krew ze śpiących ludzi, i ten puszczyk, co wróży matce, „że chory jej pieszczoszek zalegnie mogiłę": wszystko to drobne ornamenta, z wiary ludowej zapożyczone. Goszczyński atoli nie poprzestaje wyłącznie na tych reminiscencyach, które, aczkolwiek drobne i napozór nieznaczne, przyczyniają się w wysokim stopniu do lepszego odmalowania miejscowego kolorytu i zwyczajów ludu. Goszczyński bierze nawet żywcem postacie całe, aby je potem do swego wprowadzić poematu. Jedną z takich postaci jest ślepiec lirnik.

„Z brody sędziwej lata widać mnogie,
A że nie widzi—z zapadłego wzroku.
Trzymał na nodze założoną nogę;
Na niej wsparł lirę i tonów próbował".

I ów niczem niezamącony spokój, jaki panuje na jego obliczu, owa łagodność, a zarazem i dowcip, kiedy Nebabie na wszystkie jego pytania odpowiada tylko:

„Puść, strunę urwiesz, a nie kupisz nowej".

Co za siła w tem krótkiem jego wyrażeniu, co za dosadność! I ta chęć do opowiadania przeróżnych opowieści i do zanucenia piosenki o obłąkanej dziewczynie, co kochanka pieśnią do siebie chciała przywabić, wszystko to razem znamionuje postać, tak realnie z życia ludu wziętą; my przynajmniej nie znamy podobnie doskonałego obrazu lirnika w całej naszej poezyi, jak ten w poemacie Goszczyńskiego. Ksenia jednakowoż, choć pojęta przez poetę „w duchu miejscowych wierzeń i uprzedzeń", nie została ściśle z ludowych typów skreśloną. Ksenia—to według wierzeń ludu nieszczęśliwa istota, która weszła w stosunek ze złym duchem, to jakieś zjawisko, prorokujące nadzwyczajne wypadki: wszyscy jej się boją, wszyscy żegnają się na jej widok. Nawskroś dziwaczna ta postać istniała rzeczywiście, jak na to mamy wiarogodne świadectwo [1]), istniała

---

[1]) M. Grabowski. Literatura i krytyka, I, 42. O motywach ludowych w poezyi Goszczyńskiego niebawem ukaże się obszerniejsze studyum.

nawet po części taką, jaką ją przekazał Goszczyński, pomysł atoli do jej skreślenia dała poecie jedna z jego kochanek, do której ostygł, a która go swoją ścigała miłością, jak o tem powiada w rękopiśmiennym pamiętniku.

Cała równina czarnomorska jest jednym wielkim stepem. Ziemia tam żyzna, trawa rośnie bujna, a burzany mogą i człowieka zakryć zupełnie: w dali tylko majaczą samotne mogiły, rozmawiając z sobą i z wiatrem o minionych czasach, zapomnianych bojach. Echa tych niezrównanych melodyi obudziły się teraz w Goszczyńskim, by zająć niepoślednie miejsce w genezie Zamku Kaniowskiego. Goszczyński czuł dobrze to oddziaływanie przyrody i z tem się nie taił; — oto, co powiada o najwcześniejszych swoich utworach:

„Zasiłkiem moich natchnień głównym jest natura, otaczająca mnie: wiosna, jesień, niebo pogodne lub chmurne, lasy, wody, pola" [1]).

A jak to poeta dobierał kolorów, ażeby oddać należycie wszystkie odgłosy przyrody, jak zwolna cieniował ją, ażeby należycie dać odczuć grozę położenia, jak starał się całą przyrodę do ich roli zastosować! Tak np. szyldwacha i wisielca, kołyszącego się na szubienicy, oraz cały zamek oświeca bledziuchne światło księżyca, ciągle niebo „mgłami się zachmurza", ażeby tylko nie zdradzić schadzki zakochanej pary. Godzina to duchów,—poeta nie chce kreślić nam całego krajobrazu, jaki się z murów zamku kaniowskiego roztacza przy pełnym blasku miesiąca, nie chce rozpraszać uwagi czytelnika, która miała się skupić na dwu postaciach—Orliki i Nebaby. Kiedy znowu Nebaba wychodzi następnego wieczora na schadzkę z Orliką, poeta zabarwia całą naturę stosownie do jego tęsknego usposobienia. Obóz dalej hajdamaków widzimy w odwiecznym lesie ponad brzegiem rzeki, wokoło cisza ponura, wśród nich bowiem ulatuje „anioł śmierci i zagłady". Zdobycie zaś zamku i całą walkę Nebaby z wojskami polskiemi oświetla od czasu do czasu czerwony błysk ognia pożaru, co szalał wśród murów kaniowskiej warowni. Co za groza bije z tego krajobrazu, jaki się oczom naszym w takiem złowrogiem półświetle przedstawia! w jakiej znowu barwie kreśli poeta epilog wypadków kaniowskich, co za dzikość panuje na spopielałych gruzach, które miały uwieńczyć straszne dzieło zniszczenia! Co za wspaniały widok

[1]) Wasilewski. Op. str. 505.

przedstawia się Nebabie ze szczytu odwiecznego dębu, który szeptał do ucha poety smutne powieści o klęskach tej ziemi! Nie chcemy nawet innych krajobrazów choćby w krótkiem tylko podawać streszczeniu, cytować chyba musielibyśmy tyle miejsc, iżbyśmy tu mieli cały poemat w najpiękniejszych wyjątkach; Goszczyński bowiem nie opuszcza najmniejszej sposobności, ażeby z nią nie połączyć prześlicznego obrazu przyrody.

Wpływ Byrona na Goszczyńskiego był wielki, widoczny dla każdego, namacalny niemal na każdym kroku; w tych latach wpływ Byrona nawet musiał być wielki, poeta nasz bowiem, idąc za prądem czasu, nie mógł, nie miał siły jemu się opierać. W samej naturze nawet, jak to już wyżej powiedzieliśmy, w samem usposobieniu obu poetów była nić, łącząca ich, była struna, na której obaj grali z równem powodzeniem, choć dźwięk jej sam innego sięgał źródła. Byron zastał piewcę Zamku Kaniowskiego w tej fazie umysłowego rozwoju, kiedy uczucie jego skłaniało się gwałtownie ku marzeniom walki o swobodę ludów, Byron zastał poetę w tem położeniu, do którego utrwalenia potrzebował poparcia zdań i myśli obcych. A łatwo mógł je znaleźć w poezyi tego wieszcza buntu, z utworów bowiem jego wieje ten bezgraniczny smutek, ta melancholijna żałość, której powodu zapewne nie znał Goszczyński lub tłómaczył ją sobie w zupełnie przeciwny sposób, rozmijając się całkowicie z prawdą. Smutek bowiem Byrona, jaki on wlewał w swoich bohaterów, wziął początek z tej walki z ludźmi, którzy go za jego czyny i życie rodzinne nie wahali się piętnować publicznie, z tej nienawiści i goryczy dla nich, jaka nie opuszczała go do śmierci. Byron przeklina ludzi, cały świat wydaje mu się zbyt czarnym, obłudnym, stąd ból do ludzi i do całego otoczenia, stąd nienawiść do świata, wstręt do życia, wogóle rozstrój w najwyższym stopniu; stąd też i bohaterowie jego poematów przejęli w swe dusze to piętno zrozpaczonych istot. Zapewne, Goszczyński, jeśli wiedział co o genezie tej poezyi nieograniczonego żalu, jeśli wiedział co o życiu Byrona, to bezwątpienia pochwycił tylko te cechy, które przypadły jego usposobieniu do smaku, uznawał zapewne jego narzekania i żal do ojczyzny za słuszne, nie zastanawiając się wcale nad ciemniejszemi stronami życia Byrona. Tak więc, podczas gdy z jednej strony boleść Byrona była nieco egoistyczną, a ból jego bohaterów stawał się nieuzasadnionym, to u Goszczyńskiego zrozpaczenie to z zupełnie odmiennych powstało pobudek. Sam, duszę mając smętną, wykarmiony mlekiem ukraińskiej pieśni, zostając nieustannie pod przeważnym wpływem po-

ezyi, przyrody, która mu pieśń cichej skargi do snu zanucić umiała; czując się we wszystkich swoich zamysłach zawiedzionym, przylgnął całą duszą do tej melancholijnej poezyi Byrona, a ta jego usposobieniu w zupełności mogła odpowiedzieć. Smutek jego bowiem,— to nie ów „Weltschmerz", jaki tchnie w owym czasie z całej europejskiej poezyi, to nie wzdychanie do rajskich zachcianek, to nie ów ból, którego początku sam poeta zazwyczaj nie wiedział: smutek Goszczyńskiego wynikł z jego nieograniczonej miłości ludu. I stąd żal do wyższych warstw narodu, który mógł już wtedy przyjąć zupełną na się za podobne humańskim wypadki odpowiedzialność, stąd żal do tych, którzy nie chcieli, choć mogli, przyczynić się do poprawy bytu włościańskiego, stąd żal, że krew żyzne łany Ukrainy szeroko zrosiła, stąd żal do tych, co swą ręką ważyli się do bratniej waśni choć iskrę dorzucić. Boleść zatem Goszczyńskiego, choć zupełnie inne potem przybrała kształty, z tego źródła wzięła swój początek, nie, jak u Byrona, z czysto indywidualnych pobudek. Obaj atoli poeci mają jeden ton wspólny, który gra w ich utworach niemal wszystkich, a jest nim to zamiłowanie w przeszłości narodu, z którego dziejów „żałosna turkawka i sęp krwawo-dzioby powtarza" jęk zwyciężonych.

Bohater Goszczyńskiego Nebaba owiany jest zlekka jakimś tajemniczym smutkiem, unika ludzi, przesiadując „w ciemnościach wieczornych, gdzie wrzawa miasta dolatuje słaba"; kryjomą jest miłość jego ku Orlice dla reszty otoczenia, nikt nie zna przyczyny jego smutku. A miłość ta bezgraniczna pogrąża go w jakiś dziwny stan duszy, i, kiedy się spotka ze swoją kochanką, wtedy zapamiętałość jego i zazdrość najwyższych granic dochodzą. Pewnych rysów tego atamana dopatrujemy się poniekąd w jednym z byrońskich bohaterów, w Selimie z „Narzeczonej z Abydos". I on smutny, tak smutny, że, spotkawszy się ze swoją Zulejką, nie chce się do niej odezwać nawet, teraz bowiem dowiedział się, że ojciec chce ją wydać za mąż za Kara-Osmana, więc, gdy widzi się pozbawionym cudnych marzeń, pogrąża się w taką zadumę, że go z niej z trudem kochanka wyrwać podoła. Stąd też budzi się w nim zaciekła nienawiść do ojca Zulejki i do każdego, ktoby po jej rękę sięgnąć się odważył Nikt nie zna przyczyny jego smutku i jego zadumy, nikt nie wie, iż jest on wodzem bandy Kleftów. A czyż inaczej ma się rzecz u Goszczyńskiego,czyż nie jest bohater jego nieco podobny do Selima, czyż Nebaba z innej przyczyny popada w bezgraniczną żałość, jak tylko dlatego, iż rządca chce wziąć Orlikę za żonę? Słowem, rysy obu bohaterów, Selima i Nebaby, są miejscami analogiczne. W podobny

sposób wypowiadają obaj bohaterowie, Byrona i Goszczyńskiego, swoje zamiary — w razie, jeśliby ich wrogów plany się ziściły:

„Słuchaj Zulejko!...
. . . .
Mam broń, przyjaciół, zawady znieść mogę“! (XII. 287—288) [1].

W „Zamku Kaniowskim“:

„Orliko, słuchaj: niech go niebo strzeże,
Kogo postawi piekło między nami!
Jutro, dziś jeszcze! . . .
A czyliż darmo i ja noszę szablę“. VI. 40).

A teraz przejdźmy do innej części tego wielkiego wpływu Byrona, mianowicie do walki stanowczej pomiędzy Nebabą a wojskami polskiemi. Sam początek walki, kiedy pierwsze strzały z obu stron już padły, przypomina odpowiedni ustęp z „Giaura": tu wojska Hassana wpadają w ręce Kleftów, tam Nebaba w zasadzkę polskich oddziałów, cała zasadzka jest zupełnie w ten sam opisana sposób, tak bowiem w „Giaurze“, jak i w „Zamku Kaniowskim“, ledwo straż dała hasło, a już rzęsisty ogień przywitał przeciwników.

Na dalszy ciąg opisu walki u Goszczyńskiego złożyło się też wiele reminiscencyi z innego poematu Byrona, który w swoim czasie niezmierny wpływ wywarł na naszą literaturę,—„Korsarz", co w tylu tchnął płomień wieszczego natchnienia, uwydatnił także ślady i w „Zamku Kaniowskim“. W obu poematach walka toczy się, tu przy blasku pożaru okrętów i miasta, tam przy odblasku łuny, co okrwawiała ciemny strop nieba czerwoną purpurą płonącego zamku, tak samo, jak w „Korsarzu", „obłąkane straże"

„Patrząc na morze, na niebo w pożarze,
Nie widzą pana, nie słyszą, co każe“. (IV. 343).

Tak samo i u Goszczyńskiego:

„Oba wojska w posągów postawie,
Z bezwładną ręką opuściwszy bronie,
Oczy ku jednej obrócili stronie“. (XVIII. 96).

A dalej obraz bitwy, w której wszystko pierzcha przed Korsarzem, czyż nie jest analogicznym z obrazem walki Nebaby, któremu nikt nie mógł dotrzymać pola? Tak samo też w obu poematach wo-

---

[1]) Cytuję Byrona z wydania „Poematów“. Warszawa, 1895.

dzowie, chcąc pokrzepić ducha i siły żolnierzy, przemawiają, by im dodać odwagi. Nietylko atoli w tym ustępie bitwy wziął udział „Korsarz“, reminiscencye z niego napotykają się na każdym niemal kroku: i tak np. zarówno w „Zamku Kaniowskim“ hajdamacy, jak i w „Korsarzu“ kleftowie, wpadłszy na zamek, podpalają go:

„Nie czas już pierzchać; przełamano wartę,
Bramy pałacu runęły wyparte,
Wpadają zbójcy“... (IV. 344).

Podobnie też i w „Zamku Kaniowskim“:

„Bramy rozbite, straż wycięta w chwili,
A hajdamacy w zamek się wtłoczyli“. (XVII. 73).

Sam wreszcie obraz pożaru zamku ma także swój pierwowzór u Byrona: w „Oblężeniu Koryntu” widzimy analogiczny wypadek, z tą tylko różnicą, że tu ogień dostał się do prochów, podsunięty ręką Greka, który wolał stracić twierdzę, niż oddać ją wrogom. U Goszczyńskiego zaś, który umiał połączyć reminiscencyę z „Korsarza” z tą właśnie, wypadł ten obraz inaczej nieco: ogień, strawiwszy mury zamkowe, dostaje się do podziemi, i teraz dopiero następuje straszny wybuch:

„Ogień!
Wieża, sklepienie. . . .
Lecą z traszliwym ku niebu łoskotem,
Rykiem i grzmotem!
Walił się Korynt, mury zapadały,
. . . .
Wśród dymu, ogni niezmierzonej chmury
Wybuch ten w górne zaryknął lazury!
. . . .
Głazy wybuchłe lecące gradem“... (XXIII, 446—447).

Nie wiele inaczej wygląda ten obraz w poemacie Goszczyńskiego:

„Że takie grzmoty ryknęły tak dziko,
A na świat ciemny, na sklep m o r z a cały
Tak niezwyczajne blaski się rozlały. (XVIII. 96).

Leciały wieże, czarne zionąc dymy,
A głazy, siłą ciskane płomienia. (XX. 96).
. . . .
I dach przetlały runął między ściany“. (XX. 97).

Już wyżej powiedzieliśmy, że nietylko w genezie opisu samej walki Nebaby wziął udział Korsarz Byrona, powiedzieliśmy dalej, że ślady tego wpływu znajdują się rozrzucone w całym poemacie Goszczyńskiego. Tak, naprzykład, lirnik, który był Polakiem, wysłanym na przeszpiegi do Nebaby, zatrzymał pewną naleciałość derwisza z Korsarza, który też nie z innym poszedł do baszy zamiarem, i w tem właśnie połączeniu postaci ludowej lirnika ze szpiegostwem przebranego derwisza leży cała analogia. W sposobie nawet traktowania jego osoby przez Nebabę, jak nie mniej przez baszę, widzimy dość blizki związek, obaj bowiem podejrzewają lirnika i derwisza, jako szpiegów, cały wreszcie szereg pytań i odpowiedzi jest na podobną zbudowany modłę.

I ów krwawy epilog wypadków kaniowskich wskazuje wiele reminiscencyi z Byrona, osobliwie zaś z Narzeczonej z Abydos. Podajemy tu niżej garść takich reminiscencyi obok siebie:

W „Oblężeniu Koryntu":

„Wilki dalekiem wyciem się ozwały". (XXXIII. 447).

U Goszczyńskiego:

„Dwa wilki wycia zawiodły grobowe. (XXVII. 105).

W „Narzeczonej z Abydos":

„Gdzież ślady bitwy, co tak krwawą była?
Strzały, co echa budziły północne,
Groźby, błagania, jęki niepomocne
Ścichły...
. . . Powietrze, morze spokojne". (XXVI. 308—309).

W „Zamku Kaniowskim":

„Nastała cisza po hałasie wojny:
Spokojne pola, zamek już spokojny". (XXVI. 103).

Całe wogóle zakończenie Narzeczonej z Abydos znalazło wyraźny odgłos w poemacie Goszczyńskiego, w jego epilogu. Takie same obrazy roztaczają obaj poeci: tu ptaki się biją o pływający trup Selima, tam o konającego Nebabę:

„Tam czarne ptaki nad swoją zdobyczą
Ciężkiemi skrzydły podlatują, krzyczą,
Ilekroć fala, co ku brzegom dysze,
Leżącą na niej głową zakołysze". (XXVI. 309).

Podobną scenę widzimy i w Zamku Kaniowskim:

„Czemuż te ptaki, uderzając w skrzydło,
I gniewnie kracząc, grzebią wśród popiołu?
Strawa zapewne warta ich mozołu:
Bo wygrzebali: człowiek czy straszydło“... (XXVII, 105),

Jak w Narzeczonej z Abydos na miejscu, gdzie ojciec Zulejki położył trupem jej kochanka, czerwona plama krwi na wieki została, tak też i w Zamku Kaniowskim, gdzie tylko Orlika ręką zbroczoną się dotknęła, plamy tej nic nie zdołało usunąć. Ponieważ jednakże Grabowski wyraźnie zaznacza, iż fakt ten został przez Goszczyńskiego na gminnej osnuty powieści, przeto nie będziemy stanowczo upierać się przy naszem przypuszczeniu. Chociaż Goszczyński był niezrównanym mistrzem pod względem cieniowania opisów przyrody, to przecież nie mógł się uchylić od pewnych drobnych naleciałości z Byrona, i tak np. w Oblężeniu Koryntu czytamy:

. . . . „ten ogrom Akropolis góry,
Której wierzch w groźnej tylu baszt koronie
Piętrzy się dumnie i w obłokach tonie“. (I. 421)

odbił się wyraźnie w początkowym opisie Zamku Kaniowskiego:

„Wspaniałe zamku kaniowskiego wieże
Wznoszą się w chmury, jak olbrzymie ramię“. (I. 36).

zlał się dalej z analogicznym ustępem z „Narzeczonej z Abydos”:

„Wiatr, hucząc, wzdyma Hellespontu wody“.

U Goszczyńskiego:

„Wietrzna, jesienna noc zawyła zdala,
Warzą się wiry w zamąconem łożu“.

W dalszym atoli ciągu tego ustępu dopatrujemy się nadto także pewnego udziału Grażyny, bo i tam podobnie:

„Coraz to ciemniej, wiatr północny chłodzi,
Na dole tuman, a miesiąc wysoko,
Pośród krążącej czarnych chmur powodzi
We mgle nie całe pokazywał oko.
. . . .
Miasto już spało“...

W Zamku Kaniowskim:

„Wre chmur kłębami i niebo, jak fala;
Złośliwy obłęd igra po rozdrożu.
. . . .
Śmierć snu osiadła w zamku okolicy. (II. 75).
. . . .
A księżyc znowu mgłami się zachmurza
I noc mokrymi tumanami bije“.

Goszczyński plątał mimowoli reminiscencye z Byrona; nie będziemy jednakże podawali więcej cytat, by nie przewlekać rzeczy, nadto już udowodnionej. A teraz niech nam wolno będzie jeszcze chwilę zatrzymać się nad Walter Scottem, którego powieści wywarły tak ogromne wrażenie na całe czytające nasze społeczeństwo w tym czasie; bo i one pozostawiły pewien, choć nieznaczny ślad na Zamku Kaniowskim. Przedewszystkiem przejął Goszczyński z Walter Scotta tę tajemniczość i pociąg do nadnaturalnego biegu wypadków, jaka nas przejmuje np. podczas czytania Pieśni ostatniego minstrela. Śladem tego oddziaływania może być dalej jeden opis z Dziewicy z jeziora: u Goszczyńskiego bowiem tak samo to światło księżyca blednie coraz bardziej, aż wreszcie gruba ciemność zalega dokoła:

. . . „księżyc wschodząc drżał w nurtach Teitu;
I w głębi mrocznej Glenartu doliny
Usnął na wrzosach pod cieniem leszczyny“.

W „Zamku Kaniowskim”:

„Otóż i księżyc z pod światów posady,
Jak cień zmarłego słońca, wyszedł blady,
Żyjącym ogniem igra Dniepru fala“.

Wpływ ten Walter-Scotta, jakkolwiek nieznaczny, odbił się najwyraźniej w liryzmie opisów przyrody, jaki nawet z powyżej przytoczonego wionie ustępu.

Ażeby jaki utwór mógł wywrzeć na czytelniku silne wrażenie, musi przedewszystkiem skupiać uwagę jego na jeden punkt, t. j. musi posiadać jedność akcyi. Zamek Kaniowski tymczasem, jeden z najobszerniejszych poematów Goszczyńskiego, grzeszy właśnie tym brakiem jedności akcyi. Zrazu bowiem czytelnik sądzi, że Nebaba jest główną osobą, miłość zaś jego i zemsta na wrogach—akcyą poematu; i rzeczywiście, uwaga czytelnika skupia się około Nebaby, dopóki Goszczyński zawiązuje węzeł swojej powieści. W dal-

szym jednakże toku poematu, to jest od końca pierwszej pieśni, zaczyna się już pewien zamęt, a zamęt ten rośnie coraz bardziej od dziesiątego ustępu pieśni drugiej, kiedy sam bohater poematu ustępuje zupełnie z przed oczu zaciekawionego czytelnika. Od tego miejsca zaczyna też rosnąć i niecierpliwość nasza, powstaje jakiś dziwny chaos—nie możemy bowiem mimo skupionej uwagi pochwycić ani przyczyn wypadków, ani toku akcyi, szybko przesuwają się przed nami ponure obrazy: to zbrodnia Orliki, to trwoga w Kaniowie, to znowu zdobycie zamku przez Szwaczkę; lecz i tu znowu urywa się tok opowiadania; wracamy napowrót do Nebaby, ale i teraz trudno od niego doczekać się jakichś stanowczych kroków; teraz dopiero dowiadujemy się o historyi miłosnej, tego atamana, to znów migają przed naszemi oczyma prześliczne obrazy ukraińskiej przyrody, a gdy Nebaba zaczyna posuwać swoje kroki ku nam bliżej, Goszczyński powraca znowu do Szwaczki i do opisu pożaru zamku, tak, że nie wiemy właściwie, w czem leży ten punkt główny, około którego mają się wypadki kolejno gromadzić i grupować. Jak bowiem z początku uwaga cała spoczywa na Nebabie, tak w dalszym ciągu przenosi się na hajdamaków i Szwaczkę, który się nagle, jak *deus ex machina*, wziął skądciś, skąd,—tego czytelnik nie wie, i nie dowiaduje się prędko, wogóle wypadki kaniowskie i cała akcya hajdamaków nie wypływają z założenia poematu, wiążą się zaś z sobą bardzo powierzchownie przez działającą osobę—Nebabę. Cały nawet utwór zawiera w sobie tyle tajemniczości, że czytelnik musi długo czekać na wyjaśnienie pewnego faktu, a wyjaśnienie to przychodzi wtedy dopiero, kiedy uwaga jego już jest czem innem zajęta, przychodzi niepostrzeżenie, i tak samo też mija. Goszczyński stara się wciągnąć do swego poematu wiele szczegółów, wiele faktów, zupełnie od akcyi niezależnych; tak np. postać Kseni wypływa ni stąd ni z owąd, słyszymy wiele jej krzyków i nawoływań, co zaś ona ma oznaczać—nie wiemy właściwie. Z początku bowiem sądzimy, że jest to istota, zwiastująca nadprzyrodzone wypadki, i za taką ją też uważamy, dlaczego jednakże ugania się wciąż bezprzytomnie za Nebabą, o tem dowiadujemy się dopiero w trzeciej pieśni z ust lirnika. Nie przyczynia się ona nadto do postępu akcyi, odsłania natomiast wiele cech charakteru Nebaby, które, naszem zdaniem, powinny były pozostać w ukryciu; poeta byłby uniknął w ten sposób dwukrotnego morderstwa, jakiego Nebaba usiłuje się na niej dopuścić, byłby dalej uniknął też i owej przykrej sceny w poemacie, gdy Ksenia wśród popiołów wałęsa się, aby odnaleźć Nebabę, byłby dalej uniknął i tej nienaturalności, iż Ksenia z roztrzaskaną głową

mogła żyć, a w dodatku wędrować z wiszącemi na zewnątrz wnętrznościami z miejsca na miejsce: to zbyt trudne do uwierzenia, pomijając już ten szczegół, że stosunek z Nebabą nie przynosi ani jej, ani Nebabie najmniejszego zaszczytu, a jeśli już tak w rzeczy samej było, to winien był poeta pozostawić to zupełnie za kulisami.

Drugim takim błędem jest wprowadzenie szyldwacha do poematu; przypatrzmy się bowiem, ile niepotrzebnych konsekwencyi i niekonsekwencyi pociągnęła za sobą ta mizerna osoba. Przedewszystkiem czytelnik nie wie odrazu, skąd się wziął ten kozak; dlaczego pilnuje trupa, trupa, który w dodatku dawno już ostygł, słyszy dalej, że szyldwacha śmierć spotka, jeśliby trupa ukradziono, no, i na koniec trupa mu kradną, dlaczego, tego nikt nie wie; dopiero w epilogu dodaje poeta od siebie wszystko, czego czytelnik nie wiedział i musiał pozostawać w niepewności, czy kozak został ukarany śmiercią, czy też znużony śpi spokojnie, podczas gdy kozacy dobywają zamku. O tem wszystkiem dowiadujemy się na końcu, gdy szyldwacha rzeczywiście zamordowali hajdamacy.

Lecz nie dosyć na tem: kozak ten biedny pociągnął za sobą jeszcze jedną konsekwencyę. Kozak, chytra sztuczka, nie dałby sobie wykraść trupa, i w tym celu, ażeby ułatwić ludziom rządcy to działanie, udaje się poeta dopiero w tajemniczy świat, sprowadza całą moc zbyt wesołych dyablików i zakochanych puhaczy, które na widok figlów dyabelskich homerycznym wybuchają śmiechem, przestraszone zaś kozaczysko żegna się krzyżem niezliczoną ilość razy, i tak dopiero, nie spostrzegłszy niczego (dyabeł bowiem zawisł na miejscu trupa, pocieszne wyprawiając skoki), najspokojniej chodzi koło szubienicy. Cała scena z puszczykami, wprowadzona do poematu z wrażeń, jakie odniósł Goszczyński podczas pobytu w Leszczynówce, zamieszkując rotundę, w której gnieździła się niezliczona moc puszczyków, jak o tem w pamiętniku opowiada, — nie ma żadnej wartości, owszem, psuje swoją nienaturalnością efekt schadzki miłosnej Nebaby z Orliką; wiele tutaj przesady, tak wiele, że łatwo zrozumieć starego generała Morawskiego, który się po przeczytaniu rozchorował...

Dlaczego atoli nie powiązał Goszczyński scen swojego utworu w ten sposób, ażeby one przedstawiały jakąś jaśniejszą całość, dlaczego w tym poemacie tyle tajemniczości i zagadek? Chciał Goszczyński wprowadzić do „Zamku Kaniowskiego" ten sposób kompozycyi, jakiego używał Byron: w poematach jego nie mamy jasno i widocznie skreślonych wypadków, Byron szkicuje tylko, nigdy zaś nie wypowiada wszystkiego, jego bohaterowie są zawsze osłonięci

jakąś tajemniczą mgłą, która niekiedy nieco się rozsnuwa na to tylko, aby zaraz jeszcze bardziej osobę działającą zakryć i zaciemnić. W poemacie p. t. „Lara" dopiero przy samym końcu dowiadujemy się, iż bohater jest Konradem, Kaled—Gulnarą, to samo mamy i w „Giaurze": tu jeździec pędzi po skałach i zabija beja, tam znowu łódź wymyka się cichaczem na morze, słyszymy jakiś tajemniczy plusk wody, dopiero na końcu po wielu domysłach poznajemy powód zabicia beja. Ten sam sposób kompozycyi zachował Byron w „Korsarzu", „Manfredzie" i w „Oblężeniu Koryntu", ten sam sposób kompozycyi przejął i Malczewski w „Maryi". Układ taki poematu ma wprawdzie to za sobą, iż przyczynia się do głębszej uwagi i zmusza do ciągłego zainteresowania się rzeczą, ma atoli tę wadę, iż wymaga niesłychanej techniki w wykonaniu, wielkiej zręczności w układaniu pojedyńczych scen tak, ażeby one zawierały w sobie ukrytą prawdę, ażeby był między niemi a bohaterami stały związek. I tego właśnie zabrakło naszemu poecie, w „Zamku Kaniowskim" bowiem sceny są nieraz tak luźnie z sobą i z Nebabą związane, że zaprawdę potrzeba było dopiero Mochnackiego, ażeby ujął je w taki porządek, iżby tworzyły pewną zrozumiałą całość. Wskutek tego, zamiast artystycznego efektu, wywołuje u Goszczyńskiego ten sposób kompozycyi, jak zrazu żywą uwagę, tak potem ociężałość umysłu, który, obciążony balastem szczegółów niepotrzebnych, a niezawsze należycie wyjaśnionych, traci tyle ze swej bystrości, że potem nawet najpiękniejsze ustępy nie potrafią nań takiego uczynić wrażenia. jakieby w innym postawione porządku zdziałać umiały.

Prócz wyżej wymienionych błędów kompozycya taka pociągnęła równocześnie za sobą cały szereg innych niekonsekwencyi; niektóre z nich nawet na pierwszy rzut oka rażą przeciętnego nawet czytelnika. Błędy te dadzą się bez trudu podciągnąć pod jedno wspólne miano: poeta nie zważając na to, co się w ogóle w okolicach zamku kaniowskiego dzieje, nie zważając na tło historyczne, jakie stara się pod swój poemat podłożyć, zapewne celem jaskrawszego kontrastu pomiędzy zamkiem a obozem hajdamaków, kreśli w murach zamkowych spokój, radość, jakgdyby mu nic nie zagrażało. Tak np. trudno zgodzić się na to, ażeby w zamku taki spokój panował, gdy rządca wie, iż w pobliżu rozłożyli się obozem hajdamacy, trudno dalej przypuścić, ażeby nie zauważono nieobecności atamana kozackiego,. dlaczego dalej, podczas gdy Szwaczka morduje bez miłosierdzia mieszkańców Kaniowa, gdy wszystkie dzwony na trwogę uderzyły, gdy już złowrogie płomienie pożaru objęły miasteczko, szyldwach zamkowy śpi najspokojniej, dlaczego

nie wydaje hasła do broni, dlaczego wreszcie i pan rządca zasypia spokojnie, wiedząc dobrze o nadciągających bandach Szwaczki? Czysta idylla! Trudno także uwierzyć, ażeby Nebaba w oczekiwaniu takiej stanowczej chwili, która mu miała wrócić utracone szczęście, która miała nasycić krwią spragnioną zemsty pierś jego, tak spokojnie dumał na szczycie dębu i mógł się w tej chwili zachwycać widokami przyrody. Człowiek w takiej chwili, sądzę, nie ma nawet czasu, nie ma myśli, stosownie nagiętej, ażeby mógł prowadzić w skrytości serca takie monologi, trudno dalej uwierzyć, ażeby Nebaba, znając tak dobrze okolicę Kaniowa, potrzebował przewodników, on, co każdą ścieżkę nie raz swojemi przemierzył nogami, trudno też pojąć, skąd Nebaba mógł wiedzieć o hajdamakach, znajdujących się w pobliżu Kaniowa, kiedy nawet pan rządca tak późno dowiaduje się o rzezi humańskiej. Wszystkie te błędy pociągnęła za sobą nieszczęśliwa maniera byrońskiej kompozycyi, która musiała na się całą uwagę Goszczyńskiego skupić, nie dozwalając mu ściślej się zastanawiać nad faktami, a wymagała ona tej uwagi, poeta nasz bowiem był zbyt młodym pisarzem, ażeby mógł wszystkie napotykane trudności w powiązaniu scen z sobą i z bohaterem utworu należycie pokonać.

Tchnął Goszczyński nie tylko w swoich bohaterów, lecz w cały poemat, jakiś bezbrzeżny smutek, żal i grozę, która nas przejmuje drżeniem przed każdą niemal postacią. Poznaliśmy już źródło tego smutku i czarnego kolorytu bohaterów, powiedzieliśmy już, jaka pomiędzy tymi dwoma poetami, Byronem i Goszczyńskim, leży różnica w uczuciu i przeprowadzeniu tego bólu, teraz zaś przypatrzmy się, czem różni się ogólny duch „Zamku Kaniowskiego“ i jego postaci od analogicznych kreacyi Byrona. Byron — to poeta psycholog, celem jego poematów — obraz duszy bohatera, obraz wewnętrznej walki jego uczuć, które zazwyczaj do zbrodni prowadzą, bohaterowie jego — to charaktery, które dopiero wskutek swojego otoczenia stają się czarnymi, w poemacie zaś Goszczyńskiego mamy śmiało skreślone postacie, wydatnie odbijające od tła poematu, one jednakże i nadal muszą pozostać postaciami tylko, nigdy zaś nie mogą być charakterami. Niema w nich tej burzy namiętności, niema tej walki ciągłej między wolą Boga a naturą człowieka, która, sądzę, tu najpodatniejsze byłaby miejsce znalazła. I to musimy policzyć na karb błędów poematu, Goszczyński bowiem stwarzał postacie, przejmujące grozą, demoniczne same w sobie, jeśli się zaś zapytamy, dlaczego one są takiemi, na to odpowiedź gotowa, gdyż ich uczuciem jedynem zemsta, która wypełnia treść poematu.

Wszystkie one są tak demoniczne, że wstręt mogą obudzić; ani jedna z nich nie ma w sobie żadnych wyższych popędów; żadna nie wznosi się ponad nizki poziom mordu, gwałtu, zbrodni. Bo weźmy np. rządcę zamkowego, — ten na samym wstępie dopuszcza się takich czynów, które wskazują na upadek moralny duszy i serca, na wyniszczenie wszelkich uczuć ludzkich: wszak zadaje gwałt niewinnej dziewczynie, biorąc ją wbrew jej chęci i woli za żonę, a do tego jeszcze dwa występki dodaje —kradzież trupa i groźbę śmierci dla brata Orliki. Nie lepszym jest Nebaba, który dla dogodzenia swoim indywidualnym zamiarom wywiera zemstę na wrogu, zemsta ta jednak była kryjomo obmyślana, i nie tylko rządca miał paść jej ofiarą, lecz i cały zastęp zbrojny, otaczający go; prócz tego zemsta ta obrała sobie ohydne narzędzie ciemnej czerni hajdamackiej, Nebaba zaś dopiero w przemowie swojej do tłumów okazuje swoje łotrostwo, kiedy podburza masy chłopstwa do mordu i rozboju. Sam wreszcie stosunek jego z Ksenią, wstrętny w najwyższym stopniu, odsłania brudy duszy atamana, który wyzyskał pozbawioną zmysłów istotę dla swoich bydlęcych żądz i namiętności, a potem, chcąc się jej pozbyć, trzykrotnie ją morduje. Prócz tego jest i Ksenia sama okropnem zjawiskiem, kiedy w łachmanach brudnych, wydając nieludzkie głosy, biega z miejsca na miejsce, a potem okrwawiona, z wiszącemi wnętrznościami szuka w gruzach swojego kochanka, który, na spisę zatknięty, dokonywał żywota. Tak samo i Orlika skrycie przygotowuje zemstę dla swego męża; w nocy podczas snu go morduje, poczem cała czerwieni się krwią z nietajoną radością. Szwaczka to także łotr skończony, pijak, który wiedzie zgraję na mordy i grabieże, to łotr silny fizycznie, co podpala zamek rządcy, morduje bezbronnych mieszkańców miasteczka i ugania się wreszcie za Orliką, z żagwią smolną i nożem poświęconym, którym ją rani śmiertelnie. Hajdamacy wreszcie—to ludzie, wyzuci z godności ludzkiej, nie czujący innego pragnienia, prócz pieniędzy i krwi, rabunku i pożogi, to potwory, które jedynie i wyłącznie dla żądzy bogactw dopuszczają się najszkaradniejszych zbrodni. Widzimy tedy, iż wszystkie te postacie brodzą po pas w krwi i przeróżnych zbrodniach, które jedna po drugiej spadają, nadając wiele ponurego kolorytu całemu ogólnemu obrazowi, wszystkim strofom poematu. Wszystkie postacie, wszystkie sceny przepełnione mordem, rabunkiem, łuną pożarów i temi zbrodniami, które wskazują powszechny upadek moralny i wyziębienie uczucia ludzkiego, które zmieniają cały poemat w zbiorowisko ponurych sytuacyi.

Ale z tem wszystkiem wykazał Goszczyński jedną wielką zaletę, tę mianowicie, że nie dał zbrodni zwycięstwa, że ukazał ją nakoniec zniszczoną, i to łagodzi wrażenie przykre, jakie powstaje podczas czytania „Zamku Kaniowskiego". A łatwo tutaj było, bardzo łatwo popaść w apoteozę niejako występków, i tylko niezwykłej uwadze i wrodzonej szlachetności poety należy przypisać, iż tak się nie stało. Słusznie powiedział w swoich prelekcyach Mickiewicz, że Goszczyński „dumę pana polskiego, zajadłość kozacką, okropne gwałty i rzezie opisuje spokojnie, jak gdyby był bezstronnym świadkiem". Tak jest rzeczywiście: owa bezstronność poety, który, jak przystało na epika, nie wypowiada swego sądu o wypadkach, sprawia, że „Zamek Kaniowski", mimo, że jego przedmiotem są zbrodnie, nie jest bynajmniej ich apoteozą, lecz objektywnym obrazem.

Stanisław Zdziarski.



W WYOBRAŹNI.*)

P. Jarosławowi Vrchlicky'emu

w dowód czci i hołdu.

Kraj jakiś, we śnie gdzieś pierwej widziany:
Wał gór, błękitu sięgający prawie,
Zielony, cichy, słońcem wyzłacany;
Morze opodal i łąki przestrone;
Krajobraz dziwny, jasny, a tak cudny,
Że moje serce, wizyą zachwycone,
Całe weń weszło. Świat ten był bezludny:
Jednego głosu ni szmeru nie słyszę;
Słońce tu tylko jedno w to zacisze
Tajemne schodzi. Wtem z górskiej kotliny
Dwie ku mnie wyszły powoli dziewczyny;
Siostry: Eliana z Arikarną. Niewiem,
Skąd te imiona znam....

*) Jest to ustęp poematu, z którego część, „Na szczycie", drukowaną była w „Ateneum" w maju r. b.

Zda się, że kołysze
Wiatr wiotką kibić i smukłe ramiona
Białej Eliany o włosach złocistych,
Błękitnych oczach i owalnej twarzy,
Jaką się w Psyche idealnej marzy,
Jaką Praksytel dał najczystszej z czystych.
Ciemne szafiry Arikarny oczu
Iskry się zdają sypać po przezroczu;
Wśród kruczych włosów twarz jej przypomina
Łowów boginię, Dyanę zuchwałą.
Szły: ja patrzałem, oparty pod skałą.
Ramię pod ramię szły... Dziwne widzenie!...
Kwiaty we włosach miały i odzienie
Z lekkiej osłony: dwie koszule białe,
Jak Antygona czy Lilla Weneda.
Opisać się to ni powiedzieć nie da,
Jaki był urok i jaki nieziemny
Czar w tych dwóch siostrach, w tej parze tajemnej,
Która z innego skądś przychodzi świata:
Skądś z między duchów, do mnie, do człowieka,
I patrzy na mnie tak, jakby na brata.
Rzekły: „Pozdrowion bądź".
Czym znał was kiedy?
Czy w przedczasu fali
Niegdyśmy siostrą i bratem się zwali?
Skąd wiem imiona wasze?
Czemu, choć się nie tłómaczy
Imię mi wasze, jakby mi nie było
Obcem i ciemnem? Czyśmy niegdyś może
W jakimś zaziemskim, świetlanym przestworze
Krążyli razem? Albo tu, na ziemi,
Stopami ziemski świat niewidzialnemi
Zbiegli przez góry, przez łąki, przez morze?
Czy kraj, skąd idziecie,
To jest i mój dom i moja ojczyzna?
Bo mi się zdaje, że łąki i góry
I wody niegdyś wydały mię z siebie
I że syn, dziecko pierwotnej natury,
Żyję człowiekiem—po ducha pogrzebie.

O biała Eliano!
O Arikarno! wy ze słonecznemi
Blaskami w oczach, z ciałami z promieni,
Duchy, idące z Światła i z Przestrzeni,
Czy wyście były siostrami mojemi?
Zjawiska ciszy!
Oto ta łąka wśród skalnych zaciszy
Jest, jakby duszą moją odrodzoną;
Te łuny słońca, co nad skały błyska,
One w mej duszy także lśnią i płoną.
O siostry moje! O biała Eliano,
O Arikarno! Wszak jestem wam bratem,
Duszą, z ojczyzny pierwotnej wygnaną,
Czemś obcem tutaj...
Rzekły: „Pozdrowion bądź!“
Ich głos tak dźwięczy,
Jak na wysokiej tatrzańskiej przełęczy
Śpiewa w obłoku mistyczny blask tęczy...
Potem milczenie
Zawisło ciche, jak w lipcowe rano
Po rozpłynieniu kościelnego dzwonka,
Co na mszę woła na wsi.

. . . .

O Eliano!
O Arikarno! Słoneczne widzenie
Sióstr duszy mojej! patrzcie: oto blada
Na piersiach waszych skronie swoje składa!
Patrzcie! jak wyście jasne, a jak ciemna
Jest ona!

. . . .

Złem jest i cierpieniem życie.
Patrzcie tam na wschód słońca! Czy widzicie?
Oto na krzyżu wisi trup przybity,
A nad nim krąży krzyk, wskroś nieba wryty:
Boże mój! Boże mój! Czemuś mnie opuścił?!..

Napróżno patrzę na wasze oblicze,
Próżno chcę olśnić się pięknością waszą:

Jestem człowiekiem i wraz z całym światem
Z mojego krzyża wskroś niebiosów krzyczę:
Boże mój! Boże mój! Czemuś mnie opuścił?!

A piękność waszą łzy mi w oczach gaszą...

Duchy o dziwnych, nieznanych nazwiskach,
Wy niepojęte, nie wiem już, czy kędyś
W pustce zrodzone, w srebrnych wodotryskach,
Czy w mojej własnej, ludzkiej ciemnej duszy,
Po coście przyszły?! Aby mgnienie oka,
Dusza gdzieś poszła nad wierzby i burze,
Gdzieś, gdzie się z mgławic, z niezmiernie wysoka,
Patrzy... i pada?...

. . . .

Wyciągają ręce...

. . . .

Gdzież to pójdziemy?
Wszak jestem człowiek, a tam wskroś błękitu,
Jak kruk ogromny o kirowem piórze,
Krąży krzyk ludzki wyszarpnięty z krzyża: —
„Boże mój! Boże mój! Czemuś mnie opuścił?!"
Gdzież to pójdziemy? Na wyspę szczęśliwą?
Nie wierzę w szczęście....
Myśl i uczucie, to, co zwie się duszą:
Jak deszcz i słońce muszą rodzić zboże,
Tak one boleść życia rodzić muszą:
Żaden duch-człowiek szczęścia znać nie może.
Szarpcie ogniwo
Mego łańcucha, dziwne, jasne Władze!
A ja się będę śmiał... Patrzcie: przedemną
Jedyny Bóg mój stoi, z twarzą ciemną!
Bóg to nieświęty: Ironią się zwie.

Przed jego cichym, spokojnym ołtarzem,
Wraz z światem całym, ja krwią moją kadzę,
Sercami komunikujemy się.
On jest Wszechstwórcą Rzeczy i Grabarzem.

Ale, o duchy świetlane, za ręce
Weźcie mą duszę i kędyś w pustynię
Wiedźcie, gdzie żadna istność się nie tarza,
Jak płaz przecięty w boleści i męce;
Gdzie niema Boga, ale i ołtarza,
Gdzie nic nie wstaje, lecz i nic nie ginie,
Gdzie jest milczenie Wieczne, Ciche, Wielkie,
Gdzie jest Spokojnie....

Łąko Mistyczna,
Gdzie między zioła i rośliny polne
I lilie, srebrnym świecące się puchem,
Czyste i białe chodzą dusze wolne,
Czujące rozkosz najwyższą: być duchem!
Łąko Mistyczna
Przeświętej trójcy: Ciszy i Przestrzeni
I Światła! Łąko! Na wspaniałość twoją
Oczyma duszy mojej obrócony,
Widzę raj bytu!... Tam się już nie roją
Nędze, choroby, klęski i cierpienia,
Tam cielesnego niema już istnienia,
Tam jest spokojnie...

Wierzę w byt przyszły! w nieśmiertelność duszy!
Kto życia we mnie obudza tę wiarę...
Musi być inny byt!...

Gdzieś, przez mgły szare
Leci się w inny świat... Blask światła prószy
Przez mgły, jak złoty szron... Tam baśń, legenda!
Ludzie, wzniesieni nad Gehenną ciała,
Nad swe Golgoty i swoje Ogrójce,
Patrzą się w trójcę
Ciszy, przestrzeni, światła, co w nich pała...

To, co jest w duszy najwyższe, najczystsze,
Wyższe nad wszelką myśl i nad pojęcie,
Czasami tylko duszy dostrzegalne
W przepastnych wyżniach, jak motyle skalne:
Ma wniebowzięcie....

. . . .

Jestto wrócenie w Niebo tryumfalne...

. . . .

O Arikarno! O Eliano biała!
Niegdyś mi czysta Psyche ukazała
Rąb tego świata... Wy, siostry mej duszy,
Wy tajemnicze, przedziwne zjawiska,
Jako na chmurze w przestworzu rzucone
Fata Morgana:
Jaw mi dajecie tego Uroczyska...
Bezpętna Wolność, wszechmierna, wszechwspólna
Wierna swoboda lotu, spokój wieczny,
Wieczysta tęcza blasku dookolna,
Wieczysta jasność jasności słonecznej...
Wszystkie zjawiska, cudy wszechstworzenia,
Wszystka potęga i piękność wszechbytu,
Wszechczarnoksięstwa i wszechobjawienia,
Wszystko Jest źródłem wiecznego zachwytu....
Śpiewają puszcze i gwiazdy w przestworze,
Błyszczą jeziora i komet tysiące,
Na polach młode rozwija się zboże,
A z mgławic nowe stwarzają się światy:
Wszędzie ruch, życie, nigdy nie więdnące,
Sferyczne ciała, pachnące, jak kwiaty,
Jedna woń, barwa, dźwięk i kształt cudowny!...

Życia i śmierci niema. Wolne dusze
Krążą w bezmierze, upojone cudem;
Wieczna przemiana jest ich wiecznem życiem,
Materya, istność rzeczywista cała,
Cała się światłem i muzyką stała,
Ułudą kształtu, krążącą w przestworze.
Nic więc nie cierpi... Błąd świata olbrzymi:
Byt materyalny zniknął, być więc może
Szczęście...
Mistyczna Łąka się przetwarza
W bezkreśną przestrzeń. Duchami wolnymi
Pełni się ona... Teraz spać mi dajcie!
Dotknąłem ręką złotego ołtarza
Iluzyi bytu...

Nikną duchy białe,
Te, co mi w swojem cichem pozdrowieniu,
Światy nadzmysłów objawiły całe.
Bądźcie mi zdrowe!... Nikną... Już przepadły...
W przestwór gdzieś weszły, tylko w oddaleniu
Jeszcze mi jakby uśmiech ich już zbladły
Błysnął na chwilę...
O Eliano biała,
O Arikarno, siostry mojej duszy,
Bądźcie mi zdrowe! Chcę wierzyć, że kiedyś
Będę znów z wami, jak brat, że śmierć kruszy
Niewoli pęto
Na ducha wielkie, wieczne, górne Święto.

Kazimierz Tetmajer.



Wyprawa Pomorska Bolesława Śmiałego.[1]

Nierozstrzygnięty toczy się dotąd między historykami spór, jakiego to zamku „Gradec” dobywał bezskutecznie Bolesław Śmiały? jaki to „Gradec” szturmując, doznał porażki? (około r. 1062).

Spór powstał stąd, że podczas, kiedy dwaj bliżsi wypadku tego kronikarze, Baldwin Gallus (piszący 1113 r.) i Kadłubek (piszący około 1220 r.) opowiadają o wyprawie Bolesława na Pomorzan, późniejsi kronikarze i historycy odnoszą tę wiadomość bez dostatecznej podstawy do jakiejś wojny Bolesława z Prusakami.

Jasna rzecz, że na większą wiarę zasługują w tej mierze kronikarze, bliżsi wypadkowi, aniżeli dalsi, a zatem Gallus i Kadłubek na większą, aniżeli Boguchwał (koniec XIII wieku), Długosz (około

---

[1]) Dr. Ludwik Gumplowicz, profesor uniwersytetu w Grazu, znalazł pracę niniejszą w pozostałości literackiej po przedwcześnie zmarłym synu swoim Maksymilianie, docencie uniwersytetu Wiedeńskiego. Wywody tak bystrego badacza, jakim był M. Gumplowicz, zaciekawiają zawsze i godne są uwagi, choćby się na ich ostateczny wynik trudno było zgodzić. (Przyp. Red.).

połowy XV wieku) i wszyscy późniejsi. W pierwszym rzędzie zaś rozstrzygającym w tej kwestyi powinien być Baldwin Gallus, który kronikę swoją pisał nie więcej, jak pół wieku po owym zdarzeniu, a czerpiąc, jak to sam powiada, z opowiadań starych ludzi, nie trudno między nimi mógł znaleźć współczesnych świadków owego zdarzenia.

Przypatrzmy się więc przedewszystkiem tym roździałom w kronice Galla, w których on zdarzenie to opisuje. Jeżeli się pokaże, że przedstawienie jego jest jasne i nie pozostawia żadnej wątpliwości, to oczywista, wszystkie późniejsze przedstawienia tej rzeczy, o których wiemy, że nie polegają na żadnych autentycznych źródłach, są tylko „amplifikacyami" i przeróbkami wiadomości, podanych przez Bald. Gallusa, według subjektywnego pojmowania lub, co gorsza, według subjektywnych tendencyi późniejszych historyków, stracą wszelką wiarogodność, o ile się z pierwowzorem, t. j. Baldwinem Gallusem nie zgadzają.

Otóż Gallus przedstawia zdarzenie to w dwu roździałach kroniki swej, mianowicie w roździale 22 i 25 księgi I-ej [1]).

Że te dwa roździały stanowią właściwie jedną całość, że roździał 25, choć odgrodzony od 22 innemi opowiadaniami, do tegoż się odnosi, tego dowodem prócz treści tych dwu rozdziałów, jak się czytelnik o tem wnet przekona, są własne słowa kronikarza, któremi on, kończąc roździał 24, zagaja opowiadanie następnego roździału 25 „adnectendum est". Albowiem to „adnectendum est" nie przypuszcza innej interpretacyi, jak tylko, że „do tego, co powyżej o wyprawie na Pomorze powiedziałem, d o ł ą c z y ć j e s z c z e m u s z ę".

Roździały te brzmią:

Roździał 22: „Po śmierci tedy Kazimierza (Odnowiciela 1038—1058) Królestwem Polskiem rządził pierwodny syn jego Bolesław, mąż szczodry i waleczny, który licznymi czynami (bohaterskimi) dorównał czynom przodków swoich, tylko, że trochę zanadto dał się powodować ambicyą i próżnością. Wskutek tego stało się, że podczas, kiedy na początku swych rządów nad Polakami i P o m o r z a n a m i panował i wielką ich moc zgromadził w celu oblężenia zamku „Gradec", przez u p o r c z y w ą n i e d b a ł o ś ć nie tylko, że zamku tego nie zdobył, ale zaledwie uszedł zasadzkom Czechów, panowanie zaś nad Pomorzanami w ten sposób stracił. Ale nie wielka rzecz, jeżeli przez n i e ś w i a d o m o ś ć człowiek się p o m y l i, jeżeli

[1]) ed. Bandtkie p. 98, 99, 104, 105.

tylko następnie uda się roztropnością naprawić to, co się zaniedbało" [1]).

Po tym rożdziale 22 o wyprawie na „Gradec" następuje rożdział 23, opowiadający wyprawę na Ruś, następnie rożdział 24, o napadzie Czechów na Polskę, przy którego końcu wspomnianemi już wyżej słowami „adnectendum est" nawiązuje kronikarz znowu opowiadanie o wyprawie Pomorskiej, „dołączając" jeszcze szczegół ważny, o którym poprzednio, wdawszy się w ogólną refleksę („nie wielka rzecz" etc.), zapomniał. Rożdział ten drugi o wyprawie Pomorskiej brzmi (zacząwszy od ostatnich wierszy rożdziału 24): „Dołączyć jeszcze muszę przyczynę, z jakiej prawie w całej Polsce zaniechano używania ciężkich zbroi, które dawniej w wojsku Bolesława Chrobrego było powszechnem. Zdarzyło się bowiem, że Pomorzanie znienacka napadli na Polskę, co król Bolesław, bawiący daleko od owej części kraju, usłyszał. Pragnąc więc gorąco z rąk pogan wybawić ziemię swoją, nie czekając zebrania się całego wojska, nierozważnie puścił się naprzód. Gdy więc przybył nad rzekę, poza którą obwarowały się hufce pogan, zbrojni ciężko żołnierze, nie pytając, czy jest most, czy bród, puścili się wpław przez głębię. Gdy więc wielu śmiałków, obciążonych rynsztunkiem, potonęło, reszta żołnierzy porzucili rynsztunki, a przebywszy wpław rzekę, choć poniósłszy straty, odnieśli zwycięstwo. Od tego czasu zarzucili Polacy ciężkie zbroje. Tak więc każden na nieprzyjaciela lżej nacierał i bezpieczniej, bez ciężaru żelaza, rzekę przepłynął. [2])."

---

[1]) Postquam itaque extremum vale Kazimirus mundo fecit, Boleslaus ejus primogenitus, vir largus et bellicosus, Polonorum regnum rexit, qui sua satis gesta gestis praecedecessorum coaequavit, nisi quod quaedam eum ambicionis vel vanitatis superfluitas agitavit. Nam cum in principio sui regiminis et Polonis et Pomoranis imperaret, eorumque multitudinem ad castrum Gradec obsidendum innumerabilem congregaret, suae contumaciae negligencia, non solum castrum non habuit verum etiam Bohemorum insidias vix evasit ac Pomoranorum dominium sic amisit. Sed non est mirum aliquantulum per ignorantiam oberrare, si contigerit postea per sapientiam, quae neglecta fuerint, emendare. (ed. Bandtkie p. 98, 99).

[2]) Adnectendum est etiam racionem quae causa fere totum de Polonia loricarum usum abolevit, quas antiquitus magni Boleslai regis exercitus ingenti studio frequentavit. Contigit namque, Pomoranos subito Poloniam invasisse, regemque Boleslaum ab illis remotum partibus hoc audisse; qui cupiens animo ferventi de manu gentilium patriam liberare, collecto nondum exercitu, debuit antecedens inconsulte nimium properare. Cumque ventum esset ad fluvium, ultra queam turmae gentilium residebant, non ponte requisito vel vado, loricati milites et armati profundo gurgiti se credebant. Pluribus itaque loricatorum ibi praesumptuose submersis, loricas reliqui superstites abjecerunt, transmeatoque flumine, quamvis dam-

Jakkolwiek te dwa roździały, odnoszące się najwyraźniej do wyprawy Pomorskiej, nie stanowią ani stylistycznie, ani logicznie jednolitej całości, nie są przedstawieniem rzeczy z jednego odlewu, co się łatwo tłómaczy pośpiechem autora („aliisque compluribus gestis sub silentio *pro festinantia* reservatis", wyznaje sam na początku roździału 22), wskutek czego opuszcza dość ważne fakta, które dopiero później, spostrzegłszy, się dołącza („adnectendum est"): to jednak wątpić nie można, że oba te roździały odnoszą się do jednej i tej samej wyprawy Pomorskiej. Dowodem tego jest sama ich treść, która, oczywista, odnosi się do jednego i tego samego epizodu tej wyprawy. A mianowicie, jeden i drugi roździał odnoszą się do usiłowanego zdobycia twierdzy, położonej nad wielką i głęboką rzeką, przy której przebyciu wskutek nierozwagi („negligentia") i nieświadomości („ignorantia") dużo rycerzy poginęło.

W pierwszym bowiem roździale 22 opowiada kronikarz ogólnikowo tę samą awanturę, którą następnie w roździale 25, przypomniawszy sobie, że awantura ta stała się przyczyną ważnej zmiany w taktyce wojskowej polskiej, szczegółowo powtarza.

Że się rzecz tak, a nie inaczej ma, o tem najlepiej się przekonamy, jeżeli na próbę odwrócimy porządek tych rozdziałów, na pierwszem miejscu położymy szczegółowy opis nieszczęśliwej przeprawy przez rzekę z roździału 25, a na drugiem miejscu ową ogólną refleksyę, zawartą w roździale 22. Bo wtedy się pokaże, że ta refleksya ogólna jest tylko sensem moralnym, wyprowadzonym z owego szczegółowo opowiedzianego zdarzenia, i że te dwie części opowiadania doskonale do siebie przystają i stanowią jedną nierozłączną całość.

W odwróconym bowiem tych dwu roździałów porządku opowiadanie przedstawiłoby się mniej więcej, jak następuje:

„Zdarzyło się, że Pomorzanie znienacka napadli na Polskę. Na wiadomość tę Bolesław, aczkolwiek daleko wtedy bawił, pospieszył z licznym wojskiem, aby uwolnić kraj swój od napastników. Gdy wojsko przyszło nad rzekę, poza którą obwarowali się poganie" i t. d. i t. d., nastąpiła znana już nam smutna awantura.

Przypatrzmyż się teraz, jak do tego szczegółowego opisu przystaje szczelnie ogólna refleksya, zawarta w pierwszym ustępie:

---

pnose, victoriam habuerunt. Ex eodem tempore loricis Polonia dissuevit et sic expedicior hostem quisque invasit, tuciorque flumen objectum sine pondere ferri transmeavit. (ed. Bandtkie p. 104, 105).

„Bolesław był waleczny; dosyć dorównał czynami swymi czynom przodków swoich, tylko czasem zbyt powodował się ambicyą i próżnością. Tak, że kiedy na początku rządów swoich nad Polakami i Pomorzanami panował i wielką ich moc w celu zdobycia zamku „Gradec" zgromadził, przez uporczywą niedbałość (bo nie przekonał się najprzód, czy w zamierzonem miejscu można rzekę bezpiecznie przebyć!), nie tylko zamku nie zdobył, ale nawet o włos byłby wpadł w zasadzkę Czechów i tak panowanie nad Pomorzanami stracił. Ale nie wielka to rzecz czasem przez nieświadomość (bo nie wiedział, że tam głębie są w rzece) zbłądzić, jeżeli potem..." i t. d. i t. d.

Tak tedy widzimy, że te dwa roździały ściśle do siebie przystają, jeżeli je położymy w odwrotnym porządku, co służyć może za dowód, że w głowie kronikarza stanowiły pierwotnie jedną całość tylko, że częścią z pośpiechu (pro festinantia), częścią z zapomnienia najprzód wypowiedział refleksyę ogólną, niejako sens moralny, z faktu wypływający, a potem, spostrzegłszy się, że fakt ten sam ma pewną wagę (bo był przyczyną reformy wojskowej), dodał go w późniejszym roździale 25.

Z tego więc pokazuje się, że oba te roździały odnoszą się do jednej i tej samej wyprawy Pomorskiej, (co niektórzy późniejsi historycy również w wątpliwość podawali).

Zachodzi teraz pytanie, jaki to był zamek „Gradec", o którym w tem miejscu pisze Baldwin Gallus.

Odpowiedź na to pytanie jest tak łatwa i na zasadzie tekstu kroniki Gallusa tak niewątpliwa, że dziwić się tylko trzeba, jakim sposobem rzecz ta stała się niejasną i do dziś dnia stanowi łamigłówkę historyczną.

Oczywista, nie będzie się temu dziwił ten, który wie, jak późniejsi kronikarze i historycy aż do naszych czasów potrafili proste rzeczy powikłać i jasne zaciemnić. Pomówimy o tem następnie; najprzód zaś odpowiemy na powyższe pytanie li tylko na zasadzie tekstu Baldwina Gallusa, który, jakeśmy już wspomnieli, w tej sprawie jest najwiarogodniejszem źródłem.

Otóż kiedy w tych ustępach opisaną jest wyprawa na Pomorzan, to oczywista ten „Gradec" musi leżeć na Pomorzu. Podrugie, musi on mieć takie strategiczne położenie, że przez utratę jego straconem było panowanie nad Pomorzem („Pomeranorum dominium *sic* amisit). Potrzecie, musi on leżeć nad znaczną i głęboką rzeką; poczwarte, musi on leżeć poza tą rzeką ze stanowiska kro-

nikarza piszącego, w Polsce i Polski wogóle (ad flumen *ultra* quem turmae gentilium residebant).

Otóż wszystkie wskazane tu znamiona, które ów „Gradec" w sobie łączyć musi, łączy istotnie w sobie zamek Gardziec na Pomorzu (Garz), leżący nad Odrą cztery mile przed Szczecinem.

Zamek ten bowiem Pomorski ma w istocie takie położenie i warowne i strategiczne, że kto go ma w ręku, panuje nad Pomorzem, kto go traci, traci tem samem panowanie nad tą ziemią. Broni on bowiem przeciwko wojskom polskim przystępu do Szczecina i do morza, a warowne jego położenie nie pozwala ominąć go w dalszym pochodzie na Szczecin, bo w takim razie tyły wojska, postępującego na Szczecin, byłyby zagrożone. Stanowi zatem Gardziec prawdziwy klucz panowania nad Pomorzem, co tłómaczy słowa Baldwina, że straciwszy „Gradec", Bolesław „sic amisit dominium Pomoranorum".

Następnie Gardziec leży na lewym t. j. zachodnim brzegu Odry, a za tem ze stanowiska opowiadających rzecz tę Polaków i kronikarza, piszącego w Polsce, wyrażenie „ad flumen *ultra* quem turmae gentilium residebaut" staje się zrozumiałem.

Nareszcie rzeka Odra na tem miejscu jest widocznie tak wielka i głęboka, że przebycie jej wpław przez żołnierzy w rynsztunkach przedstawia w każdym razie poważne niebezpieczeństwo.

Przytoczywszy tak większą część argumentów, przemawiających za tem, że Baldwina Gallusa „Gradec" jest zamkiem Gardziec nad Odrą na Pomorzu: najlepiej będzie zaraz na tem miejscu wykazać, że żadne z tych koniecznych znamion owego zamku „Gradec" nie stosuje się do zamku „Gradec" na Szląsku, uważanego dzisiaj mylnie przez historyków za ów przez Bolesława Śmiałego bezskutecznie dobywany zamek. Później wrócimy do dalszego przedstawienia, w jaki sposób historyografia nasza popadła w błędne tłómaczenie całej tej sprawy.

Otóż najprzód Szląski Gradec nie należy na Pomorzu, a więc, straciwszy ten Gradec nad Mohrą (Mokrą na Szlązku powyżej Oppawy nie można przez to („*sic* amisit"!) stracić panowania nad Pomorzem, jak to Gallus wyraźnie powiada Gradec bowiem Szląski z panowaniem nad Pomorzem nie ma żadnego związku!

Powtóre, Gradec Szląski leży nad tak małą rzeczułką Mohrą, że o klęsce przez utonięcie wielkiej liczby żołnierzy w jej „profundo gurgite" ani mowy być nie może. Potrzecie, o Szląskim Gradcu kronikarz polski nie mógłby powiedzieć, że poza („ultra") rzeką leży, bo Szląski Gradec leży na prawym, t. j. wschodnim brzegu Mohry, a zatem, od Polski idąc, leży „*cis*", a nie „*ultra*", tak że wojsko

polskie, dobywając zamku tego, nie potrzebuje przebywać rzeki pod okiem nieprzyjaciela. Do Gradca Szląskiego z Polski można się nawet dostać suchą nogą.

A nareszcie jeszcze, gdyby Baldwin Gallus miał na myśli Szląski Gradec, jakimże sposobem mógłby mówić, że się w nim obwarowały „hufce p o g a n" (turmae *gentilium*); wszak Czesi dawno przed Polakami byli chrześcianami—w drugiej połowie XI wieku na Szląsku na lekarstwo by pogan nie znalazł, skądby się tam byli wzięli? Ale Baldwin Gallus, oczywista, mówi o Pomorzanach, którzy wtedy jeszcze byli poganami.

Sądzę, że dostatecznie udowodniłem, że Baldwina Gallusa „Gradec" w żaden sposób nie może być Gradcem Szląskim nad wschodnim brzegiem Mohry i przedstawię teraz, jakim sposobem jasne opowiadanie rzeczy przez Baldwina Gallusa w ciągu wieków uległo najfałszywszym tłómaczeniom, aż nareszcie w naszym wieku z Pomorskiego Gardźca zrobił się Szląski Gradec, do którego całą resztę opowiadania nastroić usiłowano.

Wprzód jednak jeszcze wspomnieć należy, że najbliższy po Baldwinie Gallusie kronikarz polski Mistrz Wincenty Kadłubek, który zresztą, jak wiadomo, jest wielkim mistrzem w przekręcaniu i zaćmiewaniu prawdy, dziwnym przypadkiem w tem miejscu główne rysy opowiedzianej przez poprzednika swego wyprawy Pomorskiej Bolesława Śmiałego, oddał wiernie, nie zmieniając w nich nic, dodając tylko swoim zwyczajem trochę tym razem nieszkodliwego bombastu. Opowiada on rzecz tę na tle Gallusa, jak następuje:

„Znowu na bydłokradów Pomorzan, z samej prawie granicy Polskiej, łup i rabunek uprowadzających, wpada przybiegłszy nagle, Bolesław, rabusiów tuż z a w i e l k ą r z e k ą już spostrzegł; bez wahania się rzuca w n a j o s t r z e j s z y p r ą d; ślepa miłość rodzicielska, woła, i dzikie zwierzęta oddaje w ręce polujących; wykrzykuje jeden drugi: niechaj zginę, podle w tyle nie zostanę!

Wielu też, obciążonych ciężką zbroją, tonie, w nurtach i niewielu z królem Bolesławem ledwie przepływa i pozbywszy się zbroi nad zbrojnym nieprzyjacielem zwycięstwo odnosi"[1]).

---

[1]) Rursus pomoranorum abigeis e confinio pene polonie, predam ac manubias agentibus, preceps advolat Boleslaus, predones s p a c i o s i fluminis intrajectu jam securos conspicatur; et r a p i d i s s i m o inhesitanter insiliens t o r r e n t i; amor, inquit, catulorum feras venabulis inpingit. Exclamant singuli: Occupet extremum

Z tego przedstawienia Kadłubka w każdym razie pokazuje się, że jeszcze za jego czasów (początek XIII w.), a więc jakie półtora wieku po owem zdarzeniu, a przeszło wiek po opisie Baldwina Gallusa, rzecz sama tak, jak ją Gallus opisał, uchodziła w Polsce za fakt niewątpliwy, któremu w całości lub w części zaprzeczyć nikomu na myśl nie przyszło; w spisanej historyi i w żywej tradycyi żył zniką niezaprzeczony fakt, że Bolesław Śmiały wyprawił się na Pomorzan, którzy do Polski, rabując, byli wtargnęli, że Pomorzanie za jakąś szeroką rzeką (spaciosi fluminis) obronne zajęli stanowisko, że wielu zbrojnych żołnierzy Bolesławowych wskutek ciężkich rynsztunków w nurtach tej rzeki potonęło, ale że reszta z Bolesławem na czele, wyratowawszy się, choć „bezbronni nad zbrojnym nieprzyjacielem tryumfowała".

Jasna rzecz więc, że za czasów Kadłubka tkwiła jeszcze żywo w pamięci potomnych głośna swego czasu sprawa utonięcia wielu rycerzy w głębiach wielkiej rzeki na wyprawie przeciw Pomorzanom.

Z Gallusowego opisu zatarł się może tylko ten rys ujemny, niezdobycia zamku, albo go też Kadłubek podnieść nie uważał za potrzebne, powtarzając tylko za Gallusem, że nie mniej, pomimo poniesionej straty, Bolesława rycerstwo dobrze się spisało.

Również jeszcze następny po Kadłubku kronikarz Baszko czy Boguchwał, autor t. zw. kroniki wielkopolskiej z końca XIII w., zapisuje owo zdarzenie na wyprawie Pomorskiej z zachowaniem głównej treści i wybitnego rysu opowiadania Baldwina Gallusa.

I w tej bowiem jeszcze kronice wielkopolskiej powtórzone są najwybitniejsze znamienne rysy wyprawy Pomorskiej tak, jak ją znamy z kroniki Gallusa i jak ją za nim powtórzył Kadłubek. Ustęp, dotyczący kroniki wielkopolskiej, brzmi:

„W czasie, kiedy Bolesław bawił w krajach Czechów i Austryaków, ziemie tychże po nieprzyjacielsku pustosząc, Prusacy (Pruteni) i inne narodjy pogańskie, sądząc, że Bolesław już nie wróci, wtargnęli po nieprzyjacielsku na Pomorze. Co, gdy się Bolesław dowiedział, zaniechając dalszej wojny z Czechami i Austryakami, do kraju swojego wraca, a dopadłszy nieprzyjaciół na Pomorzu, na nich uderza. Których uciekających za rzekę Sarus ścigając, wielu

---

scabies mihi turpe relinqui. Multi ergo armorum pressi mole fluctibus immerguntur; perpauci cumrege vix enatant et Boleslaus et inermes, de armata hostium multitudine triumphant. (ed. Przezdz. p. 63).

ze swoich stracił, którzy w rzece, nie z ręki nieprzyjaciół, ale wskutek ciężaru zbroi w głębiach potonęli. Z tego też powodu odtąd Polacy rynsztunków ciężkich nie używają" [1]).

I tutaj zatem Bolesław, daleko od Pomorza bawiąc, dowiaduje się o napadzie na Pomorze, przedsięwziętym przez „nationes paganicae". Zaniechawszy więc wojny z Czechami i Austryakami, wśród których go wiadomość o napadzie na Pomorze doszła, śpieszy na obronę własnego kraju (ad propria convolat), a zastawszy nieprzyjaciół na Pomorzu (hostes in Pomorania reperiens) uderza na nich. Tu następuje i w kronice wielkopolskiej ta sama katastrofa, znana nam już z kroniki Gallusa i Kadłubka, że wielka liczba żołnierzy „non ab hostibus sed armorum pondere pressi in profunda demerguntur", a więc nie ścigani przez nieprzyjaciół, tylko przy przeprawie w celu uderzenia na nieprzyjaciół, wskutek ciężkich rynsztunków w głębiach rzeki toną.

Główną treść więc opowiadanie Gallusa i Kronika wielkopolska reprodukuje. Obok tego jednak znajdujemy w niej dwie rzeczy nowe, których ani w Gallusie, ani w Kadłubku nie było, mianowicie: wzmiankę o Prusakach (Pruteni), którzy mieli wtargnąć na Pomorze, i nazwę rzeki „Sarus".

Z tych dwu nowości ta ostatnia, Sarus, jest właściwie tylko potwierdzeniem opowiadania Gallusa, a tylko przez pomyłkę jakiegoś przepisywacza mogła stać się powodem bałamuctw. Bo zważmy, co znaczy rzeka „Sarus"? Takiej rzeki w obrębie ziem ani polskich, ani pruskich, ani pomorskich niema. A zatem musi to być pomyłka jakiegoś przepisywacza. Jeżeli zaś jest pomyłka pisarska, to właściwa nazwa musiała być podobna tak, że pomyłka łatwo zajść mogła. Otóż wiemy, że ową rzeką, w której głębiach potonęło tylu żołnierzy Bolesławowych, była Odra, po łacinie Viadrus. Z tego Viadrus przez pomyłkę łatwo zrobił się Sarus, co, jak potem zobaczymy, dało powód do różnych nieporozumień i bałamuctw.

Mniej niewinną, niż, ta nowość wprowadzona do opowiadania Gallusa przez Kronikę wielkopolską, była owa wzmianka o Prusa-

---

[1]) Tempore autem quo in terris Bohemorum et Australium rex Boleslaus intraret, eorum terras hostiliter devastando, Pruteni et aliae nationes paganicae, de reditu Boleslai dubitantes, Pomoraniam hostiliter invadunt. Quod cum ad notitiam Boleslai pervenisset, Bohemorum et Australium impugnatione obmissa, ad propria convolat et hostes in Pomorania reperiens, invadit. Quos fugientes in Sarum fluvium insequutus, ibique non pauci de suis... in profunda demerguntur" (Mon. Pol. Hist. II, p. 487).

kach, napadających na Pomorze (Pruteni Pomoraniam hostiliter invadunt). Nie wchodzę w to, z jakiej przyczyny Baszko czy Boguchwał ni stąd, ni zowąd całą winę tej wojny na Pomorzu zwalił na Prusaków.

Być może, że jako Wielkopolanin, sąsiadując z Prusakami, niepokojącymi w XIII wieku ciągle Wielkopolskę, miał na nich żółć i przy tej sposobności chciał im przypiąć łatkę, że to oni już w XI wieku w Polsce wzniecali zaburzenia. Ale gdyby był wiedział Baszko czy Boguchwał, jakiego bigosu narobi historyografii polskiej tymi swoimi Prusakami, niepotrzebnie w tę sprawę przez niego wmieszanymi, pewnie dałby im spokój w tem miejscu.

Bo w Kronice wielkopolskiej pomimo niepotrzebnie wściubionych Prusaków wyprawa sama Bolesława Śmiałego została się nie mniej tem, czem była, t. j. wyprawą na Pomorze; więc ci „Prusacy" tutaj jeszcze nie zmienili faktu samego. Dopiero w półtora wieku później, u Długosza, miały się okazać fatalne następstwa tego wmieszania w tę sprawę Prusaków.

Puściwszy bowiem zwyczajem swoim wodze fantazyi, Długosz z tego jednego słówka Kroniki wielkopolskiej o „Prusakach" wymyślił całą wojnę Bolesława Śmiałego z Prusakami o Pomorze, a biorąc pochop z dwu rozdziałów Gallusa, które, jak widzieliśmy, opowiadają jedno zdarzenie, fabrykuje Długosz dwie wyprawy na Prusaków.

Nie szczędząc przy tem swoich „amplifikacyi", Długosz, kładąc tę wojnę z Prusakami (za Kroniką wielkopolską) po skończonej wojnie z Czechami, tak opowiada przebieg już pod r. 1064.

„Po zawartym pokoju z Czechami nastała wojna z Prusakami. Barbarzyńcy ci, niezadowoleni jeszcze zaniechaniem płacenia haraczu Polsce, częste podejmowali wycieczki w granice Polski. Zbudowali nawet w tym celu zamek, który Polacy Grodkiem nazwali, i silną zaopatrzywszy go załogą dla czynienia Polakom szkód i łupienia ich, coraz dalej i śmielej zapuszczali się. Tą nieprawością oburzony Bolesław przystąpił do oblężenia Gródka. Gdy jednak zamku, naturą i sztuką warownego, Prusacy walecznie bronili, od oblężenia odstąpić musiał".

Widzimy, że aż dotąd Długosz reprodukuje treść rozdziału 22 Gallusa, zmieniwszy jednak za Kroniką wielkopolską Pomorzan na Prusaków, przenosi już cały teatr wojny z Pomorza do Prus (czego jeszcze Kronika wielkopolska nie uczyniła), za czem pójść musiała zmiana pomorskiego „Gradec" na pruski zamek „Grodek". Pozostał jednak jeszcze Długoszowi do wynicowania rozdział 25 Gal-

lusa o owej katastrofie na rzece. Zrobił z tego rożdziału osobną drugą wyprawę, którą znowu z „amplifikacyami" swojemi w następujący sposób przedstawia, pozostając już oczywista na ziemi pruskiej.

„Niepowodzenie Bolesława, pisze on, podniosło butę Prusaków. Ledwie więc Bolesław się oddalił, posunęli oni się jeszcze o jeden stopień dalej i całe prawie Pomorze podbili i władzy swej poddali. Martwiłą dumnego króla strata Pomorza i klęska, poniesiona pod Grodkiem; przemyśliwał więc nad tem, jakby Prusaków, unikających bitwy, a zadawalniających się ukrywanemi złodziejskiemi wycieczkami, do bitwy wciągnąć". Każe dalej Długosz Bolesławowi użyć podstępu, wkroczyć na Pomorze niby to nie na Prusaków, ale tych mając na oku. Dopiero dowiadując się przez donosicieli, że Prusacy nad „Ossą" obozem się rozłożyli, aby stamtąd do Polski znowu zrobić wycieczkę, król czemprędzej, zanim, by się Prusacy o tem dowiedzieli, zbacza w tamtą stronę, każe wojsku swemu wpław przebyć „Ossę", przyczem wielu, rynsztunkiem obciążonych, ginie, ale inni, porzuciwszy rynsztunki, przepływają, Prusaków okropnie tłuką i tym sposobem Pomorze odzyskują.

Na taką drugą wyprawę na Prusaków przerobił Długosz znany nam rożdział 25 Gallusa. W tej drugiej wyprawie na Prusaków nie wspomina on już o żadnym zamku, bo też i Gallus w rożdziale 25 żadnego zamku po nazwisku więcej nie wymienia.

Natomiast, prócz swoich fantastycznych amplifikacyi Długosz w tej drugiej wyprawie znowu wprowadza jakąś nowość: rzekę „Ossę". Miał on bowiem przed sobą kronikę wielkopolską, za którą idąc, z wojny Pomorskiej zrobił Pruską. Otóż w tej kronice musiał on już widzieć ową rzekę „Sarus", która, kiedy już się wdał w wojnę pruską, musiała koniecznie leżeć gdzieś w Prusiech. Wprawdzie takiej rzeki „Sarus" i Długosz w Prusiech znaleźć nie mógł, ale szukając za podobną nieco znalazł Ossę, której mianownik Oss*a* miał przecież jedną sylabę wspólną ze *Sa*rusem. A zatem, niewiele się namyślając, każe żołnierzom Bolesławowym topić się w Ossie w ziemi chełmińskiej na granicy Prus. Czuł wprawdzie i Długosz, że to nie tak łatwa rzecz, bo Ossa jest bardzo mała rzeczka (wpadająca po prawej stronie do Wisły), w której nie sposób, aby całe szeregi wojowników miały się topić. Ale na to nie trudna rada. Każe Długosz rzeczułce tej *ad hoc* mocno wezbrać („fluvium Ossa tunc acquis inflatum"), po czem już bez skrupułu katastrofę urządza.

Tak tedy Długosz z jednej wyprawy Pomorskiej zrobiwszy dwie pruskie, z Gardźca Pomorskiego zrobiwszy jakiś „Grodek" pruski, ze Sarusa Kroniki wielkopolskiej zrobił Ossę.

Przy czem jeszcze uwagi godne, jak Długosz się wystrzega, jakiegokolwiek połączenia zamku swego „Grodek” z rzeką Ossą, nad którą żaden taki zamek nie leży, chociaż przecież u Gallusa wojsko Bolesława przebywa rzekę w celu zdobycia zamku, leżącego na przeciwnym brzegu. Trudna bowiem była rada; nad Ossą nie leży żaden zamek. Wprawdzie kilka mil na południe od ujścia Ossy do Wisły leży Grudziądz, ale do tego zamku droga nie przez Ossę. Jeżeli zaś nad brzegiem Ossy niema żadnego zamku, nie miałby więc Bolesław żadnej przyczyny przeprawiać się przez Ossę. Otóż i Długosz każe Prusakom *ad hoc* rozłożyć się tam obozem, aby umotywować przeprawę Bolesława.

Ale koniec końców *Longinus locutus est, causa finita*. Za tak poważnym i wiarogodnym historykiem, jakim był kanonik krakowski i dezygnowany biskup lwowski, cóż dziwnego, że ślepo szły całe szeregi historyków duchownych i świeckich przez kilka wieków, a dwukrotna wyprawa Bolesława Śmiałego na Prusaków stała się dogmatem historyi polskiej.

Co więcej, znakomity nasz historyk Naruszewicz, któremu przecież trudno odmówić znacznego zmysłu krytycznego, nietylko, że w Długoszowym Grodku starał się wykazać pruski Grudziądz, ale w jakimś prawdziwie przewrotnym krytycyzmie wykazuje „pomyłki” Gallusa na podstawie opowiadania Długosza!

Naruszewicz bowiem, nie wątpiąc o prawdziwości opowiadania Długosza i przyjmując te wyprawy pruskie Bolesława Śmiałego za fakta niewątpliwe krytykuje, na tej podstawie Gallusa i powiada, że „Marcin Gallus zamiast Prusaków położył Pomorzanów” [1]).

W dalszym ciągu owej krytycznej noty dowodzi Naruszewicz, że tym Grodkiem Długoszowym, o którym „Gallus wspomina nie wyrażając miejsca, gdzie był zbudowany“ mógł być tylko Grudziądz, którego wprawdzie „ci barbarzyńcy” nie zbudowali, jak twierdzi Długosz, (fabricato autem castro) ale — „napadłszy na gotowy już zamek, opanowali go”. Przeoczył przytem Naruszewicz, że według Długosza Prusacy zbudowali „castrum” nad Ossą, a Grudziądz nie leży nad Ossą! Nie mniej Naruszewicz powagą swoją wzmocnił jeszcze pomysł Długosza, ufundowawszy go na niewątpliwie na granicy ziemi Pruskiej leżącej twierdzy Grudziądzu! (choć wielka kwestya, czy Grudziądz istniał w XI wieku, bo pierwsza wzmianka o nim datuje dopiero z XIII wieku!

---

[1]) Naruszewicz wyd. Warszawa, 1780, tom II, str. 389.

Trzeba było dopiero tak trzeźwego i krytycznego umysłu, jak Roepell, aby w tej fantastycznej budowie historyografii naszej pierwszy zrobić wyłom: wypielęgnowaną zacząwszy od Długosza bajkę o wyprawach pruskich Bolesława Śmiałego po części rozchwiać. Bo podczas kiedy Naruszewicz, wbrew wszelkim zasadom naukowej krytyki, Gallusa chce prostować według Długosza, Roepell [1]), przywraca naturalny porządek rzeczy i zauważa słusznie przeciw historykom polskim od Długosza do Naruszewicza, że przecież „Gallus ani słowem Prusaków nie wspomina“ (na tem miejscu). Ale, niestety, Roepell w krytyce swojej zatrzymał się w pół drogi, nie rozwikłał całej sprawy, dając się znowu w inną błędną stronę zawieść przez Palackiego, jak to zaraz zobaczymy. Z tej okoliczności, że „Gallus nie wspomina o Prusakach”, wyprowadza Roepell tylko ten w każdym razie słuszny wniosek, że ów Gallusowy „Gradec” nie może być Grudziądzem. W tem ma zupełnie racyę. Ale tutaj zachodzi Roepplowi w drogę Palacky. Ten, jako „narodowy” historyk, powodujący się zawsze i wszędzie patryotyzmem czeskim, przy tej także sposobności chciał znowu Czechom przysporzyć jakiegoś zwycięstwa nad Polakami, i nie wiele pytając, z owego Gradca Gallusowego robi znany nam już Gradec nad Mohrą na Szlązku, przyczem z Długoszowej Ossy (urosłej, jak wiemy z Boguchwałowego Sarusa) robi za pomocą małej tylko odmiany dwu ss na dwa pp—szląską Oppę, w której znowu każe się topić żołnierzom Bolesławowym [2]). Ale Gradec szląski nie leży nad Oppą, która jest małym przypływem górnej Odry i nawet wezbrana nie mogłaby być przyczyną znaczniejszej katastrofy, jaka spotkała Bolesława Śmiałego, zwłaszcza, że nie potrzebowałby jej przebywać pod murami obsadzonego przez nieprzyjaciół zamku.

Nie mniej Roepell, ustrzegłszy się szczęśliwie błędu Naruszewicza, uwierzył takiej powadze w rzeczach słowiańskich, jak Palacki, a za takiemi dwiema znów powagami, jak Palacki i Roepell, poszli znowu wszyscy najnowsi nasi historycy, przenosząc scenę katastrofy Bolesławowskiej pod zamek Gradec na Szlązk i na rzeczkę Oppę, nad którą ten Gradec Szląski nie leży!

Dziwna to zresztą rzecz, jak taki znakomity historyk, jak Roepell, w tym punkcie formalnie zadrzemnął trochę, co, jak wiadomo i Homerowi czasem się zdarzało.

---

[1]) Tom I, str. 190 w nocie.

[2]) Palacky, Geschichte Böhmens I, 299.

Powiada on bowiem słusznie przeciwko Naruszewiczowi, że „ten Gradec nie może być Grudziądz, bo w tym całym ustępie Gallusa niema mowy o Prusakach, a l e z a t o o C z e c h a c h".

Z t e g o w i ę c p o w o d u odrzuca on Grudziądz i przyjmuje za Palackim Szląski Gradec, jako bezskutecznie przez Bolesława szturmowany zamek. Przeoczył tutaj zupełnie Roepell, że Gallus w owym roździale 22 nie tylko wspomina o Czechach, ale głównie o P o m o r z a n a c h. Powinien był zatem Roepell zanim, przyjął zdanie Palackiego na zasadzie „wzmianki o Czechach", rozważyć, c o Gallus w tym ustępie mówi o Czechach, a c o o Pomorzanach?

Otóż o Pomorzanach powiada, że Bolosław z początku nad nimi panował, ale gdy bezskutecznie zamku Gradec dobywał, nie tylko zamku nie zdobył, aleledwie uszedł zasadzkom, gotowanym mu przez Czechów, i panowanie nad Pomorzanami tak stracił.

A zatem, jak to już wyżej wykazałem, Gallus chybiony zamach na zamek Gradec, podaje jako p r z y c z y n ę utraty panowania nad Pomorzanami, co jak również już powyżej wykazałem jest ze względu na położenie tego zamku rzecz jasna i zrozumiała.

Ale co mają znaczyć słowa o zasadzkach Czechów, którym Bolesław zaledwie uszedł? Czy z tych kilku słów „verum etiam Bohemorum insidiis vix evasit" można w jakikolwiekbądź uzasadniony sposób wywnioskować, że ów zamek Gradec leżał na ziemi czeskiej lub szląskiej?

Bynajmniej! Ta „wzmianka o Czechach", która skłoniła Roepella do przyjęcia mylnego zdania Palackiego o Szląskim Gradcu, ta wzmianka jest zupełnie jasna, ale nie ma najmniejszego związku ze zamkiem Gradec. Ma ona zupełnie inne znaczenie.

Wiadomo, że między władcami Polski i Czech od dawien dawna, bo jeszcze od czasów Bolesława Chrobrego, toczyły się wojny o pograniczne między ich państwami ziemie, głównie zaś o Szlązk, ba, nawet o ziemię krakowską. Czesi nie mogli nigdy tego zapomnieć, że niegdyś panowanie ich rozciągało się daleko na wschód i obejmowało nie tylko Szlązk, ale i całą ziemię krakowską. Nie dziw więc, że czychali zawsze na sposobność odzyskania choć części dawnych posiadłości czeskich, które im zabrał Bolesław Chrobry.

Z tej tendencyi politycznej Czechów wynikała naturalna ich taktyka, że ilekroć władzcy Polski zajęci byli wojnami bądź to na dalekim wschodzie na Rusi, bądź to na północy lub na Pomorzu Czesi starali się korzystać z ogołocenia Szlązka i Małopolski z wojsk polskich i najeżdżali tę ziemię. Najazdy takie powtarzały się kilkakrotnie w XI i XII wieku.

Otóż taka sama sytuacya zaszła w chwili, kiedy Bolesław Śmiały wyprawiał się na Pomorze, zabrawszy na tę wyprawę „niezliczoną” moc wojsk swoich. Czychający zawsze na taką sposobność Czesi najprawdopodobniej gotowali jakiś zamach na Szlązk albo też na Krakowskie: musiał jednak Bolesław Śmiały jeszcze na czas wrócić z nieszczęśliwej wyprawy Pomorskiej i zapobiedz grożącej od Czechów napaści.

Takie, a nie inne znaczenie ma owa „wzmianka o Czechach“ w Gallusie, z której Palacki zwyczajem patryotycznych narodowych historyków wyczytał wielkie zwycięstwo czeskie pod szląskim zamkiem Gradec i wielką klęskę, zadaną tam Bolesławowi Śmiałemu.

Ale gdyby takie zwycięstwo w istocie wtedy miało miejsce, pewnie współczesne źródła czeskie wiedziałyby coś o tem i nie przemilczałyby takiego faktu.

Tymczasem współczesny Kosmas, który w czasie, kiedy owo zwycięstwo czeskie według Palackiego się miało zdarzyć (1061), był już młodzieńcem dwudziestokilkoletnim, nie tylko, że nic o tem nie wie, ale, rozpisując się obszernie o latach 1060, 1061 i 1662, (pod którym zapisuje przyjazne stosunki Bolesława Śmiałego z Wratysławem czeskim i ożenienie się tegoż z siostrą Bolesława Swatawą), nic a nic o żadnem zajściu nieprzyjaznem między Czechami a Polską nie wspomina. Następnych zaś pięć lat (1063—1067) wypisuje zwyczajem swoim każdego roku całą datę wyraźnie, nie zapisując pod nimi żadnych wypadków. Takie milczenie Kosmasa (a jest on w tem miejscu dobrze zachowany, bez żadnej gwałtownej luki, jak między latami 1074—1081) jest najlepszym dowodem, że w owych latach nie było żadnej wojny między Czechami a Polską, i że cała sprawa Gradecka, jako czesko-polska, jest wytworem patryotycznej fantazyi Palackiego, za którego powagą poszedł Roepell.

Roepell bowiem, zarzuca słusznie Naruszewiczowi, że „nie może to być Grudziądz, bo niema w ustępie Gallusa wzmianki o Prusakach”. Dobrze! ale gdyby Roepell w tem miejscu nie powodował się powagą Palackiego, tylko w myśl poprzedniej swej słusznej argumentacyi był dalej samodzielnie logicznie argumentował, powinien był tak rozumować: ponieważ jednak Gallus w tym ustępie wspomina o wojnie z Pomorzanami, więc ów Gradec musi leżeć na Pomorzu. Tej logicznej dalszej argumentacyi Roepell zaniedbał. Jest to oczywisty u niego *lapsus*. Ale być także może, że Roepell nie znał Gardźca Pomorskiego, choć prawdopodobniejszem jest, że uwierzył ślepo Palackiemu.

Rezultat tej całej komedyi pomyłek jest, że za Roepellem znowu nasi historycy najnowsi każą Bolesławowi Śmiałemu zdobywać bezskutecznie Szląski Gradec nad Mohrą niedaleko Opawy, ponieść klęskę od Czechów, a żołnierzom jego topić się w niewinnej Oppawce, która pewnie od stworzenia świata tylu topielców nie widziała.

Cała ta historya wyprawy Pomorskiej Bolesława Śmiałego, tak zwięźle i dość jasno opowiedziana przez Baldwina Gallusa, jest typowym przykładem, jak fakta pierwotnej historyi polskiej częścią przez retoryczne „amplifikacye" historyków naszych, zacząwszy od XIII wieku, częścią przez różne tendencye bądź kościelne, bądź świeckie (w najnowszych czasach) zostały albo zupełnie zaćmione, albo nie do poznania przekręcone.

Dzisiaj pierwotna historya Polski tak, jak ją przedstawiają historycy popularyzatorowie, politycy lub retorowie, jest prawdziwie augyaszowską stajnią bajek, służącą najrozmaitszym tendencyom kościelnym, politycznym lub narodowym, ale nie jest tem, czem wszelka historya, mająca pretensyę do naukowości być powinna—świątynią prawdy.

Maks. Gumplowicz.



Listki z pola wiedzy.

KRONIKA „KOŃCOWIEKOWA".

IV.[1])

TREŚĆ: Rzut oka na przeszłość dla scharakteryzowania doby obecnej.—Grozne horoskopy.—Kiedy właściwie i gdzie zacznie się wiek XX?—Mylność panujących poglądów.—Opinie astronomów o tej kwestyi.—Głos K. Flammariona.—Głód powszechny.—Konieczność szybkiego rozwinięcia akcyi ratunkowej.—Środki zaradcze. Źródła azotu. Największe zagadnienie chemii współczesnej — fiksacya tego pierwiastku — jest kwestyą palącą, najważniejszą ze wszystkich.—Najtańszy sposób otrzymywania energii elektrycznej, jako motoru do sztucznej fabrykacyi materyi azotowych.—Podstawy, na których mógłby być zbudowany nowy system żywienia organizmu ludzkiego.—Sztuczny beefsteak i jego wyższość nad naturalnym.—Prace, jakich na tem polu dokonali: Berthelot, Crookes, Tesla, Lilienfeld, Fischer i inni. Sztuczne białko, przygotowywane ze smoły.—Wielki przewrót, jakiego dokonać może ten nowy wynalazek prof. Lilienfelda. Obecne zastosowanie elektryczności w praktyce.—Zastosowanie energii elektrycznej w warsztatach mechanicznych w ogólności, a między innemi w fabrykach angielskich.—Elektrometalurgia i eksploatacya siły wodospadów w Ameryce, jako gotowego motoru do celów przemysłowych i fabrycznych. Urządzenia odnośne w mieście S-te Marie.— Inne olbrzymie urządzenie w pobliżu Niagary, pod Allenburgiem, gdzie wysokość spadku wody jest dwa razy większa od wodospadu Niagary.—Sposób, w jaki zaopatrywany jest w energię elektryczną cały pas (S. Katarzyna i Hamilton), długi na 60 kilometrów.—Nowe urządzenia tego rodzaju na rzece S. Louis.

Wiek obecny, zwłaszcza jego koniec, przedstawia poniekąd pewne podobieństwo do wieku X ery naszej.

---

1) Ob. zeszyt lipcowy, 1899.

Po morowych zarazach, które dziesiątkowały nieszczęśliwą ludność w owych czasach; po niesłychanym głodzie, kiedy trzeba było z konieczności, jak świadczą kroniki, karmić się nieraz mięsem ludzkiem, dosypywać kredy do mąki, kupowanej na wagę złota; po strasznem, epileptycznem zadrgnieniu i wielkiej panice owego okresu, w którym oczekiwano jakiegoś nadzwyczajnego wypadku, jakiejś katastrofy uniwersalnej; czyli, mówiąc obrazowym językiem księgi świętej, *„post tribulationem illarum dierum"* [1])—świat ówczesny, nie widząc ani zaćmienia ciał niebieskich, ani gwiazd spadających [1]), uspokaja się nareszcie wobec faktu, że rok 1000, naznaczany na koniec świata, mija bez przewidywanej katastrofy. Ludzkość rozpoczyna nową erę i na znak wdzięczności za przedłużenie jej życia wznosi nowe świątynie. I oto architektura dotąd nieznana, *par excellence* chrześcijańska, wspaniałe katedry gotyckie zastępują dawne ciężkie bazyliki rzymskie. Świat budzi się niejako do nowego życia i odmłodzony przywdziewa białą szatę niewinności, według wyrażenia jednego z kronikarzy współczesnych:

„Erat enim instar—powiada [2])—ac si mundus ipse, excutiendo semet, rejecta vetustate, passim candidam ecclesiarum vestem indueret".

Coś podobnego, powiadają nam, czeka nas w przyszłości. „Signora Influenza", jak zwykli ją nazywać Włosi, zastąpioną zostaje przez starszą siostrę Dżumę, która, nie poprzestając na innych częściach świata, wchodzi do Europy kilkoma na raz bramami: przez Aleksandryę, Barcelonę, Oporto, Lizbonę... Dyplomacya przygotowuje powolny, ale nieunikniony rozkład i rozbiór dalekiego Wschodu (FarEast) i stawia w perspektywie zalanie starej Europy ludnością Niebieskiego państwa, grożąc jej ogłodzeniem. Anglia, zachęcona powodzeniem Stanów Zjednoczonych w ich wojnie z Hiszpanią, rzuciła się na Transvaal, przez co cała Afryka południowa może stanąć w płomieniach. Z drugiej strony p. J. Bloch w swoich „Wnioskach" [3]) na skrzydłach imaginacyi może zbyt pośpiesznej, w dreszczem przejmujący sposób przedstawia nam grozę przyszłych wojen, tem straszniejszych dla nas, że skutki ich czyli pierwsze bitwy mają mieć miejsce w blizkości Warszawy.

---

[1]) Właściwie w oryginale powiedziano: μετὰ τὴν θλίψιν τῶν ἡμερῶν εκείνων ὁ ἥλιος σκοτισθήσεται καὶ ἡ σελήνη... οὐ δώσει τὸ φέγγος αὐτῆς, καὶ οἱ ἀστέρες πεσοῦνται ἀπὸ τοῦ οὐρανοῦ...

[2]) Glaber, „Scriptores rerum francicarum", X.

[3]) Wnioski ogólne z dzieła „Przyszła wojna pod względem technicznym, politycznym i ekonomicznym". Warszawa, 1899.

W danej chwili jednak nie chodzi nam o te niepochwytne mary, ale o inne naukowe horoskopy, w wysokim stopniu prawdopodobne, o jakich poważnie, nie unosząc się na skrzydłach imaginacyi, traktować można.

Wiek XX, zaraz na samym początku swoim, ma uszczęśliwić ludzkość różnego rodzaju utrapieniami, a przedewszystkiem straszliwym głodem powszechnym; od tego terminu, jak powiadają, już tylko niewielki przeciąg czasu ma nas oddzielać. Oprócz tego utrapienia, przepowiadanego przez prof. Crookes'a, Sir William Thomson grozi nam w przyszłości uduszeniem, jako nieuniknionem następstwem wyczerpania się tlenu atmosferycznego. Wszystko to spada tak szybko i tak niespodziewanie, że sprawozdawcy kronik popularnych, w ciasnych zazwyczaj ramach zamkniętych i zbyt od siebie odległych, nie są w stanie tego należycie rozwinąć i przedstawić zwłaszcza, że, według rozpowszechnionego sposobu liczenia, od XX wieku, w tak wielkie wypadki brzemiennego, krótki przeciąg czasu nas oddziela.

Od tej powszechnej zagłady, jaką jesteśmy zagrożeni, tylko nauki przyrodnicze, a w pierwszym rzędzie chemia i fizyka, uratować mogą nieszczęśliwą ludzkość. Aby jednak być w stanie jeszcze z parę kronik naukowych wydrukować przed tą nową erą, i wyjaśnić w nich stanowisko, jakie mogłyby zająć pomienione nauki w tej kwestyi, opóźnimy narodzenie się nowego wieku o rok jeden, t. j oznaczymy jego początek na dzień 1 stycznia 1901 r. Rok czasu pozwoli nam szczegółowo wyjaśnić kwestyę i podać środki zaradcze, jakie przez naukę zaproponowane zostaną.

W tym celu musimy przedewszystkiem szukać pomocy i poparcia u królowej nauk — astronomii.

*

* *

W ostatnim roku każdego stulecia powstają zazwyczaj tego rodzaju spory, kiedy mianowicie zakończy się dany, a zacznie nowy wiek. W dokumentach z lat 1799, 1699 i 1599—jak powiada astronom Flammarion—zagadka ta rozbiera się i objaśnia na wszelkie możliwe sposoby, a po stu latach, w r. 1999 (który, powiedzmy mimochodem, odznaczy się wspaniałem zaćmieniem słońca, 11 sierpnia o godz. 10-tej min. 30), ta sama kwestya będzie napewno rozbierana w ówczesnej prasie „końca wieku“. I wtedy znów znajdą się ludzie, nawet wykształceni, którzy spowodują zamieszanie w kwestyi omawianej, a przedewszystkiem „*irritabile poetarum genus*", jak tego

mamy przykład na Wiktorze Hugo, który rok 1800 uważał również za początek XIX wieku.

Przed stu laty spory, w mowie będąceo, dbiły słę nawet echem i w teatrach. W Paryżu dawano sztukę pod tytułem: „W jakim-że wieku żyjemy, mój Boże"! Flammarion przytacza tytuły kilku pism ulotnych z r. 1699, w których podawane są rozmaite wywody, spory bez końca, argumenty, poczerpnięte z biblii, z dzieł ojców kościoła, oparte na dogmatach chrześcijańskich, na potopie powszechnym, na ustanowieniu przez papieży jubileuszów, słowem nieskończone wywody półmędrków, do tego stopnia gmatwających kwestyę, iż trudno się zoryentować w tych zawikłanych rozumowaniach. Autorowie ich postarali się nawet wprowadzić tam figury geometryczne, aby wykazać, jak należy dzielić i obliczać lata.

Podobne rozprawy i spory spotykamy również w r. 1599. Wówczas nawet Papież, zamieszany w te spory, sam nie zdecydował kwestyi, ale powołał się na astronomów.

Tymczasem ta niby zawikłana kwestya objaśnia się bardzo prosto.

Czytelnicy raczą nam darować konieczną wycieczkę w dziedzinę historyi i matematyki, ale bez tego nie bylibyśmy w stanie objaśnić dokładnie kwestyi, w mowie będącej.

Dziesiątek, jak wiadomo, składa się z dziesięciu jedności; liczba 10 wchodzi w skład dziesiątka. Setka składa się ze stu jedności; liczba 100 wchodzi w skład setki. W erze chrześcijańskiej pierwszym rokiem był rok 1-y, a nie rok zero.

Kiedy Zbawiciel narodził się na ziemi, nikt nie przypuszczał wielkiego znaczenia przyjścia Jego na świat, nikt nie przewidywał, jakie znaczenie mieć będzie ustanowiona przez Niego religia. Rok Jego narodzenia przeszedł spokojnie, niepostrzeżony ani przez Rzymian, ani przez Żydów; ale nawet pięć kolejnych wieków, t. j. ani pierwszy, ani drugi, ani trzeci, ani czwarty, ani piąty nie były wprowadzone do kalendarza. Dopiero w r. 532 podany został projekt ustanowienia chronologii chrześcijańskiej przez zakonnika Dyonizego ze Scytyi zwanego *Dionysius Exiguus*. Według jego obliczeń, Jezus Chrystus narodził się 25 grudnia r. 753 od założenia Rzymu. Rok 754 według chronologii rzymskiej przyjęty był za pierwszy rok ery chrześcijańskiej. Takim sposobem ten pierwszy rok, nawet według pojęć Dyonizego, nie był rokiem Narodzenia Chrystusa Pana: zaczął się bowiem w siedem dni po przyjściu na świat Zbawiciela. W tem badaniu historycznem zakonnik Dyonizy omylił się o cztery lata, co łatwo udowodnić, jak powiada Flammarion, gdyż data śmierci

Heroda dokładnie jest znana. Chrystus narodził się w r. 749 według chronologii rzymskiej, a nie w 753, umarł zaś mając lat 36, nie 33; ale wprowadzać tę zmianę w chronologii chrześcijańskiej byłoby bardzo niedogodnie. Chociaż ta pomyłka w rachubie znana jest od wielu wieków i wspominają nawet o niej pisma ulotne z r. 1699, rozbierane przez Flammariona [1]), to jednak chronologia, jaką zaproponował zakonnik *Dionysius Exiguus*, utrzymała się dotąd. Rzecz to konwencyonalna.

Ale jakakolwiek byłaby data, wyznaczona na początek ery chrześcijańskiej, rok zerowy nie istniał.

Postawione w ten sposób zagadnienie nie pozostawia najmniejszej wątpliwości w umyśle czytelnika.

Tworząc nowy kalendarz, wielka rewolucya francuska postąpiła również w ten sam sposób: nie ustanawiała wcale roku zerowego, ale rozpoczęła rachubę lat od roku 1-go. Rzecz bardzo naturalna: dziesiątek idzie od 1 do 10 włącznie, setka — od jedności do 100 włącznie. Próbowano również zmienić datę początku roku przez przeniesienie jej z 1-go stycznia to na 25 grudnia, co ze stanowiska chrześcijańskiego byłoby logiczniej, to na dzień 25 marca, to na święto Wielkiej Nocy czyli wiosenną uroczystość Zmartwychwstania Chrystusa Pana.

Z drugiej strony, wskutek zreformowania kalendarza w r. 1582, powstały dwie metody rachuby czasu, t. j. według nowego i starego stylu. Wszystko to jednak nie przeszkadza, ażeby ostatni dzień roku 1900 nie miał być ostatnim dniem XIX wieku, a 1-szy stycznia 1901 r., pierwszym dniem wieku XX-go.

Tym sposobem, o północy dnia 31 grudnia 1900 roku, stary wiek runie w przeszłość, ustępując miejsca nowemu wiekowi. A zatem o północy, to kwestyi najmniejszej nie ulega. Ale podług jakiego południka? Czy podług czasu paryskiego, rzymskiego, petersburskiego, czy może kolejowego średnio-europejskiego? Odpowiedź na pozór łatwa: podług odpowiedniego południka każdego kraju. Ale w tej samej chwili, kiedy w Paryżu będzie północ 31 grudnia r. 1900,

---

[1]) Oto główniejsze z nich;

1) „Rozprawa dotycząca początku przyszłego wieku, czyli rozwiązanie kwestyi, który rok należy uważać za pierwszy rok nowego wieku: 1700, czy też 1701“?

2) Pismo, obalające dowody autora rozprawy powyższej.

3) Jeszcze jedna rozprawa o przyszłym wieku, w której dowodzi się, że rok 17 0—to pierwszy rok XVIII wieku.

w Wiedniu będzie już godzina 1-sza rano 1-go stycznia 1901 r., czyli że dla Austryi, ku wielkiemu zmartwieniu Francuzów, wcześniej nastąpi wiek XX, niż dla Francyi.

Ale któryż kraj — pyta Flammarion — najprzód ujrzy jutrzenkę wieku XX?

Kiedy zegar w Paryżu pokazywać będzie północ, a zegar w Wiedniu godzinę 1-ą rano, w Petersburgu wybije 2-ga godzina, w Teheranie 3-a, w Bucharze i Tobolsku 4-ta godzina rano; w Indyach Wschodnich, a mianowicie w Madrasie będzie już 5-a, w Kalkucie 6-ta. W miarę posuwania się dalej na Wschód, zegary będą wskazywać coraz późniejszą godzinę w tymże samym czasie, a mianowicie: w Sajgonie 7-ą godzinę rano, w Szanghaju i Soul 8-ą, w Jeddo 9-tą, w Brisbanie [1]) 10-tą, w Numei 11-tą, i nakoniec na wyspie Chatam—południe 1 stycznia r. 1901.

Przeciwnie, gdy wybije północ w Paryżu, północ 31 grudnia 1900 r., wtedy dopiero będzie godzina 11 i minut 15 w Lizbonie, godzina 10 m. 45 w Saint-Louis (Senegal), g. 9 m. 30 w Zanzibarze, g. 7 w Nowym Yyorku, g. 6 w Chicago, godz. 5 (po południu 31 grudnia) w Mexyku, 4 w San-Francisco, g. 3 na wyspie Ks. Walii, g. 2 na Alaszce, g. 1 w Honolulu, i nareszcie południe na wyspie Chatam. Ta ostatnia leży na południku, dyametralnie przeciwnym południkowi paryskiemu; na nim również znajduje się Kanaga, jedna z wysp Aleutskich. Na tym samym południku zatem ma miejsce południe ściśle wtedy, kiedy w Paryżu jest północ, t. j. południe dnia następnego albo poprzedniego. Tu dzień zmienia swoją nazwę; tu żeglarze już to odrzucają, już to dodają jeden dzień, odbywając podróż naokoło świata. W tych krajach istnieje różnica o całą dobę podług kalendarza, stosownie do tego, czy odkrycie ich dokonane zostało ze strony wschodu, czy też od zachodu. Podług tego, jedni liczą np. że to poniedziałek, drudzy znowu, że to niedziela. Portugalczycy i Holendrzy, opłynąwszy przylądek Dobrej Nadziei, przybyli z zachodu; Hiszpanie przeciwnie, przepłynąwszy cieśninę Magelońską, przybyli ze Wschodu. Takim sposobem mieszkańcy wyspy Formozy, dawnej kolonii holenderskiej, mają poniedziałek, podczas gdy na wyspach Maryańskich, odkrytych przez Hiszpanów, jest wtedy niedziela. Linia demarkacyjna nie idzie, podług tego, ani w kierunku południka paryskiego (18^0), ani podług londyńskiego, ani jakiegokolwiek innego: jest ona mocno zgięta i idzie ku

[1]) Miasto w Queenslandzie.

wschodowi od Kamczatki i ku zachodowi od wysp Karolińskich, potem znowu zwraca się na wschód od Nowej Zelandyi i wspomnianej wyżej wyspy Chatam.

Tak więc, jeżeli postawimy pytanie, kiedy zacznie się wiek XX, to ciekawą jest rzeczą wiedzieć również, gdzie mianowicie się zacznie wiek w mowie będący. Licząc od północy ku południu, pierwsi, którzy powitają wiek XX, będą to mieszkańcy Kamczatki, Japończycy z Tokio, Hiszpanie i Amerykanie wysp Filipińskich, mieszkańcy nowych Hebrydów, Francuzi Nowej Kaledonii, Anglicy Nowej Zelandyi i mieszkańcy wyspy Chatam. Ta ostatnia— pierwsza powita wiek nowy. Długość jej wynosi 180° 58′ na wschód od Paryża, czyli, że wyspa pomieniona wyprzedzi Paryż o 12 godzin i 4 minuty. Kiedy zegar obserwatoryum paryskiego wybije północ 31 grudnia 1900 r., wtedy minie już 12 godzin i 4 minuty od chwili, kiedy na tym mizernym zakątku ziemi, zapomnianym wśród oceanu, nastąpił już dzień 1 stycznia 1901 r., czyli że tam będzie już południe i minut 4 pierwszego dnia XX wieku. I wiek ten, na nieszczęście dla mieszkańców małej wysepki Chatam, będzie już ostatnim stuleciem ich isnienia. Przed stu laty bowiem było ich jeszcze 2,000 dusz. W roku 1830 liczba ta spadła do 1500. Sąsiedzi ich, Maorytowie, t. j. mieszkancy wysp Nowo-Zelandzkich, odwiedzili ich w dwa lata później, a sądząc z wyglądu i tuszy, że mięso ich smaczne, zmusili ich do urządzenia pieców, napalenia w tych piecach, a następnie piekli ich i jedli, a nawet przygotowali z nich konserwy. Tym sposobem liczba ich ciągle się zmniejszała, i w r. 1870 liczono ich już tylko 300 dusz, a obecnie jest ich podobno tylko 50, czyli że, jak słusznie powiedział K. Flammarion, wiek XX będzie dla nich ostatnim ich istnienia.

Reasumując wywody powyższe, powiemy, że wiek XX zacznie się 1 stycznia 1901, ściśle o północy z 31 grudnia na 1 stycznia. Mieszkańcy Azyi wcześniej od Europejczykcw powitają wiek nowy; ci ostatni znowu wcześniej od Amerykanów. Powiadają, że za pieniądze wszystko można zrobić, czegokolwiek zażąda człowiek, że nawet honor kupić można! „A jednak, powiada Flammarion, nawet swoimi miliardami Amerykanie nie mogą przeszkodzić, aby Madryt nie wyprzedził Waszyngtonu o całe pięć godzin, i aby Hiszpania nie ujrzała wieku XX wcześniej, niż Stany Zjednoczone Ameryki Północnej".

Tym sposobem, w skutek powyższego rozumowania, zyskawszy cały rok czasu, t. j. upewniwszy się, że początek nowego wieku XX, a tem samem początek ewentualnych klęsk na ziemi, wszechświato-

wego głodu i powszechnej jakiejś katastrofy, nie nastąpi przed d. 1 Stycznia 1901 r., możemy spokojniej spojrzeć w przyszłość, napisać jeszcze kilka kronik naukowych, któreby wyjaśniły czytelnikom, czego nauki, a przedewszystkiem dwie rodzone siostry, chemia i fizyka, są w stanie dokonać, aby uratować zdenerwowaną ludzkość XIX wieku.

Powracamy tedy do wyżej wspomnianej kwestyi, którą ogólnie formułujemy tak: Czy rzeczywiście grozi ludzkości w krótkim czasie niechybna zguba?

W ostatnich czasach świat został zaalarmowany dwiema grożącemi przepowiedniami, wypowiedzianemi przez dwu wielkich uczonych angielskich. Prof. W. Crookes, na zasadzie długich badań naukowych i danych statystycznych przepowiada, że w blizkiej przyszłości grozi nam zupełna zagłada — głód powszechny. Sir W. Thomson znowu ogłasza nam inną równie groźną wiadomość, która, jakkolwiek nie odnosi się do blizkiej przyszłości, zawsze jednak jest bardzo doniosłego znaczenia, a mianowicie, że z czasem ulegniemy uduszeniu wskutek braku tlenu w powietrzu atmosferycznem.

Opinia prof. Crookes'a tym razem ma wyjątkowe znaczenie; jeżeli bowiem podniesione przez niego obawy urzeczywistnią się tak prędko, jak nam przepowiada, to wielki czas pomyśleć, odkładając inne sprawy na stronę, w jaki sposób zabezpieczyć sobie egzystencyę materyalną, gdyż W. Crookes przepowiada nam po prostu śmierć z głodu, jeżeli chemia nie przyjdzie w pomoc umierającej ludzkości. Na zasadzie licznych danych statystycznych wyprowadza wniosek, że obawa głodu grozi wszystkim narodom, których głównym pokarmem jest zboże, a mianowicie pszenica, a których przyrost roczny wynosi 6 milionów. W ciągu ostatnich 25 lat konsumcya zboża na całej ziemi podwoiła się. Europa zmuszona jest ratować się zbożem amerykańskiem; ale wkrótce i Ameryka nie będzie w stanie zaspakajać własnych swoich potrzeb, i wywóz zboża do Europy musi zupełnie ustać. Przypuszczając nawet, że kraje, gdzie mogłoby być uprawiane zboże, oddadzą wszystkie grunta pod jego uprawę, to zboża tego, już po kilku latach, będzie i wtedy za mało, a w r. 1931, według obliczeń pomienionego uczonego angielskiego, nawet przy najbardziej sprzyjających warunkach, nastąpi głód powszechny.

Łatwo przewidzieć, co się stanie z rasą kaukazką, kiedy zabraknie zboża. Inne rasy, stojące na niższym stopniu rozwoju, tak pod względem fizycznym, jak umysłowym, używają na pokarm in-

nych gatunków zboża, jakimi są: ryż, proso, kukurydza, i t. p.; ale żaden z tych gatunków zboża nie jest tak pożywny, jak pszenica, co stanowczo stwierdzonem zostało przez naukę. Nie na wiele się tu przyda powiększenie i podniesienie uprawy pszenicy, zwłaszcza, że to zależy od wielu przyczyn, różnych dla każdego poszczególnego kraju. Do tego potrzeba: żyzności gruntu, taniej uprawy, łatwego transportu, zniesienia cła i wielu innych warunków, którym zadosyć uczynić coraz trudniej wskutek drogiego robotnika, a zwłaszcza wyjałowienia gruntów, i tym podobnych nieprzyjaznych okoliczności.

Jakież są środki zaradcze, aby, jeżeli nie usunąć, to przynajmniej zmniejszyć tę ostatnią przeszkodę?

Każda kultura wymaga specyalnej poprawy, specyalnych środków i nawozów: potażu, azotu, fosforanów i t. d. Pszenica wymaga głównie azotu pod postacią amoniaku i kwasu azotowego; wszystkie inne potrzebne pierwiastki znajdują się w samym gruncie, a tylko jeden azot—w powietrzu atmosferycznem, i dostarczenie go z atmosfery na potrzeby gruntu jest jednem z najtrudniejszych zagadnień dla rolnika.

Źródła azotu, jakie mamy obecnie do rozporządzenia, sprowadzają się do następnych.

Jedynym i najważniejszym związkiem, zawierającym azot w dostatecznej ilości do poprawy gruntów, jest saletra chilijska (azotan sody). Obecna jej eksploatacya wynosi nie wiele więcej nad milion tonn na rok, gdy tymczasem dla wspomnianego celu potrzeba jej przynajmniej dziesięć razy więcej. Ale nawet przy dzisiejszej jej eksploatacyi w tak ograniczonym rozmiarze zapasy jej wystarczyłyby zaledwie na 25 lat.

Inne źródła są jeszcze uboższe.

Tak np. przy dystylacyi węgla kamiennego przez towarzystwo gazowe otrzymuje się pewną ilość amoniaku, dostarczającego siarczan, sól wielkiej wartości. Ale ilość ta nie wynosi nawet pół miliona tonn rocznie w całej Europie.

W ostatnich czasach liczono bardzo wiele na odkrycia Hellriegel'a, o których wspominaliśmy w poprzedzającem sprawozdaniu. Nie odmawiając im poważnego znaczenia w zasadzie, musimy przyznać, że praktyczne ich zastosowanie na wielką skalę, t. j. dla ratowania zagrożonej pozycyi świata, nie ma widoków powodzenia.

Przez długi czas bogate źródło sztucznego nawozu azotowego stanowiło guano, ale zapasy jego do tego stopnia zostały wyczerpane, że obecnie źródło to sprowadza się do bardzo małego znaczenia dla tych poważnych celów.

Wody ściekowe wielkich miast stanowiłyby poważne źródło azotu, ale cóż, kiedy zawarty w nich azot marnowany jest nieopatrznie. Podług prof. Crookes'a, jedna Anglia i połączone królestwa wyrzucają tą drogą w morze około pół miliona franków rocznie, na co już przed kilkudziesięciu laty zwrócił uwagę J. Liebig, wypowiadając zdanie, że takie naruszanie praw natury w ciągu długiego szeregu lat nie ujdzie jej bezkarnie. Im więcej bowiem będziemy marnować to, co nam daje ziemia, tem prędzej wyczerpiemy zapas azotu związkowego, zwłaszcza, że i same rośliny pracują również w tym kierunku, czerpiąc wszystko z ziemi, a nic jej za to nie oddając w zamian. A ileż to azotu związkowego traci artylerya pod postacią dymu w czasie wojny!

Tym sposobem jedynem i głównem źródłem azotu w naturze musi być powietrze atmosferyczne, które zawiera go około 8 tonn na każdy metr kwadratowy. Największem przeto zagadnieniem dla chemii współczesnej, kwestyą żywotną postępu ludzkości, od której rozwiązania zależy zdrowie, pomyślność, nawet życie narodów cywilizowanych, jest fiksacya azotu atmosferycznego. Jeżeli kwestya ta nie będzie rozwiązana szybko i w zadawalający sposób, ludy cywilizowane stracą swoje przodujące stanowisko w świecie, zostaną skazane na zagładę, pokonane będą przez rasy, których egzystencya nie zależy od produkcyi zboża, a specyalnie pszenicy.

Po tych wstępnych uwagach, przechodzimy do głównego naszego zadania, a mianowicie do uzasadnienia wypowiedzianej przez prof. Crookes'a opinii i podania środków zaradczych.

Całe tysiące lat ludzkość żyje kosztem pewnego zapasu azotu, i pierwiastek ten nie tylko nie ma źródła, z którego byłby odnawiany, ale jeszcze służy on do podtrzymywania życia wszystkich zwierząt, rozrzuconych po powierzchni naszej planety. Przytem ludność ziemi ciągle wzrasta, a tem samem jednocześnie wzrasta zakres jej potrzeb, t. j. rozmiar głównego pokarmu—zboża. Wobec zupełnego wyczerpania się, wyjałowienia ziemi, dawno już potrzeba było udać się o pomoc do nauki, w niej szukać odrodzenia, powiększenia środków do życia. Tym sposobem powstały sztuczne nawozy, potrzebne do użyźniania ziemi, a te zwiększyły ilość materyi azotowych, a tem samem i zboża, używanego na pokarm dla człowieka. Ale ilość ich jest tak małą, iż nie odpowiada celowi. „Kwestya azotowa, powiada W. Crookes, jest kwestyą żywotną dla postępu społeczeństw cywilizowanych i powinna być rozwiązana bezzwłocznie". Dla tego to musimy wytworzyć zupełnie nowy system żywienia się, jeżeli nie chcemy umrzeć z głodu w najbliższej przyszłości.

Podług Crookes'a, konsumcya zboża na jednego człowieka w ostatnich czasach wzrosła od 20% (Belgia) do 100% (półwysep Skandynawski). Jeżeli przy tem zwrócimy uwagę na przyrost samej ludności, to brak zboża da się uczuć już po kilku latach, a w r. 1931 zwiększanie zasiewów, t. j, uprawy zboża, stanie się zupełnie niemożliwem. A skoro nie można będzie zwiększyć obszaru uprawy, to pozostaje jeden tylko środek, t. j. podniesienie żyzności ziemi za pomocą sztucznych nawozów, jak to wyżej napomknęliśmy, z pomiędzy których najwięcej produkcyjną jest saletra. Doświadczenia prof. Wagnera wykazały, że zawsze otrzymują się pomyślne rezultaty przy użyciu tego sztucznego nawozu, oraz że prawo to ma miejsce nie tylko przy sztucznych kulturach wodnych, ale również w doświadczeniach, prowadzonych na wielką skalę w naturze. Z ilości dodanej saletry dla roślin, możemy nawet dokładnie oznaczyć ich plon, który do pewnego stopnia jest ściśle proporcyonalny do ilości zużytej saletry. Ten sztuczny nawóz, jakeśmy już widzieli, wyrabiają w naturze pewne mikroorganizmy, ale w rozmiarach nieproporcyonalnych do ciągle rosnących potrzeb człowieka. Przytem jest rzeczą bardzo niedogodną, jeżeli się jest zależnym od tak kapryśnego źródła, i dla tego prof. Crookes bardzo sceptycznie zapatruje się na pracę tych naszych pomocników—mikroorganizmów, zdolnych przyswajać wolny azot powietrza. Działalność ich kapryśna; powodują one zmęczenie kultury, a przytem potrzeba zajmować nowy grunt pod uprawę dodatkowych roślin pomocniczych.

Dla ratowania zagrożonej sytuacyi, przypomniano sobie o dawnem doświadczeniu Cavendish'a, podług którego, jeżeli przepuszczać będziemy przez wilgotne powietrze iskry elektryczne, to azot łączy się z tlenem i daje kwas azotowy, który z kolei, połączony z zasadą alkaliczną, daje sztuczną saletrę. Kwestya powyższa zatem sprowadza się do innej, a mianowicie: do kwestyi wynalezienia taniego sposobu otrzymywania energii elektrycznej. Otrzymywanie zatem kwasu azotowego na wielką skalę z powietrza atmosferycznego sposobem *najłatwiejszym*—i *najtańszym*, oto najważniejsze zagadnienie, które rozwiązać powinna chemia współczesna. Gdzie tylko zatem znajduje się tani motor, źródło energii elektrycznej, jak wodospad lub wiatr, tam należy palić azot powietrza, *resp.* łączyć go z tlenem, dla wytwarzania kwasu azotowego, a następnie saletry. Takie jest, podług prof. Crookesa'a, wyjście z obecnego krytycznego położenia, zażegnanie grożącej rodowi ludzkiemu klęski.

Zdaniem sir Williama Thomsona, nie należy marnować w ten sposób tlenu naszej atmosfery, gdyż i tak przyjdzie niedługo czas.

w którym wszystek tlen będzie zużyty, tak, że go zabraknie do oddychania, i wszystkie istoty żyjące zostaną uduszone.

Współczesny Cavendish'owi lord Priestley, któremu zawdzięczamy odkrycie tlenu, zajmując się tą sprawą, tak bardzo nas obecnie interesującą, postawił sobie pytanie: „W ciągu długiego szeregu wieków psuje się powietrze wskutek różnych procesów, a mianowicie: gorzenia, oddychania, gnicia i t. d.; jakim tedy sposobem, pomimo upływu tak długiego czasu, możemy dotąd jeszcze oddychać"?

Pomieniony naturalista był zdania, że głównym czynnikiem, oczyszczającym powietrze atmosferyczne, jest ocean. Wkrótce jednak spostrzegł, że pogląd ten jest mylny, i z kolei rzeczy zwrócił uwagę na lasy i łąki, aby się przekonać, czy czasem nie ten zielony ocean ziemski jest źródłem, oczyszczającem nasze powietrze atmosferyczne. W tym celu nakrywał zapaloną świecę cylindrem szklannym, a kiedy świeca zgasła wskutek zepsucia się powietrza w cylindrze, wprowadzał do cylindra zielone rośliny; po kilku dniach świeca znowu mogła się palić w cylindrze. Uczonego angielskiego zajmowała higieniczna strona kwestyi: powietrze było zepsute, niezdatne do oddychania i podtrzymywania palenia, a wskutek działania zielonych części roślin stawało się znowu zdatne; rośliny przywracały mu dawną władzę.

W następstwie inny uczony, naturalista francuski Sennebier, dowiódł, że proces powyższy stanowi żywienie roślin; że skutkiem tego procesu w tych ostatnich powstaje związek węgla, przyczem wydziela się tlen. Priestley uważał ten proces za dobroczynny dla ludzkości; przeciwnie, sir W. Thomson jest zdania, że on może być przyczyną naszej zguby. W mowie swojej, mianej na posiedzeniu „Stowarzyszenia Brytańskiego" (*British Association*), zaznaczywszy, że pokłady węgla kamiennego, w głębi ziemi zawarte, są pochodzenia roślinnego, a tem samem, że wzięły początek z kwasu węglowego atmosfery, wypowiada zdanie, że przed długim szeregiem wieków w atmosferze naszej nie było tlenu, a miejsce jego zastępował kwas węglowy. Powstałe w następstwie rośliny rozłożyły ten kwas, wydzieliły tlen, a same zostały pogrzebane we wnętrzu ziemi, tworząc z kolei pokłady węgla. Z tego wynika, że, jeżeli spalimy ten węgiel, to on znowu powróci do atmosfery ziemskiej pod postacią kwasu węglowego, wszystek tlen zostanie tym sposobem zużyty, a rodowi ludzkiemu grozić będzie zupełna zagłada wskutek braku tego pierwiastku, niezbędnego do oddychania. Właśnie ta epoka zbliża

się, gdyż wszystkie potrzeby przemysłu zmuszają do ciągłego palenia węgla kamiennego.

Jeżeli jednak zwrócimy uwagę, że tlen był na ziemi i przed istnieniem roślin, że same rośliny potrzebują tlenu i nie mogły istnieć przed nim że nawet zielony barwnik roślinny, chlorofilem zwany, przed dokonaniem rozkładu kwasu węglowego sam potrzebuje tlenu do swego powstania, — to przyjdziemy do wniosku, że kwestya powyższa sprowadza się na grunt ilościowy. I dla tego uczeni stawiają pytanie: coby się stało z atmosferą naszą, gdybyśmy spalili wszystek węgiel?

Nie możemy w danej chwili wdawać się w bliższy rozbiór tej kwestyi, która tym sposobem pozostaje otwartą.

Jeżeli ciągle wyczerpujące się twory przyrody potrzeba koniecznie zastępować produktami sztucznymi, któreby mogły grać w organizmie ludzkim rolę przyrodzonych tworów ziemi, to wynika stąd, że, zanim nastanie ta konieczność, t. j. w najbliższym czasie powinniśmy przy pomocy nauki obmyślić i wypracować zupełnie nowy system żywienia organizmu.

Przed kilkoma laty znany chemik francuski Berthelot rozbierał warunki, przy których mogłaby nastąpić zmiana tego systemu. Podstawy, na których mógłby być zbudowany nowy system, dają się sprowadzić do następnych.

Wszystkie materyały pokarmowe w ogóle, a między innymi mleko, mięso, jaja, mąka i t. p., składają się prawie wyłącznie z węgla, wodoru, tlenu i azotu. Związek tlenu z wodorem tworzy wodę; tlen i azot wchodzą w skład powietrza atmosferycznego; związek tlenu z węglem czyli kwas węglowy stanowi główny pokarm świata roślinnego wogóle. Z pomienionych czterech elementów, tych źródeł życia, nauka powinna wytworzyć nowe materyały pokarmowe dla rodu ludzkiego, gdyż te pierwiastki, jedyne czynniki życia organicznego na ziemi, łatwo jest wydzielić, odosobnić i połączyć z sobą na nowo. Kiedy zniknie ostatni kawałek mięsa na ziemi, powiada dr. Las Cases, chemia przedstawi nam nowy produkt pokarmowy, zupełnie podobny do niego pod względem chemicznym, łatwo przyswajany przez organizm i jednakowo pożywny. Ale czy ten sztuczny beefsteak będzie miał taki sam kształt, smak i wielkość, jak nasz wołowy? Dotąd jeszcze niewiadomo, zresztą nie ma to nawet wielkiego znaczenia. Ważnem tylko jest to, aby on mógł podtrzymywać siły człowieka i wytwarzać ciepło, niezbędne dla życia organizmu. Ten nowy sztuczny preparat będzie miał nawet tę wyż-

szość nad obecnym, iż uwolni nas od wielu chorób, na jakie narażeni jesteśmy obecnie przy spożywaniu niezdrowego, zepsutego mięsa.

Chemia syntetyczna, jak powiada dalej dr Las Cases, daje nam, czyli raczej może nam dać, nie tylko konieczne dla życia produkty pokarmowe, ale i to wszystko, czego wymaga wyszukany smak społeczeństw cywilizowanych: herbatę, kawę, mydło... Sztuczna wanilia już prawie wyparła naturalną, podobnie jak sztuczna musztarda. Kwasy salicylowy, winny i cytrynowy otrzymywane są bezpośrednio drogą sztuczną. Wkrótce również sztuczny kauczuk będzie przygotowywany ze sztucznej terpentyny. Prof. Berthelot zdołał otrzymać drogą chemiczną tłuszcze i oleje; to samo prawie przeprowadzonem już zostało co do cukru i niektórych związków węgla, a w najbliższej przyszłości będą również przygotowywane związki azotowe drogą chemiczną. Węgiel, wydzielony z kwasu węglowego, tlen i wodór, otrzymane przez rozkład wody, azot, otrzymany z powietrza, będą w najbliższej przyszłości jedynymi czynnikami do żywienia organizmu, oświetlania i ogrzewania na wielką skalę, o czem na innem miejscu mówić będziemy.

Jak powiedzieliśmy wyżej, zapas związków azotowych w niedługim czasie może być zupełnie wyczerpany, i niezbędną dla gruntu ilość azotu do jego użyźniania potrzeba będzie w takim razie otrzymywać drogą sztuczną. Prof. Crookes wskazuje nietylko źródło, ale i sposób, w jaki możnaby tego dokonać najłatwiej.

„Sądzę, powiada pomieniony naturalista, że zagadnienie to możemy rozwiązać, paląc azot atmosferyczny przy pomocy prądu elektrycznego o wielkiej sile. Gdyby można było użyć do tego celu siły wodospadu Niagary, otrzymywalibyśmy tonnę materyi azotowych za 125 franków, czem nawożąc umiarkowanie nasze wyjałowione pola, mielibyśmy plonu tyle, ile daje najurodzajniejsza ziemia".

Dr. Rudolf Watthames z Nowego Yorku, prof. chemii w tamtejszem kolegium, z powodu wygłoszenia powyższych opinii przez prof. Crookes'a, które zaniepokoiły cały świat naukowy, tak się wyraża: „Co do mnie, przyjmuję w zupełności przepowiednię prof. Crookes'a. Wyczerpanie zapasów zboża na ziemi jest zupełnie możliwe. Przyszedł on do tego rezultatu po wykonaniu wielu skomplikowanych obliczeń, co naturalnie powinno dać nowy impuls pracom nad przygotowywaniem materyałów pokarmowych drogą sztuczną, prawdopodobnie według metod, jakiemi kierował się prof. Lilienfeld w swoich poszukiwaniach nad przygotowaniem sztucznego białka. Obecnie trudno jest powiedzieć, o ile pomieniona metoda okaże się

skuteczną; nie można jednak utrzymywać, że przygotowywanie materyałów pokarmowych w ten sposób jest zupełnie niemożliwe.

Z drugiej strony, jeden ze znakomitych elektrotechników, prof. Tesla, wypowiada swoje zdanie o powyższym przedmiocie w następujący sposób:

„Zastosowanie prądów elektrycznych pozwoli nam otrzymywać azot z powietrza atmosferycznego i przygotowywać kwas azotowy, amoniak i ich sole do wyrabiania nawozów sztucznych. Studyowałem dokładnie środki zużytkowania azotu powietrza do celów przemysłowych przy użyciu prostej siły mechanicznej. Byłoby bardzo korzystnie dla społeczeństwa przygotowywać tą drogą nawozy sztuczne. Materye azotowe możnaby było otrzymywać w tak wielkiej ilości, że wyczerpane obecnie grunta krajów, najmocniej zaludnionych, mogłyby wtedy łatwo wyżywić swoich mieszkańców. Bez wątpienia, idealną siłą mechaniczną dla otrzymywania azotu z powietrza atmosferycznego jest w tym razie siła wodospadów. Przy utylizacyi siły wodospadów, nie wyczerpujemy ani zapasów węgla, ani lasów. Siła ta, która w przeciwnym razie byłaby dla nas straconą, użytą być może do wytworzenia prądów elektrycznych dla użyźnienia wszystkich gruntów na ziemi. Wodospad Niagary, podług prof. Crookes'a, którego opinię podzielam w zupełności, dostarczy nam największego motoru, jakim kiedykolwiek rozporządzał człowiek. Rezultatem podobnego przedsięwzięcia byłoby zupełne podbicie przez człowieka sił przyrody, zerwanie z dotychczasowemi empirycznemi metodami, i miliony istot ludzkich byłyby ocalone od śmierci głodowej".

Wskazawszy źródło, uczony profesor wskazuje jednocześnie i sposób, którym możnaby przeprowadzić podobne użyźnienie gruntu, a który w zasadzie polega na dokładnem kopiowaniu natury.

Deszcz zbiera po drodze swojej znajdujące się w powietrzu materye azotowe, a osadzając je na ziemi, zwiększa jej urodzajność. Za każdym razem, przy wywiązywaniu się elektryczności w powietrzu, tworzy się kwas azotowy, który, w połączeniu z amoniakiem powietrza, daje azotan amoniaku, przyczyniając się tym sposobem do użyźniania gruntu. Dla tego Tesla radzi otrzymywać sole azotowe w olbrzymim aparacie elektrycznym, opatrzonym wysoką rurą metalową. Siła poruszająca byłaby dostarczana przez wodospady, i dla tego rura, w mowie będąca, służyłaby do sztucznego wytwarzania burz. Działaniem tego aparatu elektrycznego azot powietrza wytwarzałby kwas azotowy, zbierający się u spodu rury: byłby uży-

wany do przygotowywania azotanów, jako soli, najodpowiedniejszych do użyźniania ziemi.

Tą drogą, przy użyciu siły wszystkich wodospadów na ziemi, możnaby najbardziej wycieńczonym gruntom przywrócić dawną ich żyzność i zwiększyć znakomicie zbiory pszenicy w krajach o wiel, kiem zaludnieniu.

Kiedy prof. W. Crookes przyszedł do wyżej wyłuszczonych rezultatów i ogłosił nam tę groźną przepowiednię, inny uczony, prof. Lilienfeld, podał niedawno do wiadomości uczonego świata, iż znalazł sposób przygotowywania drogą chemiczną materyałów pokarmowych z substancyi mineralnych, a mianowicie otrzymywania w laboratoryum sztucznego białka. To ostatnie jest najpożywniejszym pokarmem i między innemi znajduje się w jaju w najczystszym stanie. Sądzono dotąd, że białko mogą jedynie przygotowywać istoty żyjące świata roślinnego i zwierzęcego w wielkiem laboratoryum przyrody. Przygotowane przez Lilienfelda białko ze smoły, wobec reprezentantów nauki, przedstawia się pod postacią ciemnego proszku, zbliżającego się do białka jaja pod względem smaku. To sztuczne białko, otrzymywane w sposób łatwy i małym kosztem, zrobiłoby ogromny przewrót w całym świecie, i dlatego powyższe odkrycie jest wielkiego znaczenia. Czyste białko jest dwadzieścia razy pożywniejsze od mięsa przy tej samej wadze, nie utrudnia trawienia nawet wtedy, kiedy stanowi jedyny i wyłączny pokarm w ciągu długiego czasu. Wobec takiej przewagi nad mięsem znakomita jego wyższość nad innymi pokarmami pod względem pożywności jest niezaprzeczoną. Przytem pożywność naturalnego białka znacznie się zmniejsza, jeżeli go używa się pod formą mięsa lub jaj nie pierwszej świeżości, i dlatego, przygotowywując sobie pokarm ze sztucznego białka, człowiek w sprawie żywienia się nie będzie zależnym od świata zwierzęcego.

Inne szczegóły, dotyczące tego wielkiego odkrycia i następstw jakie za sobą pociągnie, sprowadzają się do następujących. Obliczenia wykazały, że dzienny koszt żywienia jednego człowieka tem sztucznem białkiem wynosiłby najwięcej 15 kopiejek, czyli 4 do 5 rubli miesięcznie. Materyał ten nie ulega zepsuciu, nie będzie powodował chorób ani wielkiego pragnienia, jak np. solone mięso i inne konserwy. Innemi słowy to sztuczne białko mogłoby stanowić idealny pokarm pod każdym względem i przy wszelkich warunkach życia. Zobaczymy!

Co się tyczy części składowych tego sztucznego białka, to są one prawie takie same, jak części składowe smoły. Różnica jest

tylko ilościowa. Smoła zawiera w sobie wodór, węgiel, tlen, azot i siarkę. Te same pierwiastki wchodzą w skład sztucznego białka: tylko ilość tlenu i węgla jest w niem cokolwiek mniejsza, niż w smole. Tym sposobem całe zadanie chemii polega na tem, aby wydzielić ze smoły odpowiednią ilość tych ostatnich pierwiastków celem zamiany jej na ten nowy produkt. W jaki sposób prof. Lilienfeld przerabia smołę na sztuczne białko, jeszcze nie wiadomo; faktem tylko jest, że dowiódł on chemicznie jego identyczności z produktem naturalnym.

Kwestya pożywności tego sztucznego białka, jak również jego zachowanie się względem organizmu ludzkiego, *resp.* żołądka, stanowi już obecnie przedmiot badań dla uczonych, i rezultaty tych badań powinny być podane czytającemu ogółowi w formie przystępnej. Ogólnie zaznaczyć można, że już obecnie laboratorya chemiczne potwierdzają możność otrzymania sztucznego cukru ze smoły. Chemik niemiecki Fischer pracuje nad sposobem przygotowania sztucznego cukru ze smoły i, jak podają pisma naukowe, zdołał on otrzymać tą drogą cukier owocowy.

* *

*

Powiedzieliśmy, że elektryczność służyć nam ma za siłę główną do przygotowywania sztucznych nawozów z azotu atmosferycznego, a motorem do wytwarzania tej siły może być ruch wody. Przypatrzmy się tedy bliżej tej kwestyi w praktyce, a mianowicie przedstawmy w ogólnych zarysach, jak ona jest pojmowaną i stosowaną już obecnie w wielu krajach, a między innemi i na drugiej półkuli.

Przedewszystkiem powiedzmy słów kilka o zastosowaniu energii elektrycznej w warsztatach mechanicznych, przytaczając niektóre dane ze sprawozdania, odczytanego na posiedzeniu Stowarzyszenia Brytańskiego (British Association).

Za najlepszą charakterystykę obecnego wieku służyć może znakomita solidarność między nauką a praktyką, jak to widać na elektrotechnice. Przed 30 laty wynaleziona została maszyna dynamo-elektryczna, która umożliwiła stosowanie elektryczności w praktyce; ale już dawno przedtem, jak wiadomo, były odkryte prawa przyrody, rządzące biegiem i rozdziałem prądów elektrycznych, a mianowicie prawa Ohma, Kirchofa, Webera, Ampère'a i Faradaya.

Ze wszystkich współczesnych zastosowań tego rodzaju pierwsze miejsce zajmuje bez zaprzeczenia „przesyłanie siły na odległość za pomocą elektryczności", co przypuszcza obecność motoru elektrycznego, służącego do zamiany prądu na pracę mechaniczną.

Pierwsze ważne zastosowanie elektryczności do tego celu miało miejsce w Berlinie w r. 1879, kiedy W. Siemens urządził na wystawie berlińskiej niewielki tramwaj elektryczny. Dziś już nie potrzeba mówić o wyższości tej siły, jako motoru, która w niedalekiej przyszłości zastąpi siłę konia i pary; zastąpienie zaś parowozów w praktyce na kolejach maszynami elektrycznemi zależeć będzie jedynie i w zupełności od warunków ekonomicznych.

Przy zastosowaniu siły elektrycznej odróżniamy trzy faktory (czynniki), wspólne wszystkim systemom, a mianowicie:

1) Źródło energii elektrycznej;

2) Sposób przesyłki takowej;

3) Aparat do utylizacyi energii.

Rozumie się samo przez się, że, jeżeli energię mechaniczną można bezpośrednio stosować, jako pracę bez poprzedniej zamiany na energię elektryczną, to otrzymujemy pełniejszą utylizacyę energii, gdyż zamiana jej na energię elektryczną pociąga za sobą pewną stratę. Ale elektryczność jest bardzo dogodna do przesyłania jej na więcej lub mniej znaczne odległości. Łatwość, z jaką prąd może być przeprowadzony na wszelką odległość, pewność oznaczenia naprzód możliwych strat oraz zdolność przewodników do zajmowania wszelkich możliwych pozycyi—oto zalety, których nie daje żaden inny system.

Wiadomo, że na szczotkach maszyny dynamo-elektrycznej można otrzymać pod postacią energii elektrycznej około 80% siły maszyny parowej, i że motor elektryczny może reprodukować przeszło 90% energii elektrycznej, otrzymanej pod postacią pracy mechanicznej. Stąd wynika, że dla zmniejszenia strat istnieje tylko trzeci faktor, a mianowicie sposób przesyłania. W tym celu należy zwiększać natężenie prądu, do czego potrzebne jest ulepszenie izolowania przewodników. To ostatnie tak postąpiło, że obecnie przesyłają się prądy o sile 10,000 wolt i więcej bez żadnej trudności, podczas gdy dawniej najwyższą granicą było 2,000 wolt. Poważniejsze trudności zachodzą przy budowie maszyn dynamo-elektrycznych o wysokiem natężeniu, i dla ich pokonania istnieje bardzo wiele dowcipnych przyrządów. Mając prąd zmienny, możemy przy zastosowaniu transformatorów używać generatorów i silników o słabym prądzie, gdy tymczasem po przewodnikach pójdzie prąd o wysokiem natężeniu, jakkolwiek ta wyższość otrzymuje się kosztem nowej straty energii przez podwójną transformacyę czyli zamianę. Rozumie się samo przez się, że system ten jest tem korzystniejszy, im większa jest odległość. Dogodny jest on również pod tym wzglę-

dem, że transformatory zajmują mało miejsca. Nie ulega wątpliwości, że, gdyby wynaleziono dogodny motor tak prądu zmiennego, jak i stałego, to system ten byłby obecnie dominującym; motory jednak pozostawiają wiele do życzenia, czego szczegółowo rozbierać na tem miejscu nie możemy. Zauważyć przytem należy, że system prądów stałych jest znacznie prostszy, a tem samem tańszy. Ponieważ generatory prądu stałego dają prąd o natężeniu do 2,000 wolt, to system ten najłatwiej daje się zastosować przy niewielkiej odległości, na jaką ma być przesyłana energia. To też we wszystkich fabrykach i warsztatach stosują zazwyczaj prąd stały, jak to ma miejsce między innemi w fabryce braci Siemens et Co. w Charlton. Sześcioletnie doświadczenie dowiodło również oszczędności tego systemu.

Kwestya paliwa i wody jest jedną z bardzo ważnych, i potrzeba zawsze wybierać dla tego rodzaju urządzeń taką miejscowość, aby dostawa ich była jak najtańszą. Dostawa wody połączona jest zazwyczaj z wielką trudnością, przynajmniej mało jest miejsc takich, gdzieby można było otrzymywać wodę w dostatecznej ilości. Co się tyczy paliwa, to najekonomiczniej jest zakładać stacyę w bliz-kości kopalń węgla, tak, aby z tej stacyi mógł być dostarczany prąd sąsiednim fabrykom. Takie urządzenie ma miejsce w Brakpan w Transvaalu, i prąd stamtąd dostarcza się aż do Johannesburga, odległego o 30 kilometrów. Stacya posiada cztery dynamo-maszyny z motorami parowymi, (każda o sile 1000 koni) dające prąd, który przy pomocy transformatorów można podnieść do 1000 wolt.

Prąd ten kieruje się następnie do głównej linii przewodników, ogólnej długości 40 kilometrów, od której idzie wiele bocznych gałęzi do różnych kopalń, gdzie transformatory obniżają znowu natężenie prądu do potrzebnej siły.

Podobne urządzenie zostało również zaprowadzone na Szląsku, w okręgu górniczym niedaleko Waldenburga. Stacya znajduje się przy samem wyjściu szachty węglowej, i składa się z czterech dynamo-maszyn, każda o sile 300 koni.

Kończąc tę pobieżną wzmiankę o zastosowaniu energii elektrycznej w warsztatach, powtarzamy że elektryczność, której zalety przy przesyłaniu energii na znaczne odległości są widoczne, zyska wielkie rozpowszechnienie w przyszłości.

* * *

W ostatnich latach i w Anglii z niezwykłą szybkością rozpoczęło się się stosowanie elektryczności w przemyśle, głównie na wybrzeżu północno-wschodniem, a mianowicie w hrabstwach Middlesborough i Hartlepoole. Przed kilku laty w całej tej miejscowości

nie było ani jednej fabryki, ani jednego warsztatu, któreby pracowały przy pomocy elektryczności. Obecnie, po pomyślnem zakończeniu peryodu prób, zaczęto na wielką skalę wprowadzać elektryczność, jako motor ruchu w warsztatach i mechanizmach różnego rodzaju.

Na szczególną uwagę zasługuje nizka cena eksploatacyi do pomienionych celów, która w ciągu pewnego czasu nie przekracza 2 do 2% kapitału, wydanego na urządzenie danego zakładu fabrycznego.

Pierwszym zakładem tego rodzaju, który zaczął stosować w Anglii elektryczność, jako motor fabryczny, jest warsztat okrętów firmy „Furness Wealthy and C°" w Hartlepoole.

Od roku przeszłego w Anglii przy przesyłaniu elektryczności na odległość zaczęto używać maszyn, których generatory nie są zaopatrzone w kommutatory i szczotki, a tylko w niewielkie pierścienie dla puszczania motoru w ruch. Zastosowanie tych motorów przedstawia pewne dogodności, a mianowicie, że można, stosownie do życzenia, zwiększać natężenie. W fabrykach, które zajmują niewielką przestrzeń, stosuje się siła prądu zazwyczaj nie większa od tej, jaka dopuszczalna jest w dynamo-maszynach o prądzie stałym. I dlatego właśnie niema tam niebezpieczeństwa dla robotników. System ten zastosowany był najprzód na wielką skalę w fabryce maszyn Richardsona. W następstwie przyjęły go niżej wymienione firmy północno-angielskie:

„North Eastern Steel and C°", Middlesbrough;
„R. and W. Hawthorn, Leaslie and C°", Hebburn-on-Tyne; oraz
„Palmer's Shipbuilding and Iron Works", Iarrow.

Zastosowanie elektryczności w fabrykach angielskich posuwa się ciągle naprzód i powoli obejmuje całe okolice przemysłowe.

Z kolei przechodzimy do elektrometalurgii i eksploatacyi siły wodospadów w Ameryce, która zawsze prawie wyprzedza starą Europę na polu odkryć i ich zastosowania w praktyce i już dawniej zwróciła uwagę na siłę wodospadów tamtejszych, a między innymi Niagary, którą możnaby wyzyskać, jako gotowy motor do celów przemysłowych i fabrycznych, zanim zaczęła używać siły z innych źródeł pochodzącej.

W samej rzeczy, niema na kuli ziemskiej miejsca, w któremby pomysł, wyżej wspomniany, był więcej rozwinięty, niż na brzegach wielkich jezior Ameryki Północnej, co objaśnić się daje z jednej strony bogactwem sąsiednich kopalń rozlicznych rud tak na terrytoryach Stanów Zjednoczonych, jak i w samej Kanadzie, a z dru-

giej strony taniością siły elektrycznej, jakiej dostarcza *gratis* energia wodospadów. Odbywają się tam wszelkie próby przedwstępne i wprowadzają w wykonanie zaprojektowane plany z gorączkową szybkością, według znanej recepty amerykańskiej: „*Speed is time, and time is money*" [1]). To też według sprawozdań specyalnych, z których wyjmujemy niektóre szczegóły, potrzebne do ilustracyi naszego przedmiotu, w roku zeszłym na brzegach jeziora Wyższego wyeksploatowano więcej o 4 miliony tonn rudy żelaznej, aniżeli obrobiono jej w tym samym czasie w całem państwie angielskiem.

Ciekawym punktem eksploatacyi we wspomnianej wyżej miejscowości jest miasto S-te Marie, położone po obu stronach kanału, łączącego jezioro Wyższe z Huronem. W okolicach tego miasta znajdują się kopalnie rudy żelaznej, która ze wszystkich rud na kuli ziemskiej zawiera największy procent czystego żelaza. Miasto otrzymuje energię elektryczną przez zużytkowanie siły wodospadu, przy którego pomocy łączą się jeziora w mowie będące. Wobec tego nierównie korzystniej jest obrabiać rudę w piecach elekrycznych, niż w zwyczajnych piecach fabrycznych, gdyż pierwsze z tych pieców, nie mówiąc już o taniości energii elektrycznej, pracują prócz tego daleko ekonomiczniej, niż wszystkie inne dotychczasowe, nawet t. zw. regeneratywne piece gazowe. Przytem w żadnym innym piecu nie można otrzymać tak wysokiej temperatury, ile że piec elektryczny lepiej się nadaje do tego celu, niż inne, w których zazwyczaj produkta palenia nigdy nie są w zupełności otlenione. Pomijamy inne zalety tych pieców, aby nie wkraczać w kwestye zbyt specyalne; nadmieniamy tylko, że nagrzewanie zaczyna się wewnątrz masy topionej w tyglu, którego temperatura zewnętrzna jest zawsze niższa od temperatury tej masy. Tym sposobem topienie może się odbywać w temperaturze $+ 3{,}000^0$ C. w tyglu z surowca, którego punkt topliwości nie dochodzi do $+ 1{,}200^0$ C.

Rezultaty eksploatacyi rudy żelaznej sposobem elektrycznym okazały się tak świetne w praktyce, że szyny stalowe kosztują teraz 25 do 30 fr. mniej za tonnę, niż w Anglii, a płyty stalowe do budowy okrętów przeszło 50 fr. taniej na tonnie, i dlatego specyaliści przewidują, że po upływie lat kilku centralny punkt budowy statków przeniesie się z Anglii do Ameryki, na brzegi Wielkich jezior, do Cleveland i Chicago.

To samo daje się powiedzieć o eksploatacyi miedzi sposobem elektrolitycznym, przy którego użyciu za jeden biegun służą kawałki

---

[1]) „Prędkość to czas, a czas to pieniądze".

nieobrobionego metalu, podczas gdy miedź chemicznie czysta zbiera się przy drugim biegunie. Obrabianie rudy miedzianej drogą elektryczną w mieście S-te Marie zużywa obecnie siłę 10 tysięcy koni, a niebawem siła ta ma być zwiększona w trójnasób.

Bardzo ważne znaczenie ma dobywanie niklu i otrzymywanie jego związków z żelazem czyli tak zwanego ferro-niklu, fabrykacya kuli armatnich morskich oraz stali niklowej, używanej do budowy statków niklowych, i odznaczającej się tak wielką wytrzymałością, że zwyczajne kule działowe nie są w stanie jej uszkodzić. Znajdująca się na terytoryum Kanady ruda niklu zawiera w sobie przymieszkę srebra i miedzi, które oddzielano dotąd sposobem chemicznym: najprzód srebro, potem miedź, a w końcu nikiel. Następnie czysty nikiel topiono z potrzebną ilością żelaza dla otrzymania stali niklowej. Dziś używa się w tym celu sposobu elektrycznego, przy czem tak ferro-nikiel, jak i stal niklowa, otrzymują się bezpośrednio z rud, bez poprzedniego wytapiania czystego metalu. Przemysł to zupełnie nowy, i dla tego trzeba było wszystkie warunki fabrykacyi na nowo opracowywać. W skutek otrzymania przez pomienioną fabrykę wielkich obstalunków dla właściciela zakładów w Essen, Kruppa, główny motor tej fabryki musiał być zwiększony o 100% i obecnie reprezentuje siłę 20 tysięcy koni.

W tem samem mieście jest centralny punkt fabrykacyi produktu, używanego do wyrobu nowej substancyi do oświetlania—acytelenu. Przedmiot ten rezerwujemy na inny raz, ile że o kwestyi pomienionej, jako zbyt ważnej i nowej, musimy cokolwiek więcej się rozpisać.

Ale i bez tego już przytoczone wyżej cyfry dają dostateczne pojęcie o zakresie zastosowania siły elektrycznej na polu przemysłowem w Ameryce. Jakeśmy powiedzieli wyżej, produkcya tego rodzaju możliwą jest w praktyce tylko przy utylizacyi gotowych sił przyrody—t. j. siły wodospadów. Wobec tego podamy opis urządzeń, przeznaczonych do zużytkowania tych bogactw natury, które dotąd szły na marne, bo to jest właśnie nasz główny cel. Jeżeliśmy przytoczyli powyższe dane z dziedziny metalurgii, uczyniliśmy to jedynie dla tego, aby dać pojęcie, jak jest obecnie stosowana w praktyce energia elektryczna, którą zużytkować się ma do wyrobu na wielką skalę sztucznych związków azotowycb dla ratowania zagrożonej egzystencyi ludów cywilizowanych.

Jedno z tego rodzaju urządzeń znajduje się w Kanadzie, pod miastem S-te Catherine, na kanale, łączącym jeziora Erie i Ontario, w kierunku równoległym od rzeki Niagary. Kanał, w mowie będący,

zatamowano w środku jego długości, pod miastem Allenburg, i wodę odprowadzono do zbiornika przez osobny kanał długości około 8 kilometrów, położony na brzegu parowu, na którego dnie zbudowana jest stacya. Kanał ten w biegu swoim przecina kilka rzeczek i parowów, i w tym celu zbudowane są specyalne drewniane kanały. Oprócz wspomnianego wyżej głównego basenu są jeszcze inne zapasowe, które mieszczą w sobie ilość wody, potrzebną na dwa dni pracy. Zbiorniki ograniczone są od strony parowu ścianą betonową, mającą 600 stóp długości na 15 st. wysokości. Przez zamkniętą rurę stalową woda idzie z rezerwoaru do turbin czyli kół wodnych. Rura pomieniona ma w górnej części 9 stóp średnicy; w kierunku przeciwnym posuwając się, widzimy, że stopniowo się zwęża, a w drugim końcu średnica jej wynosi już tylko $7^1/_2$ stóp; przytem grubość jej ścianek stopniowo się zwiększa w miarę posuwania się na dół— od $^3/_8$ do 1 cala, sama zaś rura spoczywa na podstawie z kamienia z podpórkami kamiennemi co 12 stóp. Długość tej ogromnej rury wynosi 900 stóp, a w y s o k o ś ć s p a d k u w o d y 275 s t ó p, t. j. prawie 2 r a z y w i ę k s z a od w y s o k o ś c i w o d o s p a d u N i a g a r y. Ciśnienie wody w turbinach wynosi przeszło 130 funtów na cal kwadratowy. Sam budynek maszynowy znajduje się na najwyższem miejscu, na brzegu małej rzeczki, dokąd idzie woda z turbin. Rozmiary budynku są: długość 175 stóp, szerokość 40 st., wysokość 30 st. Turbiny są wyrobu amerykańskiego, wagi 30 tonn każda, z kołami rozpędowemi stalowemi. Generatory, zbudowane w Montreal, dawać mają prąd o sile 22,500 wolt.

Przeznaczeniem pomienionej stacyi jest zaopatrywać w energię elektryczną cały pas między miastami S. Catherine a Hamilton w okolicy Ontario. Odległość między pomienionymi punktami wynosi przeszło 60 kilometrów.

Nierównie większe urządzenie przygotowują na terytoryum Stanów Zjednoczonych. Na rzece S. Louis, wpadającej do zachodniej części jeziora Wyższego, znajduje się szereg progów na przestrzeni $^1/_2$ kilometra, z ogólnym spadkiem przeszło 450 stóp. Tę siłę dawno już chcieli zużytkować Amerykanie, a obecnie przystępują do wykonania tego olbrzymiego dzieła. Zamierzają również dołączyć do bassenu rzeki S. Louis sąsiedni nowy basen wielkich rozmiarów, bogaty w wodę bieżącą, której ogólna powierzchnia wynosi około 120 kilometrów kw., a głębokość dochodzi do 8 stóp. Ponieważ zużytkowanie poprzednio wymienionego basenu przedstawia trudności, głównie z tego powodu, że prąd rzeki bardzo jest nierównomierny i zmniejsza się nadzwyczaj w zimie, to zamierzono wody osta-

tniego basenu, zatamować, połączyć kanałami, aby go używać jako rezerwoaru zapasowego dla rzeki S. Louis na porę zimową. Przyjmując, że głębokość tego rezerwoaru wynosi tylko 5 stóp, otrzymamy na objętość jego pięć miliardów stóp sześciennych wody— zapas tak ogromny, że wystarczy on na cały czas nizkiego stanu wody po 1000 stóp na sekundę, t. j. drugie tyle, co wynosi minimalny prąd wody podczas zimy.

Przy pomocy kanału, długiego przeszło 40 kilometrów, woda ta będzie odprowadzana do miejscowości, gdzie zbudowaną zostanie stacya. Ogólna wysokość spadku wody wynosić ma 600 stóp, zatem cztery razy więcej, niż woda Niagary, wskutek czego stacya będzie w stanie rozporządzać siłą 100 tysięcy koni. Szybkość biegu wody w kanale, którego przecięcie ma dochodzić do 650 stóp kwadratowych, wynosić będzie 3 stopy na sekundę; kanał będzie iść po linii poziomu gruntu. Przy przecinaniu się tego kanału z dolinami nie będą budowane mosty, ale doliny te będą od siebie odgradzane w niższej części ścianami murowanemi, dosyć wysokiemi. Utworzone przy tem rezerwoary zapasowe będą gromadzić w sobie wodę wszystkich rzeczek, jakieby zostały napotkane drodze.

Kosztorys tego olbrzymiego przedsięwzięcia, przy początkowem urządzeniu stacyi o sile tylko 25,000 koni, wynosi stosunkowo niewielką sumę dwadzieścia milonów franków.

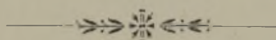
Na tem kończymy obecne nasze sprawozdanie. Obawialiśmy się, aby bezpotrzeby nie przeciążyć go cyframi i nie znużyć tem czytelników, i dla dla tego jedne z nich usunęliśmy zupełnie, inne znowu zarezerwowaliśmy do zużytkowania ich przy odpowiedniej sposobności w następstwie.

T. Skomorowski.



SPRAWA TRANSVAALSKA.

Kartka z dziejów imperyalizmu.[1])



Zanim przedstawimy aferę Jameson, należy nam rzucić okiem na sprawy wewnętrzne rzeczypospolitej. Pierwszym zadaniem rządu po oswobodzeniu kraju musiała być rewizya dotychczasowej konstytucyi, minęło jednakże dziewięć lat, zanim tego dzieła dokonano. Doktór Jorissen, który wówczas już nie piastował żadnego urzędu, w liście otwartym do pana Chamberlain z roku 1896 pisze: „Uważasz Pan za śmieszną chełpliwość, że „pastuchowie“ chcą dyktować prawa przemysłowcom, zagranicznym poddanym; pozwól Pan przypomnieć sobie, że masz do czynienia z państwem cywilizowanem, które już w roku 1852 zostało uznane, jako takie, przez rząd Pańskiej ojczyzny, z państwem o ludności, nie licznej, lecz składającej się nietylko z „pastuchów“. Co do naszego prawodawstwa, możemy być z niego dumni; pod wieloma względami nasze prawa są więcej postępowe od Waszego prawa feodalnego — niema u nas arystokratycznego panowania garści landlordów nad krajem”. Jest w tem wiele prawdy. Rzeczpospolita rządzi się demokratycznie. Władza wykonawcza spoczywa w ręku prezydenta, obieranego powszechnem głosowaniem na lat pięć; wspiera go „rada wykonawcza”. Władza prawodawcza należy do „rady narodowej” (Volksraad), która od 1890 r. składa się z dwu izb: do pierwszej izby

[1]) Ob. zeszyt listopaodwy, 1899.

wybierają wszyscy, posiadający prawo obywatelstwa, w wieku powyżej lat 21, wybieralnym jest każdy obywatel kraju w wieku po nad lat 30, będący członkiem kościoła ewangelickiego, zamieszkały w rzeczypospolitej i posiadający tamże własność ziemską. Do drugiej izby wybierają wszyscy obywalele w wieku od lat 16, posiadający prawo obywatelstwa. Członkowie izb pobierają dyety. Pod względem administracyjnym i sądowym kraj dzieli się na 12 okręgów. Głównym urzędnikiem okręgu jest „landdrast"; na ten urząd rada wykonawcza mianuje dwu kandydatów, z pomiędzy których ludność wybiera jednego. Od woli ludności zależy, czy chce dodać landdrastowi „radę okręgową", której zadaniem jest rozstrzygać w sprawach dróg, szkół i t p. Landdrast dzierży władzę policyjną i jest sędzią pokoju. Sprawy kryminalne rozstrzygają sądy przysięgłych, sprawy cywilne sądy przy landdrastach. Stosownie do warunków bytu farmerów urządzono sądy wędrowne, zasiadające w coraz innej osadzie. Do obrony kraju są powołani wszyscy obywatele od roku 16 do 60-go; siłę zbrojną stałą stanowi jedynie korpus artyleryi. Tuziemcy również są obowiązani do służby wojskowej. Kraj cały jest podzielony na okręgi wojskowe, w których komendę sprawują: „veldkornet" i komendant; głównodowodzącym jest generał-komendant. Wszyscy ci dowódcy sa obierani przez głosowanie. Ćwiczenia obowiązkowe odbywają się co pół roku. Obywatele otrzymują broń—strzelby systemu Mauser i szable — od władzy państwowej i na każde zawołanie muszą stawić się konno i z zapasem żywności — suchary i mięso suszone — na dziesięć dni. W ten sposób mobilizacya odbywa się ze zdumiewającą szybkością. Dochody rzeczpospolita czerpie z podatku gruntowego, pogłównego, licencyi na kopalnie i cła wwozowego. Swoboda słowa i prasy zupełna, jak również swoboda wyznań. Językiem urzędowym jest holenderski.

Nie ulega kwestyi, że cała machina państwowa jest doskonale zastosowana do warunków bytu ludności i niewiele byłoby do zarzucenia. Inna rzecz, jak ci, na których ciąży odpowiedzialność, pojmują swoje zadanie. Nie można zaprzeczyć, że pod tym względem panuje iście chłopski konserwatyzm, ciasnota i brak tolerancyi; ani Krüger, ani jego doradcy nie umieli sprostać zadaniu, jakie im stawiały nowe warunki.

Z odkryciem złota w Witwatersrand stosunki społeczno-ekonomiczne zmieniły się znacznie. Jakkolwiek kopalnie są w rękach cudzoziemców, przecież byli i boerzy, którzy zbogacili się szybko przy sprzedaży swoich gruntów lub przez spekulacye. Milio-

ny dostały się do rąk zagranicznych aferzystów, lecz krocie też płynęły do rąk boerów. Pierwotna równość majątkowa znikła, i „złoto—światów nierządnica”, jak wyraża się szekspirowski Tymon Ateńczyk, poczęło wywierać wpływ zgubny: nie bez podstawy zapewne oskarżają urzędy rzeczypospolitej, dawniej nieskazitelne, o uległość tym, którzy mogą brzęknąć trzosem, i, jeżeli dawniej brak ścisłego odgraniczenia kompetencyi władz krajowych szkody nie przyczyniał, teraz demokratyczne, lecz nazbyt luźne instytucye musiały się spaczyć—korupcye łatwy znałazły dostęp.

Daleko ważniejszym atoli jest wpływ przemysłu w Witwatersrand na ogólne stosunki ekonomiczne. Wzrósł ogromnie popyt na wszelkie artykuły żywności, i tem samem dawna gospodarka naturalistyczna uległa zmianie. Boer z przed laty dwudziestu chciał tylko żyć z roli i trzód swoich, dzisiejszy chce się bogacić; w tym celu musi rozwinąć gospogarkę kapitalistyczną, musi trzymać najmitów, musi stać się przedsiębiorcą; to zmienia do gruntu dawny układ społeczny. Lecz tych zmian Krüger i jego zwolennicy uwzględnić nie potrafili.

Położenie przedstawia się jasno. Dzięki skarbom, zawartym w skałach Witwatersrandu, Transvaal stał się ekonomicznie dominującym krajem w Afryce południowej i od boerów jedynie zależało, czy zdołają na tej przewadze ekonomicznej oprzeć dążenie do supremacyi politycznej. W tym celu trzeba było użyć wszystkich sił do dźwignięcia kraju pod względem przemysłowym i handlowym. Kapitały, potrzebne dla takich celów, znalazłyby się z łatwością w Holandyi, która dziś jeszcze jest jednym z bankierów świata, warunki zaś polityczne układały się nader pomyślnie. Po zwycięstwie bowiem boerów żywioł holenderski w Afryce południowej poczuł swą siłę i zajął stanowisko dominujące w Capland, gdzie opanował parlament. Transvaal, na którego terytoryum leży Johannisburg, ognisko, skąd rozchodzą się wszystkie promienie życia ekonomicznego, miał zatem możność skrystalizowania dokoła siebie tych sił żywiołu holenderskiego i w ten sposób miał sposobność osiągnąć supremacyę w Afryce południowej. Ostatecznym skutkiem takiej polityki byłyby „Stany Zjednoczone Afryki południowej”, jako samoistny, niezależny i potężny ustrój państwowy.

Pomimo pomyślnych warunków takiej polityki nie wszczęto, gdyż brakło żywiołu politycznego. Politykę warunkują stosunki ekonomiczne, lecz robią ją ludzie, a ludzi takich rzeczpospolita boerska nie wydała. Krüger i jego stronnicy starali się wyciągnąć możliwe korzyści z nowego położenia dla kraju, lecz postępowali jak,

zwykli postępować kramarze i chłopi—to tu, to tam utargowali coś. Wielkich celów nie stawiano sobie, na wielką akcyę nie zdobyto się. Jedyny człowiek, obejmujący szerszy widnokrąg polityczny, Jorissen, musiał ustąpić drobnym intrygom przyjaciół Krügera, a ci widzieli główne zadanie w konserwatywnym oporze przeciw nowym warunkom — no, i w robieniu korzystnych interesów, zapewnieniu sobie możliwie znacznego udziału we wzrastającym szybko bogactwie kraju. Jedynym czynem politycznym większej miary było zawarcie przymierza z rzeczpospolitą Oranje.

Przeciwnik boerów, człowiek, który ostatecznie pokierował losem Afryki południowej, innego był pokroju. Przeciw polityce kramarzy Rhodes wszczął politykę wielkiego kapitału, przeciw gnuśnemu konserwatyzmowi rozwijał czynność, obliczoną na cele dużej miary, i nikt nie zaprzeczy, że w dążeniu do tego celu okazał energię niemal napoleońską.

Dążeniem Rhodesa jest również przetworzenie ustroju państwowego w Afryce południowej. „Karta geograficzna od Njasa do Cap powinna być cała pomalowana na kolor czerwony", wyraził się on kiedyś. To znaczy — olbrzymie państwo kolonialne angielskie pod zwierzchnictwem Anglii, na wzór cesarstwa indyjskiego, a namiestnikiem, królem niekoronowanym — Cécil Rhodes. Dorobiwszy się olbrzymiego majątku, znikł on na lat kilka z widowni politycznej —władca Kimberley zasiadł na ławie szkolnej w uniwersytecie Oxfordskim, szkole głównej przyszłych mężów stanu Anglii. W roku 1889 wraca do Afryki i wnet zadaje szach i mat polityce „afrykandrów" holenderskich w Capland; został wybranym do parlamentu, a następnie w roku 1890 mianowanym ministrem prezydentem. Ile tu zdziałał jego wpływ osobisty, niewątpliwie wielki, a ile wpływ milionów, trudno orzec. Statham w swojej książce „South-Afrika as it is", powiada bez ogródek: „tor, po którym pan Rhodes sunął ku swemu urzędowi, został dobrze posmarowany. Hojnie rozdawane pomiędzy członków parlamentu akcye jego towarzystwa wytworzyły śród nich ów błogi nastrój, przy którym niewiele troszczą się ludzie o zasady moralne. Co zaś tycze się członków związku „afrykandrów" (patryotów holenderskich), to postawili oni swoje warunki, którym zadość uczynił: zażądali wolności handlu okowitą, natomiast oclenia produktów spożywczych, jak chleb i mięso, jak również surowszych przepisów co do pracy tuziemców i zapewnienia fiskalnych przywilejów dla wina kaplandskiego" Niezły obrazek patryotyzmu, którym się pochlubić mogą „afrykandrzy". Kiedy się ma do

czynicnia z taką zgrają, nie dziw, że ludzie tego pokroju, co Rhodes, tracą wszelkie poczucie uczciwości politycznej.

Pierwszym jego czynem na wielką skalę było utworzenie „kampanii Afrykańskiej — „Chartered Company". Wyparte przez boerów z siedzib plemię Matabele rzuciło się było na kraj Botszuanów pomiędzy Limpopo a Sambesi. Transvaal rościł pretensye do zwierzchnictwa nad tym krajem, lecz nie umiał wyzyskać swego położenia. W roku 1888 jeden z emisaryuszów Rhodesa wymógł na królu Lobengula traktat, mocą którego król obowiązywał się nie oddawać nikomu gruntów w swoim kraju bez zezwolenia komisarza królewskiego w Capland. Ten układ wystarczył Rhodesowi do zagarnięcia ziem Matabele, gdyż wkrótce Lobengula darował ziemię kilku awanturnikom, a ci sprzedali swoje prawa towarzystwu „gold fields of South-Africa", to jest Rhodesowi. W roku 1889 „J. Królewska Mość" wystawiła list wolny na eksploatacyę kraju na imię „Chartered-Company", której dyrektorami zostali książę Fife, zięć królowej, książę Abercorn, niemiecki bankier Beith, prawa ręka Rhodesa, i sam Rhodes, który był i jest duszą tego przedsięwzięcia. Kapitał zakładowy wynosił 2½ miliona funtów. Natychmiast zaczęła się ekspensya ku północy i ku południowi, i wkrótce Rhodes był panem olbrzymiego kraju od Limpopo aż ku brzegom południowym Tanganajka. Do kraju tego rościli pretensye boerzy i próbowali urzeczywistnić swoje prawa. W roku 1893 kilkaset rodzin boerskich pociągnęło poza Limpopo, aby zająć nowe obszary, lecz na żądanie Anglii rząd w Pretoryi kazał im się cofnąć. Podobnie rościli pretensye Portugalczycy do ziem, zajętych przez kompanię, lecz i tych Rhodes nie uznawał. Jameson na jego rozkazy plądrował po kraju i rządził się, jak szara gęś. Jeden z towarzyszy Jamesona w tych wyprawach nieźle scharakteryzował całą sprawę, pisząc: „Prawnie czy bezprawnie zajęliśmy kraj, o to spierać się nie myślę. Cechą charakteru brytańskiego jest, że zagarniemy kraj każdy, który zagarnąć możemy, a ten instynkt rozbójników morskich albo instynkt starych wykingów, jako cnotę, odziedziczyliśmy z krwią przodków normańskich. Inne narody czyniłyby to samo i czynią, o ile mogą, lecz my jesteśmy energiczniejsi i dlatego na nas przypada lwi udział w podziale ziemi. Na szczęście mieliśmy w wieku zeszłym ludzi, jak Clive i Warren Hastings, (którzy podbili Indye) a obecnie ludzi, jak Rhodes i Jameson". [1]).

Selous. Travels and Adventures in „South-East-Afrika". London 1893.

Nie można odmówić słuszności temu jegomości—polityka kolonialna Anglia różni się od tej, jaką prowadzą inne państwa, jedynie większą zręcznością i energią. Co do powoływania się na wykingów, jest ono tyleż czelnem, co opacznem. Wykingowie szukali siedzib dla siebie i swych rodzin, a w wyprawach swych zbójeckich przynajmniej nastawiali własnego karku; dzisiejsi inicyatorowie podbojów koloniach à la Rhodes za cel mają spekulacye giełdowe i na wyprawy posyłają angielskich biedaków, którym pozostało już tylko sprzedać własną skórę.

Jednakże dla szanownej „opinii publicznej", którą urabiają w Londynie wyrobnicy pióra, pan Rhodes był bohaterem. W kilka lat później sprytny ten mąż połączył „Chartered Company" z „Lakes Company" i w ten sposób został władcą olbrzymiego terytoryum, nazwanego potem „Rhodesyą", położonego pomiędzy jeziorami Njassa a Tanganajka aż ku pustyni Kalahari na południu, to jest terytoryum niemal tego obszaru, co cała zachodnia Europa. Wprawdzie jest to kraj pusty, o zabójczym klimacie, w którym nawet Arabowie i Indusi żyć nie mogą, lecz znaleziono tu złoto, i to wystarczyło, aby giełda, a za nią gawiedź londyńska okrzyczała Rhodesa za genialnego męża, który ojczyźnie oddał usługi olbrzymie. Wpływ tego człowieka musiał naturalnie wzrosnąć niepomiernie. W Londynie popierano go wszędzie, w Afryce stał się niemal wszechwładnym. Jako minister prezydent, niezbyt skrupulatnie przestrzegający ustaw konstytucyjnych kolonii, był już potęgą, a w dodatku z Londynu przysłano takich „high commisioners", jakich sam sobie życzył; w roku 1889 takim komisarzem był Henry Loch, a kiedy ten okazał się niedosyć jeszcze uległym, zastąpił go w roku 1893 Hercules Robinson, dawny przyjaciel Rhodesa, który skompromitował uczciwe swe imię w sprawie Jamesona, poczem pan Milner, absolutne zero i narzędzie Rhodesa.

Rzeczpospolita została osaczona od północy i zachodu przez ziemie kompanii Rhodesa. Poza niebezpieczeństwem politycznem miało to ten zły skutek dla Boerów, że już odtąd nie było mowy o „treckach", o wędrówkach w celu znalezienia nowych siedzib. W ten sposób powstaje liczna ludność, która nie może osiąść na ziemi własnej, i już dziś, jak pisze Wirth, kwestya „białych nędzarzy" staje się palącą, i istnieje obawa, że tuziemcy, którymi opiekują się przynajmniej misyonarze, wkrótce w rozwoju prześcigną tych paryasów białych.

Jednocześnie Rhodes był niezmiernie czynnym na polu działalności ekonomicznej. Do roku 1890 kopalnie złota w Witwatersrand

nie były połączone drogą żelazną z żadnym portem. Od portu Elżbiety w Kapland szła droga do Kimberley, stamtąd pozostawało do przebycia 200 mil na kołach; w Natalu wybudowano drogę od portu Durban aż do Newcastle, zostawało więc 170 mil stepem do Johanisburga Rzeczpospolita postanowiła tedy wybudować własną drogę od Johanisburga przez Pretoryę do portu Delagoa-Boy. W ten sposób cały handel mógł zostać skierowany po przez terytoryum rzeczypospolitej i port neutralny. Temu starano się zapobiedz w ten sposób, że wybudowano linię kolejową przez terytoryum rzeczypospolitej Oranje i potem połączono tę linię z Johanisburgiem.

Dlaczego zgodzono się na tę linię w Transvaalu, skoro widocznem było, że w ten sposób handel Transvaalu musi zupełnie przejść w ręce Anglików, że rząd Caplandu w ten sposób może rozstrzygać o taryfach i cłach? Nie widzimy na to innego tłómaczenia, jak wpływ milionów Rhodesowskich na członków parlamentu w Pretoryi albo zupełne zaślepienie. Linię do Delagoa-Boy wykończono wprawdzie w roku 1895, lecz było już zapóźno; handel, raz skierowany ku portom Caplandu, pozostał w rękach Anglików. W tym okresie, jak już wspomnieliśmy, Rhodes pracował gorliwie nad operowaniem kopalń złota. Trzeba było jeszcze jednego kroku, jeszcze jednej „déroute“ na giełdzie, żeby przełamać opór tych towarzystw, które okazały się na tyle silne, że zwyczajnymi środkami opanować ich nie było można.

Tu geniusz Rhodesa zajaśniał w całej chwale! Jeżeli—kalkulował—uda się zainscenizować mały zamach stanu przeciw rzeczypospolitej, to korzyści mogą być podwójne. Zamach może nie udać się, lecz w każdym razie spowoduje panikę na giełdzie, a tem samem cel pierwszy—pokonanie opornych towarzystw kopalnianych—jest zapewniony; lecz zamach może nawet udać się, wtedy—tem lepiej, będzie panika na giełdzie, a zarazem walka polityczna zostanie rozstrzygnięta, rzeczpospolita Transvaalska przestanie istnieć; a rzeczpospolita Oranje w takim razie jest już łupem łatwym. Urządzić zamach stanu takiemu mocarzowi przyszło łatwo. W Johanisburgu śród aferzystów rozmaitego rodzaju znalazła się gromada ludzi, którzy podejmują się buntowania ludności miejscowej, składającej się przeważnie z obcokrajowców. Rokosz taki łatwo stłumi jednakże kilka szwadronów jazdy transvaalskiej, trzeba tedy poprzeć go najściem zbrojnem. Jeżeli uda się zająć Johanisburg, to stamtąd można ruszyć już łatwo na Pretoryę, i być może rzeczpospolita stanie się łupem tak łatwym, jak w roku 1877. Plan był genialny, i przygotowania były uczynione z całą zręcznością. Do Johanisburga zwie-

ziono kilka tysięcy strzelb i dwie armaty Maksyma, przemycając je przez granicę w wagonach naftowych; krzykacze najęci przez kilka miesięcy burzyli ludność, wykazując straszny niby wyzysk, jakiego rząd rzeczypospolitej dopuszcza się względem górników i przemysłowców; dla bardzo wielu wystarczał hojny poczęstunek gorzałką, aby uzyskać zgodę na sprzysiężenie. O wszystkiem informowano Rhodesa, z którym agenci zamieniali telegramy, tyczące niby założenia nowego towarzystwa akcyjnego.

29 grudnia 1895 r. ruszył z Pitsoni w pobliżu granicy zachodniej Transvaalu na czele zbrojnego tłumu 600 ludzi doktór Jameson, aby nieść pomoc rokoszanom. Lecz okazało się, że agenci w Johanisburgu omylili się—zamiast tysięcy, na jakie liczyli, zaledwie kilkudziesięciu ludzi było gotowych do przyjęcia broni przygotowanej. Zatelegrafowano, aby Jameson się wstrzymał, lecz było zapóźno, przekroczył granicę. Wieść o tem wtargnięciu rozniosła się szybko, i komendant Cronje, który już był odznaczył się w wojnie 1881 roku, zwołał swoich kornetów, a ci stawili się natychmiast ze swoimi oddziałami. Droga do granicy do Johanisburga przy forsownym marszu trwa 2½ dnia, lecz tego czasu wystarczyło dla zgromadzenia milicyi. Na kilkanaście mil przed Johanisburgiem zaskoczono szanownemu doktorowi drogę i zmuszono go do zmienienia marszruty ku południowi. 2 stycznia napastnicy byli obsaczeni, wpędzeni do wąwozu, gdzie boerzy mogli ich powystrzelać, jak lisy — musieli się poddać.

Po nieudanym zamachu naturalnie wyparł się Rhodes wszelkiego w nim udziału, lecz udział ten dziś nie może ulegać żadnej kwestyi. Poszlaki wyraźne. Na zwerbowanie, uzbrojenie i zaprowiantowanie ludzi, na zakup i przemycenie kilku tysięcy strzelb i amunicyi do Johanisburga trzeba było milionów; Jameson był wówczas hołyszem—skąd wziął pieniędzy? Napastnicy zbierali się, naradzali, zbroili na terytoryum Rhodesyi i stamtąd wyruszyli pod dowództwem naczelnika siły zbrojnej w Rhodesyi, Jamsena; Rhodes tego pana przyjmował u siebie i ugaszczał jeszcze na dwa tygodnie przed zamachem, i Rhodes nie wiedział, co się święci? Kierownikiem rokoszu w Johanisburgu był rodzony brat Rhodesa, którego pojmano, i sąd pod przewodnictwem pana Gregorowskiego, człowieka, którego w całej Afryce południowej ludzie wszelkiej narodowości cenią, jako nieskazitelnie uczciwego i bezstronnego, skazał na śmierć tego pana, poczem prezydent ułaskawił go—a Cécil Rhodes o niczem nie wiedział? Do broni stanęli w Johanisburgu przeważnie robotnicy z kopalń, będących własnością Rhodesa, i ci biedacy zeznali, że wzięli

broń jedynie na rozkaz dyrektorów kopalń, którzy inaczej grozili im pozbawieniem pracy—a Rhodes o niczem nie wiedział? Wolne żarty! Zresztą wreszcie są dowody niezbite, bezpośrednie, piśmienne. U jeńców z szajki Jamesona i u rokoszan w Johanisburgu znaleźli boerzy całe pliki dokumentów, wykazujących czarno na białem, że Rhodes był sprawcą świadomym, inicyatorem i kierownikiem całej wyprawy zbójeckiej, i dokumenty te opublikował rząd Transvaalu.

Lecz zradza się pytanie: czy winnych nie należy szukać wyżej jeszcze? czy ręce pana Chamberlain w tej sprawie pozostały czyste? W raporcie, złożonym izbie, w jednej tak zwanych „ksiąg błękitnych", dotyczącej tej sprawy, pan Chamberlain powiada: 29 grudnia wspomniano mi (kto?), że być może policya „Chartered Company" zostania użytą, aby rozstrzygnąć sprawy w Johanisburgu (co pan Chamberlain wiedział o tych knowaniach w Johanisburgu?). Myśl taka zdawała mi się monstrualną; jednakże dla ostrożności telegrafowałem do gubernatora, ażeby zwrócić jego uwagę, jednocześnie prosiłem, aby ostrzegł pana Rhodesa przed skutkami takiego kroku". W parlamencie caplandskim jeden z posłów Anglików, sir James Sinewright, oświadczył natomiast publicznie: „Na kwadrans, zanim wiadomość stąd doszła do pana Chamberlain, zapytywałem telegraficznie sir Hercules Robinsona (gubernatora): „czy czasem Jameson nie wyruszył już wczoraj?".

Pan Chamberlain na ten straszny zarzut ohydnego, haniebnego fałszu nie odpowiedział! Lecz dalej: jeżeli pan Chamberlain 29 grudnia otrzymał tak poważną wiadomość, dlaczegóż nie ostrzegł natychmiast rządu rzeczypospolitej? wymagała tego już nie tylko kurtuazya polityczna, lecz wprost prawo narodów. Nareszcie, jak zachował się pan Chamberlain w dalszym ciągu sprawy? Boerzy mieli prawo zastrzelić, jak psa, dowódcę opryszków, który wtargnął do rzeczypospolitej; postąpili mądrzej: oddali go w ręce rządu angielskiego. Jak wiadomo, sąd, który rozstrzygał tę sprawę w Anglii, uwolnił pana Rhodesa od wszelkiej odpowiedzialności, Jamesona, który dopuścił się zbrodni stanu, za którą prawo angielskie gardłem karze, skazał na półtora roku więzienia, wkrótce zaś potem ułaskawiono go. W toku rozpraw Labouchère nieubłaganie, krok za krokiem, wykazywał winę zarówno Jamesona, jak Rhodesa, lecz obrońcą oskarżonych, obrońcą namiętnym i potężnym był—pan Chamberlain. W Anglii niedawno oburzano się bez granic, że sąd wojskowy we Francyi skazał kapitana Dreyfusa; sąd parlamentarny, najwyższy sąd angielski, naszem zdaniem, okrył się hańbą równie wielką, pozwalając panu Chamberlain obronić siebie i Rhodesa. Ja-

meson jest opryszkiem, lecz jak nazwać pana Rhodesa, który był sprawcą tej infamii, jak nazwać pana Chamberlaina, który infamię tę otaczał opieką?

Utrzymać pana Rhodesa na stanowisku urzędowem nie można było. Pan Chamberlain w mowie parlamentarnej ubolewał nad nim: „Wraca on do Rhodesyi, jako człowiek prywatny; nawet policyant najprostszy nie potrzebuje słuchać jego rozkazów; nie czeka go już krzesło ministeryalne; dzieło jego życia jest zniszczone“. Jakaż hipokryzya bezczelna! Honor Anglii był dostatecznie zszargany tem, że pan Chamberlain nie został człowiekiem prywatnym. Rhodes zaś wracał, jako człowiek prywatny, lecz człowiek prywatny, który rozporządza milionami funtów sterlingów, który trzyma w zależności ekonomicznej tysiące ludzi. Przytem, jak powiedzieliśmy już, miejsce Robinsona, komisarza rządowego w Capland, zajął pan Milner, kreatura Rhodesa, a zarządcą Rhodesyi został niejaki Newton. Otóż z dokumentów, opublikowanych przez rząd rzeczypospolitej, wynika, że ten jegomość brał udział w przygotowaniach rozbójniczego napadu i tylko dzięki przypadkowi nie został jego czynnym uczestnikiem!

W Afryce południowej zamach zbójecki wywołał oburzenie powszechne, lecz ludzi, co, jak Rhodes, przy ocenie człowieka zwykli pytać jedynie, za ile można go kupić, wzgarda uczciwych nie zraża, gdyż jej nie rozumieją. Postanowił stawić czoło, a w panu Chamberlain miał przecież sprzymierzeńca. Jeszcze w lutym 1896 roku Chamberlain do prezydenta Krügera skierował notę dyplomatyczną, w której potępiał oczywiście zamach, lecz zarazem stawał po stronie „uitlanderów“, cudzoziemców, zamieszkujących Johanisburg, doradzając prezydentowi po przyjacielsku uwzględnienie tych zażaleń; zarazem zapraszał prezydenta, aby przybył do Londynu dla rozpatrzenia tych spraw. Oczywiście prezydent w formie grzecznej, lecz stanowczej odparł tę próbę wtrącenia się w sprawy wewnętrzne rzeczypospolitej. Lecz krok ten pana Chamberlain świadczył, że nie zaniechał on polityki, skierowanej ku wzmocnieniu wpływu na rzeczpospolitą, polityki Rhodesa.

Posiąść tak czy inaczej winnicę Nabota pozostało i nadal wyraźnym celem Achaba-Chamberlaina. Pan Rhodes tymczasem nie zasypiał gruszek w popiele. Najpierw trzeba mu było zwycięstw dla podniesienia prestige'u—pobił Matabellów! Zaprawdę wielki czyn! Od czasu zajęcia kraju przez „Chartered-Company” nieszczęsnych tuziemców zapędzono do pracy przymusowej; kiedy policyanci otrzymali urlop, aby wziąć udział w zamachu, tuziemcy spróbowali buntować się. Poszedł tedy pan Rhodes z kilkuset ludźmi, uzbrojonymi

w karabiny magazynowe i armaty Maksym i powystrzelał kilka tysięcy tych biedaków, a opłacani przezeń pismacy w dziennikach głosili tryumfy tego „cywilizatora“. Potem zjechał pan Rhodes do Europy z nowym planem genialnym: wybudować drogę żelazną od Cap do Kairu!

Drogę wzdłuż całej Afryki. Plan ten olśniewa śmiałością. Toż to—wołają—dzieło olbrzymie, droga, dłuższa od transkaspijskiej i syberyjskiej, droga, co otworzy dla cywilizacyi cały kontynent Afrykański! Ostatnie twierdzenie jest wątpliwe. Pod względem cywilizacyjnym w Afryce bez porównania większą doniosłość miałby szereg torów, przeprowadzonych od brzegów morskich w głąb Afryki, gdyż wywóz produktów, których dostarcza lub może dostarczać w przyszłości tropikalna Afryka — kopra, kauczuk, kawa, bawełna—przy kosztownym transporcie kolejowym na tak olbrzymią odległość nie opłacałby się, a o „cywilizowaniu“ bez korzyści kupieckich niema mowy. Inna rzecz, jeżeli chodzi o znaczenie takiej drogi dla „imperyalizmu" angielskiego. Pod tym względem ma ona znaczenie olbrzymie, gdyż, zapewniając komunikacyę pomiędzy południową posiadłością a Egiptem, przyczyni się ona do umocnienia potęgi brytańskiej. Dla pana Rhodes prócz tego droga taka ma jeszcze znaczenie specyalne: Rhodesya nabierze znacznej wartości. Głównie jednakże chodziło mu o owo olśnienie świata, o podziw, jaki plan musiał wzbudzić. Pod tym względem cel został osiągnięty najzupełniej: giełda, a zatem i prasa wyczerpywały się w chwalbach. Wprawdzie droga taka nieprędko dawałaby dochody, lecz o nie giełdzie nie chodzi, a chodzi o miliony, które będzie można zarobić na akcyach i na dostawach relsów, maszyn, wagonów. Co zaś do odsetków od olbrzymiego kapitału—oczywiście pokryje takowe naród angielski, gdyż warunkiem budowy jest zagwarantowanie odsetków przez państwo. Napoleon nowoczesnego imperyalizmu doskonale umie połączyć „business“ z reklamą à la Barnum, a poczciwa „opinia publiczna“ znów uwierzyła na słowo giełdy, że plan jest genialnym, a Rhodes wielkim patryotą. Przyjmowała go na audyencyi królowa Anglii, a ponieważ linia miała po części przerzynać terytoryum niemieckie, Chamberlain wyrobił panu Rhodesowi audyencyę u cesarza niemieckiego, tego samego cesarza, który półtora roku temu winszował prezydentowi Krüger w telegramie konfidencyonalnym odparcia zamachu Rhodesa! Pan Jorissen miał słuszność, ostrzegając boerów przed przyjaźnią niemiecką, gdyż jest to „sprawa funtów, szylingów i pensów“; polityka niemiecka zawsze trzyma z silnymi, a cesarz niemiecki rozsyła telegramów wiele.

Jednocześnie pan Rhodes nie zapomniał o sprawie Transvaalu. Po pierwsze, po jego wizycie w Berlinie rozeszła się wieść, że proponował on tam negocyacye pomiędzy Anglią, Niemcami a Portugalią, mające na celu zakup Mozambique przez Anglię i Niemcy w ten sposób, że Niemcy zakupią część na północ od Sambesi, Anglia południową. Negocyacye takie, jak każą domyślać się niektóre wyjaśnienia w prasie urzędowej, rzeczywiście są w toku, a jeżeli dojdą do skutku, to—Transvaal będzie absolutnie odcięty od morza, Anglia będzie dyktować warunki handlowe zupełnie dowolnie. Od tego czasu stosunki pomiędzy rzecząpospolitą a cesarzem Wilhelmem ostygły znacznie, agenta rzeczypospolitej, pana Leydz, w Berlinie przyjęto niegrzecznie. Po drugie, pan Chamberlain odtąd ostentacyjnie zaczyna interesować się zażaleniami cudzoziemców w Transvaalu. Nie bez zasady Rhodes, powróciwszy do Afryki, oświadczył, że „niebawem w Afryce zajdą wypadki historyczne ogromnej doniosłości".

I rzeczywiście, wnet po jego powrocie poruszono sprawę monopolu dynamitowego: 6 lutego 1899 roku Chamberlain przesłał rządowi rzeczypospolitej notę dyplomatyczną. Wstęp jej jest tak charakterystycznym, że warto go przytoczyć w dosłownem tłómaczeniu: „Na kwestye przywozu materyałów wybuchowych do rzeczypospolitej zwrócili moją uwagę fabrykanci angielscy, którzy żalą się, że fabrykantom ich uniemożliwiono dostęp, a więc nie mają możności prowadzić handlu z rzecząpospolitą, wbrew artykułowi 14 konwencyi londyńskiej... Rząd Jej Królewskiej Mości przyznaje, że ustanowienie monopolu na dynamit niekoniecznie sprzeciwiałoby się § 14 konwencyi, o ile korzyści ogólne z tego monopolu przypadałyby w udziale rzeczypospolitej, a nie prywatnej osobie, której udzielono koncesyi na wyłączny handel. Zradza się tedy kwestya: czy monopol daje korzyści wogóle rzeczypospolitej". Rzecz przedstawia się tak. Dynamitu kopalnie złota używają w wielkich ilościach, rzeczpospolita zaprowadziła tedy monopol w celu fiskalnym. Ponieważ podatki, pobierane z kopalń, są umiarkowane, zarzutu z tego kroku uczynić rządowi nie można. Korzyści z tego monopolu byłyby większe oczywiście, gdyby rząd produkował dynamit własnym kosztem, lecz rząd powierzył produkcyę i sprzedaż osobie prywatnej, i dlatego, jak twierdzono w parlamencie transvaalskim, zamiast 860,000 funtów sterlingów zysk wynosi zaledwie 107,000 f. st. Co było powodem takiego pokrzywdzenia skarbu? Być może, niedołęstwo rządu, być może, korupcya. Tak, czy inaczej, chodzi tu o sprawę wewnętrzną rzeczypospolitej, a konwencya londyńska z roku 1884, na którą powołuje się pan Chamberlain, nie daje mu żadnego

prawa wtrącania się w te sprawy wewnętrzne; § 14 tej konwencyi gwarantuje jedynie poddanym angielskim prawo osiedlania się w obrębie rzeczypospolitej i swobodę prowadzenia handlu i procederów na takich samych prawach, jakie przysługują obywatelom transvaalskim. To też sekretarz stanu rzeczypospolitej, pan Reitz, odpowiedział w formie dosyć ostrej, że nie myśli dyskutować o tej kwestyi, ponieważ dotycze spraw wewnętrznych. Nie omieszkał też wsadzić kilku szpilek. Pisze on np.: „My jesteśmy zadowoleni najzupełniej ze stosunków, jakie wytworzył monopol. Bywają wprawdzie inne monopole, które przynoszą rządom ogromne zyski, lecz, zdaniem bardzo wielu kompetentnych sędziów, nie przynoszą korzyści ogólnych państwu, jak np. monopol na opium". Jest to wyraźny przytyk, gdyż monopol na opium daje ogromne zyski rządowi Indyi brytańskich.

Pan Reitz mógłby jeszcze dodać, gdyby to uchodziło w dyplomacyi, taki mniej więcej ustęp. „Zainteresowanie się pana Chamberlain sprawą dynamitu wydaje się podejrzanem, gdyż wiadomem jest, że cała produkcya dynamitu w Anglii przeszła w ręce „trustu", głównymi zaś członkami tego trustu są—członkowie rodziny Chamberlain! Tak przynajmniej przedstawił rzecz w piśmie angielskiem „Justice" pan Hyndmann, publicysta angielski, który słów na wiatr rzucać nie zwykł. Sprawę monopolu niebawem rozstrzygnął parlament rzeczypospolitej, postanawiając, aby po odszkodowaniu dotychczasowego przedsiębiorcy rząd rzeczypospolitej produkował na własny rachunek. Komisarz Milner donosi o tem do Londynu, przyczem oburza się, że „w toku rozpraw zupełnie ignorowano protest rządu Jej Królewskiej Mości".

Cała afera zakończyła się tedy dotkliwą porażką dyplomatyczną pana Chamberlaina. Dlaczegoż się na nią narażał, skoro była tak łatwą do przewidzenia? Być może, fakt, przytoczony przez Hyndmana, spowodował, że mąż stanu patrzył to z punktu widzenia członka trustu dynamitowego, być może, przeważały względy „wyższej polityki", Rhodesowskiej polityki—noty zamienione musiały zaostrzyć stosunki pomiędzy Anglią a rzecząpospolitą, i to było celem całej akcyi.

To też natychmiast wypłynęła na wierzch inna sprawa, która przy takiej sytuacyi musiała doprowadzić spółkę Rhodes-Chamberlain do celu, do wojny z rzecząpospolitą—sprawa praw politycznych cudzoziemców w okręgach kopalnianych. Śród zażaleń dawniejszych owych „uitflanderow", jakie wnosili do swego rządu przed awanturą Jamsonowską, głównym punktem były skargi na cła, po-

datki i t. p.; z tego piasku bicza ukręcić nie było można. Pan Rhodes więc nakazał swym agentom pociągnąć inną nutę. Jak na komendę, ustały dawne skargi i poczęto żalić się, że cudzoziemcy nie mają w rzeczypospolitej praw politycznych, że wskutek tego interesy ludności w okręgach przemysłowych są poniewierane w parlamencie, że Anglicy muszą porozumiewać się z władzami w języku holenderskim. Pan Rhodes jest graczem nie lada —tak postawiona sprawa musiała rozbudzić szowinizm angielski: chodziło już nie o zyski przedsiębiorców, chodziło o „narodowe interesy". Wprawdzie dziwacznie jakoś przedstawia się dla widza objektywnego rzecz. Jakże to? Żeby mieć prawa obywatelskie w kraju, trzeba zostać obywatelem tego kraju, żeby zostać obywatelem, trzeba wyrzec się obywatelstwa w dawnej ojczyźnie. Ergo: ci Anglicy żądali od rządu angielskiego, aby im dopomógł zbyć się obywatelstwa Anglii! I to nazywa się „interesem narodowym". Co zaś do sprawy językowej, dziwnie przedstawiają się ci kandydaci na obywateli, którzy z góry oświadczają, że chcą majoryzować ludność rdzennie krajową, chcą — jakkolwiek są nieznaczną mniejszością — narzucić krajowi swój język. Lecz kochana „opinia publiczna" i tu nie pyta o logikę. „W Afryce gnębią Anglików! a więc — rule, rule, Britania!" Teraz dopiero polityka Rhodes-Chamberlain stała się prawdziwie popularną. Lecz stary Krüger okazał się tu na tyle sprytnym, że zdawało się na chwilę, iż pokona znów szanowną spółkę. Oświadczył się on za reformami na korzyść cudzoziemców, lecz, aby zapobiedz niebezpieczeństwu, które w przyszłości mogłoby zagrażać niezależności rzeczypospolitej wskutek napływu licznych cudzoziemców, posiadających prawo obywatelstwa, zażądał w zamian formalnego zrzeczenia się wszelkich roszczeń do jakiegokolwiek zwierzchnictwa. Zwierzchnictwo takie, jak powiedzieliśmy, formalnie nie istnieje, lecz rząd Anglii zawsze jeszcze okazywał skłonność do wykrętnego tłómaczenia wyżej przytoczonego § 4 konwencyi londyńskiej, czego dał dowód, sprzeciwiając się udziałowi rzeczypospolitej w konferencyi pokojowej w Hadze. Żądanie było tak racyonalnem, że trudno było, zda się, odmówić, tem bardziej, gdy pojęcie owego zwierzchnictwa jest do tego stopnia zagmatwane, że jeszcze 5 maja pan Milner, „High Commissioner" Anglii mógł pisać do Chamberlaina: „Żądamy tylko przywrócenia takich praw, jakie obecnie obowiązują w Oranje i obowiązywały w Transvaalu wówczas, kiedy cofnięto brytańskie zwierzchnictwo (suzerainity)." A więc: główny przedstawiciel Anglii w Afryce południowej zgadza się, że zwierzchnictwo cofnięto, że już nie istnieje! Cóż więc stało na

przeszkodzie pokojowemu załatwieniu sprawy? To, że trzeba koniecznie ukamienować Nabota, jeżeli nie wyrzeknie się zupełnie swojej winnicy.

W początku lipca rzeczywiście zanosiło się na pokojowe załatwienie sprawy. Parlament rzeczypospolitej uchwalił, a rząd zaaprobował reformy; po dwu latach pobytu w kraju każdy cudzoziemiec może zostać naturalizowany, po pięciu latach otrzymuje wszystkie prawa polityczne, przysługujące obywatelom kraju. Wprawdzie pozostał pewien census: kandydat musi posiadać nieruchomość albo opłacać najmniej komornego 50 funtów sterlingów, albo wykazać, ża zarabia 100 funtów ster. Jednakże census ten, jakkolwiek może wydać się wysokim, w rzeczywistości jest nizkim wobec stosunków pieniężnych w Transvaalu: najprostszy wyrobnik zarabia najmniej nie 100, lecz 600 — 1000 funtów ster. Prócz tego liczba reprezentantów z okręgów wyborczych górniczych została powiększoną, zamiast 2 Witwatersrand ma wybierać w przyszłości 10 posłów, co znaczy wiele, skoro liczba ogólna posłów wynosi tylko 36. Jeden chyba punkt mógł wzbudzić niezadowolenie agentów Rhodesa. Obywatelstwa, czytamy w projekcie prawa, dostąpić nie może, kto był karany sądownie za przestępstwa, pozbawiające czci—mord, kradzież, oszustwo, zgwałcenie, krzywoprzysięstwo, fałszerstwo, bankructwo podstępne. Ponieważ większość aferzystów giełdowych i awanturników, z których składa się partya Rhodesa, ma za sobą kryminał, punkt ten musiał im pójść nie w smak.

Po ogłoszeniu tego prawa prasa angielska musiała nastroić się pokojowo, wyraźnie zatrąbiono szomadę. Lecz wkrótce ton zmienia się. Ustępstwa są niedostateczne, gdyż dopiero po latach siedmiu cudzoziemcy uzyskają prawa, prezydent Krüger drwi sobie z Anglii i t. d. Cóż się stało, skąd zwrot? Bardzo prosto! 18 lipca przybył do Capstad pan Rhodes, który bawił był w Rhodesyi, gdzie doglądał budowy drogi żelaznej. Przybył i wygłosił na bankiecie ognistą mowę — to była *fanfara!* Tym razem już nie obwijał nic w bawełnę dyplomatyczną, był to ryk lwa. Rzeczypospolite w Afryce są chimerą mglistą; Anglia nie może tolerować dłużej samowoli boerów, przeciwników postępu; niema pokoju pomiędzy boerami a Anglikami; niezależne rzeczypospolite są urojeniem, które właściwie już utraciło byt realny — „rule, rule, Britania!"

Pan Chamberlain posłuchał skinienia: zażądał, aby rząd Transvaalu wyznaczył pełnomocników, którzyby wspólnie z przedstawicielami Anglii rozpatrzyli sprawę i rozstrzygnęli ją w ten sposób, aby słusznym żądaniom ludności angiejskiej stało się zadość n i e-

zwłocznie. Jednocześnie biuro Reutera doniosło, że w Bombay'u czynią się przygotowania, aby wysłać natychmiast 12,000 wojska indyjskiego do Afryki południowej. To żądanie, poparte groźbą, znów było najoczywistszem wtrąceniem się w sprawy wewnętrzne rzeczypospolitej. A wymagano wiele: natychmiastowego udzielenia praw obywatelstwa Anglikom.

Wobec tego warto przypomnieć, że obywatel angielski w ojczyźnie niekoniecznie używa prawa wyborczego, gdyż zawsze jeszcze census majątkowy istnieje w Anglii. Warto przypomnieć, że obcokrajowiec może zostać obywatelem angielskim dopiero po pięcioletnim pobycie w Anglii i za wstawieniem się czterech obywateli, posiadaczy nieruchomości, koszta zaś wynoszą 5 funtów sterlingów za certyfikat i 5 funtów za stemple, co jest wiele wobec stosunków pieniężnych Anglii. Warto przypomnieć, że w koloniach angielskich, np. w Wiktoryi (Australia), obywatelstwo uzyskuje się również dopiero po pięcioletnim pobycie, a przytem gubernator może odmówić tego prawa, bez podawania jakichkolwiek powodów; od tego wyroku niema apelacyi. Warto przypomnieć, że w Natalu np. mieszka 50,000 Indusów, śród których jest mnóstwo ludzi, wysoko ukształconych, stokroć bardziej cywilizowanych, bez wątpienia, niż zgraja giełdowiczów - aferzystów w Johanisburgu, lecz żaden z nich nie może otrzymać praw obywatelskich. A jakże to sprawuje rządy w Rhodesyi wielki mąż? Przed kilku miesiącami donosiło o tej gospodarce jedno z najpoważniejszych pism fachowych angielskich „Economist". Rhodesya ma swoje ciało prawodawcze, t. z. „Legislative Council", lecz dobijać się praw wyborczych do tego szanownego ciała rzeczywiście niema powodu, gdyż z 11 członków siedmiu mianuje zarząd „Chartered Company". Od poszukiwaczy złota pobiera szanowna kompania — tylko 50% dochodu brutto! Cło na gorzałkę zostało zniesione ze względu na caplandskich producentów, cło zaś na wszystkie artykuły spożywcze jest nader wysokie. Ustawa celna musi być aprobowaną przez komisarza Anglii, i, pomimo protestów formalnych ludności miejscowej, pan Milner, ów obrońca „uitlanderów" w Johanisburgu, ustawę zatwierdził.

Kiedy więc Chamberlain postawił swoje żądanie, spodziewał się zapewne, że Krüger odrzuci je bez żadnych rozpraw, lecz prezydent Oranje i prezydent ministrów w Capland użyli całego swego wpływu, aby skłonić rząd w Pretoryi do kroków pojednawczych. Zyskali tyle, że Krüger zgodził się wnieść do parlamentu projekt prawa, mocą którego cudzoziemcy uzyskają po pięciu latach (nie, jak w przyjętem prawie, po siedmiu) prawa obywatelskie. Lecz

pan Chamberlain nalegał na swoim projekcie komisyi. Zgodzono się wreszcie i na to, lecz oczywiście zażądano teraz bezwarunkowych gwarancyi co do bezpieczeństwa rzeczypospolitej, a więc żądano, aby Anglia zgodziła się na rozstrzyganie wszelkich sporów, jakie mogą zajść z rzecząpospolitą, przez sąd rozjemczy. Posunięto nawet ustępstwo tak daleko, że zaproponowano, aby w skład sądu nie wchodził żaden przedstawiciel mocarstwa postronnego, ani nawet obcokrajowiec. To znaczy, że sędziami mogliby być mężowie stanu angielscy, transvaalscy i kolonialni.

Pan Chamberlain wtedy chwycił się ostatniego środka. Transvaalczycy—była jego odpowiedź—chcą pozbyć się zwierzchnictwa Anglii, twierdzą nawet, że ono nie istnieje — obstajemy przy tem, że zwierzchnictwo to musi być zachowane w całej sile. Co do kwestyi praw obcokrajowców, oświadczył, że rząd angielski postawi swe warunki, które przyjęte być muszą, ze sformułowaniem wszakże tych warunków zwlekał wszakże przez kilka tygodni. Jednocześnie zaczęły się w Capland i Natal forsowne zbrojenia i marsze wojsk ku granicom, z Anglii i Indyi wysyłano wojska do Afryki, zwołano rezerwy. Jasnem było, że chodzi już o zyskanie czasu, że wojna jest rzeczą postanowioną.

Mężowie przewrotni wyczerpali już wszystkie oskarżenia przeciw Nabotowi, czyniono przygotowania, aby go ukamienować.

Transvaalczykom pozostało tedy jedynie — czekać wypowiedzenia wojny przez Anglię, które nastąpiłoby z chwilą, gdy Anglia będzie gotową do walki, albo wypowiedzieć wojnę samym. Wybrali ostatnie. Dnia 9 października posłano do Londynu ultimatum: cofnięcie wojsk z nad granic Transvaalu, cofnięcie ku wybrzeżom wojsk posiłkowych, które od 1 lipca wylądowały, powstrzymanie dalszych transportów wojsk i amunicyi oraz zapewnienie, że wszystkie punkta sporne będą oddane na rozstrzygnięcie sądu rozjemczego. W tem ultimatum rząd rzeczypospolitej raz jeszcze wyjaśnia swoje stanowisko. Na zasadzie konwencyi londyńskiej z roku 1884 rząd angielski nie ma prawa wtrącać się w sprawy wewnętrzne; pomimo to zgodziliśmy się dla miłego spokoju na pertraktacye przyjazne, lecz ton przyjazny ze strony Anglii wnet przeszedł w groźby; przyjęliśmy w milczeniu te groźby i szukaliśmy warunków, tych nam nie wypowiedziano, a zgromadzono wojska. Takie przedstawienie sprawy zgadza się najzupełniej z prawdą i dlatego śmiesznem jest, że prasa angielska oskarża Transvaal o wypowiedzenie wojny. Krok ten był koniecznym dla Transvaalczyków z powodów strategicznych. W roku 1881 mogli oni ograni-

czyć się na obronie jedynie, pomimo że mieli wroga w kraju. Wtedy bowiem chodziło jedynie o obronę granicy wschodniej, której bronić łatwo z powodu gór, obecnie zaś wojska angielskie mogą dotrzeć do granicy zachodniej zupełnie otwartej, gdyż drogą żelazną opasano kraj od tej strony. Wypowiedzenie wojny było więc nie krokiem zaczepnym, lecz krokiem obrony.

Pozostaje nam jeszcze rzucić okiem na zachowanie się parlamentu angielskiego, tego parlamentu, w którym wypowiedziano już wiele mów i powzięto wiele uchwał, które są chlubą cywilizacyi europejskiej. Stanowisko pana Chamberlain i jego zwolenników było jasne: trzeba było bronić złej sprawy, nadrabiając bezczelnością. Chamberlain śmiał twierdzić, że polityka jego razić może tych tylko, co przywykli widzieć w dyplomatach ludzi, używających mowy dla ukrywania myśli, gdy cechą jego polityki była otwartość. Bismarck naśladował Napoleona, nazywając brutalność swoją otwartością, a jednocześnie sfałszował depeszę z Ems, tak, że musiała wywołać wojnę z Francyą; Chamberlain, dążąc do wojny z bezsilną w porównaniu z Anglią rzecząpospolitą, karykaturuje Bismarcka. Karykatura karykatury! Jednocześnie jegomość ten szastał wielkiemi hasły, które w ustach jego, partyzanta Rhodesa i giełdziarzy, brzmią, jak bluźnierstwo krwawe—patryotyzm i honor narodowy. Lecz usprawiedliwić swej polityki pan Chamberlain nie był w stanie. Liberalizm angielski—i to jest najsmutniejszym objawem—nie zdobył się na bezwzględną opozycyę wobec zamachów torysowskiego imperyalizmu. Minęły czasy, kiedy „wielki starzec“, Gladstone, przewodził opozycyi zwartej partyi liberalnej przeciw podobnie brutalnym, lecz nie tyle podstępnym i bezecnym zamachom politycznym Beaconsfieldowskiej polityki, pomimo rozszalałego szowinizmu, który ogarniał tłumy. Wówczas wighowie umieli płynąć przeciw prądowi i zwyciężać. Dziś nie śmią stawić czoła; pan Harcourt w ich imieniu potępił politykę gwałtu, lecz oświadczył, że trudności czynić nie będzie!

Skąd taka zmiana? Oto stąd, że w Anglii dwie wielkie partye torysów i wighów przestały reprezentować dwa programy, dwa światopoglądy—walka toczy się już tylko o mandaty, o korzyści kliki, o osobiste cele. Torysi i wighowie jednako służą nie narodowi, lecz kapitalizmowi angielskiemu, interes giełdy—oto gwiazda przewodnia dla Chamberlaina, jak dla Harcourta, i dlatego zwycięża mocarz giełdy—Cécil Rhodes.

Jedynie kilkunastu ludzi śmiało stawić czoło tej hańbiącej Anglię zbrodniczej klice, lecz historya im tylko przyzna słuszność, po-

twierdzi straszny wyrok Patrik O'Brien'a: „Największy zbrodniarz, jaki kiedykolwiek zawisł na szubienicy, nie miał tak krwią zbroczonych rąk, jak Chamberlain w tej sprawie“, i okropne przekleństwo Renarda: „Na jego głowę niech spłynie krew wszystkich żołnierzy angielskich i boerów, którzy zginą w tej walce, a każda wdowa holenderska nauczy dzieci swe przeklinać tego człowieka“.

Jaki będzie koniec tego dramatu strasznego? Boerzy rozpoczęli walkę czynami bohaterskimi i będą bronić do ostatniej kropli krwi swej niezależności. Zdobyczą łatwą nie będą, gdyż 30—40,000 ludzi, nawykłych do trudów obozowych i walki, wprawnych w rzemiosło wojenne i mających za sobą znajomość kraju i umiejętność korzystania z warunków, jakie kraj ten stawia operacyom wojennym, to potęga. Lecz „Bóg bitew—jak mawiał Napoleon—zwykł stawać po stronie liczniejszych batalionów“, a liczba batalionów dla Anglii „jest sprawą funtów, szylingów i pensów“. Jeżeli więc nie nastąpią jakieś wypadki nadzwyczajne, mało prawdopodobne, jak zmiana systemu politycznego w Anglii, rozbudzenie sumienia w Europie, to niezależność rzeczypospolitych Transvaal i Oranje zostanie zatopiona w morzu krwi. A wtedy,—„wtedy Afryka południowa zakwitnie, kroki olbrzymimi pójdzie po drodze postępu“, jak mówi Rhodes. O tak! Zakwitnie kwiat jadowity imperyalistycznego kapitalizmu, Afryka stanie się rajem giełdziarskim! Lecz w kraju tym pozostaną tysiące ludności holendersko-boerskiej, która śmiertelnie nienawidzieć będzie najezdników, morderców wolności, a przytem będzie miała prawo gardzić tymi sługami złotego cielca. Afryka stanie się nową Irlandyą, gdzie zamiast landlordów panować będą giełdziarze. I dla takiego celu naród angielski musi ponieść ofiary straszne krwi i ciężarów niepomiernych, dla takiego celu trzeba było zaszargać honor Anglii!

Wszystko dlatego, że skały Witwatersrandu zawierają złoto...

„Przeklęty prochu, podła nierządnico świata,
Co mordy wzniecasz między narodami"...

DOPISEK.

W sprawie udziału pana Chamberlain w knowaniach Rhodesa z roku 1896 mnożą się ciągle dowody. W izbie jeden z oponentów, pan Stanhope, oskarżał dosyć wyraźnie kierownika kolonialnej polityki, że działał w porozumieniu z rabusiami, i żądał, aby opublikowa-

no „papiery Hawskley'a". Na to pan Chamberlain odpowiedział obelgami osobistemi, karczemnemi insynuacyami, za co został przywołany do porządku. Już po napisaniu artykułu dowiadujemy się z dziennika liberalnego angielskiego „Star", o co chodzi w tych tajemniczych papierach. Przed posiedzeniem komisyi parlamentarnej, która w roku 1897 sądziła sprawę Jamesona, adwokat „Chartered-Company", Hawskley, napisał list do Chamberlain'a, w którym donosi, że oskarżeni mają w rękach papiery, stwierdzające współwinę Chamberlain'a, i nie omieszkają z nich skorzystać, jeżeli sprawa przybierze groźny dla nich charakter. Pan Chamberlain—powiada pismo wspomniane—zastosował się do tego i w komisyi zajął odpowiednie stanowisko, wobec czego dowody, o jakich mówi Hawskley, zostały utajone. Według „Star" jednakże istnieje list własnoręczny Chamberlain'a, w którym wyraża ubolewanie, że komisya została wyznaczoną, i w którym pośrednio przyznaje się do współwiny z opryszkami Jamesonem i Rhodesem! Jeżeli tak jest rzeczywiście, to Chamberlain wskutek winy tej jest niewolnikiem Rhodesa, który w każdej chwili może go zgubić. Być może, dowiemy się o tem jeszcze więcej, kiedy Stanhope i jego sojusznicy uznają, że nadeszła chwila, odpowiednia do ogłoszenia tych dowodów, jakie posiadają. Polityk imperyalizmu zaszargał się nie tylko we krwi, lecz i w błocie.

Dr. J. B. Marchlewski.



FERMENT SYONISTYCZNY.



Przystępując do rozpatrzenia istoty fermentu syonistycznego, należy przedewszystkiem zaznaczyć jego różnicę od syonizmu właściwego. Ferment, o którym pisać zamierzamy, to jedno z wielu wierzeń na tle fantastycznem, tkwiących w umyśle i sercu żydów prostaczych. Wierzenia te nie mają jednakże przystępu do umysłu żydów ukształconych, gdyż wyrugowała je raz na zawsze cywilizacya i oświata. U żydów zaś ciemnych ferment syonistyczny drzemał dotąd spokojnie w krainie marzeń; ocucił go jednak, zbudził i do życia przywołuje syonizm swoją działalnością, wprawdzie, tylko pośrednią, lecz niemniej przeto szkodliwą.

Na syonizm wogóle, jako na dążenie narodowo-społeczne żydów, wypowiedziała swój pogląd już cała niemal prasa polska, potępiając ruch ten niezdrowy i nierozsądny. Lecz po za syonizmem, jaką ideą, pojętą, bądźcobądź, w duchu nowoczesnym i europejskim, kryje się strona jego najszkodliwsza — ferment, o którym niewiele czytaliśmy dotychczas w pismach naszych, a który, podniecany ustawicznie przez umyślnych agitatorów syonistycznych, przybrać może rozmiary większe, niż jak to przewidzieć podobna.

By nas jednak nie posądzono, iż przeceniamy znaczenie owego fermentu, lub że przemawia przez nas jakaś niechęć szczególna, możemy powołać się na wiarogodnego w tym wypadku świadka, jakim jest organ żydowski, wydawany w Warszawie po polsku, „Izraelita", które to pismo, zanim zmieniło swe przekonania w poglądach na syonizm, zwróciło uwagę w jednym z artykułów wstępnych na niebezpieczeństwo, tkwiące w owym „fermencie", jaki wywołać może szerzenie się syonizmu w małych miasteczkach „żydowskich", pośród mas ciemnych w różnych zakątkach kraju.

Przepowiednia urzeczywistniła się, niestety: stoimy obecnie wobec faktu spełnionego. Gniazda syonizmu mnożą się z niesłychaną szybkością, agitacya i ferment osiągnęły plon nader obfity, doszły do zenitu. W samem państwie rosyjskiem istnieje około tysiąca „związków", uprawiających syonizm dla syonizmu. Najęci „mówcy" jeżdżą po miastach i miasteczkach, wsiach i wioskach, w bóżnicach i bóżniczkach wygłaszają kazania, nawołujące lud żydowski do bezustannej pamięci o Syonie, o „ziemi Izraela", o kraju ojców, do składania pieniędzy na rzecz dalszej agitacyi.

Żydzi postępowi i inteligentni sprzeciwiają się tej bezcelowej ruchawce, temu niepożądanemu budzeniu „ducha" separatyzmu; dr. Henryk Nusbaum, jeden z tych, co nie uznaje teoryi dwu ojczyzn i rozumie, że „syonistą" być można tylko wtedy, gdy siedzi się w Syonie, — wydał nawet broszurę, nie tylko potępiającą ruch szkodliwy, lecz nawet zalecającą walkę z nim. Zgadzamy się z wywodami autora najzupełniej.

Ciekawą jest strona obrazowa tego fermentu; dla jej odtworzenia czerpiemy fakta i obrazki ze źródła, które jest nieprzystępnem tak dla ogółu całego, jak dla żydów cywilizowanych: z literatury żargonowo-hebrajskiej.

W tem, co dotychczas u nas pisano o syonizmie, mało lub wcale nie uwzględniano kwestyi wpływu, jaki ruch ten wywiera na szare tłumy żydowstwa, pogrążonego dotąd jeszcze w ciemnocie niemal średniowiecznej, piastującego niezmiennie liczne obyczaje praojców, oparte na legendach i podniecających umysł prostaka baśniach. Taka fermentacya w głowach ludu prostego, poza jej stroną narodowo-społeczną, jest ciekawym dla myślącego człowieka objawem psychicznym tłumu, a nawet cennym materyałem ludoznawczym.

Agitacya syonistyczna, działając wszechstronnie i na szeroką skalę, wielką przywiązuje wagę do nizkiego poziomu umysłowego żydów prostych, wyzyskując go na swoją korzyść. Propagandę tę

krzewią mówcy bóżnicowi i autorowie broszur ulotnych. W Berdyczowie założono stowarzyszenie wydawnictw syonistycznych, p. t. „Ezra”, które wydało już kilkanaście takich broszur agitacyjnych, sprzedawanych po 8 kopiejek w księgarniach żydowskich w Warszawie i innych miastach i miasteczkach.

Jedna z tych broszur, a raczej kilka, objętych jednym tytułem: „Czasy Mesyasza”, posłuży nam za źródło w opisie fermentu syonistycznego. Te broszury nie mają przecie na celu zdyskredytowania syonizmu, skoro ich przeznaczeniem jest właśnie popieranie agitacyi. Opisy są jednak tak pełne charakterystyki usposobień obecnych żydów, że uważać je można za żywą ich ilustracyę.

Nic to, że autor rzecz swą zatytułował „romansem syonistycznym”: romans ten więcej prawdy zawiera, niż niejeden „dokument życiowy”. Lecz zanim przytoczymy z niego garść szczegółów, musimy w kilku słowach objaśnić ogólne znaczenie założenia, z którego autor wychodzi, a mianowicie znaczenie „czasów Mesyasza”, które jakoby panują obecnie według mniemania żydów prostych lub nawpół ciemnych.

Według bowiem rachuby żydowskiej, mamy dzisiaj rok 5660, według zaś wierzenia żydów, świat taki, jakim jest dzisiaj, istnieć może co najwyżej jeszcze 340 lat, poczem zacznie się „siódme” tysiącolecie czyli „sobotnie”, które dla żydów będzie rajem rozkosznym, jak... szabas. Mesyasz przyszły żydów może się wcześniej ukazać, ale nigdy później.

Teraz zatem jest „piątek” na świecie, szósty „dzień” roboczy, po którym nastąpi odpoczynek dla Boga i żydów. Przyjdzie Eliasz prorok i zatrąbi tak głośno, że słychać będzie dźwięk jego trąby na całym świecie, żydzi i inne narody zgromadzą się do kupy i ujrzą przed sobą dwa mosty: żelazny i papierowy; narody nieżydowskie wkroczą na żelazny most, który się pod nimi załamie, a żydzi przejdą bezpiecznie po papierowym do samego... Syonu.

Tak w ogólnych zarysach przedstawiają się nadzieje i oczekiwania prostego ludu żydowskiego, które Bóg spełnić musi w „piątek” jeszcze, bo „sobota” jest dniem odpoczynku. Zobaczmyż teraz, co o ruchu syonistycznym i zarazem o wierzeniach ludu opowiada autor romansu, p. t. „Czasy Mesyasza”.

W pierwszym rozdziale, zatytułowanym „Mesyasz w bóżnicy”, czytamy, jak w Mazepówce, małem miasteczku „żydowskiem”, odbywa się w sobotę „po kuglu” (leguminie sobotniej) zebranie w bóżnicy, pełnej krzyku, hałasu, kłótni i dysput gorących. Na wzniesieniu stoi młody Josel i głosem, drżącym ze wzruszenia, ma przemo-

wę do ludu. Powiada on: „Mam nowość dla was, nowość, jakiej nie było jeszcze u żydów od czasu zburzenia świątyni jerozolimskiej; nowość, która was ucieszy, z której będziecie mieli dużo przyjemności...” Wszyscy natężają umysł, wytrzeszczają oczy, nastawiają uszu, by usłyszeć od Josela „nowość”, że w Bazylei odbył się kongres syonistów. Josel szafuje wyrazami „nacyonalizm, syonizm, antysemityzm, nasz ideał, nasza historya”, których, jak autor zapewnia, 99% żydów, zgromadzonych w bożnicy, nie zna, ani nie pojmuje. Tymczasem Josel mówi dalej: „Każdy żyd, gdy tylko usłyszy wyraz „Syon”, powinien wszystko rzucić, powinno go coś ciągnąć tam, do tej ziemi, mlekiem i miodem płynącej; do ziemi, gdzieśmy ongi mieli własną świątynię, swoich kapłanów i lewitów, swego króla i swoich proroków, swoją armię i swoich generałów; do ziemi, gdzie każdy kamyk jest obryzgany krwią naszych bohaterów, którzy walczyli za wolność naszą wieki całe; do ziemi, w której są święte groby naszych patryarchów, do ziemi, która płacze w smutku wielkim, jak dziewczę, porzucone przez kochanka... A wy to słyszycie, żydzi, jak ona was woła, matka stara, a wy milczycie? I wy widzicie, żydzi, jak płacze nasz stary, pomiatany i zapomniany Syon, a nie chcecie łez jego obetrzeć? I wy widzicie przed sobą szczęście wasze, a nie chcecie go wziąć? I wiecie, że zbawienie jest blizkie, od was tylko zależne — a udajecie niewidzących? Nad rzekami Babilonu my siedzieli i płakali, wspominając o Syonie. Lecz teraz: nad rzekami Bazylei (!) my siedzieli, ucieszeni, wspominając o Syonie”.

Po tej mowie powstaje hałas jeszcze większy, rwetes nie do opisania, „jarmark, tumult sięga do niebios”. W powietrzu furkają z szelestem słowa: Mesyasz... Syon... Bazylea... ziemia izraelska... Dr. Herzl... Konstantynopol... niewola... świątynia... czasy Mesyasza... Przynoszą księgę proroka Daniela i odnajdują tam symboliczny „koniec”. I wre, i burzy się i — fermentuje w Izraelu.

Rożdział drugi to opis „Mesyasza w Bethamidraszu” (większej bóżnicy). Siedzi stary reb Srul i naucza lud Izraela. Wokoło gromadzi się kilkudziesięciu żydów: chasydzi, niechasydzi, uczeni, próżniacy, biedni rzemieślnicy i „tak sobie żydzi”. Wszystko to biedacy, szary tłum, i *reb* Srul także biedak wielki. Oczekują Mesyasza, który ich z biedy cudem wyrwie, nakarmi rybą i do raju wyprawi po papierowym moście. A pomimo, że się Mesyasz nie kwapi z tą rybą i rajem, wierzą i są pewni, iż przyjdzie niedługo, tembardziej, że „ludzie tak mówią o tem śmiało od czasu, gdy czytano we wszystkich bóżnicach, co się dzieje na świecie”.

A *reb* Srul naucza: „Gdy Mesyasz przyjdzie, żydzi będą mieli dysputę z Bogiem; powiedzą Mu: zobacz, wiele łask wyświadczyliśmy Tobie; myśmy uświęcili imię Twe na morzu (Czerwonem), śpiewali hymny i przyjęli z radością Twą „naukę", której żaden naród przyjąć nie chciał. Przestrzegamy Twych nakazów z narażeniem życia, a wieleśmy już wytrzymali praw wyjątkowych i trzymamy się razem. Modlimy się codziennie, śpiewamy i chwalimy Cię, a Tyś nas oddał w ręce Ezawa... Podobne to do „matrony", którą król uprzykrzył sobie i wypędził od siebie, a ona zakryła twarz i stanęła pod kolumną, a gdy król przechodził, odezwała się: Panie królu! ładnie tak? sprawiedliwie tak?.. I wyjdzie wówczas głos z nieba i powie: „Szczęśliwy będziesz, Izraelku! Jesteś dzieckiem kochanem, pieszczonem, jedynem u Boga. Szczęśliwi bądźcie, żydzi! Cała męka i prześladowanie i bieda, któreście dotychczas cierpieli, pierzchnęły od was. Nikczemnicy mieć będą koniec okropny, lecz wam będzie dobrze i doskonale, bo teraz całe dobro świata i cała wielkość — do was należy"...

Słuchacze *reb* Srula czują się już wielkimi i szczęśliwymi. Niema co, Mesyasz przyjść musi, tylko go patrzeć. Zresztą dzisiaj to przecież „piątek", szóste tysiącolecie. A *reb* Srul, uniesiony swą wielkością, czyta dalej z zapałem:

„Gdy mesyasz przyjdzie, a narody usłyszą, że Bóg wywyższył żydów i dał im ziemię izraelską, strach je ogarnie, i wrzenie, i boleść, jako niewiastę rodzącą. A Bóg im powie: „Głupcy, idyoci! Iluż to władców z pośród was panowało, a moje dzieci się nie gniewały, a teraz, gdy moje dziecko panuje, wy się złościcie..." I wtedy narody wszystkie przyniosą podarunki Mesyaszowi. A gdy przyjdą do Mesyasza, ten się do nich odezwie: „A niema tu pośród was żydków moich? bądźcie łaskawi, sprowadźcie mi ich tu, tylko z honorami, bez upokorzenia"... I przywiodą wtedy narody żydów z całego świata, a starych, którzy chodzić nie mogą, dźwigać będą na plecach... A gdy przyjdą do Jerozolimy, majestat Boży wyjdzie na ich spotkanie. A Jerozolima będzie stolicą wszystkich, przyświecać będzie wszystkim... Dużo narodów przyjmie religię żydowską dobrowolnie, kłaść będą „*tfilin*", nosić „*cyce*" i t. d... Tegoż dnia siedem tysięcy żydów, w Syonie pogrzebanych, zmartwychwstanie, i fruwać będą w powietrzu i latać, jak orły... Każdy żyd będzie sto łokci wysoki. Na ulicach Jerozolimy będzie pełno dyamentów i brylantów, a ile kto zechce, weźmie sobie... Uschłe drzewa rodzić będą owoce, a ziemia — gotowe kołacze i suknie jedwabne. Kłos pszenicy będzie wysoki, jak palma. A kłosy trzeć się będą o siebie,

i wysypie się mąka. Każde winogrono będzie duże, jak beczka wina, 30-garncowa. Ze świątyni wypłynie strumień wody leczniczej: niemowa rozmawiać będzie, bezdzietna dzieci rodzić, i każdy wypiękniej, a Bóg wyprawi ucztę dla „*cadyków*" (sprawiedliwych).

Usłyszawszy o „uczcie", audytoryum przypomina sobie lewiatana, ową rybę bajeczną a wielką, tudzież bawołu ogromnego. Głodni słuchacze przysuwają się blizko, a *reb* Srul mówi dalej:

„I wyprawi Bóg ucztę dla „sprawiedliwych", składającą się z lewiatana i bawołu... Trzech aniołów usługiwać będzie: Gabryel będzie rzezakiem, Rafał — piekarzem, a Michał — wielkim podczaszym. To są oni trzej „pasażerowie", co jedli ongi u patryarchy Abrama, a teraz się nam odwdzięczą... Gabryel urządzi się tak: ściągnie na jedno miejsce lewiatana i bawołu, na bitwę walną. Bawół weźmie lewiatana między rogi i nawskroś go przebodzie, a lewiatan bawołu — między pletwy i rozedrze go. „Cadykowie" dziwić się będą, wiedząc o tem, że rzezanie inaczej u żydów się odbywa. Lecz Bóg im powie: „Teraz nowa będzie „nauka", jedzcie z apetytem"... I znowu pytać się będą: „A czy nam potrącą t u, cośmy zjedli t a m, wśród ludów?" A Bóg odpowie: „Nie bójcie się; napisano jest, że to się nie liczy; jedzcie z apetytem!"... Biesiadnicy ręce umyją, a każdy siedzieć będzie pod baldachimem ze szczerego złota i brylantów, co lśnić się będą, jak gwiazdy, a sześćdziesięciu aniołów stanie u każdego wezgłowia i mówić będą: „Zajadaj smacznie i popijaj winem, od stworzenia świata przechowanem!"..

Biedacy się rozkoszują tą opowieścią; czują w powietrzu zapach ryby nadziewanej i smak pieczystego, połykają ślinę, a we wnętrznościach tak dudni.... sam *reb* Srul chętnieby skosztował kawałek ryby, ale trudno, nie można: tyle się czekało, to się jeszcze poczeka trochę...

„Gdy uczta się zakończy — czyta dalej *reb* Srul — podadzą puhar, pełen wina patryarsze Abramowi, aby odmówił błogosławieństwo. Lecz Abram powie: „Mnie nie wolno, odemnie pochodzi Izmael". Dadzą puhar Izaakowi, on powie: „Odemnie pochodzi Ezaw". Poproszą Jakóba, on powie: „Ja dwie siostry poślubiłem". „Poproszą Mojżesza, on powie: „Ja się nie doczekałem wstępu do Palestyny". Poproszą Jozuego, on powie: „Ja nie doczekałem się potomka"; a gdy poproszą króla Dawida, powie: „Odemnie Mesyasz pochodzi, ja błogosławić będę". I weźmie puhar, który mieści w sobie kwart 221, i pobłogosławi... Poczem król Dawid weźmie swe skrzypce o ośmiu strunach i grać na nich będzie, a „cadykowie", którzy błyszczeć będą, jak słońce, księżyc i gwiazdy, pójdą w tany... A Bóg

siedzieć będzie na przedniem miejscu, i wszyscy Nań wskazywać będą palcami i powiedzą: „Oto On, Bóg nasz, któremuśmy ufali, cieszmy się Jego zbawieniem”. I będą się radowali i nową śpiewali melodyę... I spacerować sobie będą trochę z Bogiem w raju wśród drzew...”

Słuchaczom bardzo podoba się taki spacer, a *reb* Srul czyta dalej:

„Tam w raju dwie są bramy z kryształu, a na nich siedzi sześćkroć tysięcy aniołów, których jasność dorównywa błękitom czystym. A gdy „cadyk” wchodzi, zdejmują z niego ubiór stary i ubierają go w 8 sukien z purpurowej wełny i w dwie korony ze szczerego złota z dyamentami i perłami, i dają mu w rękę osiem mirtów, pachnących, jak najlepsze korzenie wonne... I tak wstępuje do raju, w którym jest 310 światów... A Bóg siedzi między biednymi i naucza ich... Tam w raju są te skarby złota, srebra, brylantów i naczyń drogich ze świątyni, które lewici schowali, przysięgając uroczyście, że ich nie odkryją aż do przyjścia Mesyasza, kiedy to wszyscy żydzi wrócą z jasyru do ziemi Izraela, daj Boże, prędko... A oto jakie tam są skarby: kamieni drogich 36,000 i tyleż brylantów; złota 200,000 centnarów; srebra 1,200,000 centnarów; garnków, umywalek i innych naczyń z dobrej miedzi i żelaza — bez miary i wagi; złotych pancerzy i stołów ze szczerego złota tysiące tysięcy i jeszcze brylantów i drogich kamieni 1,370,000”.

Aż się w głowie kręci na samą myśl o takich bogactwach; żeby to choć jedną mieć sztukę złota! Ale trudno. Cierpliwości! Tyle, ile trwało, już trwać nie będzie... Doczekamy się... I słuchają jeszcze:

„A skrzypce, które król Dawid sporządzi sobie z drzewa koralowego, złotem kryte! Tysiąc skrzypiec i 7,000 cymbałów ze szczerego srebra i z dzwoneczkami ślicznymi. A żydzi się zbiorą ze wszystkich krańców ziemi i pójdą do ziemi Izraela z pieśnią na ustach. Obyśmy się tego rychło doczekali, prędko, za naszych czasów, amen”...

Tak wygląda w streszczeniu marzenie o powrocie do dawnej świetności, o zbawieniu, blizkiem w oczach żydowskiego ludu prostego. Grając na nerwach, tak bardzo czułych i wrażliwych, syonizm niezwykle łatwe ma zadanie. Ludziom o takim podkładzie psychicznym niewiele mówić trzeba, by ich zjednać „idei” syonistycznej. Widzimy też, że i Nordau, krańcowo wolnomyślny Maks Nordau, w charakterze agitatora syonizmu, ucieka się do jednego z „parado-

ksów", usiłując propagować syonizm między rabinami na zasadzie modlitw i błagań o rychłe przyjście Mesyasza żydowskiego...

Niema wątpliwości, że ta legendowa strona przedmiotu działa nierównie silniej na umysł i wyobraźnię tłumu, niż wszelkie argumenty, przestrogi i kazania wzniosłe. Za pomocą broszur ośmiokopiejkowych, o których wspominaliśmy na wstępie artykułu, nader łatwo się zyska zwolenników, zwłaszcza pośród klasy biednej, mało lub wcale nie oświeconej. Ludzie tej klasy w podnieceniu, fermencie i propagandzie płacą nieopatrznie „szekelowy" podatek, nabywają za grosz ostatni „akcyę", z której nic nie mają. Pieniądze, sztucznie biedakom wydarte, wędrują het, za siódmą górę i rzekę, a tu ferment się powiększa, oczekiwanie nabiera charakteru silniejszej jeszcze niecierpliwości. I co dalej?

Jerzy Ohr.



HENRYK HEINE.

(w setną rocznicę urodzin poety).



Jeżeli dla oceny dzieł każdego niemal poety dokładnie zbadać musimy stosunki społeczne i polityczne, w jakich się one pojawiły, to w wyższym jeszcze stopniu musi to mieć miejsce przy zapoznawaniu się z pismami Heinego, którego wiersz każdy jest przejęty współczesnemi mu ideami.

Pierwszy jego występ przypada na krótko przed rewolucyą lipcową. Był to czas groźnej ciszy, poprzedzającej burzę; po walkach o wyzwolenie, toczonych przez Niemcy z Napoleonem, nastąpił szereg zawodów natury politycznej; zwątpienie opanowało tych wszystkich, co z dnia na dzień lepszego losu wyglądali. Niemal całą Europę zaległy gruzy zwalonej potęgi Napoleona — a nigdzie nie poczynało kiełkować nowe życie. Ten rażący kontrast pomiędzy ideałem a rzeczywistością odbił się i na poezyi, która, przyobleczona w szaty romantyzmu, szukała ucieczki w przeszłości, w czasach, kiedy pewna spójnia duchowa łączyła wszystkie cywilizowane ludy Europy i kiedy życie zewnętrzne nie stawało w tak rażącej sprzeczności z zewnętrznemi serca potrzebami. I Heine w pierwszych pieśniach swoich wyciągał ramiona do obrazów odległej przeszłości Niemiec, rychło wszakże, pożegnał chorobliwe, fanta-

styczne rojenia i rzucił się mężnie w otchłanie chłodnego, pozbawionego poezyi i duszącego się w pętach, współczesnego mu życia!

Gdziebądź poeta zwrócił oczy, wszędzie dostrzegał nędzę i cierpienie. Pochylone czoła, tajemnie zaciśnięte pięści mówiły o trudnym do wypowiedzenia bólu, na który, zdawało się, nie było ratunku; Heine głębokim smutkiem przejęty, pierwszy dał głos wszystkim tym głuchym skargom... pierwszy przyoblekł w słowa ową tęsknotę. A czy wystąpił nie w porę? Wraz z bankructwem marzycielskich dążeń romantyki połączył się surowy ucisk polityczny. Wszędzie się gorzki spotykało zawód, w życiu, podobnież jak i w sztuce przysięgi władców — owe święte przysięgi, których świadkiem była cała Europa, stojąca w rynsztunku bojowym na placu wczorajszej walki — rychło poszły w zapomnienie; każdą nadzieję wolności politycznej duszono w zarodku; wszystkich ogarnęło zwątpienie, graniczące z apatyą; religia — ostatnia pociecha zasklepiła się w jezuityzmie Görresa; żaden blask nadziei nie lśnił w przeszłości ani w teraźniejszości, żadna gwiazda — jak niegdyś betleemska — w przyszłość nie wiodła... wtedy to *weltschmerz* stał się — i musiał się stać, duszą piśmiennictwa niemieckiego.

Czemże jest *weltschmerz?*—to ból, wykwitły ze wszystkich nie słusznych i fałszywych form życia, to przeświadczenie, że we wszechświecie jest skaza, która się w każdem czującem ludzkiem sercu w krwawą zamienia ranę. Poezya dotychczas prawie że wyłącznie obracała się w świecie nadzmysłowym; podobnie, jak i filozofia, stawała się ona metafizyczną i transcendentalną, ilekroć razy poeta, porzuciwszy subjektywne liryczne uczucia, nastrajał pieśń swoją na ton powszechnego „ja". Sam Göthe wraz ze swoim Faustem szukał wreszcie ucieczki w chrześcijańskiem niebie; ale sam ten „wielki poganin" w niebo to nie zbyt wierzył i w myśli o niem nie szukał pociechy. Filozofia spełniła swe dzieło; zwątpienie ogarnęło masy, którym odjętą została nawet ostatnia pociecha: wiara w pozagrobowe szczęście. Wtedy poezya w całej aureoli swej boskości zstąpiła z niebieskiego tronu, ze sfer nadzmysłowych — na piękną ziemię i oddała się jej na zawsze. A cóż wyszło na jej spotkanie na ziemskim padole? Niedola, nędza i ból! Nie dziw, że poświęciła im struny harfy swojej, na której zadźwięczały tak potężne akordy, że wszyscy umilkli, wsłuchani w pieśń, głoszącą na ziemi tak potężnie ich cierpień najtajemniejszych dzieje.

Że *Weltschmerz* był duszą ówczesnej poezyi, zewsząd rozbrzmiewającej, na cześć swej „wybranej damy", której pojawienia się na-

próżno wszyscy wyglądali — widzimy to już w jednej z najwcześniejszych pieśni Heinego:

Minnezyngerzy.

Spieszy gwarnie tłum pieśniarzy,
Wzrok zapałem promienieje,
Dziwna będzie to szermierka,
Dziwne będą to turnieje...

Wyobraźnia rozogniona —
Jest kolumną mu bojową;
Sztuka jego jest puklerzem,
A orężem — dzielne słowo!

Patrzą z góry piękne damy,
Wesołemi lśnią oczyma,
Lecz wybranej między niemi
Z wawrzynowym wieńcem — niema.

Kiedy inni biegną w szranki,
Walka dla nich jest zabawą...
Ale my, pieśniarze tkliwi,
Nosim w sercu ranę krwawą..,

A kto tam najdzielniej walczy
I w pieśń wlewa serce całe,
Ten zwycięzcą — ten zdobywa
Z najpiękniejszych ust pochwałę...

(przekład Al. Kraushara).

Weltschmerz nie był skargą, rozbrzmiewającą bez celu; uświadomił on ludzkości wszystkie jej bóle i stał się powodem tego niepokoju, który się dotąd ukołysać nie może, póki nie osięgnie wszystkich, do szczęścia niezbędnych warunków. Pośród gorzkich skarg wyrywała się z piersi poety i krwawa pieśń bojowa... śpiewał on o braterstwie ludów i o zbrataniu się człowieka z naturą.

Pierwszy Heine — a za nim niemal wszyscy współcześni mu poeci — po rzuceniu potępiającego wyroku na starą społeczność, doszedł do niewzruszonego przeświadczenia, że poczyna się nowy okres dziejów świata i że się w łonie ludzkości rozwija nowy ideał, który po krwawym boju na przeszłości gruzach dźwignie przyszłości świątynię.

Zanim przejdziemy do rozbioru pism poety, rzućmy przelotne spojrzenie ua istotę ruchu literackiego, który pod firmą Młodych Niemiec występował, związany najczęściej z nazwiskiem Heinego, pozostając w zupełnem przeciwieństwie z romantyczną szkołą. Poświęćmy sprawie tej kilka słów wyjaśnienia. Zasadniczem dążeniem obu wrogo względem siebie usposobionych partyi było osiągnięcie jedności pomiędzy sztuką a życiem, pomiędzy ideałem a rzeczywistością; romantycy dążyli do tego celu drogą powrotu do przeszłości, podczas gdy Młode Niemcy upatrywali w przyszłości urzeczywistnienie swych ideałów. Nazwę tę zawdzięczają oni Wienbergowi, który swe „Estetyczne wyprawy" poświęcił „Młodym Niemcom"; uchwała rady związkowej z grudnia 1835, zabraniająca ich pisma, zalicza do nich: Heinego, Wienberga, Gutzkowa, Mundta i Laubego. Mężowie ci nigdy nie szli zgodnie jedną drogą; odtąd zaś otwar-

cie różnić się poczęli. Nie mniej jednak ich poglądy mają jedną wspólną podstawę, a w ideach, przez nich głoszonych, dostrzedz się daje zaledwie słaba różnica.

Pierwszą zasadniczą właściwością ich dążeń jest wrogie usposobienie względem chrześcijaństwa. „Dawna nieświadoma harmonia pomiędzy ludźmi i pomiędzy człowiekiem a przyrodą została utraconą; ostatnią większą próbą przywrócenia jej było chrześcijaństwo, lecz i ono misyi swej nie spełniło". Słowa te, wypowiedziane przez jednego z ówczesnych poetów, znajdowały potwierdzenie w zasępionych troską twarzach, w źrenicach, tajonym gniewem pałających, — napróżno usiłowano wyzwolić się z pęt instytucyi państwowych, których doskonałość głoszoną była z katedry. Powszechne było naówczas mniemanie, że chrystyanizm nie mógł uszczęśliwić całej ludzkości, a przynajmniej większej jej części. Dawne nauczanie o znikomości wszystkich spraw ziemskich już nie wystarczało; nędza i głód zwyciężyły i nie dawały się zaspokoić słowami pisma świętego. I wtedy Młode Niemcy—w pierwszym zaś szeregu Henryk Heine — miały odwagę postawić to pytanie: czy po za chrześcijaństwem niema szczęścia dla ludzkości? Przedewszystkiem starano się rozwiązać to zagadnienie — tworząc nową społeczną religię, ktorej bóstwem miała być wolność (Heinego — „Listy z podróży"). Rozmaici autorowie poczęli się zajmować tą sprawą i w tem jednem wszyscy do zgodnego doszli wniosku, iż im bardziej zależy na stosunku ludzi pomiędzy sobą, aniżeli na stosunku Boga do człowieka. Już ta okoliczność tłómaczy otwarte przejście wszystkich pod sztandar panteizmu.

W tych zapasach z chrześcijaństwem stał się pomocą Młodym Niemcom ówczesny rozwój niemieckiej filozofii, przedewszystkiem zaś najżywiej pobudziło ich zagadnienie stosunku pomiędzy duchem a materyą. Chrystyanizm, nauczając o zepsuciu świata i grzeszności ciała, bezwzględnie zaznaczył przeciwne naturze rozłączenie ducha z ciałem, tworząc z tego w swej dogmatyce wyszukany spirytualizm. Wprawdzie we Francyi oddawna obudziła się przeciw temu silna reakcya, hołdująca znowu nazbyt surowemu materyalizmowi. Młode Niemcy zastosowały się do zasady: „Ni duch, ni materya same praw stanowić nie mogą; roździał, pomiędzy niemi ustanowiony, był błędem wielu tysięcy lat; połączone prawa obojga tworzą doskonałego, pełnego harmonii człowieka". Była to owa osławiona „Rehabilitacya materyi", głoszona przez przedstawicieli Młodych Niemiec — wprawdzie przez każdego z nich inaczej, przytem przez każdego do pewnego tylko stopnia, nieraz wprawdzie w na-

zbyt drażliwej formie. Ze szczególnym naciskiem podnosimy owe młodzieńcze dążenia, nie liczące się bynajmniej z formą, które przez długi czas napróżno usiłowały cel osięgnąć, nie ze względu na samą treść przedmiotu, lecz dla sposobu jej wypowiadania. Tylko tem daje się w Niemczech wytłómaczyć tak rychłe odrzucenie — i to na długi szereg lat — zbyt śmiało podniesionych żądań emancypacyi kobiet, bowiem przeciw zasadzie, jaką się rządziły młode Niemcy: że małżeństwo, bez miłości zawarte, i wspólne pożycie wobec braku jakiegobądź duchowego związku jest o wiele mniej moralne, niż nieuświęcony przez kościół stosunek miłosny — nie mogło wtedy panować ani powszechne, ani też słuszne oburzenie.

Nowym ideom, wschodzącym naówczas — równouprawnieniu ducha i materyi, braterstwu ludów i literaturze powszechnej, naoścież w piśmiennictwie wrota otworzył Henryk Heine, urodzony w dniu 13 grudnia 1799 r. w Düsseldorfie nad Renem. Rodzice jego byli wyznania mojżeszowego i, jakkolwiekbądź Heine, dla otworzenia sobie karyery prawnej, przyjął w r. 1825 dla formy chrześcijaństwo, nie można wszakże widzieć w tem nic innego, jak poddanie się z konieczności aktowi, przez państwo wymaganemu. W wyznaniach swoich sam mówi o tem otwarcie „Jeżeli wogóle pozostaję przy religii ewangelickiej, czynię to dlatego, że i dziś jeszcze jest ona dla mnie wygodną, jak i poprzednio. Wyznaję wprawdzie szczerze, że, kiedy przebywałem w Prusach, a zwłaszcza w Berlinie, byłbym się chętnie uwolnił podobnież, jak i wielu z moich przyjaciół, od wszelkich więzów kościelnych, gdyby nie władze miejscowe, zabraniające pobytu w Prusach, a zwłaszcza w Berlinie, wszystkim tym, którzy nie chcieli należeć do żadnego z wyznań, uprzywilejowanych przez państwo". Przytem Heine przez całe swe życie zachował pełen pobłażania pietyzm dla religii oraz kultury przodków swoich; z nim właściwie rozpoczyna się udział żydów w niemieckiem piśmiennictwie. Dzięki klątwie, która od wieków na nich ciąży, a wyłącza ich niemal z każdego społeczeństwa, są oni jakby przez los wskazani na przedstawicieli *Weltschmerzu* w literaturze.

Pierwsze nauki pobierał Heine w klasztorze franciszkańskim, a następnie w gimnazyum w Düsseldorfie, które naówczas — podczas rządów francuskich — było prawie że wyłącznie prowadzone przez jezuitów. O wpływie ducha francuskiego na całą młodość poety tem bardziej nie możemy przemilczeć, że sam Heine przyznaje, że mu zawdzięcza tak wiele, i odtwarza go w *Buch Le Grand* z przedziwnem ciepłem i żywością. Już w szesnastym roku życia sławi on Napoleona w powszechnie znanym wierszu „Grenadyerzy"

— i to sławi go w chwili tryumfu całej skoalizowanej Europy. Nie ulega wątpliwości, że właśnie to wczesne i zażyłe obcowanie z żywym, ruchliwym pierwiastkiem francuskiej narodowości dało mu ową rzutkość, śmiałość i pewność siebie, a może i przeważną część owego wdzięku, z którym oręż swój zwrócił przeciw starej społeczności.

Przez rodziców pierwiastkowo do stanu kupieckiego przeznaczony Heine przez długi czas przebywał we Frankfurcie nad Menem i w Hamburgu, rychło jednak porzucił nie godzące się z jego usposobieniem zajęcie. Od Wielkiejnocy 1819 r. do jesieni 1820 r. studyował prawo w Bonn, a następnie w Getyndze, skąd za „przestąpienie praw pojedynkowych" otrzymał w końcu stycznia 1821 r. *consilium abeundi*. Studya ukończył w Berlinie, skąd dla przejścia na luteranizm udał się w dniu 28 Czerwca 1825 r. do Heiligenstadt, a następnie do Getyngi, gdzie w d. 20 lipca t. r. otrzymał tytuł doktora *utriusque juris*.

W Berlinie pozostawał Heine w bliskich stosunkach z Rahel, z wysoko wykształconym mężem jej, Varnhagen'em Von Ense, z filozofem Heglem, z uczonym prawnikiem Gansem, ze studyującym sanskryt Boppem, z aktorem Ludwikiem Devrientem i z poetami: Chamissem, Laubem, Wolffem, Uechtritzem i Grabbem. Z Berlina odbył Heine wycieczkę w Poznańskie i wrażenia swe ogłosił w r. 1822 w piśmie *Gesellschafter* w niepodpisanym artykule o „Polsce", w którym już się dostrzedz daje niejeden oryginalny rys jego późniejszej prozy. W tym samym roku, w Berlinie, u Maurera Heine wydał tom młodzieńczych poezyi, dość chłodno przyjęty. Tylko Rahel z właściwą sobie przenikliwością już wtedy odgadła, jaką rolę odegra poeta w przyszłości, i do końca życia zachowała dlań podziw, połączony z serdeczną przyjaźnią. „Heine ma przetak w uchu, który nic z tego nie przepuszcza", tak pisała do Gentza „przed paru laty przedstawiono mi go, jak wielu innych, ach! nazbyt wielu; że jest subtelny i niezwykły, rozumiałam go więc wtedy, kiedy go inni nie rozumieli — podobnież, jak i on mnie rozumiał — to go zjednało dla mnie i stałam się jego opiekunką".

Najlepsze ze znajdujących się w pierwszym zbiorku poezyi znajdujemy w „Księdze pieśni" przedrukowane pod ogólnym tytułem „Młode cierpienia". W roku 1823 ukazały się „Tragedye" wraz z „Lirycznem Intermezzo". Pierwsze dotychczas nie znalazły należnego im uznania, aczkolwiek obie—a zwłaszcza „Almanzor"— posiadają wiele lirycznych miejsc niezrównanej piękności. Jakich cierpień wykwitem jest „Ratcliff, pierwsza z tych tragedyi, widzimy

to najlepiej z ośmiowiersza, napisanego przez poetę na jednym z drukowanych jej egzemplarzy:

Ich habe die süsse Liebe gesucht
Und hab' den bittern Hass gefunden...
Ich habe geseufzt, ich habe geflucht,
Ich habe geblutet aus tausend Wunden.
Auch hab' ich mich ehrlich Tag und Nacht
Mit Lumpengesindel herumgetrieben —
Und, als ich all diese Studien gemacht,
Da hab' ich ruhig den Ratcliff geschrieben.

Pod względem artystycznym „Almanzor” stoi o wiele wyżej, niż „William Ratcliff”, w którym trudno nie dostrzedz wpływu staroangielskich pieśni ludowych, i to najkrwawszej treści, podczas gdy forma pod pewnym względem jest na Szekspirze wzorowaną. Rzecz to godna zastanowienia, czemu „Almanzor” dotychczas nie znalazł należnego mu uznania. Dramat ten jest tak śmiało i oryginalnie pomyślany, że wprost pojąć nie możemy, czemu nie zwrócił na siebie większej uwagi czytającego ogółu i krytyki.

Praca myślowa lat, poprzedzających wystąpienie Heinego na widownię piśmienniczą, z nieubłaganą surowością zwaliła w gruzy dotychczasowe poglądy ludzkości na świat i religię; ale fakt ten, nie wielu ludziom wiadomy, osłonił się w fałdy trudnej do zrozumienia filozoficznej terminologii, albo w marmurowo spokojną powagę poezyi Goethego, umiejącą ukryć przed tłumem burze, nurtujące w duchach i umysłach współczesnych.

Przeciw owemu, ukrywającemu niepokój, chłodowi, już w młodzieńczych swoich pismach podniósł Heine gwałtowny protest. On, młody, odważny student, czuł się do głębi oburzonym całą obłudą naszej egzystencyi, przedewszystkiem zaś owym brakiem odwagi wypowiadania głośno i otwarcie tajemnych pragnień ducha i demaskowania ohydnych warunków, w jakich naówczas żyć było trzeba. Rozsądek, a nie serce — przyjmował dotychczas udział w tych walkach potężnych; Göethe pierwszemu poświęcił drugie na ofiarę i powiedział sercu swojemu: „Milcz”. Heine swojemu sercu rozkazał: „Mów” — i serce to burzliwem tętnem swem zwiało zasłonę z owego całego przewrotu ducha, który Goethe skrył przed naszemi oczyma kamienną plastyką dzieł swoich. Taką była walka Heinego przeciw Goethemu; w tem leży motyw jego buntu przeciw owemu tytanowi poezyi, a nie w zawiści, jak to sam kiedyś w ironicznym żarcie powiedział. W bardzo wielu miejscach „Romantycz-

nej Szkoły“ wyraźnie mówi sam Heine, że, uderzając na Goethego, nigdy nie mierzył w poetę (t. j. właściwie w artystę, jak sam powiada), lecz w człowieka.

Wszystkie te właściwości młodocianej muzy Heinego przedewszystkiem i to najsilniej zaznaczają się w „Almanzorze”. Tragedya ta należy do najszczerszych i najgłębiej odczutych utworów Heinego; śmiało można ją nazwać próbą utworzenia tragedyi *Weltschmerzu:* tchnie z niej nienawiść ku chrześcijaństwu i spirytualistycznej jego moralności. Wybór samego przedmiotu jest szczęśliwym. Sztuka rozgrywa się w Granadzie, na krótko przed wygnaniem Maurów z Hiszpanii. Jeden z wydalonych Maurów, Almanzor ben Abdullah, powrócił do Hiszpanii dla zobaczenia jeszcze raz ziemi ojców swoich i kochanki lat młodocianych Zuleimy, która przyjęła chrześcijaństwo wraz z krewnym swoim Alim, ojcem Almanzora. Już u wrót domu Alego przybysz w osobie służącego Pedrilla spotyka charakterystyczny typ renegata. Ze wspaniale oświetlonego zamku swego ojca Almanzor zostaje wygnanym do gospody, ponieważ:

> .... was die alte Gastlichkeit betrifft,
> So ist das eine jener Heidensitten,
> Wovon dies christlich fromme Haus gesäubert.

I stare maurytańskie imiona zmianie uległy i stara wiara wywędrowała...

> — — — — — die alte Liebe
> Hat man mit Hohn zur Thür hinausgestossen
> Und laut verlacht ihr leises Todeswimmern.
> Verändert sind die Namen und die Menschen;
> Was ehmals Liebe hiess, heisst jetzo Hass.

Almanzor czeka na oddalenie się gości z zamku, a potem śpiewa pod oknami Zulejmy starą, dobrze jej znaną pieśń. Ona ukazuje się na balkonie i poznaje skazanego na śmierć kochanka. Rankiem spotykają się oboje w ogrodzie, i tu rozgrywa się pomiędzy nimi przepyszna scena, w której mówią o chrześcijaństwie. Almanzor, spostrzegłszy wizerunek Chrystusa, wspomina ów dzień, w którym po raz pierwszy po powrocie do Hiszpanii wstąpił do chrześcijańskiego kościoła. Wrażenie, jakie na prostą jego naturę wywiera ów nienawistny dlań kult, oddaje poeta w potężnych, demonicznych, porywających słowach: (Schon an der Pforte goss sich mir entgegen”...)

Ale Zulejma poddaje mu umiejętnie myśl przyjęcia chrześcijaństwa, wstąpienia do owego „domu miłości"; wyraz ten zniewala całą jego duszę; Almanzorowi obcą jest istota miłości chrześcijańskiej, on słyszy tylko dźwięk czarowny tego słowa:

Du sprachest aus Zuleima jenes Wort,
Das Welten schafft und Welten hält zusammen,
Du sprachest aus das grosse Wörtlein: Liebe!

Almanzor pragnie już oddać się cały owej religii miłości, a wtedy w oddali odzywają się dzwony kościelne, i na trwożne jego pytanie Zulejma odpowiada:

Hörst du, Almansor, was die Glocken murmeln?
Sie murmeln dumpf: Zuleima wird vermählt heut
Mit einem Mann, der nicht Almansor heisst.

Owa religia Miłości, przemienia się w jednej chwili w religię przeciwnego naturze poświęcenia się. Rozszalały Almanzor ucieka. Przepięknym jest monolog obłąkanego kochanka, którego sługa stary, oddany, a wierny koranowi Hassan odbiera pastwie myśli o samobójstwie, namawiającgo do porwania Zulejmy w dniu składania ślubów innemu. Po krwawej walce, Almanzor, który wciąż jeszcze nie wie, że Ali jest jego ojcem, ucieka z ukochaną; Zulejmie po przebudzeniu się zdaje się, że jest w niebie, dziwi się tylko temu, że przy boku swym znajduje Almanzora, który, jak ją o tem spowiednik zapewniał, skazany jest na wieczną piekielną mękę.

— — — — In dem Himmel
Bedarf es der Verstellungskünste nicht,
Und frei darf ich gestehn: Ich liebe dich,
Ich liebe dich, ich liebe dich, Almansor!

Lecz oto już ze skalnego wąwozu rozlega się szczęk broni zbrojnych, którzy pędzą śladem kochanków; Zulejma wzywa go do wspólnej ucieczki w kwiecistą dolinę i ze słowami:

— — — — Die Jäger nahen schon,
Mein Reh zu schlachten! Dorten klirrt der Tod,
Hier unten blüht entgegen mir das Leben,
Und meinen Himmel halt' ich in den Armen!

Almanzor rzuca się wraz z nią ze skały.

Chrześcijanin Ali, który dopiero teraz dowiaduje się, że syn jego Almansor żył jeszcze, w bluźnierczych słowach rzuca straszne to oskarżenie:

Jetzt, Jesu Christ, bedarf ich deines Wortes.
Und deines Gnadentrosts und deines Beispiels.
Der Allmacht Willen kann ich nicht begreifen,
Doch Ahnung sagt mir: ausgeräutet wird
Die Lilie und die Myrthe auf dem Weg,
Worüber Gottes goldner Siegeswagen
Hinrollen soll in Stolzer Majestät.

Po ogłoszeniu drukiem dwu tragedyi Heine począł wydawać jeden za drugim zbiorki lirycznych poezyi. Zajmijmy się więc z kolei tymi utworami, które się pojawiły w „Księdze pieśni“, w „Nowych poezyach“, w „Romanzero“ i wielu innych cyklach. Wszystkie te cykle możemy rozpatrywać zbiorowo, tem bardziej, że w pierwszym z nich przejawia się już ta sama tendencya, co i w ostatnim, tylko że Heine z każdym rokiem coraz wyraźniej zaznaczał w nich zasadnicze rysy swej istoty i jądro myśli poezyi swojej. Jużeśmy o tem wspominali, że Heine występ swój na arenę literacką rozpoczął od piętnowania obłudnych i nienaturalnych stosunków, w jakich zmuszony był pędzić życie. Miało to miejsce w „Almanzorze”, powtarza się i w lirycznych jego poezyach. Że zaś on sam ani nie był wolny od fatalnego wpływu nieszczęśliwych społecznych warunków, ani też się z tem bynajmniej nie ukrywał, przeto poezya jego stała się wiernem odbiciem czasu, w którym Heine na widownię wystąpił. W nim ludzkość — w przeciwieństwie do nauki o grzechu pierworodnym, obciążającym ciało, doszła do przeświadczenia o zupełnym swym upadku, ale pochodzącym z własnej winy, a więc dającym się naprawić, i właśnie to przeświadczenie stało się pierwszym krokiem do zupełnego jej odrodzenia. Najpiękniejszym przeto rysem Heinego jest ów jego, że tak się wyrazimy, namiętny subjektywizm, z powodu którego tak często miotano w poetę rozmaitego kalibru pociski. Najwłaściwszą zaś formą wypowiedzenia się była dła owego subjektywizmu — liryka, której Heine pozostał wiernym i w pieśniach swoich i w dramatach, a nawet i w pismach, prozą skreślonych. Oddaje ona nam jaknajdokładniej nietylko nastrój, myśli i uczucie, lecz zarazem i proces, z którego wyłoniły się myśli, nastrój i uczucie. To namiętne dążenie do oddania zupełnej prawdy podziela Heine z Rahel, która nań

wywierała wielki wpływ i której następnie poświęcił cykl pieśni lirycznych „Powrót".

W tak wysokim stopniu, jak Heine, dążenie to posiadało niewielu poetów. Może też właśnie dla tego jest on jednym z największych mistrzów liryki wszystkich czasów i wszystkich ludów. A tylko z trzech źródeł czerpał Heine materyał do swoich arcydzieł: z własnego serca, z serca kobiety i ze starych niemieckich pieśni ludowych. Pierwsze dało mu najwięcej; wiele zaczerpnął również ze skarbca pieśni ludowych; niejedno, lecz najmniej w każdym razie, zawdzięcza kobiecie, której serce, jak sam powiada w ostatnich swych poezyach, już na łożu boleści pisanych, pozostało dlań wieczną zagadką; a jednak przecie, jak prawdziwy prorok, nie umiał ukryć wyznania tak niemiłej dlań prawdy, że stary świat w „gruzy padnie" z chwilą, gdy kobieta dojdzie do poznania swej istoty:

Die Gestalt der wahren Sphynx
Weicht nicht ab von der des Weibes;
Faselei ist jener Zusatz
Des betatzten Löwenleibes.

Todesdunkel ist das Räthsel
Dieser wahren Sphyux. Es hatte
Kein so schweres zu errathen
Frau Jokastens Sohn und Gatte.

Doch zum Glücke kennt sein eignes
Räthsel nicht das Frauenzimmer;
Spräch'es aus das Lösungswort,
Fiele diese Welt im Trümmer.

Tu sam poeta wskazuje nam stanowisko, z którego wszelkie jego dążenia w przyszłości nie będą już wystarczającemi. I on nie był Edypem, a zagadka ta domaga się właśnie rozwiązania. I poeta próbował ją odgadnąć — ale napróżno; przyczyną zaś owego niepowodzenia było to, że Heine, zacietrzewiony walką ze spirytualizmem, ani w życiu, ani następnie w pieśni nie umiał przeciwstawić ducha materyi. I w tem był on wiernem odbiciem swego wieku, nie mogąc ani kroku poza jego obręb uczynić. Ów dualizm przejawia się w Heinem najjaśniej, a nieraz nawet najjaskrawiej, konieczność jego zniweczenia głosi poeta burzliwie; atoli zniweczenie to nie udaje się jemu samemu:

Psyche.

In der Hand die kleine Lampe,
In der Brust die grosse Gluth,
Schleichet Psyche zu dem Lager,
Wo der holde Schläfer ruht.

Sie errötet und sie zittert,
Wie sie seine Schönheit sieht —
Der enthüllte Gott der Liebe,
Er erwacht und er erflieht.

Achtzehnhundertjähr'ge Busse!
Und die Aermste stirbt beinah!
Psyche fastet und kasteit sich,
Weil sie Amor nackend sah.

Taką jest skarga. Obciążona przekleństwem Psyche, nieszczęsna dusza, błądzi od osiemnastu wieków, za to że zadrżała po ślubnych godach, widząc obnażonego bożka miłości. Nie wiele mielibyśmy do zarzucenia panteistycznej odpowiedzi:

Na skałach tych budujem chram,
Nowego chram zbawienia,
Gdzie trzeci zakon bierze cześć,
Swobodny od cierpienia.
Zniszczone są już oba te,
Co nas trwożyły długo,
I stary ten ascetyzm zczezł,
Gdzie ciało — ducha sługą.

Czy słyszysz Boga w głębi fali?
Tysiącem mówi głosów!
Czy widzisz go, jak świeci nam
Tysiącem gwiazd z niebiosów?
Przedwieczny Bóg ten w świetle jest
I z cieniów ma ołtarze,
On jest we wszystkiem, co ma byt,
I w pieszczot naszych czarze.

(przekład M. Konopnickiej).

gdyby inne poezye Heinego nie dostarczały zbyt surowego materyalistycznego komentarza do tego „Nowego Testamentu"!

Zawód swój pieśniarza poczyna Heine w „Lirycznem Intermezzo", święcąc nieszczęśliwą miłość swoją, z której bolesnych wspomnień wyzwolił się dopiero po wielu latach. Z taką okrutną prawdą nie śpiewał nigdy przedtem żaden poeta o miłosnych katuszach, i zaiste, kto nie ma w piersi kamiennego serca ten nie mógł pozostać nieczułym na owe akordy dzikie, namiętne, słodkie, marzące, to wybuchające śmiechem, to znowu w dal płynące, jak cichy gwar fali. Miast przekląć kochankę, miast zarzucić ją potwarzami, Heine stara się tylko uśpić boleść swoją; śpiewa jej więc cichą kołysankę a potem znów nagle z głębi przepełnionej męką piersi poety wyrywa się krzyk tak rozpaczliwy, tak bolesny, że wszystkie struny naszej duszy gwałtownie drżeć poczynają i dopiero w następnej pieśni znajdują ukojenie. A nieraz z iście demoniczną rozkoszą lubuje się poeta owym nastrojem boleści, jak gdyby z cierniowych jego pęt bynajmniej nie pragnął się wyzwolić— tak np. w pieśni:

Nie szemrzę już, choć pęka serce me...
Miłości dawnych lat — nie gniewam się...
Choć dyamentów czar — roztacza jasny wzrok
Nie wnika blask — w twojego serca mrok...

Dawno to już wiem. Wszak Cięm widział w śnie,
Widziałem noc — na serca twego dnie,
Zdradne serce twe — węże wstrętne ssą,
Ach, luba ma, widziałem nędzę twą ..

* * *

Tak! Nędzną-ś jest, lecz zastygł już mój gniew,
Obojgu nam — nędznymi trzeba być,
Nim śmierć wyziębi w sercach naszych krew —
Obojgu nam — nędznymi trzeba być!

W uśmiechu ust — szyderstwa widzę grę,
Zuchwalstwa błysk, co w oczach twoich drga,
I dumy znak, co wznosi łono twe,
A nędzną-ś jest, jak nędznym jestem ja!

Lecz usta twe — okala cierpień ślad,
Tajemna łza chce blask twych oczu zćmić,
Hardą twą pierś — tajemny gryzie jad,
Kochanko ma! Nam obu nędznie żyć!

(przekład Al. Kraushara).

Do najprostszych i najgłębszą melancholią owianych pieśni, jakie kiedykolwiek z serca poety wytrysnęły, należy niezaprzeczenie wiersz, zatytułowany „Tragedya", w który Heine wplótł umiejętnie starą pieśń ludową.

Takiej plastyki, takiej przedmiotowości formy, jakie widzimy we wszystkich niemal utworach Heinego, trudno znaleźć nawet u Goethego, który zwykle pod tym wzgiędem bywa zamistrza uważany. Heine trafnie porównał dzieła Goethego ze statuami; rzeczywiście trudno znaleźć lepsze porównanie. Każdy rys twarzy, każdy muskuł, każda cecha zewnętrzna zostały odtworzone z życia z nieporównaną doskonałością. Natomiast brak tam duszy, brak samego życia; brak serca... gorąco tętniącego ludzkiego serca. A właśnie bicie tego serca przy równej doskonałości technicznego wykończenia ożywia pieśni Heinego. To też nie przechwałkę, aie najzupełniej trafny sąd znajdujemy w tych żartobliwie krytycznych słowach:

Jeśli dobry wzrok posiadasz,
Ujrzysz w każdej piosnce mojej
Piękną damę, co me serce
Nieustannie niepokoi.

Jeśli dobry słuch posiadasz,
Głos usłyszysz nawet snadno.
Jej westchnienia piosnka, uśmiech
Biednem sercem twem zawładną.

I żyć zaczniesz, jak ja, odtąd
Tylko przez nią, tylko dla niej...
Pójdziesz błąkać się po lasach,
Rozmarzony, rozkochany.

(przekład Cz. Jankowskiego).

Heine w pieśniach swych powydobywał najczarowniejsze tony, dźwięczące w mowie niemieckiej. Przypominamy tu dla przykładu wiersz „Bóg-Apollo", który wprost upaja grecką pogodą, dzięki

ciągłemu powtarzaniu w rymie pełnego *a*, z drugiej zaś strony wiersz „Jazda Nocna”, przejmujący nas dziwnie bolesnem uczuciem w monotonii powtarzającego się rymu *ei*.

Że Heine w swych pieśniach miłosnych bynajmniej nie sprzyjał trywializmowi sentymentalnego marzycielstwa, tego chyba dowodzić nie potrzeba. Choćby jednak pod tym względem były jakie wątpliwości, sądzimy, że go zabezpiecza w dostatecznym stopniu przed powyższem podejrzeniem wiersz:

Wahrhaftig.

Wenn der Frühling kommt mit dem Sonnenschein,
Dann knospen und blühen die Blümlein auf;
Wenn der Mond beginnt seinen Strahlenlauf,
Dann schwimmen die Sternlein hinterdrein;
Wenn der Sänger zwei süsse Aeuglein sieht,
Dann quellen ihm Lieder aus tiefem Gemüth: —
Doch Lieder und Sterne nnd Blümelein,
Und Aeuglein, und Mondglanz und Sonnenschein,
Wie sehr der Zeug auch gefällt,
So macht's doch noch lang keine Welt.

Również jednak nie przypadała mu do gustu poezya tendencyjna, która zwłaszcza od r. 1840 zachwaściła lirykę niemiecką, traktując pieśni wyłącznie, jako dziennikarską partyjną broń. „Prawdziwie wielcy poeci — pisał naówczas Heine — szukali zazwyczaj dla wypowiedzenia wielkich idei innej formy; nie posługiwali się w tym celu rymowanymi dziennikarskimi artykułami; i wcale ich to nie obchodziło, że nieokrzesany tłum, budzący w nich wstręt, zarzucał im arystokratyzm”. Przeciw owej napuszonej frazesami, pospolitej, duchowi czasu służącej, politycznej poezyi wymierzony był nietylko „Atta Troll”; już o wiele wcześniej, jak np. w wierszu „Tendencya” Heine niemiłosiernie wyszydzał te efemerydy. I w jego piersi i na jego lutni znajdowały odgłos cierpienia torturowanej ludzkości; ale przed oczami naszej duszy rozsuwał on szeregi obrazów konkretnych, silnie przejmujących. O wiele rzadziej spotykamy tam własne rozumowania poety; najczęściej w pieśniach tych jasno i dokładnie malowane wady ustroju społecznego same siebie zdają się wyszydzać. One właśnie najskuteczniej i najgłębiej wszystkich porozgoryczały, osiągając w ten sposób cel zamierzony. Któż wyzwał świat do walki śmielej od naszego poety, zwracająeego się do kochanki ze słowami:

Diese Welt glaubt nicht an Flammen,
Und sie nimmt's für Poesie!

To oddzielanie sztuki od życia jeszcze niejednokrotnie zarzuca poeta społeczeństwu:

Gdym o mych bólach prawił wam pojętnie,
Każdy, słuchając, ziewał obojętnie;
Lecz gdym te skargi poubierał w rymy,
Wraz mię zaczęły krztusić pochwał dymy.

Z kolei na uwagę zasługują wiersze, w których Heine mówi z bolesnem szyderstwem o tych, co giną w sieci obłudnych życiowych stosunków, np.:

Oboje czcili się bardzo,
Lecz wyznać tego nie śmieli,
Patrzyli na się z ukosa,
Chociaż miłością płonęli...
A gdy się wreszcie rozstali,
W najgrubszej serca żałobie,
Pomarli zdala od siebie,
Nie wiedząc nawet o sobie.
(Przekład Al. Kraushara).

Przedziwnie melancholijnym nastrojem odznaczają się owe proste elegie, w których poeta opiewa cierpienia swoje i tęsknoty w obrazach, mogących być rozmaicie tłomaczonymi, a które przecie nie potrzebują żadnego objaśnienia.

Tak naprzykład:

Samobójcom kopią w nocy
Na rozdrożu grób.
Tam błękitny rośnie kwiatek,
U mogiły stóp.

Długo stałem na rozdrożu,
Gdym chciał rzucić świat,
A w gwiazd świetle chwiał się zwolna
Samobójców kwiat.
(Przekł. Al. Kraushara).

Lub też te powszechnie znane strofy:

Drzemiąca sosna samotnie
Na wzgórzach północy stoi,
Śnieg i mgła szronu wilgotna
W białą osłonę ją stroi.

I, drzemiąc, o palmie marzy,
Co tam na wschodzie, daleko,
Samotna cicho się skarży,
Na skale pod słońca spieką.
(Przekł. J. Prusinowskiego),

Miał-li tu poeta, jak zwykle na myśli, nieszczęśliwą miłość? A może owa „sosna, drzemiąca samotnie"—to ludzkość, która śni

o dalekiej palmie .. z utęsknieniem oczekuje ziszczenia się ideałów przyszłości, wyzwolenia ze śniegu i mgieł, spowijających ją w skorupę martwoty?

Jakież lodowe zimno musiało przejmować nieszczęsnego poetę na widok przewrotnych spraw tego świata; jakże musiało mu ciężyć życie, w którem tylko „odrobina miłości" ukazywała mu drogę w przyszłość! Świat już w zaraniu młodości tak mu się stał niemiłym; trawiła go ciągła tęsknota, nęcąca ducha w pozaświecie. Im pogodniej i weselej uśmiechała się doń przyroda, tem potężniejsza, tem bardziej bolesna zrywała się w jego piersi burza dysharmonii. „Pragnąłbym leżeć w grobie", „Jakżebym umrzeć chciał!", „O piękny świecie, tyś obrzydły!"—oto słowa skarg poety, które się rozlegają, w obliczu rozkwitających wiosny uroków. Często owłada nim nawet wątpliwość, czy ów jad fałszu i obłudy, który zatruł świat cały, nie zakaził wreszcie i samej przyrody, np.:

Die Rose duftet—doch ob sie empfindet
Das was sie duftet, ob die Nachtigall
Selbst fühlt, was sich durch unsre Seele windet
Bei ihres Liedes süssem Wiederhall?
Ich weiss es nicht. Doch macht uns gar verdriessllich
Die Wahrheit oft! Und Ros' und Nachtigall,
Erlögen sie auch das Gefühl, erspriesslich
Wär solche Lüge, wie in manchem Fall.—

Zresztą Heine bardzo często nastroje ludzkiej duszy udziela przyrodzie i każe jej brać udział w cierpieniach i radościach człowieka. Widzimy to w takich pieśniach, jak: „Gdyby kwiateczki wiedziały, jak serce moje strapione", „Czemu pobladły róże tak? O luba, powiedz mi", „Sprawia wszystkim ból pokutny, chłopiec trupioblady" i innych.

W tych pieśniach stał się po raz pierwszy przyrodzoną mową serca poety—panteizm, którego wyznawcami, poczynając od Spinozy, byli najwięksi myśliciele, i który przeszedł w ciało i krew Heinego. Natura nie jest już odtąd dla poety objawieniem, ale regułą i normą dla ducha; szuka on w niej rozkoszy, współczucia, pociechy i ukojenia swych cierpień. Widzimy to w niejednej pieśni z cyklu „Nowa wiosna".

Źrenicami gwiazd wiosenna noc
Patrzy ku nam łagodna i cicha.
O miłości! Dziwna twoja moc:
Wznosi w niebo i w otchłanie spycha!

Wśród lip człowiek siadł, zanucił śpiew.
Pieśni struna w duszy znów trącona;
Myśl się zrywa, zapala się krew,
Świat bym cały tulił znów do łona!

Motyl w róży zakochany
I krąży wciąż koło niej,
A zaś złoty słońca promień
Wciąż za motylem goni.
Kogóż jednak kocha róża?
To chciałbym wiedzieć właśnie,—
Czy słowika, czyli może
Gwiazdkę, co w chmurach gaśnie?
Nie wiem, kogo kocha róża —
Ja kocham w równej sile
Róże, gwiazdy i promienie,
Słowiki i motyle.

(Przekł. Cz. Jankowskiego).

Taką pogodę i pojednanie—aczkolwiek chwilowe i przechodnie—rzadko spotykamy u Heinego we wcześniejszych jego pieśniach; podzwaniają one dopiero w „Nowych poezyach”—cyklu, stanowiącym drugą część „Księgi pieśni”. W tej ostatniej prawie na każdym kroku spotykamy się z pełnymi goryczy rozdźwiękami, których najpotężniejszym i największą boleścią tchnącym wyrazem jest chyba „Zmrok bogów”.

Poeta nie może sobie znaleźć miejsca, gdzieby się czuł szczęśliwym; był on tylko „przechodniem na tej ziemi” (przedmowa do Lutecyi), który .,wzbił się ku słońcu i szczęściu”, lecz spadł z wyżyn nagi i nędzny na ten ziemski padół.

Śmiało rzec można, że niema takiej struny bólu i do głębi w duszę wżerającego się zwątpienia, w którąby Heine nie uderzył. Wszędzie prześladuje go owa demoniczna sprzeczność pomiędzy idealnym żarem uczucia a surowym, chłodnym, prozaicznym rozsądkiem, z którym zmuszony był spotykać się w życiu codzień, na każdym kroku. Nieraz poeta odtwarza nam, z przeraźliwą dokładnością, jak to np. ma miejsce w „Podziemnym świecie” najpospolitsze i najbardziej denerwujące, codzienne wydarzenia naszego konwencyonalnego życia. Widzimy biedną Prozerpinę, spragnioną „róż, wylewów pieśni słowiczej i pocałunków słońca” „przykutą w jarzmie małżeńskiem do męża”, który samby się chętnie od niej uwolnił i który „pije poncz, z Lethą zmieszany, dla zapomnienia o małżonce”. „Skarga Cerery” Schillera jest tu w żartobliwy sposób zręcznie wpleciona,—poeta umyślnie posługuje się najwulgarniejszą formą dla odtworzenia najwulgarniejszych stosunków; jednak jak boleśnie i szlachetnie wydaje on w końcu wyrok swój o tego rodzaju dysharmonii:

Zuweilen dünckt es mich, als trübe
Geheime Sehnsucht deinen Blick —
Ich kenn es wohl, dein Missgeschick:
Verfehltes Leben, verfehlte Liebe!
Du nickst so traurig! Wiedergeben
Kann ich dir nicht die Jugendzeit —
Unheilbar ist dein Herzeleid:
Verfehlte Liebe, verfehltes Leben!

Częściej wszakże wybiera Heine odmienną drogę. Z całym żarem pełnego upojenia zachwytu, z duszą, z której tchnie miłość i gorąca chęć ziszczenia najwznioślejszych ideałów, rzuca się poeta w odmęt życia i, jako odgłos nastroju swego ducha, znajduje tam jedynie najpospolitszą prozę, najtrzeźwiejsze wyrachowanie, pozbawioną poezyi konwencyonalność. Stąd owe zwroty gorzkie i gryzące: „Madam, ich liebe Sie!" (Księga pieśni), „Madame, Sie sind die schönste aller Frauen!" (Nowe poezye), i wiele innych *point*, w których bezmyślny sentymentalizm, pragnący koniecznie zamaskować sztuczne uczucie, zdaje się mówić, „szkoda", widząc zniweczony nastrój początkowych wierszy. Inne, dosadnie skreślone obrazy, wzięte z towarzystw, w których panował zwyczaj nazywania kochanki *Madam* lub *Madame*, znajdujemy w wierszach „Lilipuci", „Kaprysy zakochanych", przedewszystkiem zaś w takich, jak ten:

Przy zwykłej herbatce siedzieli,
W ocenę się bawiąc miłości.
Panowie z wykwintu słynęli,
A panie z ponętnej czułości.

„Miłość ma być platoniczną"—
Pan radca rozmowę tak zacznie.
Radczyni chce być romantyczną
I wzdycha, choć nieco dwuznacznie.

Ksiądz proboszcz wymownie dowodzi:
„Nadużyć nie trzeba dobrego,
Bo zbytek i zdrowiu zaszkodzi".
Panienka się pyta: Dlaczego?

Hrabina wyraża się łzawie:
„Namiętna jest miłość tajona!"
I, dając herbatę, łaskawie
Spogląda na pana barona.

Na pustem krzesełku przy stole
Zabrakło mi ciebie, o miła!
Tak piękniebyś właśnie w tem kole
O swojej miłości mówiła!

(Przekł. J. Weyssenhoffa).

Wszakże nie zawsze w tak przerażającej nagości pokazuje nam Heine wroga, którego zwalcza. Nie! czasem wieńczy on swą ofiarę kwiatami, zaklina z iście demoniczną uciechą szereg postaci z państwa cieni, owiewa je sztucznem życiem, a potem pokazuje nam, jak poza tą barwną maską kryje się ohydny szkielet, wstręt i zgrozę budzący trup, obwieszony pstrymi łachmanami.

Nic dziwnego, że takie odtwarzanie przez poetę życia w całej jego nagości wywołało w Niemczech wielkie oburzenie pośród różnego gatunku filistrów.

Poeta nie doprowadziłby nigdy do końca swojego dzieła i musiałby się zatrzymać w połowie drogi, gdyby miał zwracać na nich uwagę. Heine nie chciał i nie mógł spowijać w równianki z kwiecia tego, cośmy powinni byli poznać w całej surowości i pospolitości; nie chciał i nie mógł skrapiać kolońską wodą tego, co z urzędu cu-

chnęło. Smutne to wyznanie—nie dla Heinego, lecz dla publiczności—które się mieści w tej strofie:

Rzadkoście mnie pojmowali,
Rzadkom ja pojmował was;
Gdyśmy w błocie się spotkali,
Zrozumieliśmy się wraz.

Serce poety jest, jako *Mater Dolorosa*, której pierś siedem mieczów przeżyło, a pieśń—jako czysta krzyształowa czara, zbierająca kroplę po kropli—krew jego serdeczną i łzy jego najgorętsze. Słusznie też Heine o sobie powiedzieć może—i nikt nie nazwie tego przechwałką:

Ich bin ein deutscher Dichter,
Bekannt im deutschen Land;
Nennt man die besten Namen,
So wird auch der meine genannt.
Und was mir fehlt, du Kleine,
Fehlt Manchem in deutschem Land:
Nennt man die schlimmsten Schmerzen,
So wird auch der meine genannt.

Z dzieł Heinego, napisanych mową wiązaną, pozostaje nam jeszcze do omówienia „Atta Troll; sen nocy letniej" i „Niemcy; baśń zimowa". Aczkolwiek „Atta Troll" ukazał się dopiero w r. 1847 w wydaniu książkowem, został napisany o wiele wcześniej, już w r. 1841; ogłaszany zaś byl częściowo, poczynając od r. 1843 w „Piśmie dla wytwornego świata".

Jużeśmy nieraz mieli sposobność zaznaczać wystąpienia Heinego przeciw przeszłości. Teraz wymierzył on zabójczą strzałę swego kołczanu w romantyzm, który wszakże tak był blizki jego serca, że poeta nigdy od niego doszczętnie nie mógł się uwolnić. Nieraz śród walki najgorętszej ogarniała go nagle gwałtowna tęsknota za „Kwiatami Brenty", lub za „jego ojczyzną, świętym Gangesem", za „małą umarłą Weroniką", lub też za „Królową Elfów, która, przechodząc z uśmiechem nęciła go ku sobie". Ani przed samym sobą, ani też przed światem Heine bynajmniej nie zapierał się owej tęsknoty za senną krainą przeszłości i otwarcie mówi o tem w swych „Wyznaniach": „Pomimo zapamiętałych moich wycieczek przeciw romantyzmowi sam zawsze byłem romantykiem. Ja zamknąłem starą liryczną szkołę poezyi niemieckiej i ja zarazem otworzyłem nową szkołę współczesnej niemieckiej liryki". „Atta Trolla" sam poeta nazywa „ostatnią wolną, leśną pieśnią romantyzmu". Poemat

powstał z niesmaku, jaki obudziła w Heinem bujnie naówczas w Niemczech pleniąca się polityczna poezya: „Opozycya, jak mówi Ruge, sprzedawała własną skórę i stawała się poezyą. Muzy odebrały surowe napomnienie, aby się odtąd po próżniacku nie ważyły wałęsać, ale weszły w służbę ojczystą, jako markietanki wolności albo jako praczki chrześcijańsko-germańskiej narodowości. Podniósł się wówczas na parnasie niemieckim ów pusty, bezpłodny patos, ów bezużyteczny entuzyazm, który, gardząc śmiercią, rzucił się w ocean powszedniości, a który mi zawsze przypominał owego majtka amerykańskiego, co takiem był dla generała Jacksona przejęty uwielbieniem, że pewnego dnia ze szczytu masztu skoczył w morze, wołając: „Umieram za generała Jacksona!“ Tak jest: chociaż my, niemcy, nie posiadaliśmy jeszcze wówczas żadnej floty, mieliśmy przecież wielu majtków, którzy umierali za generała Jacksona—wierszem i prozą. Talent był wówczas darem zdradzieckim, gdyż sprowadzał podejrzenie o brak charakteru. Chciwa rozgłosu niemoc wynalazła nareszcie po tysiącoletniem szperaniu wielką swoją broń przeciw zuchwalstwu geniuszów, wynalazła mianowicie antytezę talentu i charakteru. Było to prawie osobiście pochlebnem dla tłumu, kiedy słyszał twierdzących, że uczciwi ludzie są wprawdzie zazwyczaj lichymi muzykami, ale za to dobrzy muzycy nie są zwykle niczem mniej, jak uczciwymi ludźmi, a przecież główną rzeczą na świecie jest uczciwość, a nie muzyka. Pusta głowa biła się teraz całem prawem w swe pełne serce, a sposób myślenia był etatem. Przypominam sobie z owych czasów jednego literata, który poczytywał to sobie za szczególną zasługę, że nie umiał pisać; za swój drewniany styl otrzymał on srebrny puhar honorowy.

Na wszystkie bogi! wtedy opłacało się przekraczać niewzruszone prawo ducha, przynajmniej w poezyi. Ponieważ zaś takie przekraczanie było zawsze wielką sprawą mego życia, przeto ślady jego przed oczy wasze stawiam chociaż w poemacie, który tak z formy, jak z treści był protestem przeciw plebiscytowi trybunów dnia. Prawdę mówiąc, już pierwsze fragmenty „Atta Trolla“, jakie się ukazały w druku, poruszyły żółć moich bohaterów charakteru, moich Rzymian, którzy mnie obwiniali, nietylko o literacką herezyę, ale także o reakcyę społeczną, a nawet o wzgardę i sponiewieranie najświętszych uczuć ludzkości. Co się tyczy estetycznej wartości mego poematu, chętnie przyznałem im słuszność, a i dziś jeszcze uczynić to jestem gotów; pisałem go dla własnej uciechy i rozrywki w różnobarwnej i półsennej formie owej romantycznej szkoły, w której przeżyłem najpiękniejsze lata młodości mojej, i w której naresz-

cie oćwiczyłem samego nauczyciela. Pod tym względem poemat mój jest może do odrzucenia.

Ale kłamiesz, Brutusie, kłamiesz, Kasyuszu, kłamiesz i ty, Asiniuszu, kiedy twierdzicie, że szyderstwo moje trafia w te idee, które są skarbem ludzkości, hasłem jej uniesień, za które ja sam tyle walk stoczyłem i tyle cierpiałem. Nie, właśnie dlatego, że idee te w całej swojej wielkości i czystości objawiają się duchowi poety, chwyta go nieprzeparta żądza śmiechu, kiedy widzi, jak grubo, nędznie i głupio pojmowane być one mogą przez ograniczoną współczesność. Żartuje on sobie wtedy obojętnie z ich doczesnej skóry niedźwiedziej. Są zwierciadła, które oszlifowane zostały w ten sposób, że nawet Apollo odbija się w nich, jako karykatura i do śmiechu zmusza. Wszakże śmiejemy się wówczas z przekształconego obrazu—nie z boga".

Podobnież jasno, jak w przedmowie, wypowiada się Heine i w samym poemacie:

Letniej nocy sen!... kapryśna,
Bezcelowa jest pieśń moja,
Tak, jak miłość, tak jak życie,
Tak, jak Stwórca i stworzenie...
Własnej tylko patrząc woli,
Pędzi ziemią, wichrem leci
I w krainę cudów wpada,
Mój Pegazus ulubiony.
Nie jest on cnotliwą szkapą,
Co mieszczańskie ciągnie wozy,
Ni podjezdkiem obozowym,
Co rży wzniośle w dachu partyi.
Z złota kute ma podkowy
Koń mój biały i skrzydlaty;
Sznury pereł ma na czole,
Które wolno mu opuszczam.
Nieś mnie, koniu, gdzie ci wola!
Na powietrzne, górskie szlaki,
Gdzie kaskady, szemrząc trwożnie,
Od przepaści stopy strzegą.
Na doliny nieś mnie ciche,
Tam, gdzie szumią dęby stare,
Z pod korzeni sącząc krętych
Słodkie źródło starych baśni.
Tam mi pić daj, tam mi obmyj
Oczy senne... Ach, już piję
Żywą wodę, która czyni
Wszechwidzącym, wszechwiedzącym,
I ślepotę każdą spędza...

(Przekł. M. Konopnicklej),

Na dowód, z jakiem powodzeniem ośmiewa poeta w tej kapryśnej, bezcelowej pieśni puszącą się bombastycznie polityczną poezyę, nie dotykając wszakże strzałą swego szyderstwa treści głoszonych przez nią nauk, przytoczymy mowę „Atta Trolla", będącego niegdyś jarmarcznym niedźwiedziem, w której opowiada swemu synowi o zepsuciu ludzi. Silny kontrast tworzy w tym poemacie, zda się, czarodziejskie ukazanie się romantyzmu w chłodnej trzeźwej teraźniejszości; czujemy wszakże, iż są to tylko martwe cienie, snujące się dziwacznie dokoła nas, na linii granicznej, pomiędzy starym a nowym światem. Nie uwolniliśmy się jeszcze zupełnie od wpły-

wów, przez nich wywieranych, duch nasz od czasu do czasu zwraca się jeszcze ku dawnej krainie snów, ale rozsądek wskazuje nam już osłoniętą mrokiem przyszłość. Dla każdego zaś jest to widocznem, do jakiego stopnia sympatyzuje filut Heine ze wszystkiemi temi przewrotowemi teoryami współczesnych mu niedźwiedzi-niezgrabiarzy.

W pozornej sprzeczności z „Atta Trollem", tym „bezcelowym, kapryśnym snem nocy letniej", stoją „Niemcy"—baśń zimowa, w trzy lata później napisana. Heine, powiadają, sam tu wchodzi na ową niwę politycznej poezyi, przeciw której był wymierzony „Atta Troll". Lecz i tym razem kłamią panowie Brutus, Cassius i Asinius. Chyba, że rozsądny człowiek znajdzie jakie podobieństwo pomiędzy rymowanymi dziennikarskimi artykułami, mieniącymi się polityczną poezyą, a owym weselnym śpiewem Młodych Niemiec?

W Paryżu tęsknota nie dawała spokoju poecie, musiał on jeszcze raz ujrzeć ukochane Niemcy swoje i po powrocie z podróży posłał ojczyźnie pozdrowienie—ów okrzyczany, zniesławiony, a — wbrew twierdzeniu wielu estetyków—wspaniały poemat. Już na granicy budzi w nim śpiew małej harfiarki, upajające wspomnienia młodości; w jego duszy wzbiera nowa pieśń... pieśń o „zaślubinach Europy z pięknym geniuszem wolności;—„olbrzym znowu się zszedł z matką, niemiecką ziemią"—i w tryumfalnym pochodzie poeta odwiedza ojczyznę swoją, znowu smagając biczem szyderstwa wszystkie „uświęcone" państwowe i kościelne instytucye, świeżo odgrzewaną, średniowieczną feudalną gospodarkę i chorobliwe marzycielstwo narodowców. Jednak w wielu miejscach z poza tego szyderstwa wyziera powaga, i może nigdy Heine nie wypowiada się jaśniej i dodatniej o wpływie dzieł swoich, jak w owem miejscu, gdzie demon, krok w krok za nim śpieszący, odpowiada na jego zapytanie:

„ — — Święcie spełniam to,
Co ty wymyślisz sobie.
I nie ustanę w pracy swej,
Choć wiele lat przeminie.
Wypełnię to, coś wyśnił ty,
Ty myślisz, a ja czynię.
Ty jesteś sędzią, kat to ja.
Na rozkaz twój posłuszny
Wykonam, skoro wydasz sąd,
Chociażby był niesłuszny.
Za dawnych przed konsulem dni
Liktorzy szli z toporem,
Za tobą niosę topór ci,
Jam twoim jest liktorem.
Za tobą niosę topór ci,
Co błyskiem stali sinym
Wygląda z poza płaszcza—ja
Twych myśli jestem czynem".

(Przekład K. F. Wizego).

W ciągu poematu Heine zapytuje o przyszłe losy ojczyzny bogini Hammonii, która mu się ukazuje w postaci ulicznicy, zaznacza-

jąc w ten sposób dobitnie sprzedażność ducha czasu i gonienie za zyskiem. Mimo zarzutów, miotanych w poetę przez ograniczoną, tendecyjną krytykę, przyznać trzeba, że nie mógł go we właściwszy kształt przyoblec dla odtworzenia panujących naówczas w Niemczech stosunków i dusznej atmosfery, gwałtownie domagającej się oczyszczenia owej społecznej stajni Augiasza. Hammonia doskonale parodyuje obawy konserwatystów przed niepewną przyszłością. Ale poeta wzrokiem swym sięga poza granice najbliższej przyszłości i wiary swej zachwiać w sobie nie daje:

Kłamliwy, stary znika ród,
Dzięki ci, Boże, za to,
Powoli się zesuwa w grób,
Śmierć kłamu ich zapłatą.
Bez szminki pokolenie i
Bez zbrodni wzrośnie świeże,
Swobodna myśl, swobodna chęć —
Jemu ja wszystko zwierzę.

Ta młodzież się rozwija, co
Zrozumie serce wieszcze;
Ja duchem swym zagrzeje ją,
W swym słońcu ją wypieszczę.
Jak światło — kocha serce me...
Jest czyste, jako łuny...
Najszlachetniejsze gracye mi
Stroiły lutni struny.

(Przekład K. F. Wizego).

Heine nie wyśpiewał wprawdzie tej pieśni przyszłości, ale już tem samem, że ją zapowiedział, zapewnił sobie w sercach młodzieży pamięć niezgasłą.

Nad prozą Heinego nie potrzebujemy dłużej się rozwodzić; da się o niej powiedzieć przedewszystkiem to samo, co i o poezyi. O wspólności wszystkich swoich dążeń mówi sam poeta: „Muszę nadmienić, iż zarówno moje poetyckie, jak i polityczne, teologiczne oraz filozoficzne pisma przejęte są jedną i tą samą myślą, i że nie można potępiać jednych, nie obniżając wartości pozostałych“. Owa jednolitość wszystkich jego dzieł jest istotnie tak doskonałą, że wprost niepodobna oddzielić pieśni od pism, prozą kreślonych. Heine do szczętu zwalił chwiejący się gmach starej estetyki i—zarówno w pieśni, jak i w prozie—stanął na wyżynie. Jest on właściwie twórcą współczesnej prozy, która, wyzwolona z krępujących ją dotychczas formułek, nosi znamienne piętno indywidualności poety. Że ją Heine stworzył może mu to być tylko za zasługę poczytywane—natomiast prawdziwą plagą jest nieudolne jej naśladowanie przez liczne zastępy pisarzów, napróżno usiłujących dosięgnąć wyżyny pierwowzoru. Recepta Börnego: „jak w przeciągu trzech dni zostać dobrym oryginalnym pisarzem“ mogłaby tu istotnie znaleźć zastosowanie, ale pragnący posługiwać się nią powinni posiadać dobrze zharmonizowaną indywidualność, ażeby módz tworzyć, miast nieudolnych kopii, żywe dzieła sztuki. A Heine, wbrew wielu twierdze-

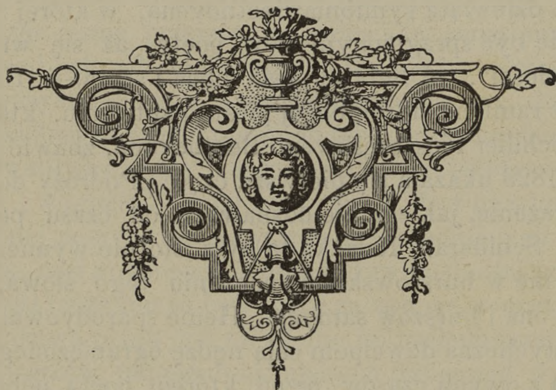
niom, posiadał ją i z zupełną słusznością opiera się zarzutowi, jakoby naśladował Byrona w poezyi i w życiu. „Ze wszystkich wielkich poetów Byron jest właśnie tym, którego dzieł najbardziej znosić nie mogę“. Subjektywny, pełen rozdźwięków, młodociany okres twórczości przeszedł u Heinego dość szybko, podczas gdy Byron poświęcił mu najpiękniejsze lata swego życia. I Heine, którego pieśni są wiernem echem owej dysharmonii świata, odbijającej się w jego duszy, nie z upodobaniem, a ze smutkiem raczej na jej ton nastrajał lutnię swoją. Błędnem jest mniemanie, jakoby mu to, podobnież, jak innym wielkim poetom, rozkosz sprawiać miało; dostrzegamy w nim raczej bunt przeciw surowości praw tego świata, które są istotnie surowe i pospolite i, jako takie, powinny być odtwarzane z całą dokładnością. Samemu poecie nie były obce owe rozdźwięki; wykazywał on ich fałsz i nieprawość, mając je na każdym kroku przed oczyma, cierpiał z ich powodu najboleśniej, ale tego o nim powiedzieć nie można, ażeby sam nie był zharmonizowany. Na czem więc polegała ta jego harmonia? Był-li to ów dotychczas niedościgniony doskonały zestrój wszystkich duchowych sił jego istoty, czy owo pojednanie się człowieka z ludzkością i z całym wszechświatem, kwitnącym życiem i płonącym pięknością form i czarowną grą kolorów? Nie, nie na tem polegała ona! Było to zestrojenie rozdźwięków w akordach, wymarzonych, ale nie wcielonych w życie—bowiem to ostatnie byłoby zbyt trudne do urzeczywistnienia; była to waryacya Liszta na temat ówczesnych stosunków. Poezyę Heinego możnaby porównać z dziewiątą symfonią Beethovena, w której rytm melodyi tak zdaje sie być spragnionym słów poety, aż się wresznie upaja „Pieśnią radości“. A była to pieśń obca i stara—i Heine również rzucił się w ramiona starej, obcej pieśni panteizmu, która go, podobnież jak Schiller nieszczęśliwego Beethovena, zbawić nie mogła.

W r. 1826 ukazała się pierwsza część „Podróży do Harzu“, wywołując wrażenie, jakiego nie doznawano od czasu pojawienia się „Zbójców“ Schillera. Książka ta była istotnie wymierzona w filisteryę, ale nie w burszowskiem znaczeniu tego słowa; przeciwnie, piętnowała ona i burszów samych. Heine sparodyował w niej z nieznanym dotychczas dowcipem całą nędzę ograniczonego, drobiazgowego życia z owych czasów, przed którem poeta uchodzi w góry z szyderczem pożegnaniem. Zuchwały, młodzieńczo-wesoły nastrój podzwania od samego początku—i do końca dźwięczeć nie przestaje; tylko, że poczucie dysharmonii, panującej we wszechświecie, które tam wszędzie—poczynając od wstępnej pieśni—w rażącej staje sprzeczności z wesoło uśmiechniętą przyrodą, coraz głębiej wżera

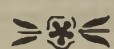
się w serce poety, tak, że po szyderczych wybuchach łkanie zdaje się wstrząsać jego piersią.

Jeżeli Heine, w pierwszym tomie „Obrazów z podróży“ występując niejako w roli harcownika, razi gęstym tyralierskim ogniem współczesne mu zapatrywania na świat i życie, to w następujących tomach ataki te powtarzają się coraz natarczywiej, aż wreszcie zmuszają zrozpaczonego nieprzyjaciela do wyszydzania samego siebie, ku uciesze zwycięzcy. Trzecia część „Morza północnego“, „Księga Le Grand“, „Podróż z Monachium do Genui“, „Kąpiele w Lucca“, „Miasto Lucca“, wreszcie „Angielskie fragmenty“ zawierają tylko szersze rozwinięcie myśli, która błyskawicą przenika „Podróż do Harcu“. Grom padł! i niszczący płomień nagle ogarnął cały zamierający stary świat. O oszczędzaniu mowy tu być nie może,—niech ginie ten, co po rozbiciu okrętu przestarzałych, pozbawionych treści uczuć nie chce szukać zbawienia na jasnym brzegu przyszłości. „Obrazy z podróży“ są niejako żywą ilustracyą słów Goethego:

Komm her, wir setzen uns zu Tisch;
Wen sollte solche Narrheit rühren?
Die Welt geht auseinader wie ein fauler Fisch —
Wir wollen sie nicht balsamiren.



KRONIKA EKONOMICZNA.



Giełda a wojna Transvaalska. — Ekonomiczne skutki wojny. — Produkcya złota w roku 1898. — Rynek paniczny. — Polityka a interes w Niemczech. — Co kosztują kolonie?

„Pierwsze wieści o sukcesach angielskiego oręża spowodowały na rynku giełdowym entuzyazm, który prawie granic nie ma. Patryotyzm skłania giełdę do zakupu akcyi kopalń złota w Transvaalu po wygórowanych cenach, zapomiano o wszelkiej ostrożności, i hasłem jedynem było: Transvaal będzie brytańskim!" Tak czytamy w sprawozdaniu z giełdy londyńskiej w „Frankfurter Zeitung" 26 października. Giełda a patryotyzm! Trzeba być bardzo naiwnym, aby upatrywać związek między temi pojęciami. Warto tu przypomnieć fakty z nie tak znów dawnej przeszłości. Kiedy Pitt zagrzewał parlament angielski do walki przeciw Napoleonowi, zgodzono się z nim chętnie, kiedy jednakże zażądał uchwalenia nowych podatków na pokrycie kosztów wojennych, i to podatków bezpośrednich, które miały dotknąć kieszeni lordów i bankierów, odpowiedziano mu, że wylądowanie Francuzów w Anglii byłoby mniejszą klęską, niż powzięcie takiej uchwały, która oznacza „częściową konfiskatę majątkową". — A teraz drugi przykład najświeższej daty.

W czerwcu roku bieżącego dwie barki niemieckie znacznej wielkości, bo mieszczące po 1300 ton każda, przywiozły do Durbon ładunek skrzyń zawierających rzekomo „towary żelazne". Skrzynie wysłano dalej do Pretoryi. Zawierały one jednakże nie towary żelazne, lecz naboje i to z angielskiej fabryki. Fabryka ta prowadzoną jest pod firmą Kynoch et Comp., a szefem tej firmy jest — sir Arthur Chamberlain, rodzony brat sir Józefa, sekretarza do spraw kolonialnych, ministra, który już w czerwcu pracował gorliwie nad wywołaniem wojny. Pan A. Chamberlain dementował tę wiadomość, lecz uczynił to w formie, która faktowi nie przeczy, raczej go potwierdza. Wiadomość — brzmi sprostowanie — jakoby pan A. Chamberlain dostarczał boerom nabojów, jest bezpodstawową. Tego nikt nie twierdził, twierdzono, że ich dostarczyła firma Kynoch, temu nie zaprzeczono, a o stosunkach rodziny Chamberlain z tą firmą oraz z trustem dynamitowym w sferach przemysłowych wie każdy, kto wiedzieć chce. Oto patryotyzm kupiecki, patryotyzm giełdy. Zresztę nie jest to cechą angielskich tylko kupców i przemysłowców. Gdyby np. Niemcy wszczęły wojnę gdziekolwiekbądź, natrafiliby u przeciwnika na pancerniki, budowane w Niemczech na działa Kruppa, na karabiny Mansera lub Mnlichera.

Dla wyjaśnienia więc zajść na rynku akcyami złota lepiej nie poniewierać wyrazu patryotyzm, ale operować pojęciami, które mają kurs na giełdzie. Najpierw jakim był przebieg sprawy? We wrześniu zaczyna się w Londynie zniżka kursów akcyi kopalń afrykańskich. Notowano np. (w funtach sterl.)

	8 sierpnia 1898	31 sierpnia 1899	7 września 1899
Rundmines	$33^1/_8$	$49^5/_8$	$36^3/_8$
Robinson	$8^5/_8$	10	$9^5/_8$
Simmer Jack	$4^1/_2$	$6^7/_{16}$	$5^5/_8$

Zniżce uległy również akcye kopalń dyamentów i „Chartered Company". Ta tendencya trwała przez cały wrzesień. Matadorzy tej dziedziny spekulacyi, Rhodes, Beit etc., ani wtajemniczani przez nich w arkana „wyższej polityki" zwolennicy ich, bankierzy londyńscy, napewno nie sprzedawali. Natomiast sprzedawali drobni spekulanci, przedewszystkiem paryscy. Wojna przerażała ich, i radzi byli, że w Londynie po jakiejkolwiek cenie znajdują nabywców te niebezpieczne papiery. Że sprzedawali tylko drobni spekulanci, na to mamy dowody bezpośrednie. Akcye te mają nominalną wartość jednego

funta sterlinga i sprzedają się w papierach, zawierających po 100, oraz po 10, po 5 i po 1 sztuce. Tylko te ostatnie, zwane w żargonie giełdy paryskiej „petites coupures", pojawiły się na rynku, a przytem normalnie sprzedają się one z drobną zwyżką, teraz były tańsze od dużych sztuk. Wybuchła wojna, i wnet sprawozdawcy giełdy donoszą, że „akcye afrykańskie powetowały straty, stoją wyżej nawet, niż w sierpniu". Lecz któż to „powetował straty"? Oczywiście nie ci, co sprzedawali po zniżonym kursie, ci, drobni spekulanci, stracili! Przypomnijmy sobie, że na początku kampanii wojennej telegramy, szczególniej telegramy prywatne, donosiły o świetnych zwycięstwach. Publiczność z tych telegramów nabrała przekonania, że wojna będzie „przechadzką do Pretoryi", i żałowała utraty papierków, lecz teraz banki już ich nie oddawały, chyba po bardzo wysokich cenach. Potem owe wieści o zwycięstwach okazały się blagą, fałszem, rozpuszczonym umyślnie, lecz pomimo to kurs pozostaje wysokim, gdyż obecni ich właściciele mogą przeczekać wojnę: kopalń wojna nie zniszczy, a po zawarciu pokoju kurs będzie jeszcze wyższy. Ten plutokratyczny spokój drażni pożądliwość episerów, darować sobie nie mogą, że poszli na lep i dziś radziby wykupić swoje papierki po jakiejbądź cenie. Biedny Tom Atkins, najmita szeregowiec, przelewa krew w Afryce, a krwią tą kupczy giełda. Oto patryotyzm giełdy.

Co do rzeczywistej przyszłości produkcyi złota w Transvaalu, to niedawno lord Harris i znany inżynier Hammond, jako przedstawiciele jednego z najpoważniejszych stowarzyszeń, należącego do grupy Rhodesa, „Consoli, dated Goldfield Company" wypowiedzieli się w sposób taki. Szyby po większej części są zalane wodą, i robotnicy pierzchli, po ukończonej wojnie powstaną zatem znaczne koszta na wprawienie w ruch kopalń. Z drugiej strony, jeżeli nastąpi anneksya Transvaalu, rząd brytański musi dotrzymać zobowiązań, zmniejszyć podatki, pobudować drogi etc., wskutek czego koszta produkcyi zmniejszą się, a zyski wzrosną. Co ważniejsza atoli, kompania posiada jeszcze znaczne przestrzenie, na których robót nie rozpoczęto dla braku kapitałów; po wojnie zaś niechybnie nastąpi ożywienie handlu akcyami, łatwo będzie ulokować nowe emisye i w ten sposób zyskać kapitał dla eksploatacyi nowych kopalń. — Oto jak liczy giełda.

Lecz ekonomiczne skutki wojny odbijają się nie tylko na sprawach giełdy. Z Antwerpii donoszą: „W skutek braku surowych dyamentów, których dowóz z Kimberley i Jagerfontem został przerwany, 2500 szlifierzy brylantów zostało pozbawionych pracy". Na

ludności Londynu zaś wojna odbiła się podrożeniem mięsa. Przywóz bydła w październiku zmniejszył się o 2500 sztuk tygodniowo, gdyż okręty transportowe zostały wynajęte przez zarząd wojskowy celem przewozu wojska, koni i furażu, a prócz tego znaczne transporty bydła z Australii, przeznaczone do Londynu, skierowano do Afryki południowej. Jak wiadomo, zapotrzebowanie ludzi dla armii angielskiej jest znacznie większe, niż jak to przypuszczano pierwotnie. Powołania rezerwistów powoduje już dziś brak robotników, szczególniej w Szkocyi, a fakt ten przy ogólnem ożywieniu przemysłowem dotkliwie daje się we znaki. Gdyby rzeczywiście okazało się, że trzeba wysłać do Afryki jeszcze nowe zastępy, będzie to, jak już dziś zaznaczają pisma angielskie, klęską dla Anglii.

Mamy tu do czynienia z wojną kolonialną, przy której handel zamorski nie został zagrożony. Lecz jakie będą skutki ekonomiczne wojny pomiędzy dwoma państwami, rozporządzającemi marynarką, gdyby dowóz produktów surowych żywności uległ rzeczywiście przerwie na całej linii? Po odpowiedź posyłamy czytelnika do dzieła Jana Blocha o „wojnie przyszłości". Odpowiedź ta brzmi: „Wojna przyszłości pod względem klęsk społeczno-ekonomicznych nie może nawet być porównywaną do wojen dawniejszych, gdyż społeczeństwa, które doszły do niebywałego podziału pracy, w których zgromadził się proletaryat, w których stosunki wymienne są niesłychanie skomplikowane, odczują zaburzenia ekonomiczne daleko dotkliwiej. Wojna przyszłości — to zarazem głód, zaraza, bezrobocie, bunty głodowe, to klęska najstraszniejsza, jaką wyobrazić sobie można".

Zwolennicy bimetalizmu, powołują się obecnie na wojnę transvaalską, jako na argument, przemawiający za ich teoryą. Niebezpiecznem jest — powiadają—posługiwać się dla monet li tylko złotem, gdyż, jak widzimy obecnie, jedna zawierucha wojenna zmniejsza odrazu ilość rozporządzalnego kruszcu w tak znacznym stopniu. Argument ten jednakże nie jest przekonywającym. Przy bimetalistycznym systemie wojna bowiem tak samo może spowodować zmniejszenie produkcyi kruszcu. Afryka dostarcza największą ilość złota, i wojna rzeczywiście spowoduje zmiejszenie rozporządzalnego kruszcu dla mennic. Jednakże, skoro rozważymy, że produkcya srebra jest dwadzieściakroć większą, niż złota, i że ona również koncentruje się w kilku tylko krajach (Meksyk dostarcza piątą część ogólnej ilości), to dojdziemy do wniosku, że wojna w jednym z tych

krajów wywoła daleko większe zaburzenie na rynku pieniężnym w razie, gdyby srebro zostało metalem monetarnym.

Najważniejszym atoli argumentem bimetalistów jest twierdzenie, że ilość wyprodukowanego złota, absolutnie biorąc, nie może starczyć potrzebom obiegu pieniężnego. Ten argument atoli zostaje obalony rok rocznie przez wykazy produkcyi złota. W roku ostatnim produkcya wzrosła ponownie olbrzymio: M-r Roberts, dyrektor mennicy Stanów Zjednoczonych, podaje cyfry następujące. Wyprodukowano w roku 1898 zlota czystego 13,904,363 uncyi, to jest więcej, niż w roku 1897 o 2,351,831 uncyi. Wartość tego złota wynosi 287,428,600 dolarów (571,982,914 rubli). W roku 1887 wartość ogólna wynosiła zaledwie 106 mil. dolarów i odtąd wzrasta w szybkim tempie. Co do przyszłości, Roberts zaznacza, że niema żadnego powodu mniemać, że ten postęp zostanie przerwany. Afryka południowa może dostarczyć znacznie jeszcze więcej, niż dostarcza obecnie; Australia, zwłaszcza ta część lądu, skąd czerpiemy złoto, zaledwie do połowy została zbadaną, a obecne kopalnie jeszcze na cały szereg lat mogą powiększać produkcyę; na Alasce dopiero rozpoczęto produkcyę. Obecnie udział oddzielnych krajów w tej produkcyi przedstawia się tak:

	dolarów		dolarów
Transvaal	79,213,950	Meksyk	8,500,000
Australia	64,860,800	Indye	7,781,500
Stany Zjednocz.	64,463,000	Chiny	6,078,700
Rosya	25,463.000	Kolumbia	2,263,200
Kanada	13,838,700	Gwinea	2.048.700

Że obecne trudności, z jakiemi walczy rynek pieniężny, nie są spowodowane w żadnym kraju brakiem środków obiegowych, o to nawet sprzeczki być nie może. Coraz wyraźniej bowiem okazuje się, że trudności są spowodowane zbytniem natężeniem kredytu wskutek spekulacyi. Przeciwko takiemu nadużyciu banki państwowe broniły się stopniowem podwyższeniem dyskonta. Środek ten okazuje się o tyle skutecznym, o ile bankierzy widzą się zmuszeni nakładać wędzidła zbyt porywczym swoim klientom, i rzeczywiście stan czynny głównych banków pod koniec listopada przedstawiał się znacznie lepiej, a likwidacye końcomiesięczne na giełdach niemieckich, francuskich i angielskich odbyły się nadspodziewanie gładko. Ta ulga została wszakże okupioną oczywiście stratami, i to bardzo znacznemi, jakie spekulanci niezasobni ponieśli, gdy ich zmu-

szono do likwidacyi przy kursach obniżonych. Te strumienie zimnej wody nie nadługo wszakże skutkują. Większość przedsiębiorstw przemysłowych zawsze jeszcze cieszy się bardzo pomyślną koniunkturą, a wskutek tego zniżkowa tendencya na giełdzie nie może utrzymać się, i koniec listopada oraz początek grudnia w Berlinie, Paryżu i Londynie przyniosły znów szybkie wzrastanie kursów. Bank angielski 30 listopada podwyższył dyskonto ponownie, naznaczając stopę 6%. Jednakże ma to znaczenie właściwie tylko formalne, gdyż już przedtem pomimo oficyalnej stopy 5%, bank nie dyskontował inaczej, jak po 6%, a przytem dyskonto było wyższe od bankowego, gdyż żądano i płacono 5½%. Obecne podwyższenie oficyalne jest zapewne spowodowane tem, że bank angielski musi rezerwować znaczne sumy na potrzeby wojenne. Pamiętać zaś należy, że tak wysokiej stopy dyskontowej w Anglii nie znano już od roku 1890, a wyższą była tylko w roku 1873, wówczas wynosiła 7, a przez kilka dni nawet 9%. Po tym kroku należy się spodziewać dalszego podwyższenia stopy przez banki dyskontowe, gdyż inaczej londyńscy bankierzy opróżnią szybko kasy tych banków.

Dziwić się należy, że giełdy kontynentalne, które zwykle bacznie stosują się do każdego skinienia giełdy giełd, tym razem nie reagują bynajmniej na tak kategoryczne dyktum, trwają w tendencyi zwyżkowej. Widocznie oddziaływają tu czynniki inne.

W rzeczy samej. W Niemczech np. giełda likwiduje skutki wizyty cesarza w Konstantynopolu, przy której nawiązano stosunki bardzo przyjazne pomiędzy Wielką Portą a rządem niemieckim, a pierwszym owocem tej polityki jest uzyskanie dla niemieckiego konsorcyum koncesyi na drogę żelazną od Konii przez Bassorę do Bagdadu. Na budowie tej drogi kilka firm przemysłu żelaznego i kilka banków spodziewają się zarobić obficie, a to jest dostateczną pobudką, by całą giełdę wprawić w nastrój optymistyczny. Tak samo w kierunku zwyżkowym podziałała mowa cesarza Wilhelma o potrzebie powiększenia marynarki. Wprawdzie nastrój parlamentu bynajmniej nie jest przychylny projektowi, gdyż decydująca partya, centrum, słusznie sarka na zbyt obcesową politykę. W roku ubiegłym dopiero uchwalono powiększenie marynarki, które przysporzyło nowych wydatków na sumę 419 milionów marek na budowę nowych okrętów, które miały być wybudowane do roku 1904, a prócz tego na te siedem lat 1898 — 1904 zwyczajne doroczne wy-

datki wzrosło o 111 milionów, a więc w ciągu siedmiu lat miano ponieść nowego wydatku 530 milionów. Parlament wiązał się na lat siedem, oczywiście rząd był tem związany również, co nawet wyraźnie powiedział kanclerz. Tymczasem teraz zjawia się nowe żądanie, i to żądanie olbrzymie; do roku 1917 siły marynarki mają zostać zdwojone, a koszta jednorazowe i roczne powiększenie budżetu obliczają razem na olbrzymią sumę $3^1/_2$ miliardów marek. Bardzo więc jest prawdopodobnem, że obecny parlament rzeszy na takie „bezbrzeżne“ plany nie zgodzi się, nastąpi rozwiązanie parlamentu, a czy nowy będzie pochopniejszy spełnić życzenia cesarskie, to jeszcze kwestya. Jednakże giełda nie zraża się tem, i wnet po wygłoszeniu mowy Wilhelma II akcye fabryk stali, dostarczających płyt stalowych dla pancerników, a zwłaszcza akcye warsztatów okrętowych znacznie podniosły się w kursie Tak np. akcye warsztatów okrętowych Vulkan w Szczecinie 17 października notowano po 225 marek; 18 października cesarz wygłosił mowę w Hamburgu, w której domagał się powiększenia marynarki, 19 października „Vulkan“ notowano po 228; 28 października ogłoszono półurzędownie plan budowy nowych okrętów, a 30 października „Vulkan” notowano po 239,75, dziś zaś notują 245. Giełda eskomptuje z góry przyszłe zyski z kroku politycznego, jakkolwiek niewiadomo jeszcze, czy krok ten doprowadzi do rezultatu zamierzonego. Sprawa ta nabiera szczególniejszej wypukłości, jeżeli się zważy, że agitacyi dla urzeczywistnienia planów cesarskich przewodzi niejaki pan Schweinburg, którego pismo popiera ministeryum spraw wewnętrznych, a zarazem subwencyonuje je „związek centralny przemysłowców”, i że agitacyę tę popierają usilnie dwa pisma, z których jedno opłaca pan Krupp, dostawca armat, a drugie pan Stamm, dostawca płyt żelaznych. To także przyczynek do charakterystyki „kapitalizmu fin de siècle.”

Warto przy sposobności znaznaczyć, że śród profesorów niemieckich, owych intelektualnych przewódców „narodu myślicieli”, znalazło się spore grono, pomiędzy nimi Delbrück, Wagner, Schmoller, którzy gorliwie popierają ten nowy zamach germańskiego militaryzmu, który zmusi również inne narody do nałożenia na siebie nowego podatku, do ponownego zwiększenia tej zbroi, ciążącej w sposób okropny na ludach europejskich. Tym kolegom swoim gorzką prawdę wypowiedział znany germanista, profesor uniwersytetu w Erlangen, Steinmeyer: „W sprawach marynarki nie jestem kompetentnym sędzią. Mogę tylko ze swego subjektywnego punktu widzenia, jako niemiecki uczony i członek niemieckiego uni-

wersytetu dać wyraz żalowi. Ileżby można uczynić dla uniwersytetów niemieckich, które często lata całe żebrać muszą o kilka tysięcy marek, ileż możnaby uczynić dla wiedzy, gdyby pomiędzy uniwersytety niemieckie podzielono sumę, jaką kosztuje jeden tylko okręt pancerny". Ileż w tem prawdy głębokiej!

Celem wyraźnym planów cesarza niemieckiego jest utworzenie marynarki, któraby przyczyniła się do wzrostu potęgi kolonialnej, gdyż w r. 1898 oświadczono wyraźnie, że okręty nowo uchwalone starczą zupełnie ku obronie wybrzeży. Że posiadanie kolonii dla pewnych kategoryi przedsiębiorców i kupców jest rzeczą nader korzystną, nie ulega kwestyi; korzyści wszakże dla państwa, dla ogółu ludności są wątpliwe, zwłaszcza, gdy chodzi o posiadanie kolonii w strefach, w których trudno żyć europejczykom, a o zdobycie takich tylko można się dziś kusić. Natomiast koszta, ponoszone przez metropolie dla takich kolonii, są olbrzymie. Tak np. dla Francyi pismo *Quinzaine coloniale* podaje cyfry następujące: „La Martinique posiada 187,692 mieszkańców, a przyczynia kosztów 2,530,837 franków, zatem 13,50 franków od głowy; Guadeloupe: 167,000 mieszkańców, koszta—1,632,950 fr., więc prawie po 10 fr. od głowy; La Reunion: 173,192 mieszkańców, koszta — 4,460,203 fr., więc prawie po 25 fr. od głowy; Indochiny kosztują rocznie 19,934,076 fr., po franku od głowy; Guinea 221,625, czyli 0,5 fr. od głowy. Lecz nie wyliczono tu wszystkiego: Algier jest w posiadaniu Francyi od roku 1830, koszta, poniesione dla tej posiadłości, wyniosły dotąd około 6 miliardów, a dochody z niej 2 miliardy, naród francuski wydał więc na tę posiadłość 4 miliardy. Obecnie roczny dochód wynosi około 46 milionów, wydatki 130 milionów, a zatem roczny deficyt, pokrywany przez metropolię, wynosi około 84 milionów. Handel zaś tej posiadłości reprezentuje sumę 546 milionów, przyczem przywóz do Francyi wynosi 221 milionów, wywóz z Francyi 245 milionów. Nawet, uważając zyski z tego handlu za zyski narodu, niema mowy o pokryciu deficytu. W rzeczywistości rzecz ma się tak, że zyski ciągnie garstka, koszta ponosi ogół. Zdobycie Indochin, prócz straty 10,000 ludzi zabitych i 28,000 inwalidów, kosztowało 300 milionów franków. Handel jest znaczny, lecz prowadzą go przeważnie chińczycy. Wielkie też nadzieje roszczą sobie niektórzy po rozwoju przemysłu tych krain, lecz jakie stąd zyski, skoro rozwijający się tam przemysł jedwabniczy utrudni jeszcze warunki bytu ojczystego przemysłu? W ogól-

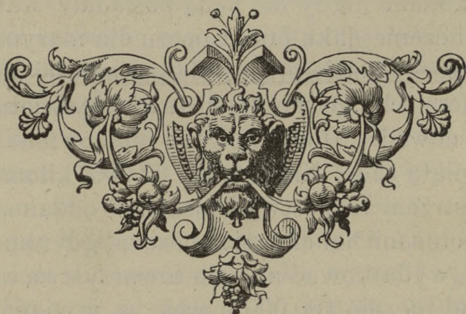
nej sumie wydatki na kolonie i posiadłości wynoszą we Francyi w ostatniem dziesięcioleciu przeciętnie około 140 milionów rocznie, że nie policzymy już miliardów, jakie wydano na zdobycie tych kolonii, i wydatków na utrzymanie siły zbrojnej morskiej, jakie warunkują te posiadłości. Dodajmy do tego, że państwo, które raz wkroczyło na drogę podbojów kolonialnych, musi kroczyć po tej drodze dalej pod grozą utraty wszystkiego: żeby pozostać w posiadaniu Algieru, trzeba prowadzić ustawiczną wojnę w Saharze, żeby utrzymać Indochiny, trzeba być ustawicznie na pogotowiu do wojny w Azyi i t. d.

Jeżeli posiadłości kolonialne Francyi imponują przynajmniej obszarem i zaludnieniem — 9 milionów kilometrów i 36 milionów ludzi, to tego nie można powiedzieć o posiadłościach Niemiec. Z najoptymistyczniejszych nawet sprawozdań oficyalnych nikt nie wyprorokuje pomyślnej przyszłości do Kamerunu, Togo, wschodnio-afrykańskiej posiadłości, tembardziej dla wysp Samoańskich lub Karolińskich. Te kolonie nigdy nie będą posiadały wartości i li tylko Kiauczau ma znaczenie, jako punkt oporu dla marynarki w wodach chińskich. Że rzeczywiście przyszłość posiadłości afrykańskich nawet dla rządu niemieckiogo nie przedstawia się świetnie, na to otrzymaliśmy świeżo dowód. Opublikowano mianowicie kontrakt, mocą którego prawie piątą część Kamerunu, 80,000 kilometrów kwadratowych (3/4 przestrzeni Królestwa Polskiego) oddano do rozporządzenia prywatnej kompanii handlowej za bezcen, gdyż kompania obowiązuje się jedynie „wydatkować na cele towarzystwa w kraju, jej przynanym, najmniej rocznie 100,000 marek, a w ciągu lat dziesięciu 3,000,000 marek”, oraz wypłacać zarządowi kolonii 5% osiągniętego czystego zysku. To znaczy, że darowano poprostu obszar ogromny ludziom prywatnym.

Cały handel (wywozowy i przywozowy) Niemiec z koloniami własnemi wynosił w roku 1898 — 14,766,000 marek, i widoków na ożywienie tego handlu niema. Kosztów zaś te kolonie przyczyniły 14,788,000 marek, nie wliczając w to subwencyi dla kompanii żeglugi (1,200,000 marek), wydatków na utrzymanie poczty i telegrafu w tych krajach. Wydatki zatem są znacznie większe, niż suma ogólna handlu. Na szczęście nie przelewano przynajmniej krwi przy zdobywaniu tych kolonii, jednakże rok w rok ginie po kilkudziesięciu żołnierzy w walkach z murzynami, murzynów zaś bohaterzy á la Leist, Wehlau i Peters, owych bestyi rozuzdanych, wystrzelają w rok setki i tysiące. Co zaś do „misyi kul-

turalnej", dosyć powiedzieć, że w jednych koloniach od czasu zaprowadzenia nowych porządków głodowe lata raz po raz się ponawiają wskutek naruszenia nieokrzesanego rewolucyonizowania bytu tubylców przez urzędników, ludzi bez najmniejszego wykształcenia, byłych oficerów lub referendaryuszów, i że we wschodniej Afryce oraz w Togo do dziś dnia kwitnie handel niewolnikami. Cała polityka kolonialna Niemiec, jest sportem śmiesznym kosztownym, a przytem szkodliwym.

J. B. M.



Rozbiory i Sprawozdania.

Edward Bogusławski. Historya Słowian. (t. II Kraków—Warszawa 1899 r.).

Historya Słowiańszczyzny należy do tematów, rzadko poruszanych w naszej literaturze historycznej. Dzieje się to czasami nawet ze szkodą dla niezupełnie wyjaśnionych kwestyi z historyi polskiej (szczególniej wieków średnich), na które dokładna znajomość dziejów sąsiednich, pokrewnych nam narodów rzucić może nowe światło i dopomódz do należytego ich zrozumienia. Dlatego też należy być wdzięcznym autorowi, pracującemu na tej zaniedbanej u nas niwie.

Pan B. w tomie pierwszym swego dzieła usiłował przedstawić losy Słowian w czasach przedhistorycznych—od czasów najdawniejszych do wieku II-go po N. Chr. Obecnie, w jedenaście lat po wyjściu pierwszego, ukazuje się tom drugi, który obejmuje dzieje od końca wieku II-go do połowy IX; a więc są to czasy na pół historyczne, jak należałoby je nazwać z powodu braku dostatecznych źródeł. Przy odtwarzaniu tego rodzaju dziejów jedyną ucieczką historyka jest stawianie hypotez, które też w dziele p. B. ukazują się często.

W tomie II autor wylicza plemiona, zamieszkujące pod koniec II-go wieku po N. Chr. prowincye cesarstwa rzymskiego: Dacyę, Mezyę, Tracyę i Illiryę. Są to ludy pochodzenia słowiańskiego, które, znane u pisarzy starożytnych pod ogólną nazwą Getów, później Daków, od wieków zamieszkiwały wymienione kraje.

Naddunajskie ludy barbarzyńskie Gotowie, Burgundowie, Karpowie (t. j. Chorwaci) i Sarmaci (Serbowie) najeżdżają na prowincye rzymskie, siejąc śmierć i zniszczenie, lecz potężni jeszcze wówczas cesarzowie dzielnie bronią swych poddanych i odpierają napastników w krwawych bitwach, w których giną dziesiątki tysięcy barbarzyńców, podburzają ich nawzajem przeciw sobie, wywołując wojny, osłabiające przeciwników, i zapewniają przez to mieszkańcom pogranicza pokój na czas pewien; lecz ani oręż, ani zręczna polityka nie są w stanie powstrzymać najazdów. Rzymianie uciekają się do płacenia potężniejszym ludom stałej daniny pod warunkiem zaprzestania najazdów, wcielają wziętych do niewoli jeńców w szeregi legionów lub osiedlają część napastników we własnych prowincyach, chcąc w ten sposób osłabić liczebnie najeźdców, a sobie zapewnić dzielnych żołnierzy i nowych pracowników na roli. Cesarz Aurelian, pobiwszy Karpów w 273 r., osiedla część ich na ziemi rzymskiej. Probus w r. 279 sprowadza do Tracyi 100,000 Bastarnów pochodzenia dako-geckiego, t. j. słowiańskiego. Próby osiedlenia, podejmowane w drugiej połowie w. III z plemionami germańskiemi nie udają się. Maksymian-Herkuliusz przesiedla większą część Karpów około 295 r. do Pannonii i częściowo do innych prowincyi. Sarmaci zajmują w 274 r. opuszczoną przez Rzymian Dacyę, w 295 r. część ich osiada w prowincyach rzymskich jednocześnie z Karpami. Od osiedlania jeńców na ziemi rzymskiej posunięto się do sprowadzania całych plemion barbarzyńskich.

Karpowie i Sarmaci, t. j. Chorwaci i Serbowie, nie byli pierwszą warstwą słowiańską na półwyspie Bałkańskim; była nią ludność autochtoniczna geto-dackiego pochodzenia, wzmacniana od czasu do czasu przypływem pokrewnych ludów, na północ od Dunaju mieszkających, np. Bastarnów w 279 r. Zatem pod koniec III w. mamy na półwyspie Bałkańskim już dwie warstwy ludności słowiańskiej: geto-dacką i serbo-chorwacką.

W cesarstwie rzymskiem następuje po śmierci Dyoklecyana przewrót, połączony z tryumfem chrześcijaństwa nad pogaństwem. Naddunajscy sąsiedzi korzystają z wynikłych stąd zaburzeń i wdzierają się do prowincyi. Najazd Sarmatów z Dacyi kończy się ich klęską i osiedleniem wielkiej liczby jeńców w miastach rzymskich.

Wkrótce potem te same plemiona sarmackie zmuszone są prosić Rzymian o pomoc w walce z Gotami, a nawet uzbroić podwładną sobie, na roli siedzącą ludność geto-dacką. Ta ostatnia okoliczność nie pozostaje bez skutków, zbrojna ludność poddańcza korzysta ze sposobności i wypędza panującą klasę sarmacką, która zmuszona jest ratować się ucieczką w granice państwa Konstantyna Wielkiego. Przeszło 300,000 Sarmatów osiedliło się wówczas w Scytyi mniejszej, Tracyi, Macedonii i Stalii (334 r.). Wojny domowe między synami Konstantyna W., zatargi katolików z aryanami, doprowadzające często do zaciętych starć, osłabiały państwo i rozzuchwalały naddunajskich barbarzyńców. Główną rolę odgrywają tu w epoce przed najazdem Hunnów, Sarmaci z Dacyi, obok nich Kwadowie i Gotowie.

W tym okresie chrześcijaństwo po stanowczem zwycięstwie nad pogaństwem w cesarstwie poczyna torować sobie drogę na północ, do plemion wizygockich. Na południe od Dunaju nowa wiara szerzy się przeważnie w miastach razem z rzymską cywilizacyą i językiem łacińskim. Wieśniacy (pagani) trzymają się opornie, zachowując dawną wiarę i obrzędy.

W dalszym ciągu przedstawia autor powstanie państwa ostrogockiego, na północ od morza Czarnego. Zbrojna drużyna Ostrogotów łączy pod wodzą swego króla Hermanryka inne drużyny gockie i zakłada potężne państwo, które podbija sąsiednie ludy sarmackie i fińskie. Plemiona słowiańskie Antów, Wenetów i „Słowian" muszą uledz temu samemu losowi. Przybycie Hunnów do Europy obala państwo Hermanryka. Uchodzących przed Hunnami Wizygotów przyjmuje cesarz rzymski Walens w 376 r. i osiedla ich na półwyspie Bałkańskim. Między przybyszami a Rzymianami dochodzi do starć, wybucha wojna, podczas której wojska rzymskie ponoszą straszną klęskę, a Wizygotowie pod dowództwem Alaryka niszczą Macedonię, Tessalię i Peloponez.

Hunnowie, podbiwszy kilka plemion germańskich, posuwają się do Europy środkowej nad Dunaj. W przedniej straży idą zawiśli od nich Ostrogotowie. Cesarstwa rzymskie nie śmią stawiać Hunnom czoła: wschodnie płaci im daninę, zachodnie odstępuje dobrowolnie Pannonię.

W Germanii właściwej drużyny germańskie Allemanów, Franków i inne, przybywające ze Skandynawii, skąd pochodzą wszyscy Niemcy, zakładają państwa w krajach między Renem a Wezerą. Autochtoniczna ludność w tych stronach jest wszakże pochodzenia słowiańskiego. Drużyny saskie podbijają w połowie II w. ludność

tego samego pochodzenia w teraźniejszym Szlezwigu i Holsztynii. Na zachód od Sasów, na wybrzeżach Germanii, powstaje ze zmieszania się zdobywców germańskich z podbitą ludnością słowiańską naród Fryzów. Stosunek ludów germańskich do Rzymian nad Renem był taki sam, jak nad Dunajem. Napady na prowincye rzymskie i obrona ich przez Rzymian wypełniają dzieje krajów nadreńskich do początku V wieku, kiedy ukazanie się Hunnów wywołało ogólne wrzenie wśród barbarzyńców europejskich. Zamiast napadów pojedyńczych oddziałów na prowincye pograniczne w celu rabunku rozpoczynają się najazdy masowe ludów, szukających nowych siedzib.

W połowie V w. potęga Hunnów dochodzi do szczytu pod panowaniem Attyli. Jednoczy on pod swą władzą oprócz hord huńskich liczne ludy germańskie i słowiańskie. Te ostatnie, dawne ludy dackie i sarmackie, tworzą klasę rolniczę, a szlachta sarmacka, t. j. serbska, odgrywa rolę na dworze Attyli. W 451 r. przedsiębiorą Hunnowie wielką wyprawę w celu podboju Galii, lecz połączonym siłom Rzymian, Wizygotów, zajmujących w tych czasach Akwitanię, i Franków udało się zadać stanowczą klęskę hordom Attyli i zmusić go do odwrotu za Ren. Śmierć Attyli w 453 roku sprowadza upadek państwa huńskiego. Po zaciętych walkach Hunnowie zostają odparci na wschód, a w zajmowanych przez nich stepach osiedlają się ludy germańskie. Sarmaci w 453 r. osiadają ostatecznie nad Dunajem w teraźniejszej Serbii. W pobliżu ujść tej rzeki zbliżają się do granic cesarstwa nowe ludy, Antowie i „Słowianie", wspólnie zwani Wenedami. Rozpoczynają one szereg napadów, które cesarz Justynian (527—565) napróżno usiłuje powstrzymać przez wzniesienie nad Dunajem fortyfikacyi. Wielu Słowian służy w legionach cesarstwa, a dynastya Justyna i Justyniana miała być również pochodzenia słowiańskiego. W 536 r. Justynian odbiera Ostrogotom Dalmacyę i Liburnię, prowincye z autochtoniczną ludnością słowiańską. Pomimo względnie krótkiego przebywania ze słowiańską autochtoniczną ludnością (488—536) wywierali na nią Gotowie wpływ, który się ujawnił w reformie używanego przez Słowian tamtejszych pisma głagolickiego. Ojczyzną głagolicy była Illirya. Początkiem swym sięga ona pisma fenickiego, źródła alfabetów europejskich. Pismo runiczne było jej formą pośrednią — i w tem stadyum przeszła głagolica od Wendów do Germanów. Wpływ gocki ujawnił się w nadaniu niektórym literom głagolickim nazw run i liter gockich.

Część Herulów, jednego z ludów germańskich, osiadłych po upadku państwa huńskiego nad środkowym Dunajem, powraca w 487 r. do swej pierwotnej siedziby—Skandynawii. Podczas tej wędrówki przebywają oni kraje słowiańskich Beowinidów (Czechów), Lugów-Sarmatów (Łużyczan-Serbów), Heweldów (Hawelan) i Rendingów (Redanów). Ludy te zamieszkiwały swe kraje od czasów rzymskich.

W połowie VI w. przybywa do Europy druga wielka horda azyatycka—Awarowie. Bezpośrednio po wkroczeniu do Europy ujarzmiają oni słowiańskich Antów, następnie zajmują Czechy i Morawy, znoszą bułgarskie hordy Uturgunów i Kuturgunów i w przymierzu z Longobardami wycinają Gepidów w teraźniejszych Węgrzech (567 r.). Słowianie z nad dolnego Dunaju nie przerywają swych napadów na półwysep Bałkański: razem z Awarami lub na własną rękę zapędzają się aż do Pelopenezu, który zajmują na stałe między 587 a 589 r. Pod koniec VI w. i na początkach VII w. zadają Byzantyjczycy Słowianom i Awarom ciężkie ciosy w kilku wyprawach, lecz bunty legionów i wojna z Persami odciągają ich siły w innym kierunku. Awarowie, korzystając z tego, zajmują na czas pewien Liburnię, zaludnioną już w III w. przez Chorwatów, i część serbskiej od r. 453 Dalmacyi.

Pod koniec VI w. doszło do pierwszych starć między młodem państwem Bawarskiem a Słowianami z nad górnej Drawy; w tym samym czasie rozpoczynają się walki graniczne z Longobordami z Fryolu. W walkach tych Słowianom pomagają Awarowie, którzy w tej epoce panują nad plemionami słowiańskiemi w Noryku do rzeki Enns i w Czechach. Ciężkie to było panowanie, skoro ucisk zwycięzców doprowadza do powstania, w którem na czele Czechów staje kupiec słowiański Samo i szczęśliwie odpiera Awarów. Z drugiej wojny z Dagobertem, królem frankońskim, Słowianie również wychodzą zwycięsko. Samo, wybrany za swe zasługi na króla, miał przed śmiercią podzielić Czechy między swych synów, co było przyczyną rozdrobnienia Czech na księstewka.

Na półwyspie Bałkańskim w wiekach III do VII postępuje proces zlewania się dawnych i nowych żywiołów etnograficznych. Ludność autochtoniczna dacka, tracka i illiryjska, należąca do szczepu słowiańskiego, miesza się z obcymi sobie ludami albańskimi i z Rzymianami. Robiącą szybkie postępy romanizacyę powstrzymuje przybycie w w. III—VI elementu serbsko-chorwackiego i w VI wieku słowieńskiego. Napływ nowych sił wzmacnia ludność słowiańską do tego stopnia, że żywioł albański zupełnie znika na północy pół-

wyspu, a Rzymianie, zwani Wlachami, cofają się na południe ku wybrzeżom morskim. Słowianie postępują za nimi, zaludniają Macedonię i większą część Grecyi, tworzą floty korsarskie na morzu Egejskiem i łupią wyspy greckie, zapędzając się aż do brzegów Azyi Mniejszej.

Podczas tych wypadków na południu półwyspu Bałkańskiego do północnej jego części—do Mezyi—przybywa turecko-fińskie plemię Bulgarów. Jeden z ich wodzów, Asparuch, zajmuje wspomnianą prowincyę byzantyjską i nakłada daninę na plemiona słowiańskie (679 r.). W ten sposób powstaje państwo bulgarskie nad Dunajem. Cesarstwu przybywa niebezpieczny wróg, a Słowianie w walce z Grekami zyskują sprzymierzeńca i kierownika. W VIII w. i do połowy IX w Byzantyjczycy powstrzymują zabory Słowian, zwalczają ich w Grecyi i Macedonii, usiłując podbić i zmusić do przyjęcia kultury greckiej. Udaje im się to dopiero pod koniec VIII w. w Peloponezie, gdzie Słowianie najwcześniej ulegają zgreczeniu. Na północy przeszkodzili temu z biegiem czasu zesłowiańszczeni Bulgarzy, którzy w ustawicznych wojnach umieli zachować swą niepodległość.

Również w VIII w. następuje przełom w dziejach Słowian południowo-zachodnich w teraźniejszej Krainie i Karyntyi. U sąsiadów ich, Bawarów, krzewi chrystyanizm św. Rupert (około r. 700), który miał przybyć także do Karantanów na prośbę ich króla i tam nawracać lud. W połowie VIII w. książe bawarski zostaje wasalem państwa frankońskiego, dzięki czemu wpływ chrześcijaństwa na kresach słowiańszczyzny wzrasta. Przymierze księcia karantańskiego z bawarskim otwiera nowej wierze drogę do kraju słowiańskiego. Książę z rodziną przyjmuje chrzest bez oporu, lud zachowuje się z początku obojętnie, lecz następnie chwyta za broń i wypędza księży, co daje Bawarom sposobność do podbicia całego kraju w 772 r. Podbój chakanatu awarskiego przez Karola Wielkiego (768—814) zmusza resztki Awarów do przyjęcia chrztu. Morawianie od północy zajmują stopniowo kraje Awarów i wypierają ich do Pannonii; na północ od środkowego Dunaju powstaje potężne księstwo morawskie pod Mojmirem. Napół nie zawiśli od Franków Chorwaci dalmaccy jednoczą się pod dzielnymi wielkimi żupanami Mojsławem i Terpimirem.

Do Słowian, zamieszkałych nad Łabą, zaczyna w w. VII i VIII przedzierać się chrystyanizm. Podbój Sasów za Karola Wielkiego (772—803) ułatwia nawrócenie pogańskich jeszcze plemion germańskich i Słowian, na zachodnim brzegu Łaby osiadłych. Do Poła-

bian wschodnich nowa wiara nie dociera w tej epoce, pomimo ciągłych stosunków z Frankami. Karol W. sprzymierza się ze słowiańskimi Obotrytami przeciw ich pobratymcom Weletabom i Duńczykom. Z czasem Obotryci i Weletabowie dostają się do tego stopnia pod wpływy Franków, że królowie tych ostatnich stale rozstrzygają zatargi między słowiańskimi pretendentami do władzy książęcej. Połabianie Serbowie i Dalemińcy występują wrogo przeciw Frankom. Sąsiednie plemiona czeskie tworzą od czasów Samona kilkanaście drobnych państewek, z których najpotężniejszemi były księstewka właściwych Czechów i Łuczan. Za Karola W. staczają one walki z Frankami, lecz zachowują swą niepodległość. Na północo-wschód od Czechów osiadłe plemiona lechickie sięgały od Bugu i Narwi na zachód aż za Łabę. Pisarze grecko-rzymscy znali przodków ich Lugów (Lugi, Lugiones); ci jednakże, zanim zostali Słowianami, byli Gallami (Gal-Włoch-Wlach-Lach). Za czasów rzymskich ziemie lechickie należy nazywać Chrobacyą lechicką, gdyż stąd wyszli Karpowie-Chorwaci, którzy się w 273 i 295 r. w Illiryi osiedlili. Po wyjściu Chorwatów kraj ich nazywał się ziemią Wiślan. Z ludów lechickich potęgą wyróżniało się plemię Polan nad Wisłą, nad którem panowała dynastya Popielów. Około 850 r. ostatni z Popielów został strącony z tronu przez jednego ze swych urzędników dworskich—Ziemowita. Za zmiażdżenie dynastyi Popielów uzurpator Ziemowit otrzymał przezwisko tłuczka-„piasta"; stąd późniejsi książęta z jego rodu przezwani byli Piastami.

Ostatnie dwa roździały swego dzieła autor poswięca dziejom dwu narodów obcych, którym jednak przypadło w udziale wpłynąć na losy wschodniej Słowiańszczyzny. Pierwszymi z nich są Chazarowie, panujący w VII—IX w. nad Polanami naddnieprzańskimi, Wętyczami i Radymiczami. Drugim—Normandowie, zwani przez Słowian Waręgami, których drużyny zakładają w w. IX wśród podbitych plemion fińskich i słowiańskich kilka drobnych państewek.

Wykład dziejów Słowian w t. II poprzedza „Słówko o grafice polskiej", gdzie autor oświadcza, że niechęć, z jaką przyjęto jego nową grafikę polską, zastosowaną w t. I, skłania go do powrotu do starej popularnej grafiki.

Po paru stronicach, poświęconych grafice, następuje długa przedmowa, zawierająca dużo nieuzasadnionych zarzutów, czynionych przeciwnikom teoryi naukowej, bronionej przez autora.

Przechodząc do właściwego dzieła p. B., zmuszeni jesteśmy zaznaczyć, że zawiera ono wiele śmiałych pomysłów, stojących w zupełnej sprzeczności z wynikami badań najpoważniejszych współczesnych uczonych. W tomie II da się dostrzedz niezaprzeczony postęp w porównaniu z pierwszym; pomimo to trudno się zgodzić na metodę autora, opierającego się często w swych bardzo doniosłych i stanowczych wnioskach wyłącznie na dowodach językowych, i to nie zawsze słusznych. Podobną metodą posiłkowali się uczeni dawniejsi, lecz wadliwość jej skłoniła wybitniejszych, nowszych badaczy do większej ostrożności. Krek (*Einleitung in die slavische Literaturgeschichte*) zaznacza wyraźnie, że dowodom językowym tylko wtedy można zaufać, gdy mogą mieć na poparcie dane z archeologii przedhistorycznej lub z historyi. Autor zmian tych w metodzie nie uwzględnił, i stąd pochodzi niedostateczne uzasadnienie niektórych jego wniosków.

Część pracy, traktująca o autochtonizmie Słowian na półwyspie Bałkańskim i w Germanii, przedstawiłaby się zapewne inaczej, gdyby p. B. zwrócił uwagę na niektóre zdobycze doświadczenia swych poprzedników, np., przyswajanie sobie przez Słowian greckich i łacińskich nazw rzek i miast i naginanie ich do wymowy słowiańskiej: rzeka Timacus—po słowiańsku Timok; od tej nowej nazwy zwano ludność okoliczną Timoczanami; nie wynika stąd, jak to chce autor, że starożytni Timachowie z nad rzeki Timacus byli przodkami średniowiecznych Timaczan. Identyfikowanie Daków ze Słowianami przez niektórych pisarzy byzantyjskich jest skutkiem znanej skłonności ich do nadawania współczesnym sobie ludom nazw plemion starożytnych, czego autor również nie uwzględnił, biorąc to za dobrą monetę.

Chorwatów identyfikuje p. B. z Karpami bez dostatecznych podstaw, a Serbów z Sarmatami. To ostatnie uczynił Szafarzyk w jednem ze swych wcześniejszych dzieł (*Abkunft der Slaven 1828*), lecz później (w Starożytnościach Słowiańskich) odwołał to, uznając stanowczo bezzasadność swej etymologii (Sarmatae=Serbi) i niesłowiańskość Sarmatów. Autor w dalszym ciągu dowodzi, że Sarmaci—Serbowie byli pierwotnie narodem czysto sarmackim, pokrewnym Alanom kaukaskim, lecz z biegiem czasu przejęli od Polan naddnieprzańskich narzecze słowiańskie, czego dowieść jednak nie może.

W tak ważnych zagadnieniach, jak pochodzenie pisma głagolickiego i kwestya Lechitów, p. B. nie postępuje ostrożniej, a cenne

prace Nehringa, Małeckiego i Potkańskiego uznaje za bezpodstawne na zasadzie jednej etymologii (Lęchi=Lugi=łęgi).

Brak miejsca zmusza nas do zastąpienia szczegółowej oceny kilku ogólnemi uwagami. Głównym zarzutem, jaki uczynić można dziełu p. B., jest, jak już zaznaczyliśmy, śmiałość i stanowczość wielu jego wniosków, niedostatecznie popartych ani dowodami językowymi, ani źródłami historycznemi. Co się tyczy tych ostatnich, autor nie zawsze sprawdzał, o ile dane źródło jest wiarogodnem lub nie (*Vitae s. Emmerani, s. Corbiniani, Legenda vetusta ss. Marini et Amiani*), a to w kilku wypadkach stanowczo obala jego twierdzenia.

Po za temi stronami ujemnemi posiada dzieło p. B. wiele przymiotów, jakiemi się nie każde studyum historyczne poszczycić może. Na pierwszym planie trzeba tu postawić zgromadzenie olbrzymiego materyału; dość powiedzieć, że zamieszczony na końcu książki spis wyzyskanych przez autora źródeł i opracowań zajmuje 76 str. Układ ściśle chronologiczny nie pozostawia nic do życzenia. Przeniesienie balastu naukowego do dopisków sprawia, że tekst nie jest obciążony i czyta się z przyjemnością. Poruszenie prawie wszystkich zagadnień z historyi Słowiańszczyzny i usiłowanie ich rozwiązania przez szereg mniej lub więcej prawdopodobnych hypotez, lubo kwestyi spornych nie rozstrzyga, jednak może przez zwrócenie uwagi na nowe kombinacye dopomódz innym uczonym do ich wyjaśnienia, tembardziej, że wobec energicznie prowadzonych poszukiwań archeologicznych wolno nam się spodziewać, że do danych historycznych i lingwistycznych w krótkim czasie przybędą liczne zdobycze archeologii przedhistorycznej, które na pierwotne dzieje Słowian nowe rzucą światło.

Kazimierz Wachowski.

Rok Mickiewiczowski. Księga pamiątkowa, wydana staraniem Kółka Mickiewiczowskiego we Lwowie, Lwów, 1899. str. 370+292+5 nl.

„Księga pamiątkowa" obejmuje cały szereg rozpraw i rozprawek, wyświetlających szczegóły już to życia Mickiewicza, już to jego twórczości. W notatce „Król Hieronim w Nowogródku" autor, Wł. Bełza, zbija przyjęte za fakt opowiadanie, jakoby król westfalski mieszkał podczas pobytu swego w Nowogródku w domu Mickiewiczów. Opowiadanie to, które wyszło z pod pióra Odyńca, okazuje się wobec świadectwa naocznego świadka, Kiersnowskiego, mylnem, albowiem król zamieszkał pałac po-Radziwiłłowski. Adam Krechowiecki

w pracy: „Do historyi Filaretów" podaje przekład dosłowny dokumentów do tej sprawy, wydanych w r. 1897 przez prof. Wierzbowskiego; autor różni się zupełnie z pierwszym wydawcą tych dokumentów w poglądzie na stanowisko Nowosilcowa w procesie Filaretów, jakoteż na jego zamiary względem uniwersytetu wileńskiego. Do tej samej epoki życia poety odnosi się rozprawa Władysława Mickiewicza: „Tomasz Zan w więzieniu". Mamy tutaj wzmiankę w liście Zana o schadzkach więziennych, które później miał Mickiewicz odtworzyć w trzeciej części „Dziadów", szczegóły, rzucające światło na czysty charakter Zana, oraz „Pieśń Filaretek", którą wydawca znalazł między papierami Zana, poprzedzoną uwagą, iż jest improwizacyą Mickiewicza, wypowiedzianą dnia 8 września 1824 r. Nie mniej ciekawe wiadomości podał Wł. Mickiewicz w wyciągach p. t. „Z teki Franciszka Malewskiego". Znajdujemy tutaj list Mickiewicza do Niemcewicza (z Moskwy 11 listopada 1827 r.), bilecik ks. Wiaziemskiego do Mickiewicza, wiadomość o parodyach sonetów naszego poety przez Wiaziemskiego, waryant wiersza do d-ra Siemaszki, jadącego do Astrachania i t. d. Nadzwyczaj interesujące są uwagi Mickiewicza o własnych utworach: dowiadujemy się z nich mianowicie, iż poeta, jadąc do Krymu, zamierzał stworzyć większych rozmiarów poemat, nieuchronne jednak podobieństwo z „Child Haroldem" i z „Larą" Byrona odstraszyło go od pisania, iż sonet na Czatyrdahu jest najpierwszym z cyklu „Sonetów krymskich", iż w trzynastym roku życia pisał już wiersze, o czem dotychczas z legend tylko wiedzieliśmy. Notatka Ludwika Finkla „Z korespondencyi Leonarda Niedźwiedzkiego z r. 1841" zawiera kilka drobnych szczegółów, tyczących się prelekcyi paryskich. W pracy „O zawieszeniu wykładów Adama Mickiewicza w *Collège de France*" zgromadził Wł. Mickiewicz szczegóły, odnoszące się do tego smutnego faktu, a w notatce „O dedykacyi na egzemplarzu prelekcyi literatury słowiańskiej" wtajemnicza nas w naturę stosunku poety z Micheletem. Pośrednio tylko odnoszą się do biografii Mickiewicza drobne notatki Wł. Mickiewicza o „Współpracowniku dziennika „La Tribune des peuples", Auguście Lacaussade" o „Potwarcach Mickiewicza"— J. B. Ostrowskim, A. K. Puławskim i Janie Czyńskim. Prócz tych mówi autor i o wielu innych tego rodzaju ludziach, najobszerniej zaś zajmuje się ks. Wincentym Kraińskim. Długa rozprawa T. Piniego o „Stefanie Garczyńskim do r. 1830"—wychodzi zupełnie poza zakres, jaki miało wydawnictwo niniejsze. Przyczynkami do twórczości Mickiewicza są wydane przez jego syna dwa artykuły poety, o „Ludach Italii" i „Żywot św. Wojciecha", a nadto „Zdania A. Mic-

kiewicza" i urywek p. t. „Wielkość", które to utwory powstały na emigracyi w Paryżu. Ze studyów o twórczości Mickiewicza wyróżnić trzeba pracę prof. Kallenbacha o „Dziadach", w której autor usiłował zanalizować „Tło obrzędowe poematu", lecz wskutek braku odpowiednich źródeł pod ręką musiał posługiwać się cytatami z poezyi ludowej innych narodów; w zasadniczej kwestyi nie możemy się zgodzić z autorem, który powiada, iż „d o s ł o w n i e j, niż się nam dotychczas wydawać mogło, n a l e ż y b r a ć o ś w i a d c z e n i e p o e t y, jakoby śpiewy obrzędowe i gusła były dosłownie z gminnej poezyi wzięte". Tak nie jest: bardzo nieznaczną część tych guseł wprowadził poeta do swojego utworu. Urywkiem pracy obszerniejszych rozmiarów jest rozprawa prof. Pilata „Opis gry Wojskiego w „Panu Tadeuszu" podług autografu", w której autor wykazał, jak i o ile zmienił Mickiewicz pierwotny tekst ustępu w opisie gry Wojskiego, kiedy cały obraz rozszerzył, nadał mu życia i prawdy i ułożył w kształt, artystycznie zaokrąglony, a to wszystko stało się za pomocą kilku śmiałych pociągnięć pióra. Drugą rozprawą, dotyczącą „Pana Tadeusza", jest rzecz A. Mazanowskiego „Topografia w „Panu Tadeuszu"; autor stwierdza na podstawie poematu, iż akcya odbywa się w powiecie nowogródzkim i że Soplicowo nigdy nie istniało, iż dwór soplicowski stanowił niejako centrum rozleglejszych posiadłości, według poematu układa całą okolicę, opisuje dwór, karczmę i t. p. Wniosek jest ten, że Mickiewicz nie wymyślał okolic, otoczenia i innych akcesoryów tego rodzaju w „Panu Tadeuszu", lecz łączył pojedyńcze cechy kilku czy kilkunastu widzianych okolic razem w jedną całość. Trzecią rozprawą jest piękna praca prof. Tretiaka „Obrazy nieba i ziemi w „Panu Tadeuszu", którąby zasługiwała na szczegółowe sprawozdanie podobnie, jak inna rozprawa tegoż autora p. t. „Kto jest Mickiewicz?", w której autor udowadnia, iż na każdym kroku jeden tylko heroizm był ideą przewodnią geniusza pieśni polskiej. Pozostałe dwie rozprawy St. Schnür-Pepłowskiego p. t. „Teatr Mickiewicza" i P. Chmielowskiego o potrzebie nowego przekładu kursu literatury słowiańskiej odznaczają się wielu trafnemi uwagami, zwłaszcza zaś ta ostatnia. Resztę dzieła zajmuje „Kronika", opracowana przez A. Bieńkowskiego, która zawiera opis uroczystości zeszłorocznych.

S. Z.

Guradze. Der Bauer in Posen, Beiträge zur Geschichte der rechtlichen und wirthschaftlichen Hebung des Bauerstandes der jetzigen Provinz Posen durch den preussischen Staat von 1772—1805. (Zeitschrift der histor. Gesellschaft für die Provinz Posen, 1898. 13 Jahrgang).

Zadaniem autora w niniejszej pracy było wykazanie zasług, jakie rząd pruski położył nad oswobodzeniem i rozwojem dobrobytu włościanina poznańskiego w dobie, bezpośredniej po upadku rzeczypospolitej. Do swego zadania przystępuje autor z niezaprzeczoną starannością i sumiennością, zbadawszy przedewszystkiem archiwa rządowe, które przez naszych uczonych nie były należycie spożytkowane. Autorowi nie pozostały obcymi artykuły niemieckie, drukowane na początku XIX wieku o własnościach polskich, dość, że przedmiot studyów starał się zbadać gruntownie i do naukowego wykładu przystąpił z poważnym materyałem. Ażeby położenie prawno-ekonomiczne włościan polskich w 1772 r. uczynić zrozumiałem, autor musiał sięgnąć w przeszłość i wykazać, w jakim stanie pozostawiła ich pruskiemu państwu rzeczpospolita. Z przyjemnością zauważyć można, że autor nie upatruje wszędzie ucisku i wyzysku chłopa przez władze polskie i przez klasy uprzywilejowane, ale stara się być sprawiedliwym i dokładnym. Jeżeli zaś o dążeniach sejmu czteroletniego do poprawy losu włościan niewiele powiedzieć może i przytacza jedynie ustęp z konstytucyi 3 maja, to dlatego, że żadna praca nie była w stanie dokładniej go o stosunkach kmiecych z tej doby poinformować.

Dokładnie i szczegółowo przedstawił Guradze wszystkie rozporządzenia pruskie i całą politykę rządową względem włościan od 1772 do 1806 roku. Polityka owa była niewątpliwie przyjazna stanowi włościańskiemu, ale niezdecydowana i uznająca władzę patrymonialną. Autor robi nawet zarzut rządowi pruskiemu za to, że po uśmierzeniu powstania Kościuszkowskiego ustał na drodze ulepszeń bytu włościańskiego, właśnie w chwili, kiedy powinien się był niemi jaknajśpieszniej zająć. Usposobienie Kościuszki dla włościan było powszechnie wiadomem, pozyskanie więc przychylności włościańskiej było możliwem, jeżeli rząd pruski nie ustawałby pracować nad ich dobrem, tymczasem zaniedbanie ich pożytku i dobra czyniło włościanina obojętnym na wszelkie zmiany polityczne, a dla rządu pruskiego w szczególności niechętnym.

Rożdział, poświęcony stosunkom włościańskim za czasów Księstwa Warszawskiego, jest ważny i oparty na źródłach, dotąd niewyzyskanych. Sąd krytyczny autora jest rozważny, wyrozumiały i nie lekceważący bynajmniej ani prawodawcy polskiego za zanie-

dbanie kwestyi agrarnej, ani społeczeństwa za obojętność na losy polskiego włościanina. Wprawdzie, omawiając artykuł 4 konstytucyi Księstwa Warszawskiego, znoszący niewolę *(esclavage)*, autor utrzymuje, że niewolę zniósł już uprzednio rząd pruski, przyczem zapomina zupełnie o konstytucyi 3 maja, z tem wszystkiem jednak dekreta księcia warszawskiego, poświęcone klasom rolniczym, ocenia sprawiedliwie i umie wypowiedzieć o ich zastosowaniu wiele ciekawych i oryginalnych spostrzeżeń, zaczerpniętych z archiwów.

Zdaniem autora, prawodawstwo Księstwa Warszawskiego pierwsze na wschodzie Europy nadało włościanom prawa polityczne. Reprezentacya bowiem narodowa miała być wybieraną nie tylko przez szlachtę, ale i przez zebrania gminne. W wyborach zebrań gminnych brali bowiem udział i właściciele mniejszych osad nieszlacheckiego pochodzenia, którzy przeważnie należeli do stanu włościańskiego. W roku 1808 wprowadzono do Księstwa Warszawskiego nową organizacyę gminną, opartą na zasadach samorządu lokalnego (system francuski). Autor przytacza ciekawie sprawozdania, znajdujące się w archiwach poznańskich (Plichta), że organizacya owa wbrew poglądom naszych historyków wywierała korzystny wpływ, zwłaszcza w Płockiem, na ludność wiejską. Rady wiejskie budziły poczucie godności w jej uczestnikach i wywoływały gorące zajmowanie się dobrem wioskowem. Jedynie też czasom wojennym przypisać należy, że samorząd gminny nie rozwinął się w Księstwie bujniej i że nie wywarł dobroczynniejszego wpływu na ludność wiejską.

Prawodawstwo agrarne, zawarte w konstytucyi i dekretach księcia warszawskiego, oceniane było surowo przez pisarzy polskich. Przypominano sobie zdanie Badeniego, utrzymujące, że za czasów Księstwa razem z niewolą zdjęto włościaninowi i buty z nóg, a na swobodny ruch ludności rolniczej i na możność jednostronnego wypowiadania kontraktu zapatrywano się ujemnie w tem przekonaniu, że te swobody wpłyną na zubożenie i zdemoralizowanie włościanina. Autor przekonywa nas urzędowemi sprawozdaniami, że następstw podobnych wówczas nie było, a jeżeli się gdzie ukazały, to ruch nie sprowadził nigdzie opustoszenia osad; potrzeba rąk do pracy skłoniła większych właścicieli do ofiarowywania włościanom lepszych warunków i traktowania ich względniejszego. Jednem słowem owego wcielania osad wiejskich do folwarków i zmuszania włościan do życia koczowniczego, bezrolnego nie spostrzegamy wcale, a jeżeli zdarzył się jakiś pojedyńczy wypadek, to bynajmniej nie mógł być on uważany za stwierdzenie zasady.

Autorowi pozostała nieznaną literatura polska, kwestyi włościańskiej dotycząca, a przedewszystkiem źródłowe prace księcia Tadeusza Lubomirskiego. Z tego powodu uszedł uwagi p. Guradze nie jeden szczegół ważny z historyi naszego włościanina, ale za to spożytkował dużo nieznanych nam źródeł i przedstawił prawodawstwo Księstwa Warszawskiego w nowem świetle, za co winniśmy mu szczerą wdzięczność. *A. R.*

Jan Machar. Magdalena. Przełożył z czeskiego Adam M—ski. Z przedmową A. Langego. Warszawa. Nakładem redakcyi „Głosu", 1900.

„Biada ci, kobieto, którą los sprowadził na bezdroża! Choćbyś, wydzierając się całą mocą serca stęsknionego do czystej doli, czyniła nadludzkie wysiłki, aby podźwignąć się z upadku, złość ludzka w sojuszu z głupotą, obojętnością i szyderstwem zagrodzą ci drogę i zepchną napowrót w błoto". Tak zdaje się przemawiać z niewysłowioną goryczą wielce uzdolniony poeta czeski, Jan Machar, z kart swego realistycznego poematu „Magdalena". Utwór ten, więcej w tonie powieści, niż poematu utrzymany, budzi w czytelniku raczej refleksye, mniej działając na jego wyobraźnię—i nie tyle zadziwia plastyką zewnętrzną, ile oddziaływa na duszę nastrojem. A nastrój to niezmiernie smutny. Autor zapatruje się na świat bardzo pesymistycznie i, jeżeli współczuje jednostkom, to dla ogółu ludzi ma tylko nieubłaganą ironię, jeżeli nie wzgardę. Całe ustępy, a nawet rożdziały, poświęca bezlitosnemu obnażaniu obłudy, kłamstwa, świętoszkostwa, głupoty oraz braku serca u kobiet-wrzodów, toczących organizm drobnomieszczaństwa czeskiego. (Czy tylko czeskiego?) Ostrze satyry łagodzą lekkie powiewy liryzmu (ciotka Jerzego, Lucy, suchotnik), ale więcej jest w „Magdalenie" drwin i szyderstwa, niż tonów serdecznych. Szyderstwo to bolesne... Czuć, że wady świata, który autor maluje, ranią mu dotkliwie serce obywatelskie; ze wszystkich stronic poematu wieje smutek i rozczarowanie, a jeżeli gdzieniegdzie Machar zdobędzie się na humor, to i z tego ostatniego po przez śmiech wydziera się ból. Pod względem psychologicznym postacie poematu, zwłaszcza Lucy i ciotka, są odmalowane konsekwentnie, nawet bardzo dobrze. Bohaterka udała się twórcy doskonale: powab, pełen smętku, który ją otacza, czyni ją niezmiernie sympatyczną—a wielka to zasługa poety, że umiał pozyskać dla niej współczucie czytelnika, jeżeli przypomnimy sobie, czem Lucy była...

Choć „Magdalena" więcej zaciekawia, niż porywa, przyznać trzeba, że jest to utwór bardzo charakterystyczny. Nadto niema w nim żadnych uchybień tak w rysunku postaci, jak i w budowie—i znać wszędzie rękę nieco wprawdzie chłodnego, ale obdarzonego poczuciem miary artystycznej poety; osobliwie dwa ostatnie rożdziały, odznaczające się największą siłą, malowniczością i pewnym wdziękiem wykonania, sprawiają największe wrażenie.

Dopóki nie zdobędziemy się na to, aby czytać poetów czeskich w oryginale, musimy poprzestawać na przekładach. Tych nie mamy za wiele... Tłómaczowi „Magdaleny" należy się wdzięczność za przyswojenie jej naszej literatuzze. Jakkolwiek w kilku miejscach przekładu są pewne nierówności, praca p. Adama M-skiego, biorąc ogólnie, jest bardzo dobra i szczęśliwie odtwarzająca nastrój oryginału—ironię, szyderstwo, ból. Niektóre miejsca, jak np. dwa ostatnie rożdziały, zostały pięknie przetłómaczone. Zgodnie z pierwowzorem tłómacz użył wiersza ośmiozgłoskowego, nierymowanego. Nie powiem, aby ta forma wiersza była łatwą w zastosowaniu do naszego języka. Wprawdzie Słowacki i Fredro jej używali, ale dla mistrzów słowa nie istnieją trudności... Tłómacz „Magdaleny" najwidoczniej czuł sie skrępowanym, pragnąc zachować miarę oryginału—i to skrępowanie wycisnęło swe ślady na swobodzie i czystości języka. Gwoli rytmowi pan M-ski widział się zniewolonym używać form skróconych, a niebardzo szczęśliwych (jak *migł*, *migło*, *wślizła się*, *klasła*), lub wprowadzać do poematu realistycznego archaizmy w rodzaju *samota* lub stare formy narzędnika (z *włoski*, *druty*, dwoma *łany*, *z okny*, *damy*, *mowy*—zam. damami, mowami), wreszcie nadużywać przyimka k' z celownikiem dla oznaczenia kierunku (*k'temu*, *k'nim*, *k'niej*, *k'Lucy*, *k'licom*, *k'cmentarzowi*, *k'Pradze*, *k'opozycyi* i t. p.—około 20 razy!), co nadaje językowi sz. tłómacza zabarwienie cudzoziemskie.

Skoro zeszliśmy na temat języka, niech nam wolno będzie powiedzieć, że wyrazy *sfinga*, *siedmiórka* (zam. siódemka), *pudr* (zam. puder), *zwarć się* (zam. zewrzeć się), *chram*, lasy *siniejące* (zam. błękitniejące) nie przyczyniają się do podniesienia wartości przekładu. Sądzę też, że ludowe *domowina* (zam. trumna) nie zostało tu szczęśliwie wprowadzone. *Oblask*, *kwandransik*, *chrypał* (jest tylko „chrypieć"), *rękopisów*, (wszak rękopism, bo rękopis to raczej człowiek, jak np. dziejopis) dopełniają spisu usterek językowych. Razi też zbyt częste używanie prowincyonalizmu „zaglądnąć, rozglądnąć się, przeglądnąć, oglądnąć",—w języku ogólnym mamy tylko *oględny*, *oględnie* i *oględziny*... Ze zwrotów błędnych zauważyliśmy następu-

jące: musi w straszny płacz *wybuchnąć* (zam. uderzyć), prawa kurs studyował młody trębacz *u piechoty* (zam. w piechocie). A kiedy też przyjdzie pora na wyrzucenie z naszego języka owego specyalnie warszawskiego *vis à vis* (naprzeciw)?

Do zrozumienia działalności Machara oraz rodzaju jego talentu przyczynia się treściwa przedmowa cenionego poety A. Langego, poprzedzająca przekład „Magdaleny”. *Wiktor Luboradzki.*

Gustaw Daniłowski. „Nego“, nowele, Warszawa, Bronisław Natanson, skład główny w księgarni J. Fiszera, 1900, 12-o, str. 218.

„Nad Inowrocławiem wisiała księżycowa noc sierpniowa, jedna z tych nocy, co, chociaż jasne, mają tyle smutku i melancholii, że psy spać nie chcą—i wyją przeciągle. Ludzie tak nie czynią, może jedynie dlatego, że pies, gdy mu się wyć chce, siada sobie na środku gościńca i, podniósłszy pysk ku tarczy księżyca, jęczy całą siłą nieskrępowanego obrożą gardła, nie dbając o to, co o nim sąsiad Kurta pomyśli. Człowiek w takich razach ostrożniejszy: gdy płacze, to i wtenczas nie omieszka patrzeć przez łzy, jakie to sprawia na innych wrażenie, i czy mu z tem do twarzy”...

Od takiej apostrofy młody autor zaczyna pierwszą swą nowelkę, nadającą poniekąd barwę całemu zbiorkowi; te też słowa najlepiej charakteryzują jego nastrój. Nastrój to głęboki a szczery, wywołany bacznem a pełnem smutku wpatrywaniem się i rozpamiętywaniem życia i ludzi. To życie tak mało barw jasnych posiada, tak pełne ukrytych bólów i łez tajonych, nad ludźmi tak groźnie zawisła ciężka ręka fatalizmu życiowego,—że szlachetnemu sercu płakać się chce, jak podczas jednej z tych nocy, co „mają tyle smutku i melancholii”; bo los ludzki, to także, jak owa noc, co, chociaż jasna, brzemieniem kładzie się na pierś człowieczą!

Płakać? wyć z bólu, ściskającego gardło? to pies może, co „jęczy całą siłą nieskrępowanego obrożą gardła”, człowiek nie potrafi być nigdy samym sobą, nie potrafi być „wielkim królem boleści”, bo formy życia społeczno-towarzyskiego nie pozwalają mu na to, a formy te tak czcze, tak błahe, tak śmiesznie powykręcane w karykaturalne kształty, tak nieskończenie śmieszne...

Aż na śmiech się zbiera—śmiać się przez łzy, oto nastrój, jaki zapewne pod wpływem pisarzy rosyjskich coraz częściej daje się zauważyć wśród najmłodszych naszych autorów; śmiać się przez łzy nad sprzecznością promiennych ideałów i twardą obrożą realnego

życia; jak kleszcz, wpijający się w duszę smutek i gorzka ironia spływają się w jedno uczucie.

Prawdziwi to spadkobiercy Byrona, tego wielkiego rewolucyonisty poezyi—ci młodzi! Nie napróżno p. Daniłowski nazwał swój zbiorek „Nego"; „nego" bowiem, jak objaśnia dykcyonarz małego Jasia Skalskiego, znaczy po łacinie „przeczę, zaprzeczam, mówię, że nie, protestuję". Oto—podstawa nastroju i uczucia naszego autora.

Więc protest, protest przeciwko krzyczącym niesprawiedliwościom życia, przeciw tyranii silnych, uciskowi słabych, przeciw wszechwładztwu pozoru, przeciw oziębłości serc, bezmyślności głów, egoizmowi ducha, przeciw poniewierce i rozmyślnemu deptaniu idealniejszych pierwiastków, w głębi duszy człowieka, jak skarb ukryty, zawartych, przeciw wszystkiemu, co złe, przewrotne, godne potępienia.

W proteście więc wyraża się najlepiej owo uczucie, które stanowi najlepszą cząstkę twórczości młodego autora. Protestuję, powiada on, by młody chłopak, zdolny i bystry, „zakuwał się" się wokabułami łacińskiemi i prawidłami gramatycznemi, tracąc najlepsze lata, siły i młodość („Nego"). Przeczę usilnie i stanowczo temu rozpowszechnionemu wśród młodzieży mniemaniu, iż w miłości brak pierwiastków duchowych, a o mylności tego rodzaju poglądów przekonywa nas piękna legenda żeglarska („Na spacerze"). Mówię, że nie należy człowiekowi myślącemu i obdarzonemu samodzielnością ducha iść w niewolnicze pęta tego, co nazywamy konwenansem, modą, opinią publiczną, a co zawiera się w tych dwu fatalnych frazesach: „wypada" i „nie wypada", równie złowrogich, jak Hamletowskie „być" i „nie być". („Na spacerze"). Protestuję przeciwko brudnemu egoizmowi, co, jak brzydki gad, spoczywa na dnie duszy przeciętnego człowieka i nawet w obliczu majestatu śmierci wysuwa ohydne swe macki („Chudy Pan"); protestuję przeciw temu, by młody człowiek, pełen zdolności myślowych, sił i nadziei na przyszłość, którego dusza otwiera się, jak kwiat, ku szczęściu, trawił się w okrutnem borykaniu się z tęsknotą i rozpaczą („Wesoły pasażer"). Zaprzeczam z całą stanowczością, iż po człowieku, powodującym się w życiu prawdą jedynie, bez wszelkiej przymieszki sprytu życiowego, nic w tym świecie kłamstwa i obłudy, bo brak mu do niego „pasunku" („Chudy Pan")...

Takim jest ów byronizm współczesny, takim jest protest myślącej i czułej jednostki przeciwko despotyzmowi bezmyślnego i chłodnego sercem ogółu.

Za broń w tej walce służy p. Daniłowskiemu to, co zaznaczyliśmy, jako jeden z podstawowych składników jego psychiki,—ironia, nie ta namiętna, porywcza, ziejąca jadem sarkazmu, lecz subtelna, delikatna, nie mniej jednak ostra i gorzka. Z taką ironią traktowane są stosunki w szkole Inowrocławskiej w „Nego“, zmienna miłość kobiety pustej i lekkomyślnej w „Bajce arabskiej”, warunki życiowe na odległej obczyźnie w „Wesołym pasażerze”, rozliczne typy dobrowolnych niewolników szablonu w nowelce „Na spacerze”.

Szczytem zaś takiej ironii jest obrazek p. t. „Chudy Pan”. Bohater tej nowelki wynalazł „sztuczkę“, t. j. nadzwyczaj czułą maszynkę elektryczną, dozwalającą czytać w myślach ludzi. I oto ku wielkiemu zdumieniu przekonywa się, iż procent ludzi myślących jest nader niewielki, a przepaść między myślą i słowem jest tak bezdenną, jak oschłość serc ludzkich. Bo oto nasz bohater umiera i dzięki swej „sztuczce“ dowiaduje się w chwili zgonu, że przyjaciel jego układa szumną mowę pogrzebową, narzeczona rozmyśla, iż przykra to rzecz żałoba w karnawale, a mały braciszek cieszy się, iż z racyi pogrzebu będzie miał święto i nie pójdzie do szkoły...

Ta jednak tak piołunowa ironia nie jest wcale ujemnym czynnikiem, płynie bowiem z tak czystego źródła, jakiem jest uczucie, tak szczere w swej treści, tak szczytne w swoich aspiracyach. Miłość ku wielkim ideałom ludzkości, dobra i prawdy, współczucie ku tym, co, dążąc ku tym wzniosłym celom, zostali gwałtownie wytrąceni z kolei, serdeczna litość dla tych, których nieubłagana ręka losu najbardziej dotyka, niezgłębiony smutek wobec szablonów, „według których okrawa się serce, dusza większa, a do którego mniejsza się rozdyma“—oto tego uczucia poszczególne objawy.

A że pióro p. Daniłowskiego potrafi zdobyć się i na potężny efekt, tego dowodem nowelka p. t. „Pociąg“. Do stacyi kolejowej w zamożnem mieście Ryszwil zbliża się pociąg spacerowy, którym powracają z majówki wychowańcy pierwszorzędnego pensyonatu, dzieci najbogatszych mieszkańców. Przez niewytłómaczony wypadek pociąg zostaje pozbawiony personelu służbowego, pędzi więc całą siłą pary, by u kresu drogi zdruzgotać się w drzazgi i pogrążyć w głębinach rzeki. Mali podróżnicy ani przewidują nieuchronnej zaguby, a na stacyę przyjeżdżają ich rodzice, weseli, wystrojeni, jak na święto. Pomiędzy ten tłum różnobarwny, śmiejący się, rozbawiony pada, jak grom, wieść hiobowa... i trzeba widzieć, jak wybornie p. Daniłowski przedstawia psychikę tej gromady ludzkiej, oczekującej co chwila na okrutną katastrofę, bez możności, bez nadziei ratunku. Jakiś starzec stuletni, który prawnuki miał w śmiertelnym pociągu,

jęczy słowa modlitwy, a tłum na kolanach powtarza za nim, lecz głos mu się łamie, usta wymawiają posłuszeństwo...

Pod względem siły tragizmu, spotęgowanego jeszcze umiejętnem użyciem kontrastów, nowelka ta góruje w całym zbiorku.

Do stron ujemnych tych nowelek możnaby zaliczyć nie dość skupioną ich akcyę i trochę szkicowe traktowanie postaci, czasem bliźniaczo do siebie podobnych, jak np. obie matki z „Wigilii" i „Nego"; drobne to jednak usterki, których wytknięcie nie przynosi ujmy młodemu autorowi, obdarzonemu talentem niemałym, a tak wysoce sympatycznym. *H. Galle.*

Pamiętniki Towarzystwa literackiego imienia Adama Mickiewicza (pod redakcyą Romana Pilata). Rocznik VI, Lwów, 1898 (str. 609).

Rocznik ten, wydany w setną rocznicę urodzin poety, jest najobszerniejszym z dotychczasowych; lecz przeważną jego część wypełniają drobne rozprawki, notatki, artykuły, wzmianki i t. p., a z nich niektóre nie rzucają zupełnie światła ani na twórczość, ani na charakter, ani na życie Mickiewicza, jak np. ogłoszone przez W. Bełzę „Nieznane listy" — o najobojętniejszej treści. Ale większość prac, zawartych w działach „Miscellanea" i „Materyały", posiada znaczenie istotne; tu należą przedewszystkiem prace o autografach Mickiewicza, wtajemniczające nas w sposób twórczości jego, który nie poprzestawał na pierwszych rzutach swych poezyi, lecz uzupełniał je, poprawiał i przekształcał, nadając im formę coraz to świetniejszą, coraz to artystyczniejszą. Tego dowodzi naprzykład cenna praca Br. Gubrynowicza „Album Piotra Moszyńskiego," w której autor wykazuje, że, po pierwsze, błędnem jest zdanie, jakoby Mickiewicz wpisywał wiersze do albumu Moszyńskiego, lecz że Moszyński otrzymał „album własnoręczne Adama Mickiewicza" od Maryana Piaseckiego, kolegi poety z uniwersytetu wileńskiego, — i, po drugie, że obydwaj wydawcy poezyi, zawartych w albumie, a napisanych w latach 1824—1828, — Julian Klaczko i Eustachy Januszkiewicz — wydali je w sposób niedbały, jeżeli nie wprost lekkomyślny. Tak np. w „Dumaniach w dzień odjazdu" (taki tytuł położył Mickiewicz) po wierszu „Zna, że całkiem na wieki zamyka się w grobie" pominęli, nie mniej ani więcej, tylko pięć wierszy:

Dla tego smutno mi, cudze miasto, po tobie.
Wsiadanym nikt na drodze trumny nie wstrzyma,
Nikt jej nie poprowadzi chociażby oczyma
I, wracając do domu, lica łzą nie zrosi
Na odgłos dzwonka poczty, co me zejście głosi.

Największą jednak ciekawość budzi praca Gubrynowicza przez omówienie w niej i wydanie autografów „Sonetów Krymskich;" teraz dopiero mamy należyte pojęcie, z jakiemi to trudnościami walczył Mickiewicz, pisząc sonety, oraz w jaki sposób nadawał im to genialne piękno stylu, które podziwiamy w ich ostatecznej redakcyi. Przytoczymy jeden tylko, ale wymowny przykład. Pierwszy wiersz sonetu „Stepy akermańskie" brzmiał pierwotnie „Poznałem stepowego podróż oceanu;" słowa te przekreślił poeta i napisał: „Żeglowałem i w suchych stepach oceanu," które to słowa przerobił na: „Wjechałem na suchego stepy oceanu," te zaś znów zmienił: „Okrążyły mię stepy nakształ oceanu," i wreszcie tę myśl w prześliczną, wspaniałą przyoblókł szatę: „Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu."

Inne „Miscellanea" i „Materyały", jak np. M. Kawczyńskiego „Konrad z Dziadów w poezyi francuskiej", E. Porębowicza „Przyczynek do pojęcia romantyczności u Mickiewicza", W. Bruchnalskiego „Kilka motywów ludowych w poezyi Mickiewicza," T. Piniego „Rękopis poezyi Garczyńskiego w przerobieniu przez Mickiewicza", nie są już tak ważne, jak wyżej omówione. Pierwszorzędną natomiast wartość mają „Rozprawy". Na ich czele znajduje się rozprawa J. Tretiaka „Cześć Mickiewicza dla Najświętszej Panny".

Przy końcu swej rozprawy dochodzi autor do wniosku, że pod względem etycznym pobożność Mickiewicza miała ogromne znaczenie. „Ona to przedewszystkiem rozlewa w poezyi Mickiewicza, a także i w całej współczesnej poezyi polskiej, w Mickiewicza zapatrzonej, tę czystość i świeżość moralną, która jest podstawą zdrowego życia rodzinnego, a bez której niema szczęśliwej przyszłości narodu. Ona też powinna być i nadal warownią, broniącą nasze społeczeństwo od niezdrowych wpływów tej współczesnej literatury francuskiej, gdzie zmysłowość jest alfą i omegą ideałów autora, gdzie obrazy najbrutalniejszej zmysłowości wysuwane są na plan pierwszy, jak za szybami sklepów towar błyszczący, na ponętę dla pospólstwa. Nasi młodzi poeci i powieściopisarze, aby nie uledz wpływom zawsze modnej u nas i stanowiącej o modzie Francyi, powinni często wzrok podnosić ku błękitom, w których się ta wieża kąpie, i duchem podlatywać ku niej".

Przewodnią myślą rozprawy Wł. Nehringa „O społecznych poglądach Adama Mickiewicza“ jest teza, że Mickiewicz, jak świadczy o tem jego „Oda do młodości“ od młodości podnosił wzrok do zadań ogólno-ludzkich, i że, jak dowodzą „Księgi pielgrzymstwa“, prelekcye i artykuły polityczne, patryotyzm, według Mickiewicza, jest tylko szczeblem do osiągnięcia najwyższego ideału—miłości i szczęścia całego rodzaju ludzkiego. Jak każda praca prof. Nehringa, tak i ta, stanowiąca przyczynek do określenia stanowiska Mickiewicza, jako poety i myśliciela wszechświatowego, — jest wysoce cenna nie tylko przez swoją własną treść, lecz i przez to jeszcze, że otwiera badaniom naukowym twórczości Mickiewicza nowe horyzonty.

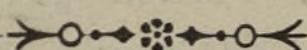
Obszerne studyum R. Pilata „Autografy późniejszych ksiąg Pana Tadeusza od IV-tej do XII-tej", jest dalszym ciągiem pracy, rozpoczętej w tomie V „Pamiętnika“, a wyjaśnia w sposób wyczerpujący genezę „Pana Tadeusza,“ jego kompozycyę artystyczną oraz pracę poety nad poematem. Rozpoczął badania w tym kierunku prof. Nehring, który, choć nie znał autografów, domyślał się, że pierwotny plan „Pana Tadeusza“ uległ zmianie, że sielanka w rodzaju „Hermana i Doroty“ wyrosła na epopeę. Zbadanie autografów wykazało najzupełniejszą słuszność tej bystrej hypotezy. Pod względem ścisłości filologicznej praca prof. Pilata może służyć za wzór, jak tego rodzaju badania prowadzić należy.

W rozprawie „Jeszcze cokolwiek o Wallenrodzie" daje St. Tarnowski słuszną odprawę tym krytykom, którzy dopatrują się sprzeczności w charakterze Konrada Wallenroda, którym nie podoba się mianowicie, że Konrad, zostawszy wielkim mistrzem, po dawnemu czule kocha Aldonę; ma zupełną słuszność prof. Tarnowski, iż bez tego uczucia nie byłby Wallenrod postacią, ani tak piękną, ani tak tragiczną, ani tak prawdziwą. A co do Aldony, to autor dowodnie wykazuje, że jest to najpiękniejsza postać kobieca w poezyi Mickiewicza i jedna z najpiękniejszych w poezyi całego świata. Studyum prof. Tarnowskiego jest, właściwie mówiąc, pierwszą *estetyczną* rozprawą o „Konradzie Wallenrodzie“.

Rzecz o „Estetyczno-krytycznych poglądach Adama Mickiewicza“ Piotra Chmielowskiego jest czwartą i ostatnią częścią obszernego studyum, rozpoczętego w drugim tomie „pamiętnika“ (1888); w całości ukazało się ono w osobnej książce p. t. „Estetyka Mickiewicza", z której „Ateneum" zdawało już sprawę [1]).

Przyczynkiem do historyi wpływu Mickiewicza na twórczość poetycką Galicyi jest rozprawa W. Bruchnalskiego p. t. „Sonety

Mickiewicza w literaturze galicyjskiej w latach 1827 — 1828", zawierająca w sobie charakterystykę sonetów J. N. Kamińskiego i Karola Antoniewicza oraz wykazująca wpływ sonetów Mickiewicza na poetów, który zasilali swymi wierszami czasopismo niemieckie „Mnemosyne". Dodajemy tu jedno uzupełnienie co do Kamińskiego: „Gazeta Polska" (nr. 36, r. 1828) zamieściła recenzyę jego sonetów, w której autor zarzuca im (po części słusznie) „szum, zawracający głowę, nienaturalność i przesadę". Wspomina o nich także bezimienny autor broszury p. t. „Myśli dorywcze o romantyczności i romantykach" (Kalisz, 1830 r.), twierdząc, że one nie są gorsze od sonetów... krymskich [2]). *Ig. Ch.*



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

Dr. T. Ziehen. **Zasady Psychologii Fizyologicznej** w 15-tu wykładach. Przekład czwartego wydania dzieła „Leitfaden der Physiologischen Psychologie;" z przedmową Adama Mahrburga i 23 rysunkami w tekście. Warszawa, Bronisław Natanson, 1900 r. str. 268 i XXIV. Nie mieliśmy dotychczas w języku polskim ani jednego poważnego dzieła z tej dziedziny, prócz przekładu „Zarysu psychofizyologii ogólnej" Herzena, który jednak dla wielu względów nie był wystarczającym. Ziehen dzieli całą naukę psychologii w następujący sposób: 1) „Psychologia spekulacyjna," 2) „Psychologia empiryczna" czyli „doświadczalna"; ta druga rozpada się znowu na dwie części: a) „psychologia autonomiczna," która „rozpatruje sprawy psychiczne bez równoległych spraw fizyologicznych w mózgu" i b) „psychologia fizyologiczna", której treść stanowią „sprawy psychologiczne wraz z równoległemi fizyologicznemi". Nieodłączną jej część stanowi psychologia fizyologiczna wymierzająca, czyli „psychofizyka". Oczywiście tylko część *b.* drugiego działu stanowi przedmiot książki Ziehena. Zresztą streszczenie w kilku słowach takiego dzieła, jak niniejsze, jest rzeczą zupełnie niemożli-

[1]) W zeszycie styczniowym r. b.

[2]) O broszurze tej, ciekawej dla historyi walki romantyków z klasykami pomówimy obszerniej przy innej sposobności.

wą; zaznaczamy zatem to tylko, że przyswojenie jego literaturze naszej jest niezmiernie cennym nabytkiem, gdyż zawiera ono w sobie ciekawy rezultat najnowszych badań z dziedziny psychofizyologii, rezultat usystematyzowany wraz z wyprowadzonymi zeń wnioskami i hypotezami. Długa, bo aż 20-stronicowa, przedmowa, w którą zaopatrzył książkę p. A. Mahrburg, wydaje się nam zbyteczną, gdyż w wielu miejscach nie tylko nie wyjaśnia tez i dowodzeń Ziehena, ale raczej zaciemnia je. *W. M.*

= *Aleksander Kraushar*. **Bonneau, ostatni konsul generalny, Rzplitej Francuskiej za Stanisława Augusta.** (Lwów, 1900, str. 103). Autor ze zwykłą sobie sumiennością zebrał fakty z życia Jana Bonueau, mające jakikolwiek związek z naszemi sprawami na schyłku przeszłego stulecia.

Jan Aleksander Bonneau, urodzony w 1739 r., został mianowany sekretarzem ambasady francuskiej w Warszawie przy boku margrabiego de Saint-Croix. Gdy po przystąpieniu Stanisława Augusta do konfederacyi targowickiej dalszy pobyt Descorche'a de Saint-Croix na stanowisku posła w Warszawie stał się niemożliwym ze względów natury politycznej, francuskie ministeryum spraw zagranicznych zamianowało konsulem generalnym J. Bonneau. Niedługo jednak mógł on pełnić swoje obowiązki; w październiku 1792 roku na skutek wystąpienia targowiczan policya wydaliła z Warszawy Descorche'a i równocześnie wzięła od B. pisemną deklaracyę, że mieszka on w Polsce, jako prywatna osoba. Niespełna w pół roku B. mimo wszelkiej ostrożności, jakie zachowywał w przesyłaniu korespondencyi do Paryża, został aresztowany na żądanie Siwersa w skutek denuncyacyi b. sekretarza poselstwa francuskiego Aubert'a, i umieszczony w twierdzy Petropawłowskiej, gdzie przebywał do 1797 roku.

Opowiedziawszy szczegółowo stosunki B. z emigrantami polskimi i przytoczywszy dwa jego memoryały, złożone ministrowi de Lacroix i konsulowi Bonaparte, p. Kraushar kończy dziełko swoje podaniem B. do cesarza Aleksandra I, w którem szlachetny ów człowiek ze względu na kłopotliwe położenie materyalne prosi o wynagrodzenie za straty, poniesione skutkiem czteroletniej niewoli. Praca p. K. budzi żywe zaciekawienie, bo wskrzesza pamięć człowieka, o którym od czasu wydania Pamiętników Niemcewicza panowało w naszej historyografii milczenie. *B. B.*

= *H. Andersen*. **Baśnie**, opracowane przez C. Niewiadomską, z 16 rycinami, Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa, 12°, str. 344. Baśnie Andersena znane są całemu cywilizowanemu światu i za przy-

swojenie ich naszemu piśmiennictwu należy się uznanie i tłómaczce, i firmie wydawniczej. Tę swoją wziętość „Baśnie" zawdzięczają dwum pierwiastkom. Jeden z nich — to piękna szata poetycka, tkana w różnowzore a barwne obrazy bogatej i błyskotliwej fantazyi, czerpiącej natchnienie w krynicy prastarej wyobraźni ludów germańskich, tak niepodobnej do twórczości Wschodu, tej niewyczerpanej w pomysłach Szeherezady. Przypuszczamy, iż na gruncie rodziwym te „Baśnie" większym jeszcze pociągać muszą urokiem. Aczkolwiek dla nas obcym jest ten świat nadprzyrodzony elfów, krasnoludków, koboltów, syren, gnomów, owych dobrych duchów germańskiej strzechy, aczkolwiek Król Olch tak samo odległym jest od naszej wyobraźni, jak i Rübezahl, i bardziej blizkimi nam są nasze Jędza-Baba i Waligóra, Boruta i rusałki, pomimo to jednak „Baśnie" Andersena nie mogą nie oddziałać na nas urokiem swej fantazyi. Te duchy, tak dobre, tak łagodne, a tak eteryczne, tak nieuchwytne, przepełniają świat baśni Andersena, czarodziejski świat, niedostępny dla oka śmiertelnika, upatrującego w życiu tylko codziennych celów powszedniego bytu. Nie tu jednak kończą się zasługi Andersena; jest w nich poza zewnętrzną szata coś więcej jeszcze, co spoczywa na dnie duszy autora. Żadna z baśni Andersena nie ogranicza się li tylko do fabuły; poza piękną formą jest w nich treść—równie piękna, jest tendencya zacna, społecznie zdrowa i życiowo głęboka. Czytelnik myślący może z tych baśni wiele moralnego pierwiastku wyciągnąć; alegorya przejrzysta, nieraz obrzucona promieniem lekkiej ironii, wiele mu może powiedzieć. Krasnoludek, przekładający nadewszystko wygodny był u bogatego kupca, choć serce ciągnie go do ubogiego studenta, wertującego książki na strychu, nauczy nas cenić wyższe ponad powszedniość ideały życiowe („Krasnoludek"); ropucha, urodzona w studni, tęskni do świata, a wydostawszy się poza cembrowinę, przekonywa się, że cały świat to także wielka studnia, w której nie zaspokoi swojej ciekawości, aż ją bocian poźrze („Ropucha") — ta przekonywa nas o wrodzonym człowiekowi pociągu ku krainie *nieznanego*; „Czerwone buciki" i „Sosna" pouczą nas o marności zabiegów ludzkich, mających na celu zaspokojenie próżności; „Bąk i piłka" wiele mówi o zmienności sympatyi ludzkich, a w baśni p. t. „Cień" autor ze smutkiem konstatuje sprzeczność między powodzeniem w życiu i stanowiskiem w społeczeństwie a prawdziwemi zasługami; podobna myśl kryje się w baśni p. t. „Wszystko na swojem miejscu." Albo jakże pięknym jest „Słowik," ów symbol czystego, bezinteresownego uczucia, kryjącego się pod skromną powierzchownością, a stokroś cenniejszego ponad złudne

pozory! albo „Dziewczynka z zapałkami,“ wzbudzająca serdeczne współczucie dla słabych i opuszczonych! Zbyt wieleby miejsca zajęło, gdybyśmy chcieli wyłuskiwać ziarna zdrowych myśli, osłonięte w subtelne, lotne osłonki powiewnych alegoryi. Dodajemy tylko, iż staranny i poprawny przekład jest zasługą p. C. Niewiadomskiej, i że tekst ozdabiają liczne i czysto wykonane ilustracye. „Baśnie“ Andersena stanowić mogą piękny upominek gwiazdkowy dla dzieci, bardziej rozwiniętych, dla których sens moralny opowiadań nie pozostanie martwą literą.

— *Wacław Szymanowski.* **Obrazki z życia znakomitych ludzi** dla młodego wieku, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1899, 12⁰, str. 295. Książka niniejsza, która ukazuje się obecnie w trzeciem wydaniu, jest szeregiem obrazków z życia, a przeważnie z wieku dziecinnego znakomitych ludzi. Mamy tu więc Gutenberga w chwili wynalazku druku, Danta w trzech okresach życia („Anioł trzech nocy“), Cervantesa („Brzegi Tagu“), generała Hoche'a w dzieciństwie („Mały generał“), Correggia, upadającego pod straszliwą nędzą i wyzyskiem („Dwa miedziane pieniążki“), Beethovena, Gustawa Wazę, Salvatora Rozę, karanego za bazgranie rysunków po ścianach („Powołanie“), późniejszego Syxtusa V, pasącego wieprzki („Mały pastuch wieprzy“) i t. d. Wszystkie te obrazki kreślone są dość żywo i zajmująco, mogą więc zaciekawić młodego czytelnika; w niektórych nawet widzimy pewną skupioną w sobie akcyę powieściową, np. „Mały generał“, lub „Ludwik von Beethoven“. Tylko, że pożytek z tych powiastek niewielki; ogranicza się on, rzec można, na tem tylko, iż dziecko dowie się z tej książeczki co najwyżej: ten pisał wiersze, ten malował obrazy, ten lepił posągi, a papież Syxtus V za młodu pasał nierogaciznę. Pochodzi to stąd, iż w powiastki te za mało włożono pierwiastku biograficznego, zamało w nich charakterystyki danego osobnika, jako człowieka, i jako artysty, literata, czy męża stanu. Tak więc np. powiastkę o Beethovenie możnaby z niewielkiemi zmianami powtórzyć o każdym innym muzyku, opowiadanie o Salvatorze Roza mniej więcej pasowałoby do wszystkich przyszłych malarzów i t. p. Jednem słowem najbardziej charakteryzuje osoby historyczne to, co mówi się o nich w przypisach: ten a ten urodził się w roku tym a tym, był niepospolitym muzykiem, malarzem, rzeźbiarzem i t. p., zmarł i t. d. Niezbyt więc szczęśliwą myślą było wydobywanie tej książki z zapomnianych półek księgarskich. W ostatnich latach poziom wymagań na książki pedagogiczne wniósł się tyle, że

byle gładko opowiedziana bajeczka lub historyjka z kilku ilustracyami już teraz nie wystarcza. Trzeba nam coś nowego!

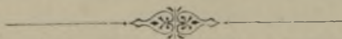
= *Stefan Gębarski.* **Napoleon w Egipcie**, opowiadanie historyczne, z 18 rysunkami, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Sp., 1900, 12°, str. 367. Książka niniejsza opowiada różnorodne przygody młodego chłopca, Polaka z pochodzenia, a jak się okazuje potem, omal że nie brata ks. Sułkowskiego, w Egipcie, podczas kampanii Napoleona w krainie Sfinksów i piramid. Henryk, tak bowiem nazywano naszego bohatera, zakrada się na skutek, niosący Napoleona do Afryki, i zostaje uczestnikiem jego wyprawy. Towarzyszem jego awanturniczych przygód jest Janek Pomayrol, kuchcik okrętowy, również jak i on, żądny laurów bojowych. Przygody te, liczne a niezwykłe, wzbudzić mogą wielkie zaciekawienie w małych zwolennikach awantur i efektów podróżniczo-wojskowych, tylko że budzą pewne wątpliwości co do ich prawdopodobieństwa. Bo los swoich sympatycznych bohaterów autor stawia często kroć na ostrzu szpilki; już mają zginąć, już toczą na nich noże, już wznoszą miecze nad ich głowami, gdy wtem.. bębny francuskie! ocaleni! Manewr ten, po kilkakrotnie powtórzony w powieści, razi przestarzałym a fałszywym efektem melodramatycznym, który tutaj tem mniej jest na miejscu, że przeznaczony dla młodocianych nerwów. Z figur epizodycznych wyróżnia się prócz Bonapartego ujmująca sylwetka ks. Sułkowskiego, który w tej kampanii zginął śmiercią walecznych, oraz nie mniej sympatyczna postać księżniczki Fatymy, córki Murad-beja, która z wyznawczyń Proroka staje się gorliwą chrześcijanką i omal że nie męczenniczkę z ręki własnego ojca. Za to banalny typ zapalonego zoologa, który wśród gradu kul i setki niebezpieczeństw upatruje okazów fauny egipskiej, stanowczo myszką trąci.

= *Władysław Umiński.* **Podróż naokoło świata piechotą. W podobłocznych krainach**, z 8-ma rysunkami St. Lawiczewskiego. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1900, 12°, str. 388. Treść niniejszej książki wypełnia piesza wędrówka po Tybecie dwu awanturników, Wiesława Zdańskiego, zapalonego fotografa, i jego przyjaciela, Andrzeja Warskiego; przyłącza się do nich Amerykanin, sir Jerzy Burnett, któremu narzeczona kazała uwiekopomnić się jakim bohaterskim czynem, by zasłużyć na jej względy. Prawdziwie amerykańska narzeczona, podobna do tej z naszej komedyi, co swojemu wielbicielowi poleciła sprowadzić sobie żywego krokodyla! Wśród niezliczonych przygód, czynów odwagi, zimnej krwi i zręczności, podróżnicy nasi docierają do Lhas-

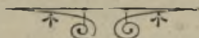
sy, stolicy Dalajlamy, przebywszy tysiące niebezpieczeństw. W nagrodę za heroizm sir Burnett otrzymał rękę miss Anny, a Wiesław zebrał kilkadziesiąt nad wyraz ciekawych zdjęć fotograficznych. Ot i wszystko! A korzyść z tej książki zawiera się w tych szczegółach geograficzno-przyrodniczo-etnograficznych, które autor przejął z najnowszej literatury podróżniczej, przeważnie z Landora. Zresztą książka pisana jest na starą modłę Verne-Mayne—Reid'owską i nowych motywów nie przedstawia.

= **Kalendarz na rok 1900**, wydany staraniem Katolickiego Towarzystwa Dobroczynności przy kościele św. Katarzyny w Petersburgu celem powiększenia funduszów tegoż towarzystwa w dziale literackim zawiera wiersz K. Glińskiego p. t. „Dla Was!” artykuł Michała Godlewskiego „Kilka słów o poezyi Ojca św. Leona XIII,“ ks. J. Maculewiczaa „Katolicyzm na Żmudzi w XV i XVI wiekach,“ dr. J. Talko-Hryniewicz „O nienaukowych teoryach w medycynie w związku z reklamą i przemysłem lekarskim,“ L. Méyeta „Chrzest Juliusza Słowackiego,” list ks. Aleksandra Jełowickiego o ostatnich chwilach Chopina, Lucyana Uziębły „Ich Cieniom pamiątka. Wspomnienie po Ludwiku Kondratowiczu, Mikołaju Malinowskim i Adamie Kirkorze,“ oraz kilkanaście obrazków, wierszy i drobiazgów historyczno-literackich.

Dnia 16 października odbyło się posiedzenie Wydziału filologicznego Akad. Umiej., na którem Sekretarz Wydziału złożyl rozprawę czł. A. Brücknera p. t.: „Apokryfy średniowieczne. Część I.“ W pracy tej autor stara się wydobyć z zapomnienia tę gałąź literatury, tak zupełnie a niesłusznie u nas zapomnianą. Wykazawszy znaczenie apokryfów w historyi umysłowości średniowiecznej i ludowej, autor zajmuje się następnie oceną najobszerniejszego i najciekawszego apokryfu dawnej literatury, znanego pod nazwą: „Rozmyślania o żywocie Pana Jezusa“. jedyny przemyski rękopis tego dzieła, zaginął; korzystał jednak z niego w r. 1858 ks. kan. A. Petruszewicz, wielki znawca i miłośnik wszelkich dawnych zabytków i oddał je do opracowania autorowi. Następnie czł. Prof. M. Kawczyński przedstawił treść pracy swojej p. t. , O pismach oratorskich i filozoficznych Apulejusza Platończyka z Madaury“, w której analizuje te pisma i wbrew opinii niemieckich uczonych, którzy Apulejuszowi odmawiają zrozumienia platońskiej filozofii, że jest on w pismach filozoficznych przeważnie platończykiem, a z nauk swego głównego mistrza uwydatnia te przedewszystkiem, które filozofię zbliżają do religii; jest też wybitnym przedstawicielem magii i od niego—demonologia i magia przechodzą do późniejszych wieków.



Bibliografia.



1. A. Czasopisma. **Biblioteka Warszawska** (zeszyt listopadowy): „Anglicy i Holendrzy w Afryce“ przez J. Keniga, „Kronika Galicyjska“ przez U., „Pierwotne rozmiary społeczeństwa“ przez L. Krzywickiego, „Dwa zjazdy“ Ksaw. Chamca, „Bolesław Śmiały i biskup Stanisław według nowej hypotezy“ przez A. Wysłoucha.

= **Przegląd Polski** (zeszyt grudniowy): „Nie winni?“ przez St. Tarnowskiego, „Z najnowszej literatury dramatycznej Niemiec“ przez dr. J. Flacha, „Epidemia anarchizmu“ przez Eug. Lipnickiego, „O studyach Juliana Klaczki nad Odrodzeniem“ przez dra P. Popiela.

= **Przegląd Powszechny** (zeszyt grudniowy) „Układy o ligę przeciw Turkom za Zygmunta III“, przez J. Sasa, „Podstawy filozoficzne i socyologiczne Marksowskiego socyalizmu“ przez Wł. Piłata, „Jasełka Krośnieńskie z r. 1661“ przez Fr. Krčeka.

= **Swiatowit,** rocznik poświęcony archeologii przeddziejowej i pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej (wyd. staraniem E. Majewskiego), tom I (1899) zawiera: St. J. Czarnowskiego, „Jaskinie okolic Ojcowa pod względem topograficznym“, E. Majewskiego „Grociki dłutowate polskie do strzał przedhistorycznych“, W. Szukiewicza „Kurhany kamienne w pow. Lidzkim“, E. Majewskiego „Zabytki przeddziejowe w Jastrzębcu“, tegoż „Zabytki przeddziejowe w Żernikach Dolnych pow. Stopnickim“, tegoż „Sprawozdania z wycieczek archeologicznych w Kieleckiem w r. 1897“, Zygm. Glogera „Wykopaliska w Horodnicy na Pokuciu“, E. Majewskiego „Toporki—rogowy i kamienny ze wsi Borowe na Kurpiach“, W. Szukiewicza „Przedmioty bronzowe, znalezione nad Niemnem i Mereczanką“ oraz liczne przyczynki drobniejsze i dział sprawozdawczy.

= **Przewodnik Naukowy i Literacki** (zeszyt listopadowy): D. Zaleskiego „Korespondencya J. B. Zaleskiego“, ks. J. Sygańskiego, „Nowy Sącz w epoce Wazów“, J. Snitki „Zarys pojęć o narodzie“, Wołyniaka „O Bazylianach w Humaniu“.

= W zeszycie VII i VIII (lipiec i sierpień) **Wisły** znajdujemy następujące rozprawy i przyczynki: „O dziadku, co łaził po bobrze..., opowiadanie z Sandomierskiego“ Maryana Kucza, „Wierzenie ludowe w okolicach Krzywicz, w pow. Wilejskim“ przez J. Kiborta, „Potomkowie Słowian w Hanowerze“ przez A. J. Parczewskiego, „Materyały do bibliografii ludoznawstwa polskiego“ przez A. Strzeleckiego, „Kronika geograficzna za rok 1898“ przez W. Nałkowskiego.

= Od Nowego Roku 1900 zacznie wychodzić w Warszawie tygodnik p. t. **Strumień**, poświęcony literaturze, sztuce i sprawom życiowym; szpalty nowego czasopisma wypełniać będą przeważnie młode siły.

= Redakcya **Słownika języka polskiego**, którego zeszyt piąty niedawno opuścił prasę, prosi nas o zawiadomienie, że po wyjściu zeszytu VI cena Słownika podniesiona będzie do rb. 16 za całość, rb. 4 na tom, 80 kop. za zeszyt. Kto więc pragnie korzystać z ceny dzisiejszej (10 rb. za całość), winien pośpieszyć się z prenumeratą. Adres „Słownika“: Warszawa, Szpitalna 10 (Administracya „Gazety Handlowej“).

B. Filozofia. **Demolins E.** Nowe wychowanie, przełożył z franc. J. Wł. Dawid, Warszawa, 1900.

= **Payot J.** Kształcenie woli, przełożył J. K. Potocki, wydanie drugie, Warszawa, 1900.

= **Sully James.** Umysłowość ludzka, księga podręczna psychologii, z ang. tłomaczył J. K. Potocki, tom II, Warszawa, 1898.

= **Wagner C.** Podstawy życia rodzinnego, przetłómaczyła z franc. K. Białecka, Warszawa, 1900.

C. Socyologia. **Abramowski Ed.** Pierwiastki indywidualne w socyologii, Warszawa, 1899.

D. Historya. **Gloger Zygmunt.** Geografia historyczna ziem dawnej Polski. Kraków, 1899.

= **Kętrzyński Stan.** Kazimierz Odnowiciel, 1034—1058, Kraków, 1899.

= **Kętrzyński Wojciech dr.** O Słowianach, mieszkających niegdyś między Renem a Łabą, Salą a czeską granicą, Kraków, 1899.

= **Koskowski B.** Finlandya, (wydawnictwo „Głosu“), Warszawa, 1899.

= **Seignobos K.** Dzieje polityczne Europy współczesnej, rozwój stronnictw i form politycznych, 1814—1899, zeszyt IV, (wydawnictwo „Głosu“), Warszawa, 1899.

= **Stryjenski Casimir.** Deux victimes de la terreur, Rosalie Lubomirska, Madame Chalgrin, Paris, 1899.

= **Wysocki** generał. Pamiętnik z czasów kampanii węgierskiej, Warszawa, 1899.

= **Zimorowicz J. B.** Pisma, do dziejów Lwowa odnoszące się, z polecenia reprezentacyi miasta wydał dr. K. Heck, Lwów, 1899.

E. Literatura. **Arnold R.** Geschichte der deutschen Polenliteratur, Bd. I, Von den Anfängen bis 1800, Halle, 1899.

= **Celichowski Z.** dr. Polskie indeksy ksiąg zakazanych, rozprawka bibliograficzna, Kraków, 1899.

= **Chmielowski Piotr.** Filozoficzne poglądy Mickiewicza, Warszawa, 1899,

= **Chmielowski Piotr.** Historya literatury polskiej, tom III (Bibl. dzieł wybor.), Warszawa, 1899.

= **Hoesick F.** Szkice i opowiadania historyczno-literackie, Warszawa-Kraków, 1900.

= **Gawlikowski Johann.** Beiträge zu einer Biographie des Nikolaus Rej von Nagłowice: I. Die Vorfahren des Nikolaus Rej, II. Seine Jugendjahre (Jahresbericht XXI des Gymnasium in Brody, 1899).

= **Walczak Franciszek.** Lucyan Siemieński i jego stanowisko w literaturze polskiej. Kraków, 1899.

F. Sztuki piękne. **Ruskin John.** Malarstwo i poezya, Warszawa, 1899.

G. Matematyka i przyrodoznawstwo. **Flaum M.** dr. med. Anatomia i fizyologia organów płciowych, kobiety, fizyologia ciąży i porodu, wykład poglądowy z tekstem objaśniającym i 7 drzeworytami, Warszawa, 1900.

= **Flaum M.** dr. med. Ciało człowieka, wykład anatomii poglądowy człowieka, z tekstem objaśniającym i 10 drzeworytami, wyd. drugie dopełnione, Warszawa, 1900.

= **M. Flaum** dr. med. Kobieta, anatomia ciała kobiecego, wykład poglądowy z tekstem objaśniającym i 6 drzeworytami, Warszawa, 1900.

= **Meyer Lotaryusz.** Zasady chemii teoretycznej, przełożył Br. Znatowicz, Warszawa, 1899.

= **Romer Eug.** dr. Wpływ klimatu na formy powierzchni ziemi, Lwów, 1899.

= **Szubert G. H.** dr. Atlas historyi naturalnej, Łódź—Warszawa, 1899.

H. Beletrystyka. **Baranowski Wojciech.** Poezye, serya I, Kraków, 1899.

= **Dante Alighieri.** Boska Komedya w przekładzie Edwarda Porębowicza: II, Czyściec, wydanie miniaturowe, Warszawa—Kraków, 1899.

= **Dąbrowski Ignacy.** Pisma, tom I i II, wyd. 2-gie, Warszawa, 1900.

= **Dębicki Zdzisław.** Noce bezsenne, poezye, Lwów, 1900.

= **Dygasiński Adolf.** Z naszej niwy, nowelle, Warszawa, 1900.

= **Ibsen Henryk.** Wybór dramatów, przełożyła i wstępem opatrzyła Walerya Marenne, Warszawa, 1899.

= **Kaczkowski Zygmunt.** Wybór pism, z przedmową Ig. Chrzanowskiego. Tom I Mąż szalony — Bitwa o chorążankę; Tom II Jurnakowie — Swaty na Rusi— Kasztelanic Lubaczewscy; Tom III Murdelio, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Kochanowski Jan.** Wybór pism, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Lange Antoni.** Przekłady z poetów obcych, część I, Warszawa, 1899.

= **Mohort Julian.** Przelotne wrażenia z podróży do Rzymu (Bibl. dzieł wyb. № 109), Warszawa, 1899,

= **Reymont Władysław.** Sprawiedliwie! szkic powieściowy z przedmową T. Jeske-Choińskiego (Bibl. dzieł wyb. № 110), Warszawa, 1899.

= **Rodziewiczówna Marya.** Między ustami a brzegiem puharu, wydanie II, Warszawa, 1899.

= **Szwaryczewski Henryk.** Księga humoru i satyry Warszawa, 1900.

= **Świętochowski Aleksander.** Pisma, VII: Duchy. część I. II i III, Kraków, 1899.

= **Sygietyński Antoni.** Drobiazgi, Lwów, 1900.

= **Syrokomla Władysław.** Wybór pism, Warszawa, 1900.

= **Wells H. G.** Podróż w czasie, opowieść fantastyczna, z ang. przełożył F. Wermiński, Warszawa 1900.

I. Wydawnictwa pedagogiczne. **Barański Fr.** W dzień Bożego Narodzenia, kolędy, Lwów, 1899.

= **Bełza Wł.** Baśń o dobrym synu, według ludowego podania, Warszawa—Kraków, 1899.

= **Chęciński Ian.** Opowiadania historyczne, wydanie III, Warszawa—Kraków, 1899.

= **Dobre, kochane dzieciaki**, Warszawa, 1899.

= **Gębarski Stefan.** Z szerokiego świata, podróże i opowiadania, Warszawa, 1899.

= **Jankowski Józef.** Grzeczna Jadzia, Warszawa, 1899.

= „ „ Śpiewnik dla dzieci, muzyka Z. Noskowskiego, Warszawa, 1899.

= **Jankowski J.** Świat czarów, wierszyki dla dzieci, Warszawa, 1899.

= „ Wesoły zwierzyniec, wierszyki dla dzieci, Warszawa, 1899.

= „ Za naszym płotkiem, wierszyki dla dzieci, „ „

= **Kajecik Władzia**, Warszawa. 1899.

= **Książeczka Maniusia**, Warszawa, 1899.

= **Mali cykliści**, Warszawa, 1899.

= **Mayne-Reid.** Jaskinia Widma, romans, spolszczył Bolesław Londyński, Warszawa, 1900.

= **Morawska Z.** Z opowiadań młodego chłopca, Warszawa—Kraków, 1899.

= **Obrazki Jani**, Warszawa, 1899.

= **Or—Ot.** Ach! jaka książeczka, zabawne wierszyki dla małych dzieci, Warszawa, 1899.

= **Or—Ot.** Zaklęty świat, cztery baśnie wierszem, Warszawa, 1899.

= „ Nasza wioska, Warszawa 1899.

= „ Zimą i wiosną, wierszyki i bajeczki, Warszawa, 1899.

= **Weryho Marya.** Nacia na pensyi, Warszawa, 1899.

= **Zwierzęta na rowerach.** Warszawa, 1899.

J. Różne. **Amborski Jan.** Zbiorek prawideł wymawiania języka francuskiego, Warszawa, 1900

= **Kalendarz Powszechny** na rok 1900, rok XXII. Warszawa, 1899.

2. Obca. A. Filozofia. **Lagenpusch E.** Grundriss zur Geschichte der Philosophie, I Th.: Geschichte der alten Philosophie u. der Philosophie des Mittelalters, Breslau, 1899.

= **Maydorn B.** Wesen u. Bedeutung des modernen Realismus, Leipzig, 1899.

= **Stein L.** An der Wende des Jahrhunderts, Versuch e. Kulturphilosophie, Freiburg, 1899.

B. Socyologia. **Campredon E.** Rôle économique et sociale des voies de communications, Paris, 1899.

= **Dühring E.** Kritische Geschichte der Nationalökonomie u. des Socialisus, 4 Aufl., Leipzig, 1899.

= **Schultze-Gaevernitz G.** Volkswirtschaftliche Studien aus Rusland, Leipzig, 1899.

C. Historya. **Driesman H.** Das Keltentum in der europäischen Blutmischung, eine Kulturgeschichte der Rasseninstinkte, Leipzig, 1899.

= **Immich M.** Papst Innocent XI, Beiträge zur Geschichte seiner Politik u. zur Charakteristik seiner Persönlichkeit, Berlin, 1899.

= **King B.** A history of Italian unity: Being a political history of Italy, from 1814 to 1871, London, 1899.

= **Lacombe B.** Catherine de Médicis, Paris, 1899.

D. Sztuki piękne. **Bate B.** The English pre-raphaelite painters: their associates and successors, London, 1899.

= **Künstlier Monographien.** Hrsg. v. H. Knackfuss. XLII, Bidrbaum, Otto Jul.: Stuck, Bielefeld, 1899.

= **Musiker** berühmte, Lebens und Charakterbilder. 8 Bd., A. Niggli: Adolf Jensen, Berlin, 1899.

E. Matematyka i przyrodoznawstwo. **Chronik** der kön. technischen Hockchule zu Berlin, 1797—1899, Berlin, 1899.

= **Moore C. H.** Development and character of Gothic architecture, New-York, 1899.

= **Monographien** zur Geschichte der Chemie, hrsg. v. Geo. W. A. Kahlbaum. 3—5 Heft, Leipzig, 1899. —*g.*—

3. Przekłady z polskiego. **E. Orzeszkowej** „Meir Ezofowicz" wyszedł w Petersburgu w rosyjskim przekładzie. Tejże autorki: „Mocny Samson", „O równouprawnieniu kobiet" i pierwszy tom zbiorowego wydania (Sobranije soczinienij). Tłómaczenia dokonał F. W. Dombrowski.

Kijewlanin przynosi w odcinku przekł. Bolesł. Prusa „Historyi jakich wiele", w nrze zas 70-m rozpoczął druk tłómaczenia powieści Ostoi p. t. „Wychowanka".

Jako piąty tom wydawnictwa **Roman und Novellenschatz**, wyszedł zbiór nowel H. Sienkiewicza w tłómaczeniu C. Hillebrandta w Monachium. Tytuł brzmi: „Die Jagd nach dem Glück und andere Novellen".

Kijewskoje Słowo zamieściło w n-rze 3938 rossyjskie tłómaczenie obrazka Stefana Żeromskiego p. n. „Pokusa", w n-rach 4010 — 4011 przekład nowelki E. Orzeszkowej p. t. „Siteczko".

Żytomierski **Wołyń** zamieścił w majowych zeszytach tłómaczenie noweli Hajoty p. t. „Czemu ciebie tu nie ma?", a **Podolskija gubern. wiedomosti** wydrukowały w n-rze 96-tym tłómaczenie szkicu Józefa Blizińskiego p. t. „Pajączek".

Firma petersburska Nielepiec i Sokołowski wydała w przekładzie H. Sienkiewicza „Humoreski z teki Worszyłły" (przekład Gribojedowoj), ze wstępem krytycznym o działalności Sienkiewicza, napisanym przez Czujkę.

Norweski tygodnik **Ringeren** podaje w n-rze 10 tłóm. neweli Sienkiewicza „Bądź błogosławiona" (przekład d-ra Wysockiego).

Slovansky přehled № 7 zawiera przekład „Sonetów krymskich" Mickiewicza, (tłom. J. Borecki).

Literaturno-naukowy wistnyk, (Lwów) zamieścił w zeszycie 5-tym tłóm. d-ra Franki z Mickiewicza „Precz z moich oczu", kilka poezyi Adama Asnyka, Wiktora Gomułickiego i Andrzeja Niemojewskiego.

J. I. Kraszewskiego „Stara baśń" ukazała się w rosyjsk, tłóm. w „Bibliotece Siewiera"; w Petersburgu wyszła nadto powieść Klemensa Junoszy p. n. „Pająki".

Düna Zeitung drukuje przekład H. Sienkiewicza „Quo vadis".

W Petersburgu ukazał się w tłom. W. Dombrowskiego I tom zbiorowego wydania dzieł J. I. Kraszewskiego.

Politik (Praga) daje przekład noweli M. Konopnickiej, „Mein Tantchen".

Praca Studnickiego p. t. „Współczesna Syberya" wyszła w niemieckiem tłóm. w Berlinie p. t. „Die Wahrheit über Sibirien".

B. Starzyński „Polonais décorés de la légion d'honneur par l'empereur Napoléon 1803 — 1814" M. Żmigrodzki „Geschic hte der Baukust der Araber und der Bauweis der Maurer in Spanien", Kraków.

Ptaszycki „Pismo pierwawo Samozwanca k' papie Klimentu VIII", Petersburg (Akademia).

Tenże „Kniazia Puziny istorikogieniealogiczeskije matieriały", Petersburg.

Prof. Gumplowicz „Sociologische Essays", Innsbruck.

F. Gliński „Biełowieżskaja puszcza i żubry", Białystok (szkic historyczny Białowieży, opis puszczy, jej topografia, fauna i flora).

G. H. Niewęgłowski. „La photografie des commençants" (2 wyd., Paryż).

Tegoż „Applications de la photografie aux artes industrielles" i „La lutte contre tuberculose".

W czeskiem czasopiśmie pedagogicznem „**Učitel**" zamieścił dr. Franciszek Krček artykuł p. n. „Vzdělavaci cesty pro muže a žemi".

J. Bartoszewicz „Die Erbschaftssteuer im internationalen Rechte". (Lwów). „Revue des Revues" z 1 maja przynosi nowe dokumenty do biografii Kościuszki, które do druku podał p. Wł. Kozłowski.

S. Ptaszycki „Szczorsowskaja biblioteka grafa Litawora Chreptowicza", (Moskwa).

W **The Catholic Missor**, czasopiśmie, wydawanem w Baltimore, wydrukował p. J. Smoliński dotychczas nieznane dokumenty, dotyczące bitwy pod Wiedniem r. 1683. Jest to list Jana II Sobieskiego do Kapucyna Marka d'Aviano, zawierający ciekawe szczegóły o bitwie, datowany dnia 31 października 1683 r. Znajdujemy też tutaj dalej dwa listy bergamskiego poczmistrza, datowane 20 i 22 września, a omawiające również pogrom wiedeński.

5. Czasopismo duńskie **Sagten**, wychodzące w Kopenhadze, umieściło opis wrażeń z pobytu we Lwowie, skreślony przez Brandesa.

Fr. Kvapil rozpoczął w czerwcowym numerze **Květów** druk studyum „Mickiewicz w Moskwie".

Znany krytyk Parozacchi wydrukował w **Corriere della Sera** z 16 i 17 maja artykuł o „Quo vadis" Sienkiewicza.

Prof. pruskiego uniwersytetu Pastrnek zamieścił w **Listach filologickych**, (nr. 2) recenzyę pracy d-ra Jana Karłowicza p. t. „Gwara kaszubska" i d-ra St. Dobrzyckiego „O mowie ludowej we wsi Krzęcinie".

Notatkę historyczną o losach księżnej Lubomirskiej, opowiedzianych przez Al. Kraushara w książce p. t. „Ofiara terroryzmu", napotykamy w majowym zeszycie **Wiestnika inostrannoj literatury.**

Dr. Asums Soerensen, docent języków i literatur słowiańskich w uniwersytecie lipskim, wydał pierwszą część swojej gramatyki języka polskiego p. t. „Polnische Grammatik".

W Królewcu ukazała się rozprawa p. A. Boettichera o konserwacyi zabytków historycznych w Prusiech Wschodnich p. n. „Anleitung für die Pflege und Erhaltung der Denkmäler in der Provinz Ostpreusen".

Wiedeńskie czasopismo **Allgemeines Litteraturblatt** zamieszcza w nrze 12-ym recenzyę tomu X „Dzieł" ks. Waleryana Kalinki i broszury T. W. Łubieńskiego p. n. „Kwestya polska w Rosyi", napisaną przez d-ra Fryderyka Kaindla.

„Zeitschrift des Vereins für die Provinz Posen" przynosi w 1 i 2 zeszycie z r. b. prace: J. Kothego „O średniowiecznym murze miejskim w Poznaniu", O. Heinemanna „O ożenieniu się Andrzeja Czarnkowskiego z Maryą Anną Latalską" notatkę tegoż autora „O pogrzebie Stanisława Latalskiego i jego córki Maryi Anny Latalskiej" i recenzyę X tomu „Aktów Tomicianów" pióra A. Warschauera.

Kijowskie **Uniwiersitietskija Izwiestija** zamieściły w zeszycie 3-cim recenzyę rozprawy Karłowicza o „Gwarże kaszubskiej“.

W petersburskich „Izwiestijach otdielenija ruskago jazyka i słowiesnosti‘, (tom IV zesz. 1 z r. 1899) napotykamy recenzyę dzieła M. Federowskiego p. t. „Lud białoruski“ pióra E. T. Karskiego (str. 349 — 353), jakoteż „Rozpraw Akademii Umiejętności“ wydz. filol. ser. II tom 11, wreszcie „Prac filologicznych“ warszawskich.

St. Zdziarski.

SPROSTOWANIE.

W zeszycie listopadowym w artykule „Pamiętniki Bismarcka" wkradły się następujące omyłki drukarskie:

Stronica:	*Wiersz:*	*Zamiast:*	*Powinno być:*
329	28 z góry	rozruchy	massy
334	25 „ „	Flottwell-Grosmanowskim	Flottwel-Grolmanowskim
335	26 „ „	uważało dla siebie	uważało za sromotę
341	20 „ „	tabulistycznych	rabulistycznych
341	2 od dołu	*po* na niemiecki	*dodać:* i w r. 1875 praca Mazade
344	34 z góry	jako najważniejsze zło	najmniejsze zło
346	9 od dołu	flammoca	flammam
347	7 „ „	tylko *wykreślić.*	





Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna.***
Redaktor: ***Ignacy Chrzanowski.***

ATENEUM

PISMO NAUKOWE i LITERACKIE,

WYCHODZI CO MIESIĄC

w zeszytach zawierających od 10—12 arkuszy druku.

T R E Ś Ć:

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj i naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatniają.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz społecznego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

WARUNKI PRZEDPŁATY:

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rb. 12. Półrocznie Rb. 6. Kwartalnie Rb. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

Do Redakcyi ATENEUM, Warecka 10.





Lokal Redakcyi „ATENEUM” z dniem 8-ym Lipca r. b. przeniesiony został na ulicę **Chmielną № 21.**